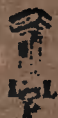


# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

---

INSTYTUT



LITERACKI

1981



Redaktor: **JERZY GIEDROYĆ**

# **KULTURA**

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

---

# **1981**

**INSTYTUT  LITERACKI**

wydawnictwo 

**Warszawa 1982**

© Copyright by Instytut Literacki Paryż

© Copyright by Niezależna Oficyna  
Wydawnicza NOWA

NOTY O WYGNANIU - Czesław Miłosz

Szczęścia nie znalazł, bo go nie było  
w ojczyźnie

Adam Mickiewicz

Użytek

Wygnanie, przyjęte jako przeznaczenie, tak jak przyjmujemy nieuleczalną chorobę, powinno nam pomóc w zobaczeniu naszych złudzeń.

Wzór

Był świadom swego sądania i ludzie czekali na jego słowa, ale zakazano mu mówić. Tam gdzie teraz mieszka, może mówić, ale nikt go nie słucha i, co więcej, zapominał, co miał do powiedzenia.

Komentarz do powyższego

Cenzura może tolerować różne swangardowe figle, bo zajmują one czas pisarzom i czynią z literatury niewinną rozrywkę dla bardzo ograniczonej elity. Ale gdy tylko pisarz okaże zainteresowanie rzeczywistością, cenzura uderza. Jeżeli, w wyniku banicji lub jego własnej decyzji, znajdzie się na wygnaniu, wyrzuce z siebie długo hamowane uczucia gniewu, swoje obserwacje i refleksje, uważając to za swój obowiązek i posłannictwo. Jednak to, co w jego kraju jest traktowane z powagą, jako sprawa życia i śmierci, nie obchodzi nikogo za granicą lub wywołuje zainteresowanie z przypadkowych powodów. Tak więc pisarz przekonuje się, że nie może zwracać się do tych, którym na tym zależy, natomiast może się zwracać tylko do tych, którym nie zależy na niczym. Stopniowo przyzwyczaja się do społeczeństwa, w którym żyje, a jego wiedza o życiu codziennym w kraju skąd przybył zmienia się z dotykanej w teoretyczną. Jeżeli nadal zajmuje się tymi samymi problemami co przedtem, jego dzieło traci bezpośredniość schwytanego na gorąco doświadczenia. Dlatego musi wybrać: albo skazać się na jałowość, albo przejść całkowitą przemianę.

Nowe oczy

Nowe oczy, nowa myśl, nowy dystans: że tego potrzebuje pisarz na wygnaniu, jest oczywiste, ale czy pokona swoje dawne ja - zależy od zasobów, o których przedtem sam niewiele wiedział.

Jedną z otwierających się możliwości, to zmiana języka. Może to zrobić albo dosłownie, pisząc w języku kraju osiedlenia, albo używając swego rodzimego języka w taki sposób, że to, co pisze będzie zrozumiałe i przyjęte przez nową publiczność. Wtedy jednak przestanie być wygnanym.

Imny, z pewnością trudniejszy wybór polega na zachowaniu swojej postulowanej i wyobrażonej obecności w kraju, z którego pochodzi. Wyobrażonej; bo musi unocznic sobie historię i literaturę swego kraju jako jeden organizm rozwijający się w czasie i wyznaczyć swojemu dziełu funkcję w tym ruchu, który prowadzi od przeszłości do przyszłości. Zakłada to ciągłe rozruchunki z tradycją w poszukiwaniu żywotnych korzeni oraz krytyczną obserwację dnia dzisiejszego. Pewne gatunki literackie /ns przykład powieść realistyczna/ i pewne style z samego założenia nie mogą być urowiane na wygnaniu. ? drugiej strony warunki wygnania wymuszające na pisarzu rozliczne perspektywy, sprzyjają innym gatunkom i stylom, szczególnie tym, które są związane z symboliczną transpozycją rzeczywistości.

## Rozpacz

Rozpacz, nierozłączna z pierwszym etapem wygnania, może być poddana analizie i wówczas może się okazać, że jej powodem są raczej osobiste niedostatki aniżeli zewnętrzne okoliczności. Istnieją trzy główne przyczyny takiej rozpacz: utrata imienia, obawa przegranej i moralna udręka.

- Pisarz zyskuje imię przez złożoną wymianę z czytelnikami, czy zwraca się do szerokiej publiczności, czy do wąskiego kręgu sympatyków. Kształtuje swój obraz widząc go w oczach tych, którzy resgują na jego dzieła. Kiedy emigruje, obraz ten zostaje nagle zmażony, co czyni go anonimowym składnikiem masy. Przestaje istnieć nawet jako osoba, której zalety i wady były znane jej bliskim. Nikt nie wie, kim jest i jeżeli czyta o sobie w prasie, spostrzeżąc, że dotyczące go dane są groteskowo przeinaczone. Wówczas jego poniżenie jest proporcjonalne do jego dumy i jest to przypuszczalnie sprawiedliwa kara.

- Stasznie boi się przegranej, bo tylko nieliczni posiadają odporność potrzebną, żeby nie ulec niszczącemu działaniu izolacji. Miał do wspólnoty pisarzy oddejących się pewnemu rytuałowi, zajętych wzajemnym rozdawaniem pochwał i nagan. A teraz ani wspólnoty, ani rytuału, ani słodkich gier zaspokojonej ambicji. Cierpi więc, bo nabrął kolektywistycznych przyzwyczajęń, co prawdopodobnie oznacza, że nigdy nie nauczył się stać na własnych nogach. Może zwyciężyć, ale nie wcześniej, nim zgodzi się na przegraną.

- Wygnanie jest podejrzanym morelnie, bo zrywa solidarność z grupą, to znaczy odseparowuje jednostkę, która nie może już działać doświadczeń z pozostawionymi w kraju kolegami. Moralna udręka odzwierciedla jej przywiązanie do heroicznego obrotu samej siebie i musi ona, krok po kroku, dojść do bolesnego wniosku, że stworzyć moralnie wartościowe dzieło i zarazem zachować niesplamiony obraz swojej osoby jest rzadko możliwe.

## Aklimatyzacja

Po latach wygnania człowiek próbuje sobie wyobrazić jak to jest kiedy nie żyje się na wygnaniu.

## Przestrzeń

Wyobrażenia, zawsze przestrzenna, wskazuje na północ, południe, wschód i zachód od pewnego centralnego, uprzywilejowanego miejsca, którym jest przypuszczalnie wioska naszego dzieciństwa czy nasz powiat. Jak długo pisarz mieczka w swoim kraju, uprzywilejowane miejsce, koliduje się, rozszerzając, utożsamia się z całym krajem. Wygnanie przesuwą ten ośrodek, a raczej tworzy dwa ośrodki. Wyobrażenia odnosi wszystko do otoczenia "tam, daleko" - w moim przypadku gdzieś na europejskim kontynencie. A nawet dalej wyznacza cztery główne kierunki, jak gdyby ciągle tam stał. Zarezem północ, południe, wschód i zachód są uzależnione od miejsca, w którym piszę te słowa.

Wyobrażenia kierująca się ku odległemu regionowi czy jego dzieciństwa jest typowa dla literatury tęsknoty / dystansu w przestrzeni często służy jako przebranie dla proustowskiego dystansu w czasie/. Choćby dość rozpowszechniona, literatura tęsknoty jest tylko jednym z wariantów radzenia sobie z oderwaniem od rodzinnego kraju. Nowy punkt, który organizuje przestrzeń w odniesieniu do siebie, nie może zostać wyeliminowany, to znaczy nie można siebie wyabstrahować z fizycznej obecności w określonym miejscu na Ziemi. Dlatego właśnie powstaje dziwne zjawisko: dwa ośrodki i dwie przestrzenie stworzone wokół nich nekłcają się na siebie, lub

- i to jest szczęśliwe rozwiązanie - zrastają się w jedno, Cienie na ścianie

Mówi się, że nasza planeta stopniowo ale nieodwołalnie wkracza w erę zjednoczenia, stworzoną przez technikę, higienę i zanik analfabetyzmu. A jednak wolno podtrzymywać i przeciwną opinię, w pełni uzasadnioną, jak o tym można przekonać się na wygnaniu. Pisarz, który mieszka w obcym kraju przynosi wiedzę o geograficznym obszarze, z którego pochodzi - jego historii, ekonomii, polityce etc. Jest on czuły na każdą informację o tym, co tak dobrze zna, czy dostarczoną przez książki, prasa czy telewizję. To prowadzi go do odkrycia, jak powstają nowe podziały między ludźmi.

Sto lat temu zwykli ludzie, nie znający odległych rejonów globu, po prostu umieszczali je w świecie legendy lub przynajmniej egzotyki. Dzisiaj jednak, jak im się zdejże, dano im środki pozwalające objąć równocześnie miejsca i wydarzenia na całej Ziemi. Jednak w zestawieniu z wiedzą przybysza, wiadomości i reportaże o krainie jego pochodzenia okazują się esłkowicie mylne. Wielokrotna suma tych zniekształceń wkręcających między przekaz i fakt osiąga astronomiczne proporcje. Przypowieść Platona o jaskini, dotychczas dyskutowana na filozoficznych seminariach, zyskuje również bardziej praktyczne znaczenie. Jask pami, tam, więźniowie w niej przykuci nie mogą nawet ruszyć szyją i zdolni są tylko widzieć ścianę przed sobą. Na ścianę tę rzucane są cienie, które biorą za rzeczywistość. Przybysz zastanawia się, czy mógłby przekonać czytelników gazet i odbiorców telewizji, że są w błędzie, że dochodzi do wniosku, że ani nie mógłby oni nie powińien. Gdyby oszustwo wynikało jedynie z ignorancji albo z uprzedzeń politycznych, los współczesnych mieszkańców jaskini pozwalałby żywić pewne nadzieje. Ale co będzie jeżeli - i tego nie można wykluczyć zswczasu - oszustwo leży w samej naturze mediów - to jest mediacji?

autoanaliza

Oto szkic przemówienia, które autor piszący na wygnaniu: może wygłosić do siebie samego: "Czy jesteś pewien, że twoi koledzy tutaj, którzy poruszają się w świecie znajomym od dzieciństwa, są w lepszej sytuacji? To prawda, że piszą w swoim własnym języku. Ale czy sztuka i literatura odpowiadają temu, czego uczylimy się o nich w szkole i na uniwersytecie? Czy nie znikną, czy one tak gwałtownie w ciągu ostatnich dziesięcioleci, że ich nazwy są tylko pustymi skorupkami? Czy nie stały się, one przypadkiem ćwiczeniami ludzi samotnych, czy może w sytuacjach przez wzdziękanych? Jak wielu z tych ludzi dostaje nagrody w postaci miłości i szacunku, w swoim, w rodzinnym mieście, co jest jedynym rodzajem miłości i szacunku, wartym zabiegów? Mają ten sam język co ich publiczność, ale czy widzą na twarzach błysk zrozumienia? Czy ten sam język nie jest więc złudzeniem, tam gdzie niezliczone indywidualne języki wypełniają przestrzeń zgłębiającym szumem? Czy twoi koledzy są czytani i słuchani przez szerszą publiczność czy tylko czytają siebie nawzajem? Czy jesteś pewien, że nawet siebie nawzajem czytają? Ostatecznie, może tak być, że jesteś w lepszej sytuacji: twoje wygnanie ma przynajmniej nazwę.

Zawsze wierzyłem, że prawdziwym celem pisania jest dotrzeć do wszystkich ludzi i zmienić ich życie. Co jednak, jeżeli taki cel jest nieosiągalny? Czy traci przez to sens? Czy nie uważasz, że każdy z twoich kolegów tutaj pozostał w sercu wierny tak dziecińszemu marzeniu? Ale czy nie byłś świadkiem ich przegranej?

A jeżeli nie możesz zbawić świata, dlaczego miałbyś się troszczyć o to, czy masz dużą czy małą publiczność?"

### Język

Kto mieszka między ludźmi, którzy mówią językiem innym od jego własnego, odkrywa po pewnym czasie, że odczuwa swój rodzimy język na nowy sposób. Nie jest prawdą, że długi pobyt za granicą prowadzi do zubożenia stylu, choć brakuje ożywczego wpływu codziennej mowy. Natomiast jest prawdą, że odkrywa się nowe aspekty i tonacje rodzimego języka, ponieważ są wyraźniejsze na tle języka używanego w nowym otoczeniu. Tak więc język ubożając w niektórych dziedzinach /idiom ulicy, dialekty/, znajduje kompensatę w innych /czystość słownictwa, rytmiczna ekspresyjność, równowaga składni/. Rywalizacja między dwoma językami jest niekoniecznie typowa dla literatury pisanej na wygnaniu. Przez kilka wieków literaci w wielu krajach europejskich byli dwujęzyczni, ich własny język słyszany był na tle łaciny i vice versa.

KULTURA 4/1981

### W IMIENIU ŁAICKIEJ LEWICY<sup>x</sup> - ks. Józef Tischner

Kim jest autor pracy pt.: "Kościoł, lewica, dialog", wydanej w Paryżu w 1977 r. przez Instytut Literacki - Adam Michnik? Na pytanie to odpowie we wstępie do książki S. Kisielewski, znany publicysta Tygodnika Powszechnego: "Adam Michnik, urodzony 1946 w Warszawie to jedno z głównych postaci słynnego polskiego Marca 1968, a także poprzedzających ten Marzec kontestatorskich fermentów wśród warszawskiej młodzieży studenckiej. Swoją udział w owej młodzieżowej "kontestacji" Michnik przypadł wydaleniem z uniwersytetu, procesem i półtorarocznym więzieniem. Po wyjściu z takiego pracował pewien czas fizycznie w jednej z wielkich warszawskich fabryk, po czym otrzymał zezwolenie na zaoocne kontynuowanie studiów z historii na Uniwersytecie Poznańskim. Studia ukończył w roku 1975 uzyskując tytuł magistra za pracę "Problemy wybrane z historii polskiej myśli politycznej na emigracji 1864-1870". Specjalizuje się w nowożytnej historii Polski. Jest też autorem szeregu artykułów, poświęconych tej tematyce, zarówno problemowych jak i czysto historycznych zamieszczanych pod pseudonimami w krajowych czasopiśmie katolickich a także za granicą.

Pod pseudonimami, gdyż Michnik podzi w Polsce życie obywatela drugiej kategorii, nazwiska jego w prasie wymienić nie wolno, padał też wielokrotnie ofiarą rozmaitych represji. Mimo to wiedzie żywot bujny, inspirowany przeróżne akt, opozycyjno "kontestatorskie", bardzo popularny i ceniony zarówno wśród warszawskiej młodzieży jak i w tok zwanych sferach intelektualnych. Lubi wkładać kij w mrowisko, zrobili już w tej dziedzinie wiele a zapowiada jeszcze więcej".

x Fragmenty z książki ks. Józefa Tischnera pt. "Polski kształt dialogu", która ukaże się niebawem nakładem "Spotkań" /Ed. "Spotkania", 64 Av. Jean-Moulin, 75014 Paris/.

Książka Michnika jest szkicem historycznym, zawierającą jednak pewne idee polityczne a nawet filozoficzne. Michnik analizuje w oparciu o liczne źródła, takie jak na przykład listy pasterskie Episkopatu Polski i Prymasa, jak komentarze i artykuły prasowe, rozmaite akty ustawodawcze rządu PRL - historię stosunków między Kościołem a państwem oraz między tzw. "laicką lewicą" a katolicyzmem, katolikami i religią. Dochożdzi do wniosków, które dla owej lewicy były jeszcze nie tak dawno nie do przyjęcia: Kościół i religia chrześcijańska, katolicy i katolicyzm w ogóle odegrali w Polsce rolę twórczą, "postępową", stali się autentycznymi obrońcami praw człowieka, o obronę których chodziło także owej lewicy. Stąd postulat polityczny: laicka lewica winna uznać rolę religii, wejść w dialog z Kościołem, lepiej zrozumieć naturę chrześcijaństwa i katolicyzmu i zwalczać wspólne wroga osoby ludzkiej, jakim jest totalitaryzm władzy politycznej. W książce Michnika natrafiamy na nowy ton pisania o religii. Michnik stara się mówić o religii bez uprzedzeń, rozumieć z niej więcej niż inni, szukać powszechnych porozumienia z polskimi katolikami. Nie chodzi mu przy tym, by z religii uczynić narzędzie dojścia do władzy i umocnienia władzy, chodzi o to, by znaleźć formułę współżycia w pluralistycznym społeczeństwie jutra. Książka jest czymś więcej niż wyrażeniem osobistych poglądów autora. Michnik uczestniczy w niepokojach wielu sobie podobnych i wyraża ich nadzieję, jest znakiem tego, co nurtuje w jakimś stopniu w duszy niejednego Polaka. Ukazuje się jako prawdziwy "znak czasu".

Z jakich pozycji wychodzi A. Michnik? Jakie teorie czuje poza sobą, o jakie ideały chce walczyć?

Określa siebie jako przedstawiciela "laickiej lewicy". Co to znaczy? Pisze: "... czym jest lewica obecnie, w 1976 roku? Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. W ostatnich latach, w wyniku klęski oficjalnej ideologii komunistycznej nacji, się i upowszechniły nastroje nacjonalistyczne. Widać to wyraźnie zarówno w kręgach władzy, jak w środowiskach opozycyjnych. I władza, i opozycja są podzielone. Bardziej interesuje mnie podział w łonie opozycji. Posługując się sformułowaniem jednego z moich przyjaciół, powiem, że opozycja składa się z tych, których opozycyjność wynika z przekonania o wyższości systemu kapitalistycznego nad jakimkolwiek innym i z tych, których programem jest idea demokratycznego socjalizmu. Świadom jestem, jak bardzo uproszczam, ale trzymając się tego uproszczenia powiem jeszcze, że lewicę utożsamiam z tymi drugimi. Tak pojmowana lewica głosi idee wolności i tolerancji, idee suwerenności osoby ludzkiej i wyzwolenia pracy, idee sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i równego startu dla wszystkich; zaś zwalcza: szowinizm i ucisk narodowy, obskurantyzm i ksenofobię, bezprawie i krzywdę społeczną. Program lewicy to program antytotalitarnego socjalizmu".

Wychodząc z takich pozycji, Michnik dokonuje odkrycia katolicyzmu polskiego i polskiego Kościoła. Jest to przede wszystkim odkrycie historyczne, ale historyka operującego znaczącymi kategorieami polityki. Po zbaczeniu odnośnych dokumentów, Michnik konkluduje:

"Przytaczając powrótze fakty, cytując obszernie dokumenty z tamtych czasów, pragnęłam uświadomić moim przyjaciołom z lewicy laickiej, nie znającym na ogół cytowanych tekstów i faktów, jakie była rzeczywista sytuacja Kościoła i postawa katolickich biskupów w okresie stalinowskim. Jeśli skontrowują postulat Episkopatu z tym co o tych postulatach skrytali, wtedy i później, w oficjalnej prasie, to dostrzegą, być może, cały ogrom swojej niewiedzy. Jeżeli te postulaty zestawiają z



ówczesnymi praktykami władzy państwowej, to bardziej zrozumiałym stanie się dla nich moje pytanie: gdzie był główny wróg postępu i dobra w owym czasie? W kościołach katolickich czy w komitetach partyjnych i urzędach bezpieczeństwa?

Różne sformułowania w listach pasterskich mogą razić; inne mogą wydawać się anachronizmem. Ale pytanie zasadnicze brzmi: czy w stalinowskim okresie człowieczej? Odpowiadam na to pytanie twierdząco. W pełni podzielam opinię Czesława Miłosza, który napisał, iż w okresie stalinowskim "budynek kościelny był jedynym miejscem, dokąd nie przenikało urzędowe kłamstwo, a kościelna kącina pozwalała zachować wiarę w wartość ludzkiej mowy, poza tym poniżanej i naginanej do najgorszych zadań".

Pożytywna rola Kościoła nie kończy się jednak na okresie stalinowskim. Michnik kontynuuje swe poszukiwania dalej, skupia się przede wszystkim na bliskim sobie roku 1968 - roku, w którym tzw. "rewizjoniści" upomnieli się o swobody demokratyczne w kraju. Michnik widzi jednoznacznie: Kościół bierze pośrednio także ich w obronę, mimo że byli to często ludzie znani z działalności antyreligijnej. Bierze ich w obronę w tym sensie, że upomina się o praworządność, demokrację i tolerancję. W tym punkcie głos Michnika jest szczególnie doniosły.

Czytamy: "Ateizm i antyklerykalizm były trwałymi składnikami ideologii polskiego rewizjonizmu. W przeprowadzanych przez rewizjonistów - najostrzejszych nawet - krytykach stalinizmu prześladowania religii i Kościoła nie piętnowano wcale, albo też widziano w nich jedynie błędną taktykę, która - spychając Kościół na skraj katakumb - umacniała "przesady religijne". Zaryzykowałbym pogląd, że wielu rewizjonistów uważało wydatne ograniczenie wpływów katolicyzmu i Kościoła za jedną z niewielu zalet epoki "błędów i wypaczeń". Nie bez znaczenia była i ta okoliczność, że w swych krytykach partii i partyjnej ortodoksji rewizjoniści nader często uciekali się do analogii z Kościołem katolickim. Rzecz by można, iż partia była dla nich tym bardziej antypatyczna, im bardziej przypominała im Kościół. Piętnując w swych pismach irracjonalizm i fideizm mętnych konstrukcji stalinowskiego "diamatu", rewizjoniści byli spadkobiercami idei filozofów racjonalistycznych. "Fanatycznej wierze" stalinowców przeciwstawiali "rozum" i "tolerancję". I nieco dalej: "Sądzić można, iż z punktu widzenia wczoraj jeszcze prześladowanego biskupa "wścicki" - rewizjoniści stanowili formację szczególnie odrażającą. Wczoraj jeszcze atakujący religię i biskupów, wczoraj jeszcze aktywni frontu ideologicznego partii, chwalczy reżymu, gdy był on szczególnie okrutny, a dziś - wciąż nie uznający swej osobistej winy, przerzucający odpowiedzialność na obiektywne warunki i innych ludzi, bijący się w cudze piersi, a jednocześnie - znów w todsze moralistów gromiący nietolerancję u innych, tych wczoraj prześladowanych. Również opozycyjność rewizjonistów wobec nowego kierownictwa partii musiała dla prześladowanych katolików wyglądać mocno podejrzanie".

A. Michnik wymaga, aby odkrycie chrześcijaństwa doprowadzić możliwie do końca. Należy przeprowadzić rewizję ocen religii, dokonywanych dotąd przez "laicką lewicę". Trudno się oprzeć pokusie zacytowania jeszcze jednego fragmentu: "Nasza rewizja intelektualna musi sięgnąć głębiej, musi dotknąć samych korzeni tego pełnego pychy przekonania, że - w istocie rzeczy - my znamy przecież prawdziwą drogę postępu i rozumu. Albowiem - w istocie rzeczy - my takiej drogi nie znamy; ani my, ani nikt na świecie nie wie, jakimi drogami potoczy się historia, natomiast my właśnie - bardziej niż ktokolwiek inny - powin-

niemy rozumieć, iż taka pseudowiedza o tajemnicach Weltgeiste niewązbrodnicze konsekwencje, Uprawnia ona mianowicie, na mocy znajomości wymaganych praw dziejowych, do kierowania na drogę "rozumu i postępu" tysięcy ludzi nieświadomych bynajmniej o potrzebie i nieuchronności Nowego Ładu. Zaś realizacja projektów Nowego Ładu, tego królestwa ładu, Rozumu i Wolności, wiedzie z nieuchronną koniecznością do pogardy dla ludzi, do stosowania przemocy, do moralnej samozabicia.

Wydaje mi się, że również złowrogi konsekwencje kryje w sobie zadufane przekonanie i nieistnieniu porządku nadprzyrodzonego. Powiadam "zadufane", albowiem zupełną pewność możemy mieć w tym tylko przedmiocie, że śmierć nas nie ominie. Reszta jest wadzeniem, trudem istnienia, upórczą drogą do prawdy. Zaczynając na tej drodze, pełnej poszukiwań, upadków i wzlotów, szacunek dla tych, którzy wierzą, iż został im objawiony jakiś bodzi nadludzki. Sądźmy ich po uczynkach, a nie po słowach wypowiedzianych przez innych i wykoślawionych. Tylko pod tym warunkiem możemy podnieśliśmy czołem domagać się od ludzi Kościółka postawy analogicznej".

Nie chciałbym przedkładać tej charakterystyki poglądów A. Michnika, więc z żalem pomijam ogromnie interesujące fragmenty, w których autor mówi o tym, na jakich drogach doszedł do swego odkrycia chrześcijaństwa. Pomijam również jego oceny rozmaitych ruchów "dialogicznych", inspirowanych lub popieranym przez państwo, a więc ocenę ruchu "Pax", czy ruchu ODSS /Janusz Zabłocki/ czy tzw. "pseudo-Znak". Chcę jeszcze skoczyć do centrum się na samej idei dialogu.

A. Michnik realizuje w praktyce pewną linię dialogu, obcą dotychczasowym marksistowskim czy w ogóle lewicowym opracowaniom zagadnienia: marksizm - socjalizm - chrześcijaństwo. Cokolwiek by się rzekło o brakach książki, po Michniku nie będzie już można uprawiać dialogu tak, jak się go uprawiało przed Michnikiem, jeśli oczywiście będzie się chciało coś sensownego na temat dialogu i z pozycji dialogu powiedzieć. Na czym owa idea polega?

Dialogiem nie jest pierwsza lepsza rozmowa człowieka z człowiekiem, lecz jedynie taka rozmowa, w której świadectwo drugiego człowieka zostaje uznane za niezbędne źródło wiedzy o przedmiocie, którego rozmowa dotyczy. Dialog to przede wszystkim pewna metoda poznania. Nie jest to oczywiście metoda powszechna, metoda każdej nauki i każdego sposobu uzyskiwania wiedzy. Na przykład w matematyce poznanie nie ma charakteru dialogicznego, lecz monologiczny: aby poznać, że dane rozwiązanie matematyczne jest prawdziwe, nie potrzebują odwoływać się do świadectwa drugich, wystarczy samo porównanie wniosków z założeniami. Dialog jest metodą poznania w humanistyce, w naukach społecznych, w historii, jest też integralnym składnikiem poznania religijnego. Bez dialogu nie może się obejść autentyczne życie społeczne. Aby wiedzieć, kim ja jestem, muszę spojrzeć na siebie nie tylko swymi własnymi oczami, ale również oczami innych, jakby z zewnątrz. Podobnie inni - jeśli chcą poznać prawdę o sobie, muszą odwołać się do naszego, do mojego świadectwa o nich.

Książka A. Michnika nie została napisana po to, by rozwijać abstrakcyjną teorię poznania dialogicznego. Wnosi ona jednak do tej teorii na naszym gruncie więcej, niż niejedna książka dotycząca explicite teorii. Po prostu realizuje podstawowe warunki idei dialogu. Robi to w trudnych okolicznościach politycznych, gdy samo opublikowanie dzieła w wydawnictwie emigracyjnym może być potraktowane jako akt nielegalny i sprowadzić na autora przykre następstwa. Fakt ten ma ograniczoną wymowę moralną.

Spróbujmy jednak sformułować pewne znaki zapytania w duchu proponowanym przez A. Michnika. Nie będą one dotyczyć ściśle faktograficznej warstwy książki, ponieważ odpowiedzoby to nas zbyt daleko od głównego nurtu, lecz skoncentrujemy się na specyficznie etycznej nucie rozważań, będącej bezpośrednim wyrazem idei "demokratycznego socjalizmu". Na temat tej idei nie pisze się wiele, tymczasem jest to dość istotna sprawa, ponieważ książkę nabrała w naszym kontekście społecznym szerszego znaczenia politycznego. Jak się okazuje, chodziło nie tylko o to, by wyprowadzić z błędów "laicką lewicę", ale również o to, by rozwiać uprzedzenia chrześcijan i Kościoła w stosunku do owaj lewicy. To, że Kościół nie ufa lewicy - jest zrozumiałe. Teraz jednak będzie można powiedzieć: "myśmy zrewidowali swoje oceny, teraz wy zrewidujcie swoje". Co sądzić o tej właśnie znaczeniowej książce?

Należy podkreślić, że propozycja Michnika została przyjęta w szerokich kręgach in. lekturalistów katolickich w Polsce z ogromną sympatią. A to nie kwestionuje podstawowej intencji autora. Nikt nie odrzuca głównych propozycji teoretycznych. Na ogół wszyscy podkreślają ogromną odwagę jego myśli. Pewien niepokój wywołuje jedynie ogólność i wieloznaczność zasad określających własne stanowisko. A. Michnika. Co znaczy "demokratyczny socjalizm" i "laicka lewica"?

"Demokratyczny socjalizm" - jak sobie przypominamy - głosi: "idea wolności i tolerancji, idea suwerenności osoby ludzkiej i wyzolenia pracy, idea sprawiedliwego podziału dochodu narodowego i równego startu dla wszystkich; zaś zwalcza szowinizm i ucisk narodowy, obskuryzm i ksenofobię, bezprawie i krzywdę społeczną". To wszystko jest wzniosłe, godne szacunku, piękne. Ale czy jest do końca domyślne? Po pierwsze: idea demokracji kryje w sobie myśl, że ostatecznym podmiotem władzy jest cały naród-lud, bez względu na różnice klasowe, natomiast idea socjalizmu zawiera myśl, że podmiotem tym jest przede wszystkim "przedzająca klasa narodu" - proletariatsi przetrząsłowy, pojęcie demokratycznego socjalizmu jest więc z czysto teoretycznego punktu widzenia jak pojęcie kwadratowego koła. Po drugie: patrząc wciąż z punktu widzenia czystej teorii, taka definicja ideałów lewicy jest błędnym kołem, ponieważ najpierw ustanawia pewien ideał, potem określa z góry, że taki właśnie ideał jest socjalistyczny, po czym nie pozostawia już miejsca dla żadnej alternatywy etycznej. Po trzecie: z praktycznego punktu widzenia rzecz pechnie jakąś formą "moralnej demagogii", bo cóż mi pozostaje, jeśli nie poprę ideałów laickiej lewicy? Nic tylko: "szowinizm, ucisk narodowy, obskuryzm, bezprawie" i inne tym podobne okropności. Niech, że stalinizmu, nie mieliśmy wyjścia, bo nie pozwalały na to "żelazne prawa dziejów", dziś także nie mamy wyjścia, bo nie pozwala na to wzniosła - rzekłbym nawet: nazbyt wzniosła - etyka "demokratycznego socjalizmu". Zmieniliśmy poziom rozważań, ale struktura jakby pozostała.

A. Michnik mówi "socjalizm". Pojęcie to funkcjonuje również w oficjalnym języku tych, z którymi autor jest w konflikcie, w języku partii, aparatu propagandy, w języku ideologów. Rodzi się pytanie: w jakim stopniu pojęcie to znaczy to samo po jednej i drugiej stronie? Czy może tylko słowo jest takie same a treści diametralnie przeciwne? Czy może pozostać jakiś wspólny mianownik? Pismnie nie są tylko teoretyczne: idzie o to, czy myśl Michnika mimo wszystko udziela aprobaty temu, co zaistniało w Polsce po drugiej wojnie, czy też uważa, że wszystko było błędem? Czy A. Michnik wierzy, że przynajmniej początki były dobre? Czy w ten sposób, mimo całej krytyki i opozycyjność, udziela on

moralnej sankcji zrębom aktualnego systemu? Myślę, że udziela. Nic nie wskazuje na to, żeby było inaczej. Jest to sprawa ogromnej wagi. Szkoda, że nie została rozwinięta szerzej. Wieloznaczność w tej sprawie budzi rozmaite domysły a domysły łatwo przemieniają się w podejrzenia, za które nie tylko czytelnik jest odpowiedzialny.

Pozostaje jeszcze jeden szczegół, charakterystyczny, jak mi się wydaje, dla całej "lewicującej mentalności".

Nie wiem, czy istnieje jakaś inna teoria społeczna oprócz marksistowskiej, która by tak dalece stąpiła człowiekowi naturalny zmysł rzeczywistości. To zdumiewające, że ludzie "laickiej lewicy" żyli w środku naszego kraju, mieli oczy i uszy, a nie zdawali sobie sprawy z tego, jaka w tym kraju była i jaka jest rola Kościoła. Trzeba było dopiero książki A. Michnika, by zmienił zdanie. Ale czy książka ich przekona? Czy znikną dawne lęki i dawna nieufność? Poza tym, czy w samym tekście Michnika nie ma jakiegos śladu owej przewycięzonej mentalności? Charakterystyczny jest sposób potrzenia na społeczeństwo, wyrażony w książce. Michnik zwraca uwagę przede wszystkim na dialog na poziomie władzy, a więc na poziomie: episkopat - rząd, biskup - premier, kościół i aparat partyjny. Tymczasem ten poziom dialogu był wtórny, drugorzędny. Istotny dialog i zasadniczy wybór dokonywał się na poziomie narodu. To naród, to tzw. "prosty lud", wypełniający kościoły i miejsca pielgrzymkowe, bronił się przeciwko procesom socjalizowania. Słos biskupa był najczęściej jedynie wykładnią tego, co dzieło się w duszy narodu. Nie twierdzi, że był bez znaczenia, twierdzą jedynie, że głównie źródło jego znaczenia znajdowało się poza nim. Michnik jakby tego nie widział, jakby patrzył poprzez pryzmat "lewicowego" zafascynowania "władzą".

A. Michnik mówi: "lewica laicka". Czy zdaje sobie sprawę z tego, jak te słowa dźwięczą dziś w uszach prostych ludzi, którzy mają problemy z wychowaniem dzieci, z "laicką" szkołą, z mniej lub bardziej oficjalną indoktryną ateistyczną? Być może w słowach tych kryją się jeszcze jakieś żywe treści. Z pewnością jednak nie są one dziś aż tak doniosłe, jak w czasach międzywojennych. Poza tym trzeba spojrzeć w oczy rzeczywistości: laicność i lewica należą do słownika pojęć gruntownie przez naszą rzeczywistość skompromitowanych. Nie wyborszam sobie, by ktoś występujący kiedyś jako kandydat w wolnych wyborach pod hasłem "laickiej lewicy" uzyskał w tym kraju, po wszystkim, czego ów kraj doświadczył, mandat poselski. Co nie znaczy, że ludzie są ze nietolerancją i dyskryminacją. Mają po prostu tego dość. Jeśli A. Michnik uważa, że w słowach tych jest zawarta mimo wszystko jakaś cenna dla życia narodu treść, niechże ją bardziej właściwie określi a nie sięga po słowa ograne i przegrane.

I wreszcie ostatnie pytanie.

Nie miałem pierwotnie zamiaru włączać A. Michnika - podobnie jak J. Strzeleckiego - w "polski kształt dialogu" z marksizmem, ponieważ nawet jeśli autorzy ci odwołują się do socjalizmu, to z marksizmem prawie nic już ich nie łączy. Teraz - po przedstawieniu szczegółów - wątpliwości moje jeszcze się się wzmożyły. Wcale nie jestem pewny, że ich tezy dowodzą ewolucji w stronę teorii teoretycznej socjalizmu. Są raczej głosem z zewnątrz teorii. Jest to głos ważny, mocny, przekonujący, nie mniej (choć spoza teorii). Nie włącza on religii w świat socjalizmu tsk, jak na przykład chrześcijańska teologia negatywna włączyła ateizm w świat religii. "Współność z religią a socjalizmem jest więzią sojuszu. Sojusz jest przede wszystkim sprawą polityczną. I choć sojusz ten jest być może z punktu widzenia etyki czymś pożądanym i cennym, to jednak się myśli lewicującej ms on w ostatecznym rozrachunku w dźwięk polityczny. Nie sączę i nie

widzę dowodów, żeśmy się ostatecznie wyzwolili z prymatu polityki przed etyką.

Synteza polityki z etyką to stary mit - mit socjalizmu utopijnego, który - według świadectwa ortodoksyjnych marksistów - K. Marks i F. Engels mieli podnieść do godności nauki. W przypadku J. Strzeleckiego i A. Michnika jesteśmy poza marksizmem, a więc jakby u jego początków. Czyżby po tylu latach burzliwego rozwoju marksizmu trzeba nam było wrócić do jego początków? A może nie są to początki, lecz skordy końcowe? Może to jeden z oświeconych "błędnymi rycerzy socjalizmu" odkrywają, że Pościół - ongiś przedmiot ataków jego i jego towarzyszy - to nie żadna "forpoczta imperializmu", lecz zwyczajny wiatrak, mający makę dla tych, co nie samym chlebem żyją? Cokolwiek by się rzekło, kres walki z wiatrakami ma też swoje pozytywne znaczenie.

#### Refleksje na zakończenie

W pracy niniejszej raz po raz powracała ku nam myśl następująca: płaszczyzną zasadniczą dialogu między chrześcijaństwem a teorią i praktyką marksizmu w Polsce była płaszczyzna etyczna, a mówiąc ściślej - płaszczyzna pojętego integralnie etosu jako sposobu bycia według żywej przez człowieka nadziei. Z jednej strony mieliśmy więc nadzieję terytoryczną, w której istotnym składnikiem była obietnica zniesienia w zysku człowieka przez człowieka, z drugiej nadzieję bardziej wszechstronną, w której wartością istotną okazała się godność człowieka. Sama ta płaszczyzna dialogu sprawiła, że udział w nim miał praktycznie cały naród. Nie było w kraju takiego człowieka, który nie musiałby od czasu do czasu odpowiedzieć się w sposób mniej lub bardziej konsekwentny za jedną lub drugą stronę. Bieg wydarzeń angażował wszystkich. Raz chodziło o problem chrztu dziecka, innym razem o udział dziecka w katechizacji, jeszcze innym o uczestnictwo w procesji, w manifestacji religijnej, w przyjęciu na ojczystej ziemi Jana Pawła II. Sposoby zaangażowania były rozmaite. Było również niejedno dzieło własności filozofii. Wprowadziła rola społeczna prowadzonego na tym poziomie dialogu nie była zbyt wielka, jednakże był to dialog interesujący, ponieważ wrażały się w nim w czystej formie opinie przenikające świadomość społeczną.

Jakie są wyniki dialogu?

Przede wszystkim jednym z doniosłych efektów dialogu - efektów wielostronnie zresztą uwarunkowanych - jest istnienie w naszym kraju przestrzeni wolności. Wiemy, że jest ona większa niż w innych podobnych do naszego krajach. Nikt nie ma złudzeń co do tego, że osiągnięcie takiej przestrzeni wolności jest zasługą chrześcijańskiego ducha oporu, pracy duszpasterskiej Kościoła a także posoborowej teologii obecności Kościoła w życiu doczesnym. W osiągniętej przestrzeni wolności zmieściło się tak ryzykowne wydarzenie, jak pielgrzymka Jana Pawła II do Polski. Przypomnijmy: w czasach Piusa XII i B. Bieruta rzecz była nie do pomyslenia; w czasach Pawła VI i W. Gomułki rzecz była wręcz nie do pomyslenia, ale okazała się nie do realizacji mimo zabiegów Episkopatu i pragnień Pawła VI nie dozwolono do zaproszenia pspiecha na prochyściłości milenijne do Częstochowy; potem bieg wydarzeń zakoczył wszystkich. Trudno to oczywiście właściwie wyważyć, ale z pewnością gdzieś w dalekim tle warunków możliwości owej pielgrzymki było wypalenie się marksistowskiego antyklerykalizmu, ateizmu i wojującego bezbożnictwa. Coś podobnego dokonano się również po stronie katolickiej, szczególnie po soborze, gdy Kościół wszedł w bres dialogu ze światem współczesnym, w tym także z rządami ze wschodu Euro-

py. Mamy więc naszą przestrzeń wolności. Wiemy, że nie jest to przestrzeń zbyt wielka. Ale w przeszłości bywało gorzej. Wizyta Jana Pawła II przestrzeń tę poszerzyła i umocniła a także dodała ducha tym, którzy nad jej poszerzeniem pracują.

Wizyta kończy pewien ważny okres dialogu. Była bowiem czymś w rodzaju ogólnonarodowego plebiscytu. Naród - nie bójmy się tego słowa, bo nie mamy podobnego na określenie tego, o czym myślimy - zasadniczo cały naród stanął po stronie tych nadziei, których symbolem stał się Papiież-Polak. Cóż jest rdzeniem owych nadziei? Wydaje mi się, że jest nim szczególna koncepcja godności osoby ludzkiej. Wszystkie wystąpienia Jana Pawła II w Polsce były wykładnią owej koncepcji. W koncepcji tej znalazły miejsce inne wartości: godność Polaka jako dziedzina heroicznej historii narodu, godność człowieka pracy, o którą chodziło socjalistom, znaczenie wolności, tradycyjnej tolerancji, wierności prawdzie, odwagi w poświęceniu. Myślowa przestrzeń mów papieskich była tak szeroka, że mógł się w niej znaleźć każdy człowiek dobrej woli. Nagle zmieniły się proporcje. To już nie socjaliści i komuniści zapraszają do dialogu i współpracy katolików, ale katolicy całą resztę. Współpraca ta sięga głębiej niż walka o pokój i dyscyplinę społeczną. Chodzi o odbudowę i kontynuację najgłębszych wartości ducha narodowego, symbolizowanych takimi postaciami jak św. Stanisław, bł. Jadwiga królowa, Paweł Włodkowic, Mikołaj Kopernik, C. Maksymilian Kolbe - postacie, które znalazły się w centrum uwagi Jana Pawła II. Budząc poczucie godności, Papiież budził nadzieję na miarę tego poczucia. Zarazem umacniał poczucie odpowiedzialności. Wydarzenie pielgrzymki stało się integralną częścią polskiej samowiedzy narodowej. Jak kiedyś treścią samowiedzy narodowej były rozbiory -

- przykład narodowej klęski, tak teraz stała się nią pielgrzymka, jako symbol niepokonanego ducha.

Czyj w tym sukces, czyje przegrana? Sukces chrześcijaństwa i Kościoła, przegrana marksistowsko-socjalistycznej ideologii? To racja. Ale ten, kto tak mówi, nie patrzy dostatecznie głęboko.

Jest to przede wszystkim sukces narodu. To naród dokonał wyboru, to naród odskonił swe oblicze, to naród pozostał sobą. Przy okazji wszyscy ci, którzy wykretili ze swego języka pojęcie narodu, zastępując je pojęciem społeczeństwa lub klasy, mogli bezpośrednio zobaczyć, odczuć i usłyszeć to, czym jest naród. To naród a nie taka lub inna klasa okazał się przodującą siłą dziejów. Myślę, że każdy z nas Polaków jakoś wierzył w Polskę. Ale wtedy można było porzucić wiarę na rzecz doświadczenia, wtedy każdy z nas Polski doświadczył. Polska to nie symbol, to nie metafora, to żywy, myślący, czujący, wybierający Naród.

Dopiero poprzez ten wybór możemy mówić o sukcesie chrześcijaństwa. Polega to na tym, że naród wybrał chrześcijaństwo a nie wybrał propozycji terroryzujących. Niektórzy boją się takich stwierdzeń, bo przeczuwają w nich niebezpieczeństwo tryumfalizmu religijnego. Myślę, że są to dwie różne sprawy: tryumf i tryumfalizm. Tryumf chrześcijaństwa jest faktem, ale z tego wcale nie musi być tryumfalizmu. "Nie ma imperializmu Kościoła, jest tylko służba" - powiedział Jan Paweł II w Krakowie na Błoniach. Tryumf ma charakter przede wszystkim etyczny. Nie pozostawia za sobą trupów. Polega on na tym, że właśnie chrześcijaństwo dostarczało ludziom względnie jednolitego języka - języka zarazem konkretnego i powszechnie zrozumiałego - przy pomocy którego można było ukazać i ok-

reślić rozmaite formy w zysku człowieka przez człowieka, charakterystyczne dla tzw. "okresu budownictwa socjalistycznego". Określając w zysk, chrześcijaństwo i Kościół brało tym samym w opiekę poszkodowanego człowieka. Opieka ta miała nie tylko charakter deklaracyjny, lecz przetrwała się w praktykę obrony życia, ochrony prawdy, prawa do pracy i wolności. Dzięki powszechnej zrozumiałości swego języka, protesty ludzi przeciwko absurdom marksistowskiego terroryzmu stały się mocniejsze o całą siłę ludzkiego sumienia.

Czy można powiedzieć, że Kościół protestował przeciwko szczegółom, ale zasadniczo akceptował system socjalistyczny? Myślę, że nie można tak powiedzieć. Kościół jeszcze się ostatecznie do tego systemu nie przekonał. O tym wyrażają się zapominając "błądni rycerze socjalizmu". Ani razu w listach i dokumentach Episkopatu nie znalazło się słowo "socjalizm", i to nawet w sensie opisowym. Nie było go też w wystąpieniach Papieża. Jan Paweł II mówił ogólnie o "systemie pracy" /przemówienie w Nowej Hucie/. Co oczywiście nie znaczy, że Kościół akceptuje kapitalizm. Tego słowa także nie ma w języku współczesnego Kościoła w Polsce. Kościół zachowuje rezerwę. Jest instytucją, która wymyka się opisanemu wyżej błędnemu kołu określeń używanych przez niektórych "etyków" idei socjalistycznej.

W sukcesie chrześcijaństwa mieli udział myśliciele katolicy, choć raz jeszcze trzeba podkreślić, że zasadnicza krytyka filozofii marksistowskiej w Polsce nie wyszła spod ich pióra, lecz spod pióra samych marksistów. Krytyka zewnętrzna ze strony chrześcijan dotyczyła bądź spraw marginalnych, bądź - przeceniając walor intelektualny marksistowskich proporcji - chyliła czoło przed banałami. Trzeba przyznać fałsz niektórym marksistom, że znajomość marksizmu w środowiskach intelektualnych katolickich nie była zbyt wielka. Tak więc myśliciele katolicycy ani nie przeszczepili na grunt polski zachodniej krytyki marksizmu, ani nie wymyśliли własnej.

Należy również podkreślić, że Kościół wyszedł z konfrontacji z marksizmem w jakimś stopniu oczyszczony, umocniony. Wzrost autorytetu Kościoła wyniknął również z Soboru Watykańskiego II. Reformy soborowe w Polsce miały swoisty przebieg i zdecydowanie przyczyniły się do umocnienia i porządkowania religijności w kraju. Kościół, jak się wydaje, zrozumiał nieco lepiej, że jego główna siła społeczna bierze się z wiary ludu, z siły narodu, z prezentowania i reprezentowania jego etycznych tradycji. Zrozumiał też, że siła wiary prostego ludu byłaby ślepa, gdyby nie refleksja intelektualistów, pisarzy, twórców kultury narodowej. Stąd głęboka więź Kościoła ze społecznością ludzi tworzących naukę i kulturę - więź, której na taką skalę przed wojną nie było. Kościół odrwał się również od przywiązania do własności prywatnej, uwolnił się do obsesji posiadania. Własność prywatna przestała być dla niego bożkiem, dogmatem życia codziennego, ośrodkiem codziennej troski, jak to - niestety możemy zauważyć tu i ówdzie na Zachodzie. Stąd poczucie niezależności i duchowej swobody. Nauczył się też bardziej ewangelicznym językiem mówić o godności człowieka, o jego wolności, o istocie narodu. Kościół okazał się inny niż uprzednie o nim wyobrażenia. Nie przystawał do obrazu krytyków, przekroczył nawet wyobrażenia chwalców. Nigdy nie zwalczał wprost systemu politycznego, w jakim się znalazł, ani sojuszków, w jakie system ów wprowadził nasz kraj. Ale też ich a priori nie uznawał. Był czujny na konkretne wyderzenia, jakie niosł czas. Bardziej

był nastawiony na "propozycję", niż na "opozycję" wobec władzy. Budował i stwarzał takie wartości, które są ponad przemocą. Chronił narodową nadzieję. Gdy Jan Paweł II uciekał swą oczyszczoną ziemię, wszyscy doznali wzruszenia, że oto przybył do kraju ktoś, kto stał się symbolem niezależnej i niepodległej Polski. Był nie tylko Osobą, ale był też i Myślą. Pokazał, jak można przeżyć socjalizm, zachowując czyste sumienie. Jeszcze nigdy w dziejach narodu tyle treści nie zogniskowało się w jednym człowieku.

Kościół Polski przez z górą trzydzieści lat żyje i współżyje z procesami "budownictwa socjalistycznego". Jest zanurzony w socjalizowaniu, jak ryba w wodzie. Raz po raz jest zmuszony do składania protestów. Czy fakt takiego współżycia nie sprawia, że przejmuje on coś od swego przeciwnika?

Eyć może należałoby powiedzieć tak: Kościół dokonał w pewnym momencie jakby aktu "przejścia inicjatywy" etycznej z rąk swych przeciwników, w wyniku czego to właśnie Kościół będzie się teraz upominał o realizację podstawowych ideałów społecznych, stanowiących dotychczas podstawowy horyzont etyczny marksizmu. Kościół i chrześcijaństwo odkryli jakby drugie dno marksistowskiej myśli. Odnaleźli tam trochę zakurzone, trochę zniekształcone, własne ideały społeczne. Nie ma w tym nic dziwnego. Marksizm był przecież rodzajem neopogaństwa, które zrodziło się po klęsce chrystianizacji Europy. Chrześcijaństwo w Polsce zdaje się odkrywać swe własne chrześcijaństwo po klęsce procesów "budownictwa socjalistycznego" w Polsce. Pewnym więc sensie są "neo-chrześcijańcami", to znaczy tymi, którzy nawiązali do chrześcijaństwa w wyniku konfrontacji z przeciwnikami religii. Neo-chrześcijaństwo byłoby więc zarodem do źródła - wspólnych źródeł myśli europejskiej, zarówno religijnej jak ateistycznej. Jest też próbą przejścia inicjatywy - nie politycznej, lecz etycznej - od marksistów, inicjatywę polepszenia świata ludzkiej pracy. Jest to ogromnie ważny moment. Przejście inicjatywy od przeciwnika sprawia, że przeciwnik przestaje już być potrzebny na świecie.

Ważnym następstwem konfrontacji jest, jak mi się wydaje, lepsze zrozumienie przez katolików sensu i wartości ateizmu. Można powiedzieć tak: dla ateisty religia nie jest potrzebna do tego, by być ateistą, tymczasem dla wierzącego ateizmu jest konieczny jako czynnik oczyszczający jego wiarę w Boga. Na tym zdają się polegać wyniki licznych refleksji nad ateizmem, w które pewien sposób wintegrowany w chrześcijaństwo, jako szczególna postać teologii negatywnej. Nie znaczy to, że Kościół akceptuje tym samym teizm jako ostateczny wyraz ludzkiej myśli. Znaczy to tylko, że traktuje go diałowo. Widzi, że bez uwzględnienia tego, co o nim sądził ateista, nie można osiągnąć pełnej prawdy o sobie. To głęboko zmienia ducha katolicyzmu. Czyni go otwartym, tolerancyjnym, w pełnym tego słowa znaczeniu - diałogowym.

A co na tym tle stało się marksizmem? Czym staje się marksizm w Polsce po wzięcie Jana Pawła II?

Kiedys K. Marks pisał o religii, że zniknie ona wtedy, gdy okaże się niepotrzebna. Nie zniknie więc ona, zdaniem Marksa, w wyniku polemik, postępu wiedzy czy nacisku przemocy, ale tak jakoś bardziej zyczajnie, jak zniknął kołowrotek w dobie przemysłu tkackiego. Dzieje socjalizmu jakoś nie zweryfikowały tej teorii. Wydaje się jednak, że paradoksalnym zbiegiem okoliczności teoria Marksa sprawdza się w dziejach samego marksizmu. Nie należy przesa-  
dzać, gdy idzie o znaczenie teoretycznych sporów z mar-



kizmem. Marksizm może trwać w politycznym systemie zwanym socjalizmem nawet wtedy, gdy w kraju nie będziemy mieli ani jednego przekonanego marksisty. Ważniejsze od sporów na poziomie teorii są niepokoje odnośnie całego ethosu w zysk pracy i inspirowaną przemianę społeczną w kierunku jego zniesienia a stał się, myślą nastawioną na jedyn główny cel - na usprawiedliwienie aktualnego systemu i jego wartość jako obiektywnych konieczności. Stąd rodzą się niepokoje, które mają charakter etyczny i ogarniają wszystkich a nie tylko specjalistów od ideologii. Obecnie narasta świadomość innego pytania: po co i komu potrzebny jest jeszcze marksizm? Pytanie nie dotyczy takiej czy innej tezy, ale źródła etycznych całego procesu ideologizacji i całej myśli marksizmu. Po co jest potrzebny marksizm? I komu jest potrzebny marksizm?

Dwa te pytania zdają się straszyć aktualną sytuację naszego dialogu - określać tatecznie jego polski, współczesny kształt.

KULTURA 6/1981

OBSERWATORIUM - Redakcja

W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy społeczeństwo polskie odzyskało w znacznym stopniu swoją podmiotowość. Istotą tej podmiotowości stanowi możliwość decydowania, czy przy najmniej współdecydowania o własnym losie. Ten nowy stan rzeczy stwarza szanse, których nie wolno zaprzepaścić; narzuca nieporównywalnie większą odpowiedzialność; w miejsce dawnych zagrożeń, wynikających z bezsilny, przynosi nowe, wynikające z uzyskanych swobód.

Jakie możliwe do wykonania a zarazem niezbędne zadania stają dziś przed Polakami? Próbuje sprządzić listę najważniejszych. Są one trojakiego rodzaju:

- utrwalenie osiągnięć socjalnych, politycznych, prawnych i instytucjonalnych,
- przezwyciężenie kryzysu gospodarczego,
- przedsięwzięcie kroków, zabezpieczających przez nowymi zagrożeniami wewnętrznymi i zewnętrznymi.

Dwa ruchy społeczne mają szczególnie dużą możliwość wpływania na bieg wydarzeń: NSZZ Solidarność /wraz z Solidarnością Wiejską/ - najpotężniejsze w naszych dziejach i najbardziej dziś prężne organizacje oraz tzw. partyjny "struktury poziome", skupiające najaktywniejszych zwolenników odnowy w partii.

Jakie są w chwili obecnej, naszym zdaniem, naczelnne zadania Solidarności? Usprawnić własną organizację i stworzyć trwałe podstawy dla zaufania członków wobec władz. W tym celu niezbędne jest dokończenie wyborów na wszystkich szczeblach oraz wyłonienie nowego składu ciała naczelnego, jakim jest Krajowa Komisja Porozumiewawcza. Równocześnie - pamiętając, że trzeba się w ciągu kilku miesięcy nauczyć tego, czego inni mogli się uczyć przez dziesięciolecie, to jest demokracji i wybierania reprezentantów - należy prowadzić szeroką akcję uświadamiającą. Trzeba wyjaśnić członkom związku, że swobodnie wybieni w tajnych wyborach ich przedstawiciele uzyskują określone obowiązki, ale i prawa. Obowiązek dbania o interesy tych, którzy ich wybrali - a zarazem prawo do samodzielnego pobierania decyzji podczas okresu pełnienia swoich funkcji. Niezbędne zdaje się też wyraźniejsze określenie kompetencji członków władz zakładowych, regionalnych i centralnych Solidarności.

Działacze partyjnych struktur poziomych uciążą przekształcić PZPR - która miało skostnienie, skompromitowanie i kolaborację z Sowietami skupia ponad trzy miliony Polaków - w autentyczną partię polityczną, posiadającą określony program, poza programem utrzymania się za wszelką cenę przy władzy. Jeżeli struktury poziome chcą uzyskać i utrzymać rzeczywisty wpływ na losy partii i państwa - stoją przed nimi zadania bardzo trudne.

Przed wszystkim: praktyczne wykorzystanie zasad demokracji wewnętrzzpartyjnej i nowo uzyskanych możliwości regulaminowych w przygotowaniach do zjazdu PZPR oraz w wyborach delegatów na zjazd. Tylko wykonanie "od dołu" nowych, nie wplecionych w klikowe powiązania, nie zepsutych przez autokratyczną metody rządzenia i korupcję przywódców umożliwi wewnętrzną naprawę.

Po drugie, żądanie pociągnięcia do odpowiedzialności, nie tylko partyjnej ale i karnej, winnych nadużyć i zaniedbań, zostało spełnione tylko w małym stopniu. Detychezaowe dowiadczanie pokazuje, że komisje partyjne lub rządowe, złożone z ludzi należących do tych samych kręgów co sprawcy wykroczeń, poprzestają na powierzchownym zbadaniu niektórych tylko wypadków nadużyć. Jedynie stała prasa, wyrażająca wolę całego społeczeństwa, może tę tradycję pobieżania władzy zmienić. Tylko skuteczne domaganie się śledztwa i kary może zdjąć z wszystkich szeregowych członków partii stygmat współwiny za rabowanie dobra społecznego, łamanie praworządności i rujnowanie majątku narodowego. Co więcej, tylko doprowadzenie do końca rozrachunków - winnymi może położyć kres szalejącym plotkom, cynicznym komentarzom o zastępowaniu jednej kliki złodziei przez drugą, i przekonaniu, że strajk jest jedynym sposobem wymuszania sprawiedliwości.

Po trzecie, spontaniczny, oddolny ruch w partii powinien dołożyć wszelkich starań, aby jak najprędzej objąć kontrolą działanie aparatu bezpieczeństwa. Wypadki bydgoskie, które doprowadziły Polskę na skraj katastrofy, były jaskrawym przykładem, jak łatwo jest tzw. organom ściągania sprawców generalną konfrontację między władzą a społeczeństwem. Bardzo liczne przypadki szantażowania, często i bicia, działaczy i współpracowników Solidarności przez milicjantów lub "nieznanych sprawców", nie dochodzą do szerszej świadomości publicznej - ale świadczą o tym, że wielu funkcjonariuszy MSW albo daje się łatwo używać, albo jest po prostu tak wrogo nastawionych do zachodzących w kraju przemian, że gotowi są do użycia siły, jeżeli tylko mogą sobie na to pozwolić. Działacze partyjnych struktur poziomych powinni o tym pamiętać we własnym interesie i zmuszać władze centralne do interwencji.

Zadania natury gospodarczej są nie mniej ważne od politycznych - a mogą okazać się znacznie trudniejsze do wykonania, ponieważ wymagać będą wyrzeczeń, ofiarności i zrozumienia całego społeczeństwa, nie tylko grup i środowisk najbardziej aktywnych i świadomych. Uważamy za najpilniejsze działania na pięciu następujących odcinkach.

1. Mobilizacje środków materialnych i społecznych /np. przekwalifikowanie zbędnej w przemyśle siły roboczej dla szybkiej poprawy stanu rolnictwa. Hasło "wszystko dla wsi", które jeszcze w marcu tego roku było przez urzędujące władze rozumiane w eloganowym sensie "zadbania o terminowy remont maszyn rolniczych i zabezpieczenia ziarna siewnego" - musi zostać podjęte w rozumieniu znacznie szerszym. Nie wystarczy podniesienie cen skupu; konieczna jest radykalna

poprawa zapotrzebowania, w ogóle warunków pracy i życia ludzi, pracujących na roli. Tylko taka zmiana zatrzyma odpływ najzdolniejszych i przyciągnie na wieś ludzi, gotowych do ciężkiej pracy, ale nie w warunkach urągających dzisiejszym pojęciom higienicznym i kulturalnym.

2. Wszyscy mający wpływ na podejmowane przez rząd decyzje dotyczące przeucenia nakładów inwestycyjnych powinni pilnować, aby te były ograniczone fundusze, jakimi dzisiaj gospodarka polska dysponuje /i jakie uda się jeszcze dopożyczyć/ były koncentrowane na użyczenie takich "wąskich gardeł", jak energetyka i transport.

3. Obniżenie konsumpcji, podwyżka cen i ogólnie konieczność wielkich wyrzeczeń ze strony całego społeczeństwa nie mogą doprowadzić do zniszczenia pozytywnych bodźców ekonomicznych. Spowodowałyby to zastraszanie rozwoju takich dziedzin, jak drobny przemysł, rzemiosło, prywatne usługi. Te właśnie gałęzie gospodarki, najbardziej sprawne, najmniej kapitałochłonne i materiałochłonne, powinny uzyskać możliwość szerokiego rozwoju. Tylko one bowiem, obok indywidualnego rolnictwa, są zdolne do szybkiego zwiększenia produkcji bez wielkich nakładów inwestycyjnych i tylko one będą mogły wchłaniać część zwalnianej przez przemysł państwowy siły roboczej. Muszą więc być najszybciej uprzywilejowane.

4. Minimum socjalne, zapewniające życie powyżej poziomu wyraźnego niedostatku, powinno zostać czym prędzej ustalone przez ekspertów i uzgodnione między rządem a władzami Solidarności. Dopilnowanie, aby nieunikniony spadek realnej siły nabywczej dochodów ludności nie powodował zeslizglenia się żadnej grupy zawodowej czy społecznej, włączając bezrobotnych, poniżej minimum socjalnego, powinno być uznane za podstawowy obowiązek władz państwowych.

5. Wyrzeczenia, jakich od społeczeństwa wymaga zadanie wyjścia z kryzysu, będą bardzo dotkliwe i długotrwałe. Okazują się one konieczne w niewiele tylko miesięcy po tym, kiedy Polacy uzyskali możliwość wpływania na losy swojego kraju i wkrótce po wywalczeniu przez robotników wielu zdobyczy płacowych i bytowych. Co gorsza, wyrzeczenia te muszą nastąpić zanim jeszcze władze partyjno-rządowe zdołają osiągnąć choćby umiarkowane zaufanie społeczne. W tych warunkach przekonanie społeczeństwa o niezbędności ofiar jest zadaniem trudnym i ogromnie odpowiedzialnym.

Sugerujemy, aby Solidarność, partyjne struktury pozicje, oraz np. Komisja Porozumiewawcza Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych - a więc ugrupowania posiadające autorytet społeczny - wyłoniły komisje informacyjno-naczkorzce, które uświadomiłyby ludności niezbędność wyrzeczeń a zarazem stwierdzały, czy nie idą one na marne. Również Kościół katolicki, instytucja o największym autorytecie moralnym, mogłaby w tej sprawie odegrać ogromną i pożyteczną rolę - nie angażując się w rozgrywki polityczne, ale biorąc praktyczny udział w rozwiązywaniu tak trudnego i bolesnego problemu. Być może właśnie uczestnictwo Kościoła mogłoby doprowadzić do zespolenia inicjatyw i wyłonienia jednej wspólnej "rady gwarantcyjnej", złożonej z ludzi cieszących się zaufaniem społeczeństwa i orzekającej o potrzebie i formach obniżenia stopnia życiowej?

Utrwalając zdobycze ostatniego roku i dążąc do zapobieżenia ostatecznej katastrofie gospodarczej - nie wolno tracić z oczu nowych niebezpieczeństw. Kryteria spośród nich zdają się najważniejsze:

1. Inflacja, bezrobocie, braki w zaopatrzeniu, ogólny spadek poziomu życia mogą wywołać masowe konflikty między grupami społecznymi a zawodowymi. Niezbędna dla spokoju publicznego współpraca może się zakłamać pod naporem niedostatku i rozgorzyczenia. Konflikty takie będą wykorzystywane i rozdmuchiwane przez wewnętrznych i zewnętrznych wrogów zachodzących w Polsce przemian. Można się też spodziewać prób prowokowania awantur i buntów przeciwko brakom na rynku.

2. Władze partyjne i państwowe będą się starały skupić uwagę społeczeństwa na problemach gospodarczych, odsuwając na drugi plan inne palące zagadnienia, na przykład dostęp do informacji. Etdą się usiłowały wymigać od wprowadzenia w życie podjętych zobowiązań, dotyczących cenzury, reformy wymiaru sprawiedliwości i swobody przekonań. Należy zachować czujność wobec prób odbierania społeczeństwu uzyskanych swobód i uprawnień pod pozorem konieczności spokoju, porządku i mobilizacji sił na sprawach gospodarczych. Partyni konserwatyści będą się w ten sposób starali przywracać dawny styl rządu.

3. Przeciwnicy zaszkłych przemian wyraźnie liczą na to, że różnice zdań i temperamentów między przywódcami Solidarności, a także między ugrupowaniami zawodowymi i organizacjami regionalnymi tego związku doprowadzą do ostrych konfliktów i rozbitcia. Temu celowi służy i będzie służyło rozdmuchiwanie odmierności poglądów, która jest w każdym rachunku demokratycznym zjawiskiem zupełnie naturalnym. W tym samym celu będą ponawiane próby skłócenia doradców Solidarności z kierownictwem i członkami związku.

4. Zagrożenie stanowi również stały i często brutalny nacisk z zewnątrz, zwłaszcza ze strony ZSRR, NRD i Czechosłowacji. Nacisk ten przybiera różne formy. Byłoby pożądane, aby zarówno niezależne publikacje w kraju jak nadające do Polski rozgłośnie zachodnie informowały dokładnie o atakach propagandowych i politycznych na PRL ze strony jej sąsiadów, o szykanowaniu polskich turystów, itd. Nie chodzi o rozniecanie obaw, ale o uświadamianie Polakom, jakie zarzuty wysuwają przeciw nim tzw. przyjaciele i sprzymierzeńcy. Ułatwi to zrozumienie międzynarodowego tła wewnętrznych rozgrywek partyjnych w Polsce a utrudni robotę tym, którzy poskušaszstwo wobec Kremla stawiają ponad polskie interesy narodowe.

Niewątpliwie świadomość, że próba interwencji zbrojnej w Polsce spotkałaby się ze zorganizowanym oporem robotników /o czym świadczą nieoficjalne ale szeroko znane pleny strajku powszechnego i sabotażu/ działa trzeźwiąco na pońiecconych sąsiadów Polski. Cenne byłoby również spełnienie żądań przedstawicieli "struktur pozłomych", aby władze PZPR otwarcie i szczegółowo powiadamiły sąsiadów o rozmiarach, sile i celach ruchu związkowego w Polsce. Ignorancja i zkużenia są również niebezpieczne dla nas jak dla nich.

x

W styczniu tego roku, podczas wizyty delegacji "Solidarności" w Rzymie, jeden renek poświęcono na odwiedzenie Monte Cassino. Momentem najbardziej wzruszającym tych odwiedzin, momentem o głębokiej wymowie symbolicznej, był spontaniczny odruch Anny Walentynowicz. Odpięła nagle swój znaczek "Solidarności" i położyła go na płycie grobowej generała Andersa. Symboliczność tego gestu polegała naturalnie na połączeniu, zrozumiałym dla każdego Polaka, naszej historii w kraju i na obczyźnie. Łączy uczestnik bitwy montecassińskiej, oglądając tę scenę, musiał przeżywać wielki dzień w swym życiu.

Dzień, na który długo czekał - czy pozostawisz tu na emigracji, czy wróciwszy do kraju - razem ze wszystkimi Polakami. Ale gdyby mu powiedziano, że prochy generała Andersa winny być przewiezione nad Wisłę i złożone w jakimś narodowym sarkofagum, wzniesionym przypuszczalnie ramionami: zwycięski dowódca leży wśród swoich poległych żołnierzy, tam jest jego miejsce; i tam też, na Monte Cassino, powstało polskie sarkofagum narodowe. Nie wszystkie narody mają taką historię jak nasz, nie wszystkie musiały powierzać walkę o swoją wolność i niepodległość żołnierzom na ziemi rodzinnej i żołnierzom tułaczom. A skoro mamy taką właśnie i nie inną historię, powinniśmy ją szanować. Jednym z powodów tego szacunku byłaby zasada, że zmarli czy polegli dowódcy tużaczki nie opuszczają swych żołnierzy tułaczki.

Wspomnieliśmy o generale Andersie tytułem przykładu tylko, nikt bowiem dotąd nie wysuwał propozycji przywiezienia jego prochów do kraju. Wysuwano natomiast, i to dość dawno już, propozycję przewiezienia do kraju prochów generała Sikorskiego. W dawnych latach, przed Polskim Sierpniem, wysuwały ją nawet władze PRL i to z wyraźnym odcieniem propagandowo-polemicznym: Sikorski został mianowany "dobrym" generałem i Polakiem, w przeciwieństwie do "złego" generała i Polaka Andersa. Teraz propozycja nabrała szerszego oddechu narodowego, cieszy się poparciem Kościółka, i starsi się przed prochami generała Sikorskiego otworzyć bramę Wawelu. Mamy do niej dokładnie taki sam stosunek: Sikorski leży wśród swoich żołnierzy w Anglii, gdzie osiągnęła apogium jego działalność wojskowa i polityczna, i tam jest jego miejsce. Także w Anglii nasza historia rozgrywająca się nad Wisłą i na obczyźnie, stworzyła nam polskie sarkofagum narodowe.

Przy okazji wolno chyba zauważyć, że Wawel nie jest i nie może być czymś w rodzaju Super-Aleji Zasłużonych. Jeżeli chce się uhonorować Sikorskiego nie tylko jako wodza Naczelnego i Premiera rządu R.P. na obczyźnie, lecz również za jego zasługi wojenne w roku 1920 i polityczne przed odzyskaniem niepodległości oraz w okresie ćwudziestolecia międzywojennego, to uprawniony staje się kącuczek pytań. Jeżeli Sikorski, to dlaczego nie Paclerewski? Jeżeli Paclerewski, to dlaczego nie Dmowski? Jeżeli Dmowski, to dlaczego nie Witos? Jeżeli Witos, to dlaczego nie Deszyński? Nikomu, miejmy nadzieję, nie przyjdzie tu do głowy pomysł powołania się na "precedens" Piłsudskiego. Wyjątkowość roli Piłsudskiego w naszej historii jest poza dyskusją, świadczy o tym chociażby kult otaczający jego nazwisko w kraju, zarówno wśród starszych jak i wśród młodszych pokoleń.

Wawel za to, Wawel grobów królewskich, powinien być miejscem wiecznego apocynku naszego ostatniego króla. Powinno się skończyć wreszcie poniewierka trumny Stanisława Augusta, także w imię szacunku dla naszej historii, dobrej i złej, szczęśliwej i nieszczęsnej. Że jest to ważna sprawa naszej narodowej godności /ożywiona zresztą świeżo rewizją oceny historycznej Stanisława Augusta w duchu książki Stanisława Mackiewicza/, dowodzi artykuł Michała Rożka, wydrukowany kilka tygodni temu w "Tygodniku Powszechnym" /Nr 14/1630/ z 5.IV.1981/.

KULTURA 7/1981

Tymoteusz Klempski

STEFAN KARDYNAŁ WYSZYŃSKI PRYMAS

Nie ma Go już pośród nas. To tak łatwo napisać czy powiedzieć, ale zrozumieć... Wydawać by się mogło, że to takie proste i naturalne, że wiedzieliśmy o tym od dawna, że choroba, z którą przyszedło mu walczyć heroicznie w ostatnich tygodniach, powinna nae być do tej nieobecności przygotować. To jednak się nie stało. Nie sposób bowiem od razu i na gorąco oswoić się z tą pustką, zrozumieć ją w całej złożoności, przyswoić sobie wszystkie jej konsekwencje. I zarazem jakaś irracjonalna nadzieja, że tej pustki nie ma.

Ubył nam ktoś wielki. Nie bójmy się wielkich sków tam, gdzie ich szarymi i bezsilnymi zastąpić nie można. To wszystko wymaga głębokich i nie na gorąco formułowanych refleksji. A zarazem poszukiwać odpowiedzi na tak wiele i tak różnych pytań.

Pierwsze z nich musi brzmieć: czy w tej pustce, która się rozwarła w samym oku cyklonu, w tym momencie ciszy zatrzymanej nad Polską, można obiektywnie, spokojnie i bez egzaltacji lub urazów opisać osobowość tego wysokiego, szczupłego człowieka emanującego aurą dostojności? On sam uławił nam zadania: być z nami i pośród nas przez tyle tak dojmująco trudnych dziesięcioleci, a równocześnie jakby nieco ponad nami, przynajmniej na tę odległość, która wyrasta w kościele pomiędzy wiernymi i amboną. Ascetyczny mistyk i trzeźwy realista, człowiek naznaczony charyzmatami przywódcy, który w swej działalności łączyć musiał rezową powściągliwość PRL w transcendencją wiary. Człowiek gorącego serca i chłodnej wyniosłości. Paradoks wielkiej osobowości w morzu paradokсів współczesnej Polski. Samotność przywódcy była dotychczas jego udziałem. Teraz stał się także i naszym.

Fascynował nie tylko nas: świadczy o tym Jego biografia, napisana przez młodego historyka przybyłego z dalskiej Azji. Był kamieniem obrazy i ostatnią deską ratunku dla tych, którzy starali się w Polsce realizować zdalnie kierowany program niewolnienia Polskiego Kościoła. Czy był kochany? Jeśli tak, to zupełnie inaczej niż kardynał a potem papież Karol Wojtyła. Czy sam kochał? Z pewnością tak, ale jakby pośrednio, poprzez Panią Jasnogórską, która była dla niego przede wszystkim Królową Korony Polskiej. Była to więc wielka, ale trudna miłość, która może nawet nie liczyła na wzajemność ze strony tych, do których była - pośrednio czy bezpośrednio - skierowana.

I dlatego pisząc o Nim nie potrafię pisać o człowieku. Po prostu nie znam go jako człowieka, ale jako przywódcę, jako symbol nieomal tego wszystkiego, co wiązało się z losem mego kraju. Jesteśmy z nim znajomością niepełną, więc kalekie muszą być moje próby dostrzeżenia przywódcy, ale i człowieka w depiero co dokonanej historii, w którą odszedł nieodwracalnie w gorące dni schyłku tego brzemiennego dla Polski maja.

x

Kim był dla Polski? Przywódcą duchowym czy mężem stanu? I jednym i drugim równocześnie. Ale którym z nich bardziej? Wydaje mi się, że mężem stanu przede wszystkim, ale mogę się mylić. Przypuszczam bowiem, że w założeniu pragnął być drogowym dla serc i umysłów swych rodaków w ich drodze ku zbawieniu. Nie jestem nawet pewien, czy brał, przynajmniej w początkowym okresie, pod uwagę rolę polityczną, którą

przyszło mu odegrać. Ta została mu jakby narzucona przez kierunek wyderzeń. I rozważanie tego problemu nie jest istotne, skoro rolę narzuconą mu przez historię przyjął i wypełnił.

W Polsce XX wieku mieliśmy zaledwie kilku ludzi zasługujących na miano mężów stanu. I kilku potencjalnych kandydatów do tej roli, której z takich czy innych przyczyn nie spełnili.

Roman Dmowski był przede wszystkim ideologiem. Nie zdołał odegrać takiej roli, do jakiej chyba rościł sobie prawa.

Nie miejsce tu, by rozważać spłot okoliczności, można jednak wskazać na charakterystyczne zjawisko zapóźnienia czy ograniczoności tego modelu nacjonalizmu, powiązanego ze swoistą Realpolitik, który proponował Polsce w dobie narastania fali nacjonalizmów agresywnych i nieludzkich. Po jego śmierci wypracowana przezeń ideologia nie miała większych szans, pomimo prób "podciągnięcia" jej ku włoskim czy niemieckim wzorom. To co pozostało po Dmowskim było mniej lub bardziej hałaśliwą pustką, której echa pobrzmiwiają do dziś, między innymi w żałobnych markauzowanych efemerydach.

Józef Piłsudski był niewątpliwie największą postacią w Polsce pierwszej połowy naszego stulecia. To przecież on odbudował niepodległość, wychodząc niemal z niczego. Ale to także on zadał przed 55 laty ciosa, także w maju, tej polskiej demokracji, która sama ze sobą nie mogła się uporać. Niewątpliwie ostatnie 10 lat życia Marszałka budzi wiele ambiwalentnych refleksji, ale z punktu widzenia niniejszych rozważań najistotniejsze jest to, że po jego śmierci otworzyła się w kraju ponownie wielka pustka, której nie zdołano wypełnić. Zresztą nie było już na to czasu.

Władysław Sikorski odegrał rolę doniosłą w momencie ogłuszającej klęki wrześniowej: utrzymał konstytucyjną ciągłość rządu i poczucie dalszego udziału w wojnie z najeźdźcą. Sikorski uratował honor Polaków. My - naród chorobliwie czuły na tym punkcie - mamy jednocześnie skłonność do lekceważenia tego ważnego elementu polityki. Śmierć Sikorskiego była wielką tragedią, szczególnie dla walczącego kraju, który niezłomnie potrzebował w swym nadludzkim wysiłku człowieka-symbolu. Ale być może ta śmierć była dla niego najlepszym wyjściem z sytuacji, z której nie było wyjścia. Dla nas jednak w tym momencie, poza szokiem rozpaczny, wydarzyło się coś więcej i coś gorazszego: ponownie otworzyła się pustka.

Dramat Polski XX wieku polega na zbyt częstym następowaniu po sobie momentów, w których wszystko trzeba zaczynać od początku. Oby nie weszło to w nastrój, jako przeciwstawność tamtego, manilonego dramatu I Rzeczypospolitej: kurczowego trzymania się starego.

x

Pierwszą podstawową różnicą pomiędzy wyliczonymi tu mężami stanu pierwszej połowy stulecia a tym, który wypełnił swą osobowością Polskę po 1945 roku jest to, że tamci byli wodzami i politykami, aśli ku określonym celom państwowym, gdy tymczasem Prymas stawiał sobie inny cel: w planie duchowym. Tylko czy dziś jakkolwiek działalność pośród ludzi i dla ludzi może się ustrzec spolityczności?

Prymasa zwykliśmy byli, szczególnie w kraju widzieć jako mocnego człowieka Kościoła i Polski. Był nim niewątpliwie, ale fakt ten przysłańia inną cechę jego osobowości, którą skłonny byłbym uważać za nie tyle przeciwieństwo, co dopełnienie tamtej: umiejętności elastyczności. Może to wielu zdziwić, ale szersze i bardziej analityczne spojrzenie na

jego wieloletnią działalność i potwierdzi chyba mą opinię. Ten mocny człowiek, na dobrą sprawę jedyny w całym bloku wschodnim, który potrafił się przez siebie i przez reprezentowaną w swej osobie instytucję przeciwstawić presji terrorkowskiego, był równocześnie kimś, kto rozumiał, że wiara tylko w dalekiej paraboli przenosi górę, że istnieją przeszkody, których przełamać wprost nie sposób, które jednak można obejść czy zneutralizować.

Potrafił działać ze świadomością dalekiej perspektywy i umiał samemu znajdować kompromisy i do kompromisów nakłaniać innych, kiedy to wydawało się niezbędne. Faktem jest jednak, że owa umiejętność kryła się za maską nieugiętości, tak jak odruchy serca za maską dostojeństwa.

Bardzo często jego właśnie podważeni narzekali na tę nieugiętość, zwłaszcza w momentach, gdy reżym, nadwątłony kolejną konfrontacją ze społeczeństwem, oferował możliwość koegzystencyjnej stabilizacji. Zmęczeni stałym napięciem rzeczywistych czy potencjalnych represji, chętnie widzieliby przyjęcie takiej oferty. Frymas jednak rozumiał, że każde zatrzymanie się w drodze jest podobnym błędem, jak forsowanie zbyt trudnych przeszkód. Ten ascetyczny człowiek bardzo dobrze rozumiał otaczającą go rzeczywistość, był - można by zaryzykować sformułowanie - mistycznym realistą. Nie znaczyło to, by nie popełniał błędów: najwięksi, jak uczy historia, popełniali je w niektórych momentach swego życia. I chyba nie zawsze zasięgał opinii ludzi najjaśniejszych /to także cecha wielkich osobowości/. Nie chodziło jednak o szczegóły, ale o całokształt tego, co po nim w Polsce zostało, a wagi i miary tej spuścizny chyba nikt o odrobinie rozważał nie zakwestionuje.

Te dwie podstawowe w tym przekonaniu cechy charakteru Frymasy nakładają się na jego działalność. Była wielokierunkowa, ale wbrew z niej te podstawowe kierunki, które nieustannie towarzyszyły jego działalności, jeszcze zanim objął urząd pełniący lat trzydzieści.

Ksiądz Stefan Wyszynski jako profesor wrocławskiego seminarium, a potem profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego podjął szeroko zakrojone studia społeczne. Prawo kanoniczne i socjologia - jeśli trafny był ów wybór w perspektywie przyszłej działalności. To co zapoczątkował słynna encyklika Leona XIII Rerum Novarum tworzyło sobie żmudnie drogę poprzez katolicyzm nie potrafiący się zwolnić ze swej dziewiętnastowiecznej defensywności, uwikłany pośród skamieniałych różnic antycznych régimów. Profesor seminarium w bardzo prowincjonalnym mieście nad Wisłą,

w mieście nieznanym piętnem rosyjskiego zaboru, choć niedaleko położonym na jego zachodnim skraju, podjął studia nad problematyką społeczną nie tylko własnego kraju, ale także i tego, którego cień nieustannie padał na Polskę. W innych krajach Europy na hojny Sowietach spoglądano zarówno z lękiem i nienawiścią, jak też z podziwem i nadzieją, ale zawsze jako na coś odległego i może niezupełnie realnego. Rzeczywistość bezpośredniego sąsiedztwa była w Polsce aż nadto powszechna: przecież ta samowładcza "awangarda ludzkości" co dopiero porwała się na naszą tak długo oczekiwaną i tak drogą okupioną niepodległość. Ale to nie ukatowało zaównoważonego, analitycznego spojrzenia. Młody profesor prowincjonalnego seminarium zdobył się na nie.

I jeszcze jedno: Stefan Wyszynski redagował wówczas wydawane we Wrocławiu pismo Ateneum Kapłańskie. Mamy dziś raczej jednoznacznie nieprzychylną opinię o przedwojennej prasie katolickiej w Polsce. Jest to sąd uzasadniony o tyle,



o ile dotyczy pism adresowanych do szerokiego odbiorcy. Solidny Przegląd Powszechny nie czynił tu wyjątku, bowiem mimo wszystko miał zasięg ograniczony, elitarny. Jeśli jednak przewertować roczniki innych, jeszcze bardziej elitarnych /czy słuszniej - specjalistycznych/ pism tegoż okresu /jak właśnie owo Athenaeum Kapłańskie czy warszawskie Collectanea Theologica/, odnajdźemy tam wiele wartościowych prac. To jakby zapowiedziało przyszłą działalność Prymasa: jej dwutorowość w dziedzinie oddziaływania społecznego.

Po okresie okupacji, kiedy wkraczaliśmy w nową i trudną do pełnego zrozumienia sytuację, ksiądz Wyszyński był już gotów do podjęcia najwyższego w Kościele polskim zadania. Był to ogromna szansa kraju, który nagle pozostał sam, całkowicie sam, postradałszy niemal z dnia na dzień sprzymierzeńców, a otrzymanwszy w zamian "przyjaciół". Był sam także o" strony Watykanu, który zajmował wobec komunizmu stanowisko nieprzejędne, to znaczy w gruncie inercyjne. Podobnie inercyjnie stanowisko zajęł już przedtem wobec faszyzmu i hitleryzmu, ale państwa Osi przegrały wojnę i ich modele ustrojowe rozszarpały się w nicieść i obrzydzenie, gdy tymczasem komunizm nie tylko trwał i miał trwać, ale ponadto znacznie poszerzył swe granice na ogromne obszary "rozbranej" w Leheranie Europy. Na nową drogę trzeba było czekać jeszcze długo, aż po pontyfikat Jana XXIII. Tymczasem przed Polską stał najczarniejszy okres "bezkrwawej rewolucji": wielki zamach ra tożsamość narodu.

Nowy Prymas w tej nowej sytuacji był zdany wyłącznie na siebie, na własne rozeznanie i na własne decyzje. To prawda: miał za sobą narodową jedynomyślność i "aligijną żarliwość" społeczeństwa, ale wówczas było ono bezbronne, a proces zniezwolania umysłów w pełnym toku. Każda więc decyzja była podejmowana w samotności. Twierdzę bowiem, że aresztowanie Prymasa było tyleż decyzją /bezpośrednią lub zdalnie kierowaną/ Politybiura, co decyzją samego aresztowanego. On już wówczas wybrał: nie model kolaboracyjnej ani obcą ambasadę, ale pozostanie z własnym narodem, choćby nawet w izolacji narzuconej mu przez UB. A ponieważ tego właśnie spodziewał się od niego naród, więc w tej klęsce zawarła się jednocześnie zapowiedź przyszłego zwycięstwa.

Proszę zwrócić uwagę na pewne zamierzone i niezamierzone paradoksy ówczesnej sytuacji Kościoła: raz po raz ponosił klęski, które - widziane z oddalenia czasu - nie były wcale klęskami, ale wręcz przeciwnie: zwiastunami sukcesów. Izolacja Prymasa w klasztorach na dalekiej prowincji w rzeczywistości przybliżyła go bardziej narodowi niż Jego obecność w warszawskim pałacu prymasowskim. Oddzielenie Kościoła od państwa było zapowiedzią ogromnej konsolidacji i niezawisłości instytucjonalnej pierwszego. Upaństwowienie "dóbr materialnych" wyzwoliło go z kolei od społecznych antagonizmów, a jak wykazał bieg wypadków bynajmniej nie zużytko. Wreszcie usunięcie nauki religii ze szkół zagwarantowało tej ostatniej ogromną swobodę: katecheta przestał być urzędnikiem państwowym, a nauczanie przestało być obowiązkiem szkolnym, stając się w zamian obowiązkiem moralnym. W rezultacie system szycan czy wręcz represji zhartował wewnątrz Kościół polski, dał mu nową energię. Słyszysz się głosy: Prymas Wyszyński miał tę ogromną szansę oporu wobec prób zniewolenia pierwszego mu Kościoła, której nie miał nikt poza nim od Berlina po Władystok i od Tirany, po Amharielek: 90% katolickiego społeczeństwa kraju. To wcale nie takie proste: oglądaliśmy totalni zniewolenia Kościołów prawosławnych u różnych narodów, u których procent wiernych nie był wcale niższy, a także podporządkowanie się władz, Kościo-

łów protestanckich czy katolickich dysponujących poczynnie znacznym społecznym zapleczem. Sniem twierdzić, że jednak zdecydowała postawa przywódcy. I to jest chyba ten właśnie moment, owo obustronne rozpoczęcie konfrontacji, w którym przywódca przeobraził się w męża stanu.

Cały długi etap działalności Prymasa po jego powrocie z aresztu to droga pojedynczych, manifestacyjnych niejednokrotnie wystąpień, w których atakował od podstaw system, oraz ciągnąca droga pracy organicznej. Niektóre aspekty tej pracy mogły dziwić czy nawet bulwersować obcokrajowców, a także krajową elitę intelektualną. Wądrówki kopii Cbrazu Jasno-górskiego, a potem, kiedy nastąpiło jej "aresztowanie", peregrynacja smutnych ram przybierała nicraz wygląd odpustowy, jeśli nie wręcz komiczny. Mamy jeszcze w oczach owe drogi, wzdłuż których ciągnęły się girlandy kokardek i wstążek, owe z umajonych drzewek budowane bramy triumfalne, owe noce procesje ze świecami i śpiewami od domu do domu poprzez wsie, pełne babskiego zawodzenia i ujadających po opłotkach kundli.

Prymas - realistyczny mistyk - postawił na taką właśnie pracę organiczną, on - chłodny intelektualista - zdawał sobie sprawę z potrzeby takiej jednoczącej ekspresji, która stałaby się dostępna wszystkim. Peregrynacje Pani Jeanogór, skiej po Polsce rządzonej przez komunistów stawały się polityczno-ideową biblią pauperum XX wieku.

Z drugiej strony nie zaniechał starań o kształcenie elity i tak po prawdzie, gdy wygłaszał swe prelekcje /bo w żadnym wypadku nie były to "kazania", ale trudno mi się zgodzić na termin zastosowany przez Prymasa - "konferencje", semantycznie nieadekwatny a politycznie zdewaluowany/, a wlec kiedy w katedrze warszawskiej czy jakimkolwiek innym kościele zabierał głos, to ten głos, choć przeznaczony dla wszystkich, trefiał przede wszystkim do inteligencji. Tak więc dzięki przewidywaniu imponującym wysiłkom ostał się IUL, seminaria duchowne odczo znaczenie podniosły swój poziom, a ponadto szeroko sięgnęła fala skcji skierowanej ku świeckim, jako potencjalnym partnerom działania. Inna rzecz, na ile wykorzystana została ta rezerwa.

Mówi się powszechnie i tak to ostatnio sformułował kardynał Mocharcki w czasie kazania na wielkiej mszy na Ryńku Krakowskim w dniu 17 maja, że bez polskiego Prymasa nie byłoby polskiego Papieża. Jest to sprawa oczywista, choć wymaga właściwego zrozumienia. Lardol wojtyła szedł konsekwentnie własną świadomą drogą, ale znalazł się w kręgu tych, którym intelektualna postawa ukatwiczyła, a nie utrudniła pracę w kościele polskim, a bądźmy szczerzy - nie zawsze tak było, i to otwarcie na walory intelektualne jednostek było niewątpliwie chwalebłą właściwością Prymasa. I co więcej: kiedy spotkały się - jeśli tak rzec można - w pół drogi owe dwie nieprzejętne osobowości, nie nastąpiło żadne zdżerzenie, na co tak bardzo liczyli i co starali się podreżserować komunistki. Prymas polski stworzył polskiego Papieża, bowiem we właściwym momencie podjął wraz z nim wspólną i niezakłóconą wędrowkę.

Powtórzę raz jeszcze: wielki sukces Prymasa w jego społecznym i politycznym działaniu widzę po pierwsze w jego własnym przystosowaniu do zrozumienia przemian dokonujących się w ogólnej sytuacji i w poszczególnej strukturach społecznych, następnie w podjęciu swatorczywych działań o charakterze

pracy organicznej: zainicjowanie współczesnej biblia pauperum powszechnego działania manifestacyjnego i jednoczącego przy równoległym poparciu elitarnego doskonalenia tych, którym można było następnie powierzać odpowiednie odcinki "frontu". Z kolei ów front polegał na maksymalnie elastycznej taktyce przy ogólnie nieustępliwie ofensywnej doktrynie. Nie wiem czy Prymas wśród tych lektur znalazł czas na lekturę Clausewitza, wiem, że stając się mężem stanu może nawet nie z wyboru lecz z konieczności, zastanowił ją skutecznie tam, gdzie nie było ani dywizji, ani czołgów czy armat. Była to broń niekonwencjonalna potężnej, jak się miało okazać, mocy, broń woli społecznej, dla uruchomienia której potrzebny był ktoś o powszechnym autorytecie. I był nim właśnie Prymas powracający, trochę jak Piłsudski z Magdeburgą, do oczekującego narodu.

Na wszystkie te wyliczone wyżej elementy i na dalsze, których świadomie /lub nieświadomie/ nie można, nakładać się ów specyficzny polski patriotyzm. Swoim Kościołowi Polskiemu minionych stuleci rozliczne można postawić zarzuty, ale nie ten, by patriotyzmu nie głosił i nie współuczestniczył w nim. Prymas był gorącym patriotą, a ta cecha immanentnie w nim obecna wynikała po prostu z tego, gdzie, kiedy i z kogo się rodził. Był po prostu jednym z nas, choć, równocześnie będąc wśród nas był zawsze jakby trochę ponad nami.

Nie można pominąć jeszcze jednego aspektu działalności Prymasa - międzynarodowego zakresu niektórych Jego inicjatyw. Podejmowane w ramach instytucji Kościoła, wyraźnie wybiegały swym charakterem poza instytucjonalne granice. Tam tu na myśl li jakże doniosłe nawiązanie dialogu z Kościołem niemieckim, a w rzeczywistości z narodem, z którym trzeba było ten trudny dialog nawiązać. Prymas nie tylko wyprzedził w swej inicjatywie Gomułkę, wzbudzając tym u niego atak bezsilnej furii, ale przede wszystkim nadał owemu dialogowi charakter autentyczny, co nigdy nie byłoby możliwe w wypadku komunistycznego pośrednictwa. Zrobił jednocześnie - poprzez gest wciągnięcia ręki - to co godzi się zrobić przywódcy duchowemu, a równocześnie uwarogodnił między ludzkie i międzynarodowe dzieło zasypywania rozgradzających nas rowów czy fos, skoro oprócz żelaznej kurtyny na linii Odra-Łaba funkcjonował drugi jeszcze system przegród.

#### X

W sytuacji Polski, wychodzącej z koczmaru drugiej wojny światowej jako kraj ruin i żałoby, a wchodzącej w nową rzeczywistość sztucznego przesunięcia geopolitycznego i modelu ustrojowo-polityczno-policyjnego ustalonego porozumienia wielkich mocarstw, wydawać by się mogło, że jedyną sensowną drogą mogło być pójście na powszechną kolaborację za cenę drobnych ulg i maciupkiej stabilizacji. Co bowiem dało się przeciwstawić bezwzględnej sile aparatu przemocy: tego własnego i co gorsze - tego centralnego, do którego ów własny był skutecznie powiązany? Opór zbrojny? Ten nie miał absolutnie żadnej szansy w konfrontacji z Bezpieką, dobrze przeszkoloną przez NKWD. Więc opór świadomości zbiorowej, świadomości narodowej tożsamości? Tylko, że świadomość tę należało na czymś nadbudować, ale na czym? Odziedziczone po okresie międzywojennym polityczne ideologie znaczenie się zdżaktywizowały, a co najważniejsze, nie stwarzały materialnej bazy pod taką nadbudowę. Taką wspólną bazą mógł więc stać się wyłącznie Kościół. W swym nowym kształcie zaczęła się stawiać możliwą do zaakceptowania nawet dla niewierzących czy inaczej wierzących.

Czy Stefan Wyszyński, obejmując miejsce opuszczone przez Hlonda i dążąc do konsolidacji powierzonego mu Kościoła na bazie narodowej świadomości, zakładał jego wobec tego narodu

służebność? Nie wiem. Wiem jednak, że tak się właśnie stało. A stawako się tym widoczniej i skuteczniej, im wyraźniejsza zaczęła się pojmować możliwość zwycięstwa w tym głuchym i powszechnym boju. Że po tamtej stronie przegrała baza ideowa, nas w kraju nie może dziwić, skoro przez trzydzieści z oszudem lat nie miała dla nas niczego poza prymitywnymi i oczywiście zakłamanyymi sloganami, które mogły być dobre jedynie dla oddalonych od realiów zachodnich biedaczków - tych ubogich ciałem w świecie rozpasanej konsumpcji i tych ubogich duchem - lewicujących intelektualistów. Że przegrały państwowe monopole też nie dziwi nikogo wychowanego w socjalistycznym bezsensie ekonomicznym. Że jednak ustroj przegrał także politycznie, to zaskoczenie niemieckie, ale potwierdzające raz jeszcze zdumiewający fakt bezsilności poleg, nie uzbrojonych w potężne, charyzmatyczne jednostki przywódców.

I w efekcie to, że w ostatnim roku swego życia Prymas musiał ratować prujący się w szwach PZPR przed całkowitym rozkładem, może być paradoksem dla tych, którzy stali z zewnątrz naszych spraw, ale dla nas nie jest paradoksem, a świadectwem głębokiego patriotyzmu tego mocnego człowieka Polski. Bowiem z pewnością nie robił tego z radością, ale w głębokim poczuciu obowiązku wobec własnego narodu.

Ale czy Prymas w tym ostatnim, w tym tak brzemiennym roku przewidział bieg wypadków? Czy zdawał sobie sprawę, podczas tej wielkiej narodowej próby generalnej, którą była wizyta w Polsce Jana Pawła II, że dokonuje się końcowy etap prowadzonej przez niego bitwy? Czy może fala wydarzeń okazała się wyższą, a czym mogło świadczyć niefortunne wystąpienie na Jasnej Górze w sierpniu 1980 roku?

Osobiście przypuszczam, że nie przewidział owej fali narodowego wzburzenia świadomości, że nie przewidział również tego, iż zmienia się w zasadniczym stopniu rola Kościoła, przechodząc od przywódczej do współuczestniczącej. I nie jest to zarzut, skoro nie znam nikogo, absolutnie nikogo, kto umiałby trafnie przewidzieć następstw tego ostatniego etapu wielkiej bitwy/podważam wyrażnie: bitwy, a nie całej kampanii, która trwa i trwać będzie długo/. Tym silniej chciałbym podkreślić fakt, że po całym momencie wahanja Prymas bardzo szybko odnalazł właściwy ton dla siebie i właściwe miejsce dla polskiego Kościoła. Ale nie wiem, czy nowa sytuacja osieroczonego przez Prymasa Kościoła jest dostatecznie jasna dla tych, którzy wokół niego stali. A jest to znowu szansa ogromna: tracąc prymat wodzostwa Kościół polski zyskuje wielką szansę harmonijnego współuczestniczenia w życiu własnego narodu. Polakami zresztą rządzić bardzo trudno, ale bardzo łatwo iść wspólną drogą wraz z nimi.

W ostatnich miesiącach swego życia Prymas raz jeszcze dał świadectwo swej umiejtności łączenia stanowczości z elastycznością. W momentach kolejnych kryzysów, zwłaszcza w styczniu i marcu obecnego roku, położył na wagę umiaru i rozsądku cały swój autorytet. I ponownie odniósł zwycięstwo, szczególnie po stronie Solidarności, w której zaczęły dochodzić do głosu kierunki ekstremistyczne, a politycznie niedoświadczane. I rzecz charakterystyczna, że Prymas jednoznacznie i twardo opowiedział się za Solidarnością wiejską. To znowu doszedł do głosu misyjny charakter jego działalności, skierowany przede wszystkim do tych, którzy stanowiąc tak wielką część narodu, od stuleci zapchnięci byli na kresy narodowej egzystencji.

Zawsze drażniły mnie snobistyczne grymasy zachodnich mędrków intelektualnych, mówiących z pogardą o "połku katolickim wiejskim". W ciągu służby lat swej działalności właśnie na ten niby konserwatywny, niby prymitywny katolizm skierowane były inicjatywy Prymasa. Inicjatywy te miały na celu ożywienie religijności mas i jednocześnie ochronię lub rekonstruowały więzi społeczne zewsząd atakowane przez ustroój, przez migracje ze wschodu na zachód i ze wsi do miast. Na filmie "Robotnicy 90" można oglądać scenę mszy w strajkującej stoczni, kiedy to robotnicy - zewą, jak chłopci w czasie śniw czy podczas racławickiej bitwy - klękają, by przyjąć komunię. Ta scena, chyba materalizująca jednego z największych zwycięstw Prymasa w dziedzinie narodowej świadomości, powinna stać się memento dla ubogich duchem lewicujących intelektualistów z krajów, w których nie trzeba walczyć o prawo dla własnego sumienia. I jest ona jednocześnie ogromną lekcją pokory dla wszystkich tych, którzy z takich czy innych przyczyn chcieliby się - jak przywódcy komunistycznych państw - wynosić ponad "roboty", ponad wielką społeczną powszechność, która się zmanifestowała w ubiegłym roku na naszej, polskiej ziemi.

Ograniczyłem się w tym szkicu do kilku zaledwie problemów związanych z postacią Prymasa, a także do spraw, które dotyczyły ostatnich miesięcy jego życia, miesięcy szczególnie ścisłych dla kraju, z którym związał się nierozerwalnie. Połącząc chciałbym wskazać na jeszcze jedno świadectwo siły tego człowieka, mistyka i realisty, pasterza i męża stanu. W dniu 13 maja stan jego zdrowia był krytyczny, już wcześniej wprost wiadomo było, że nieodwracalna choroba wydała nów w rok. W tym właśnie dniu padły strzały przed wotywną kapliczką św. Piotra. Polska zamarła w przerażeniu, miliony nie opuściły radia i telewizorów, czekając na komunikat z Kliniki Gemelli. A potem miliony w szły: nocą ze swych domów, by udać się do kościołów - wielkich katedr i małych wiejskich świątyń.

Nie wiem i obawiam się, że nigdy się nie dowiem, kto stał za zamachowcem, tego bowiem on sam nie widział - zażarty produkt fanatyzmu, ze średniewiecza przeniesionego w naszą epokę wielkich nieczynniciwych spisków. To, że zamach na Papieża nastąpił dokładnie w tym momencie, w którym choroba milka nam zebrała Prymasa może, ale nie musi być przypadkiem.

I właśnie w tym momencie wydarzył się na naszym oczach dwa cudy, cud na miarę naszej epoki, to znaczy dające się wyjaśnić naukowo i zarazem obalające oczywistość owych wyjaśnień. Pierwszym był fakt, że polski Papież przeżył ciężki umierający w zasadzie postępując, wieloetapową chorobę, i wszystkie możliwe podstępne komplimente. że z owej dalekiej podróży powrócił do nas.

Albo powrót ten, o czym wówczas nikt wiedział, odbywał się bardzo powoli, w ciągu niekończącego ciągu dni nieustannej uwagi całej ekipy lekarskiej. I wówczas wydarzył się drugi cud: polski Prymas powstrzymał własną śmierć, pozostał wśród nas tak długo, jak długo nie było całkowitej pewności, że jego rodak w Łatyfonie powróci do nas. I kiedy stało się to już pewne, kiedy po raz ostatni odbyli ze sobą telefoniczną rozmowę, Prymas oświadczył od nas na zawsze.

Nie zapomnę jego ostatnich słów, które wypowiedział do swych rodaków. Nagrane na taśmę, były transmitowane podczas uroczystych nabożeństw odprawianych w całym kraju. Urywane słowa wypowiedziane z największym wysiłkiem wyzwały nas, by połączyć się w modlitwie za Jana Pawła II. I dokonały, by jeszcze aktu wyjątkowego wprost dzieła narodowego zjednoczenia.

A teraz już nie ma Go wśród nas, szczupłego, wyprostowanego, skupionego i jakby w naturalny sposób wywyższonego ponad nami. Odszedł ten, który towarzyszył nam w skupieniu i rezwach w ciągu tylu trudnych lat. Ale nie odszedł cały, pozostało w tętnie narodu bicie jego wielkiego serca. Pastrez i mąż stemu, który - po raz pierwszy od stuleci - odchodząc nie pozostawił po sobie pustki. Oby Jego następcy w pełni zrozumieli przesłanie, które ujawnia się, gdy spoglądamy wstecz, na drogę życia wielkiego Prymasa.

KULTURA 9/1981

### SOLIDARNOŚĆ

Od chwili swojego powstania rok temu Solidarność znajduje się w centrum uwagi całej Polski. I jest Solidarność na ustach świata. Nie było w bogatych przecież dziejach naszego kraju ruchu społecznego tej skali i tego znaczenia. Ruchu, który budziłby tyle nadziei - i tyle obaw. Ruchu, który wedle publicznych oczekiwań spełniać musi tyle funkcji.

Nic dziwnego, że wywołuje też liczne nieporozumienia i zalety, pretensje i rozczarowania - zwłaszcza u tych, którzy patrzą nań z daleka. Warto więc, w rocznicę powstania Solidarności, zadać sobie parę prostych pytań, zastanowić się nad istotą tego niebywałego zjawiska, a przede wszystkim nad szansami i warunkami spełnienia przez Solidarność tych wszystkich ról i zadań, które przed nią stoją.

Zacznijmy od stwierdzeń najprostszych. Solidarność, skupiająca około dziesięciu milionów członków, czyli przeszłe połowę Poleków w tzw. wieku produkcyjnym, jest związkiem zawodowym o liczności i strukturze, jakiego nie było dotychczas nigdy i nigdzie. Połączenie w ramach jednego związku ludzi, pracujących w zupełnie różnych zawodach i warunkach, ludzi o różnych kwalifikacjach, poziomach życia, potrzebach i przyzwyczajeniach życiowych - musi sprawić, że dla utrzymania jedności organizacyjnej i jakiejś takiej spójności form działania potrzebne są bardzo silne motywacje jednoczące, które stanowiłyby przeciwagę dla licznych odmienności postaw i rozbieżności interesów.

Te jednoczące, integrujące motywacje miały od początku charakter przede wszystkim moralny a szerzej duchowy. Przyciągał ludzi do Solidarności i skupiał w jej obrębie protest przeciwko poniżaniu, ośmieszeniu i oszukaniu, dążenie do ludzkiej godności, do prawdy, sprawiedliwości, swobody przekonań i wiar.

Pobudki ekonomiczne oddziaływały i oddziaływały nadal potężnie, ale nie są do tego stopnia integrujące, bo i poziom życia członków Solidarności jest bardzo różny, i stopień zrozumienia problematyki gospodarczej, a co za tym idzie hierarchia ważności zadań w tym zakresie, są bardzo rozróżnione. Dlatego też do najbardziej, niezwykłych cech Solidarności jako związku zawodowego należy rola wspólnoty duchowej w utrzymywaniu względnej choćby spójności organizacji.

Solidarność powstała i istnieje jako ruch obrony interesów pracowniczych, a także obywatelskich. Jest więc w zasadzie, z założenia, z samej swojej istoty ruchem defensywnym. Okazało się jednak, że istniejące struktury polityczne i gospodarcze, czyli mówiąc po prostu system ekonomiczny i ustroj polityczny PRL, przeciwko którym Solidarność miała bronić swoich członków, są tak słabe, że przearte nieudolnością, beznosem, korupcją, do tego stopnia, że nie na lekceważeniu uczuć, nadziei i potrzeb społeczeństwa polskiego - że rozpadają się same, ofiarując swoją całkowitą niewydolność. To z tego powodu, nie w wyniku działań "sił antysocjalistycznych", spisków, imperialistycznych intryg czy też czyichkolwiek świadomych usiłowań istniejący w Polsce system społeczno-gospodarczy i polityczny sypie się w oczach Powstańca ruchu obronnego, jakim jest Solidarność, tylko ten rozpad przyspiesza, ale nie jest jego przyczyną.

I oto Solidarność musi - wobec praktycznego nieistnienia innych możliwości - przejąć na siebie rolę twórczą i kształtującą, przede wszystkim rolę pomocnika a nawet wyręczyciela organów administracji państwowej i najrozmaitszych instytucji społecznych. Musi walczyć o wolność słowa i religii, domagać się rzetelności informacji, przeciwdziałać marnotrawstwu, żądać przeprowadzenia reformy systemu gospodarki narodowej /a nawet projektować zasady i sposoby jej przeprowadzenia/ a także reformy administracji państwowej i terenowej, dbać o wymiar sprawiedliwości tak w zakresie obrony niewinnych jak i karania winnych, musi zajmować się ochroną zdrowia i środowiska naturalnego, oświatą, kulturą, powstrzymywaniem plagi alkoholizmu, itd. itd. - sprawami, którymi w społeczeństwach demokratycznych zajmują się liczne ciała, specjalne do tych celów powołanie.

Trzeba to powiedzieć bardzo wyraźnie: Solidarność wcale nie chciała się do podejmowania odpowiedzialności za te liczne dziedziny i aspekty życia społecznego, gospodarczego, państwowego i kulturalnego, którą jej sytuacja lata 1980 i późniejsze wydarzenia narzuciły. Solidarność nigdy nie orzypisywała sobie ani "hierarchicznej roli" w PRL, ani nie chciała decydować o treści i metodach przeprowadzenia licznych reform gospodarczych i administracyjnych. Zarzucając Solidarności, że nie spełniła takich czy innych zadań, że zawiodła takie czy inne nadzieje - trzeba pamiętać, że owe zadania zostały ruchowi związkowemu narzucone przez okoliczności, a nadzieje związane z nim nie dlatego, że wiele obietnic, ale dlatego, że inne struktury zawiodły.

Władze PRL, które wielokrotnie i usilnie apelowały do Solidarności o "poparcie programu odnowy", pomoc i współodpowiedzialność - z jeszcze większą usilnością przeszkadzały niezależnym siłom społecznym w Polsce w rzeczywistej odbudowie i niezbędnej przebudowie systemu zarządzania i gospodarowania.

Trochę tylko rzecz upraszczając powiedzieć można, że partia i rząd są zbyt słabe i nieudolne, aby wypełniać obowiązki, które same na siebie przyjęły - ba, które sobie usurpowały. Wiedząc, że zdaje sobie z tego sprawę cały naród, apelują o wsparcie do Solidarności /i do Kościoła/ - ale zarazem, broniąc swojego zakresu władzy /czy jej pozorów/, nie dopuszczają do rzeczywistego partnerstwa. /aby dobitliwie sparamafrazować Lenina: władza nie może już rządzić po staremu - a po nowemu nie potrafi/.

Najbardziej uderzającą i znamienną ilustracją tego stanu rzeczy jest fakt, że Solidarność, pragnąc przyczynić się do ratowania gospodarki polskiej od ostatecznego upadku, inicjuje i popiera ruch samorządów pracowniczych - zdając sobie sprawę, że w ten sposób stwarza sobie opoźnenta. Samorząd taki bowiem ma za cel główny wyłonienie zarządu przedsiębiorstwa a następnie nowej struktury administracyjnej. Będzie więc reprezentował interesy nie pracowników, ale zakładów pracy. Będzie musiał dbać przede wszystkim o efektywności produkcji, a nie o dobrobyt pracowników. Jak to właśnie wyraził przewodniczący Solidarności regionu Mazowsze. Zbigniew Bujak: "Oczywiście tworzący się samorząd będzie... naszym przeciwnikiem, co więcej musi być przeciwnikiem... Kiedy przyjdzie do wypracowywania programu dla przedsiębiorstwa, samorząd będzie zasiadał po drugiej stronie stołu". W tym absurdalnym układzie rzeczy Solidarność musi więc zadbać o reprezentowanie obu stron, których interesy są często, a zwłaszcza w okresach kryzysów gospodarczych, sprzeczne. I znowu: podejmuję to zadanie, bo nikt inny podjąć go nie potrafi, nie chce, nie odważa się. Nikt inny zresztą nie rozporządza niezbędnym kapitałem zaufania.

Skoro społeczeństwo nie ma zaufania do władzy, a do kierownictwa gospodarczego w szczególności, a zrujnowana gospodarka wymaga wyrzeczeń, pracy bez odpowiedniej płacy i sprowizacji oraz obniżenia stopy życiowej - Solidarności przypada w udziale rola jeszcze bardziej dziwna: namawianie robotników, aby pracowali ciężiej, aby szefowali swoimi siłami i zdrowiem, aby - subiektywnie biorąc - dawali się wyzyskiwać. Związek obrony pracowników ma się stać ich naganieciem. I tej roli Solidarność nie chce - ale jest w nią wciążana. Wpędzona nie tylko przez władze, tyleż nieudolne co chytre. Wpędzona jest również przez tę prawidłowość socjo-psychologiczną, że Polacy potrafili znakomicie pracować zespołowo, ale tylko wówczas, kiedy działają na siebie oczą zbiorowości i mają świadomość sensu swojego wspólnego wysiłku; nie mają zaś wdrożonego, zinternalizowanego poczucia obowiązku dobrej roboty, którą trzeba wykonywać niezależnie od tego, czy ktoś na nas patrzy, czy nie - tego poczucia obowiązku, który każe np. Niemcom pracować pilnie nawet wówczas, gdy dokoła walą się wszystkie ustalone struktury. W gospodarce polskiej, poza rolnictwem indywidualnym, poczucie sensu zbiorowego wysiłku zostało niemal

doszczętnie poderwane. I

musi je odtwarzać, o ironio, związek zawodowy...

Być może wielostronne usiłowania Solidarności są tylko porwyaniem się z motyką na słońce. Ale pamiętajmy: motykę Solidarności w ręce wciśnięto. I nie na "słońce" się porywa,



ale et, załatwić sprawy najzupełniej podstawowe, niezbędne - nie jaleś tem społeczne czy ideologiczne luksusy, lecz sprawy, bez których załatwienia społeczeństwo nasze po prostu nie może przetrwać.

Główną przeszkodą w wykonywaniu przez Solidarność zadań, które postawił przed nią polski los i które jej wyznaczyły aspiracje naszego społeczeństwa, jest brak narzędzi wykonawczych. Późbewiona egzekutywa, nie posiadająca przedstawicielstwa w oficjalnych organach władzy, spychana do roli opozycji /a jednocześnie wzywana do współodpowiedzialności/ - Solidarność rozporządza jako środkiem nacisku, sposobem wywierania praktycznego wpływu na decyzje i postępowanie władz tylko strajkiem. Strajk natomiast jest typowym orężem defensywnym. Należy się dobrze do obrony interesów pracowniczych - ale źle do wszystkich innych zadań i celów. Ponieważ zaś, jak powiedzieliśmy, stawia się ciągle przed Solidarnością zadania o charakterze ofensywnym i twórczym, wpycha się cały ruch w położenie paradosalne, by nie powiedzieć /biorąc pod uwagę rozpaczliwą sytuację kraju/ tragiczne.

Czy musimy tedy dojść do wniosku, że Solidarność stoi przed zadaniami niemożliwymi do wykonania? Niewykluczone, że tak. Nie powinniśmy jednak tego stwierdzenia uważać za pewne, choć przemawiają za nim silne argumenty. Co jest natomiast pewne, to że aby Solidarność zdobyła jakiegokolwiek szanse sukcesu - konieczne jest szukanie rozwiązań i sposobów zupełnie nowych, podziałów ról nigdy dotychczas nie praktykowanych, form organizacyjnych i więzi społecznych nigdy na tę skalę nie uruchamianych. Trzeba będzie tak często i tak skutecznie sięgać do uczuć i idei jednoczących większość społeczeństwa, jak to się dotychczas zdarzało tylko w krótkich okresach wielkich wydarzeń ogólnonarodowych /jak rok 1920/. Ale Solidarność, powtórzmy, jest zjawiskiem, jakiego nie było w dziejach Polski ani w dziejach świata: sama jej nazwa jest wyzwaniem, rzuconym wszystkim teoriom o nieuchronności społecznych konfliktów i podziałów. Wszystko, co się jej dotychczas udało, udało się po raz pierwszy.

KULTURA 3/1981

WIERSEK

Stanisław BARAŃCZAK 19.12.79: CZYSTE RECE

Palce młodego porucznika Służby Bezpieczeństwa,  
który w komisariacie dworcowym wertował,  
podnosząc na mnie co chwila pełen wyrzutu wzrok,  
wydobyte z moich bagaży rysunki Jana Lebensteina,  
nie zostawiły na papierze żadnych śladów.

Dziwne.

Nie żebym się spodziewał plam krwi, smug potu, brudu,  
czy choćby tłustych odcisków, które podobno zostawia

na książkach  
lubiący czytać przy jedzeniu Wielki Nauczyciel Ludzkości:  
praca młodego porucznika Służby Bezpieczeństwa  
jest czysta,  
on sam ma tytuł magistra praw  
i nawyki higieny osobistej, wyniesione  
z kulturalnej,  
inteligentnej rodziny.

A jednak

byłoby jakos naturalnej  
gdźby na naszych wierszach, rysunkach, dziennikach i mózgach  
pozostawiali, choćby na pamiątkę,  
swoją niepowtarzalny /linie papilarny! / ślad  
ci najwnikliwi z odbiorców współczesnej sztuki;  
zwłaszcza gdy ocalają ją od zagłady niechętnym zdaniem:  
"No dobra,  
ostatecznie  
możemy panu tego nie konfiskować".

31.I.80: TRZY SPOJRZENIA PRZEZ RAMIĘ

1

Ernąc przez świeżo spadły śnieg,  
je  
torując drogę jemu,  
nigdy odwrotnie,

a on mimo to myśli z nienawiścią:  
zagnać by tego nieroba  
do odgarniania śniegu

2

Patrząc na tłum uliczny w zimowe popołudnie,  
pocieszem się, że jeszcze wcale  
nie jest tak źle:

wcale nie jest tak, że co drugi przechodzień  
jest policjantem w cywilu,

to tylko stąd się bierze, że po prostu  
co drugi dorosły Polak  
ma taki wyśled

3

Przynajmniej mam tę pewność, że na całej ziemi  
jest chociaż jeden człowiek, który  
w tej chwili  
pamięta o mnie

i gdzie ja pójdę, tam pójdzie i on;  
co więcej, jeśli z lenistwa albo niedbalstwa  
straci z oczu mnie,  
swojego bliźniego,

czeka go nie tylko potępienie wieczne,  
ale gorzej:  
nagana służbowa

9/10.2.80: CZTERDZIESCI OSIEM

W zakratowanym zaduchu, na nieugiętych deskach  
próbuję zasnąć ogrzewony z lewej  
przez robociarza w kitlu /kradzież narzędzi/, z prawej  
przez waluciarza w kożuchu /zakłócenie  
spokoju w stanie wskazującym/. Co  
ja mam z nimi wspólnego poza tą wspólną celą  
/trzy na trzy metry/, wspólnym celem /przespać  
dwa dni i dwie noce/, wspólnym ciepłem  
może tym, że wszyscy naraz budzimy się, kiedy  
na korytarzu podrywa się nagły  
jak torsje skowyt kogoś kopanego  
w nerki czy w krocze,

i może tym jeszcze,  
że wszyscy długo potem nie możemy zasnąć.

11.2.80: O DALSZY POMYSŁNY

O dalszy pomyslny rozbój, tak żeby  
można śmiało walić naprzód /a  
pytać potem/ bez potykanie się na wybuchowych  
spółgłoskach bruku, żeby nikt  
nie nadążał budować z nich sków, barykad, które  
tają ruch  
w interesie  
żywotnym i właściwie pojętym, żeby to  
jakoś szło do przodu, żeby  
przez usta nam to przeszło, ten prostolinijny  
ryk poparcia, powiadacie: żeby  
stoją na przeszkodzie? no to wybić  
to sobie z głowy, wyrwać z korzeniami  
język, niech nic nie zawadza, niech się  
rozwijs pomyslnie, po naszej myśli proporcjonalny proporzec  
wycia, o tak, to dopiero będzie  
rozwój na równej drodze

KULTURA 5/1981

Anka KOWALSKA - RACJA STANU

1.

Oprócz dzieci  
które dzisiaj mają dziesięć lat  
wszyscy byliśmy tam obecni  
nieco po innych stronach  
w innych miastach  
ale razem

jedni  
strzelaliśmy trochę z prawdziwych karabinów  
i nie w górę na wiat  
a w ciałę pełne bezsilności i rozpacz

dlatego część nas pozostała na kamiennych płytach  
przydło je plamiąc  
dopóki nie uprzątnięto nas w higieniczne worki  
z nieprzemakalnego plastiku  
i nie złożono chyłkiem w tajnych niszach ziemi  
higienicznie zasypanych wapnem

/ to teki cywilizowany sposób na upiory  
które dawniej przebijano kółkiem  
aby oddaliły się w niebyt nie napastując pamięci żywych/

inni

biegliśmy dalej ulicami nadmorskich miast  
niewinnie wołając o ludzkie życie  
na tym najlepszym ze światów najlepszym nie dla nas  
żądając posłuchania u pałaców z czerwoną flagą  
u komnat wzniesionych z marmurów na naszą cześć  
ale zamieszkałych przez innych nas

którzy nad wszystko umiłowaliśmy mermury  
tak dobrze rezonujące hasła ogłoszone ku naszej czci  
że zagłuszyły wołanie wołających  
o ludzkie życie i prawo do czci

inni

z rękami wczepionymi we włosy  
nasłuchiwaliliśmy strzałów oddawanych w nasze piersi  
w domach innych miast  
żywi przylgnięci uszami do wrogich rozgłośni  
chrząpiących czarne na białym  
zeri ot łagodnieć pod mezurkami Szopena  
w swoich kich środkach masowego przekazu  
i spijać miód: z kształtnych warg polskich spikerów  
układających nas do niepamięci  
serdecznym dobranoc państwu

inni

dygotaliśmy z przerażenia  
że być może zadrapana została delikatna tkanka racji stanu  
która dobrze się czuje tylko jakc. legendarny smok  
pożerający każdą wskazaną przez siebie zdobycz  
od żywego stoczniońca po sprzedajnego pisarza

za taką racją stanu  
przemawiały zresztą wszystkie racje  
prócz dwu zaledwie racji umysłu i serca

te jednak

oszczędzone zostały w odosobnionych celach  
więzienia czaszki i więzienie żeber  
skąd wysyłały tylko niechęć i tylko do bliskich  
pojedyncze żakosne grypsy

nie docierały one do nas innych  
którzy wydaliśmy trętobójczy rozkaz  
którzy wybijaliśmy potem zęby robotnikom z radomskich ulic

2.

Z dziećmi  
które dzisiaj mają dziesięć lat  
wszyscy jesteśmy tu obecni  
nieco po innych stronach  
w innych miastach  
ale razem

którzy karaliśmy zabijać  
którzy zabijaliśmy  
którzy szliśmy pod kule  
którzy nocami wkładaliśmy buty naszym zabitym synom  
pod rozbiegany wzrokiem czujnych policjantów  
którzy crucziliśmy nasze z rysowane trzęsienie<sup>m</sup> ziemi marmury  
którzy bpuchaliśmy na tkającą racji stanu  
którzy byliśmy władcami rewolucji  
którzy byliśmy niewolnikami władców

którzy zapominaliśmy o rozkaz  
o każdej kęduży krwi rozlaną na bruku miast i w piwnicach cel  
którzy pamiętaliśmy te kałuże  
jak gdyby wyciekły z naszych własnych żył  
którzy oddawaliśmy im cześć lelele wcześniej  
niż je uczciliy pomni ki t. lice radio i telewizje  
którzy kazaliśmy arsztować noszących wiedzę pamięci  
którzy aresztoweliśmy ich i biłi  
którzy byliśmy aresztowani

stoiemy dzisiaj pod znieuruchomiałymi dźwigami portów  
oniemiali dygniterze skromnie obnażający głowy  
z koron kapeluszy  
dostojnicy w infulech  
tajniczy ze znaczkami pod klapą  
bracia i matki cięł w plastikowych workach  
a wywoływani z pośpiesznie kopanych niegdyś grobów  
są wśród nas

wśród nas  
okrążonych przez scjuznicze armie  
i pod czarnym spojrzaniem luf  
podających sobie nieufne ręce  
do nieufnego uścisku  
wymaganego jak zwykle przez rację stanu  
grudzień 1980 - styczeń 1981

KULTURA 4/1981

JAK WYGRAĆ TRZECIĄ WOJNĘ ŚWIATOWĄ - Jan NOWAK

### I

Do poprzednich dwóch artykułów "Trzecia wojna światowa"  
/Kultura, marzec/kwiecień 1978; listopad 1979/ można dziś do-  
pisać nową listę wieleckich zdobyczy. Po Laosie, Kambodży,  
Angoli, Mozambiku, Etiopii, Południowym Jemenie - przyszła  
inwazja Afganistanu. W Ameryce Środkowej po Nikaragui na  
porządek dzienny wysuwają się próby openowania Salwadoru.  
Obok Zatoki Perskiej i Rogu Afryki rysuje się coraz wyraź-  
niej trzecia strefa zagrożenia wokół kanału Panamskiego.  
Aneksja Czadu przez Libię i obecność sowieckich doradców  
w tym kraju, cztery razy większym od Polski, wprowadza poś-  
rednio sowieckie wpływy daleko w głąb czarnego lądu i stwa-  
rza zagrożenie dla Sudanu i Egiptu.

Ameryka w poszukiwaniu strategii

Nowa administracja Reagana od pierwszej chwili przybrała  
wobec Rosji ton bardzo stanowczy, dawno już nie słyszany.  
Wydatki na zbrojenia mają wzrosnąć o 32,6 miliardów dolarów

w latach 1981-1982, a o astronomiczną sumę 1,3 biliona w ciągu następnych lat pięciu. Lecz ani mocne słowa ani bogatszy arsenał nie zastąpią same przez się jasno sformułowanej koncepcji strategicznej. Polityka zagraniczna nowego zespołu wciąż jeszcze znajduje się w fazie kształtowania i trudno zorientować się jaki ostatecznie przybierze kierunek. Ameryka nie znalazła dotychczas odpowiedzi na pytanie, jak powstrzymać sowiecką ekspansję bez nowego wietnamu. Czy wzmocnienie potencjału wojskowego i bardziej stanowcza postawa mają być wstępem do rokowań i próby jeszcze jednego ułożenia się z Kossją z silniejszej pozycji czy też ma ona prowadzić do generalnej kontrofensywy uderzającej w słabe punkty przeciwnika.

W pierwszym wypadku polityka obecnej administracji stałaby się kontynuacją doktryny Kissinger-Sonnefeldt. Wciąż przebiega ona wyraźnie między wierszami w licznych wypowiedziach głównego architekta polityki odprężenia. W największym uproszczeniu cała koncepcja aprowadza się do tego, że Ameryka musi dobrodzić się do wszelkich środków politycznego i ekonomicznego nacisku, by w końcu dogadać się z przeciwnikiem i osiągnąć stabilizację status quo na zasadzie jeszcze jednego rozgraniczenia stref wpływu. U podstaw takiego rozumowania tkwi milczące założenie, że obie strony pomimo przeciwieństw ustrojowych i wrogosci ideologicznej mają wspólny interes w uniknięciu generalnej konfrontacji. Ekspansję sowiecką można więc zatrzymać drogą rokowań oferując w zamian Kossji marchewkę w postaci rozszerzenia wymiaru handlowej, kredytów, eksportu wiedzy technicznej i wspólnych inwestycji.

Jeśli polityka Reagana i Haiga miała się rozwinąć po tej linii - Polska i Europa Wschodnia stałyby się w tej grze przedmiotem jeszcze jednego przetargu /zostawcie nam Selwador a my nie będziemy się wtrącać w sprawę orbity waszych ważyków/.

#### Nieudane próby podziału świata

Obecny okres kształtowanie się polityki zagranicznej ekipy Reagana sprzyja w suwaniu koncepcji alternatywnych, które przeciwnie do poczucia żywotnych interesów amerykańskich służą by równocześnie naszym celom.

Dotychczasowe przeszłości a zwłaszcza ubiegłe dekada podważyły dotychczasową doktrynę Kissingera. Próby podziału świata na strefy wpływów na zasadzie wzajemnego uznania status quo podejmowane były wielokrotnie: w Jaksie i Poczdamie w roku 1945, w Moskwie w roku 1972, w Helsinkach i we "Władystoku" w roku 1974. USA wkraczając w roku 1972 na drogę "odprężenia" oczekiwały, że Kossja za cenę uznania swego stanu posiadania wyzrenie się jednostronnych zdobyczy kosztem strategicznych interesów Ameryki i będzie stosować się w przyszłości do zasad międzynarodowego współżycia. Liczone przede wszystkim na obustronne ograniczenia zbrojeń nuklearnych. W rzeczywistości SALT I ratyfikował parytet nuklearny obu supermocarstw, osiągnięty już przez ZSRR i stworzył nową fazę sowieckich zbrojeń, które doprowadziły do obecnej przewagi ZSRR. Sowiecka ekspansja nabrała nowego impetu i poczynała wykazywać postępy niż w ciągu poprzednich dwóch dziesięcioleci. Fachuby na to, że korzyści gospodarcze staną się dla Sowietów stawką zbyt ważną, by zaryzykowały jej utratę, okazały się fałszywe. Bilansu lat siedemdziesiątych nie potrzeba przypominać. Przyniósł on gwałtowne zachwianie stosunku sił. Nawet przy największym wysiłku zbrojeniowym Stanów Zjednoczonych przywrócenie równowagi nie będzie możliwe przed wpływem od pięciu do dziesięciu lat. Następne pięćdziesiąt lat może być wykorzystane przez Rosję bez poważniejszego ryzyka w kierunku konfliktu światowego dla dalszego opanowywania kluczowych pozycji strategicznych.

### Polska lekcja

Zasadniczy błąd dotychczasowej polityki amerykańskiej nie polegał tylko na fałszywym interpretowaniu intencji przeciwnika. Zasadniczym błędem technicznym posunięte jest w Ameryce tak daleko, że stratedzy myślą prawie wyłącznie w kategoriach sił materialnych: ilości czołw bardziej nowoczesnych pocisków balistycznych, samolotów, okrętów wojennych, czołgów itd. z zupełnym pominięciem znaczenia czynnika ludzkiego.

Z tego punktu widzenia wydarzenia w Polsce - bez względu na to jak się skończą - powinny stać się pouczającą lekcją. Robotnicy, pozbawieni jakiegokolwiek innej broni poza odwagę, determinacją i mesową solidarnością, która objęła opozycję inteligentną, chłopów i młodzież - przeciwstawili się całej potęgę supermocarstwa i nie uciekając się do użycia siły odnieśli bezkwestyjnie zwycięstwo w kilku kolejnych rundach. Wydarzenia sierpniowe i wszystko co po nich nastąpiło nie mogą być uresztą rozpatrywane w oderwieniu od historycznego kontekstu. Od czasu odwilży poprzedzającej polski październik Rosja musi tolerować coraz większe odchylenie Polski od własnego, ortodoksyjnego modelu. Dlaczego "musi"? Proces odnowy przekroczył już przecież dawno te progi, po których nastąpiła inwazja Czechosłowacji. Hamulcem powstrzymującym przed interwencją jest ryzyko konfrontacji z całą klasą robotniczą, za którą stoi solidarnie społeczeństwo. Konfrontacja taka nieelonicznie musi przybrać formę jeszcze jednego rozpaczliwego powstania. Dużo niebezpieczniejszą formą oporu stałby się powszechny strajk okupacyjny, w którym maszyny, urządzenia fabryczne itd. stanowią zastaw w rękach robotników na wypadek próby użycia siły. Wojko może stłumić rozruchy i gwałtowne odruchy rewolucyjne. Biernego oporu nie da się przełamać siłą.

### Jak powstrzymać rosyjską ekspansję?

Wydarzenia w Polsce powinny wskazać Ameryce jedyną chyba drogę ocalenia. Clausewitz powiedział kiedyś, że podboju Rosji można dokonać tylko od wewnątrz. Parafrazując te słowa w zastosowaniu do obecnej sytuacji można powiedzieć, że sowieckie dążenia ekspansyjne można powstrzymać tylko przez nacisk od wewnątrz szerokich mas ludności, które muszą za nie płacić.

Ludność ZSRR musi obecnie dźwigać nie tylko ciężar niewydanej gospodarki marnującej znaczną część produkcji i nie tylko koszty zbrojeń, które pochłaniają od 15 do 18% dochodu społecznego. Jak dotychczas polityka ekspansji zamiast gospodarczych zysków wymaga rosnących nakładów. W roku 1967 Sowiety utrzymywały 25 dywizji wzdłuż granicy chińskiej, obecnie - 46. Sześć dywizji /80 tys. ludzi/ walczą z partyzantami w Afganistanie, 26 skoncentrowanych zostało wokół Polski nie licząc dwóch stacjonowanych wewnątrz kraju. Sowiecki robotnik musi podtrzymywać gospodarkę Kuby, Wietnamu i całej plejady nowych satelitów i klientów, finansować dostawy broni dla "ruchów wyzwolenczych" w Ameryce Południowej i Środkowej, w krajach Zatoki Perskiej i na Dalekim Wschodzie oraz opłacać operacje dywersyjną w skali globalnej. Nowy wyścig zbrojeń wymaga będzie dalszego drakońskiego zaciśnięcia pasa. Eksperti zachodni obliczają, że wyprodukowanie tego samego towaru w systemie sowieckim wymaga czterzy razy większego zużycia środków energii i materiałów aniżeli w gospodarce wolnorynkowej.

System oparty na przymusie zdolny jest do koncentrowania na zbiorcach nieproporcjonalnie większych zasobów aniżeli państwa demokratyczne. Na tym polega na krótką metę przewaga totalizmu nad demokracją. Do jakich granic można jednak terrorem ograniczać zapokojenie elementarnych potrzeb człowieka?

Jeden z najlepszych amerykańskich znawców Rosji, George Feifer, po dziesięcioletniej przerwie objechał Rosję. Wzadając językiem rosyjskim bez akcentu odbył setki rozmów z ludźmi na różnych szczeblach. Zebrane wrażenia i fakt: opisał w rewelacyjnym raporcie w lutym wydaniu magazynu Harper'a. Podsumowanie zswerte jest w podtytule: "Brek żywności, alkoholizm i korupcja - stanowią koniec sowieckich marzeń". W ciągu ub. roku ceny posiłków w restauracjach i kuchniach baranich wzrosły o 50%. Cena kawy o 300%, wódki od 200-300%. Zopatrzenie w żywność poza Moskwę i większymi miastami gwałtownie się pogorsza. w Uljanowsku, miejscu urodzenia Lenina, frankfurtery - jedyna potrawa mięsna - wydawane są za receptą w aptekach wyłącznie dla chorych dzieci. W worki nie można dostać masła, mięsa, owoców i maki. Mieszkańcy Kujbyszewa na wieść, że nadszedł transport kurczaków, spędzili cały dzień w milowych ogonkach. Na Syberii niektóre artykuły żywnościowe wydawane są na kartki, o czym nie wolno pisać w prasie, lecz przydziały są papierowe. W Izaniu nie można zdobyć mięsa na kartki przydzielające 400 gramów na osobę. Wystarczy wyjechać 50 km za Moskwę, by przekonać się jak dotliwe są braki żywności. Nawet w stolicy zdobycie mleka staje się problemem, a okres czepiania na mieszkaniu wydłużał się do 15 lat. Rosnąca śmiertelność niemowląt skłoniła władze do zaprzestania w roku 1975 ogłoszenia statystyk. Inżynier, na którego powołuje się G. Feifer powiedział: "Głównym celem naszej gospodarki jest produkcja broni. W Egipcie niewolnicy budowali piramidy a my produkujemy pociski nuklearne. Wszelkie poświęcenie przesiągnięciu Zachodu w zbrojeniach w warunkach prymitywnej gospodarki jest olbrzymie... Ciężar wadłok na zbrojenia jest tak trudny do zniesienia". Do tego trzeba jeszcze dodać ciężar policji politycznej i olbrzymiej burokracji, rozbudowanej bardziej niż gdziekolwiek na świecie. "Lędniejszy kraj - powiedział ten sam inżynier - dawno by już zbankrutował. Rabunkowa eksploatacja naszych bogactw naturalnych, w szczególności ropy i złota, utrzymuje kraj na powierzchni". Przeciwny Rosjanin - pisze Feifer - utracił swą optymistyczną wiarę, że życie stanie się lepsze i przestał wierzyć w system, niezbędny do funkcjonowania.

#### Granice przymusu

Większość zachodnich socjologów jest zdania, że dalsze pogorszenie się warunków życiowych a nawet powszechny głód nie wywoła w Rosji żadnej reakcji społecznej. Wytrzymałość i bierność "sowieckiego człowieka" nie zna granic.

Przeżył temu sowiecka reakcja na wypadki w Polsce. Ludzie na Kremlu lepiej zdają sobie sprawę z wewnętrznego załamania aniżeli obserwatorzy zachodni. W obronie przed polskim wirusem rozmarzono w drugiej połowie sierpnia za porozumieniem KGB/AL na Głos Ameryki, BBC i Deutsche Welle jako głównych nośców choroby. Urzędnicy ambasady sowieckiej w Sztokholmie otrzymali zależ przejeżdżać przez Polskę tranzytem samochodowym. Klują korzystać z promu na Finlandię. Podobne zarządzenia wydano w innych placówkach dyplomatycznych. Wstrzymany został ruch turystyczny z Polski



i do Polski. Nawet Trybuna Ludu nie można już dostać w Kownie. Wilnie czy we Lwowie. Jeśli Moskwa zdecyduje się w końcu na inwazję, pomimo związków z nią olbrzymich kosztów politycznych i nieobliczalnych następstw, będzie to skrajnym przejawem poczucia wewnętrznego zagrożenia.

Nie znaczy to, by należało oczekiwać w Związku Sowieckim rewolucyjnego zrywu albo wybuchu strajków w skali całego kraju. Strajki i niepokoje mają w Rosji charakter lokalny. Wiadomości o nich rozchoczą się po kraju zbyt wolno, by mogły pociągnąć reakcję podobną do tej, jaka nastąpiła w Polsce. Feifer stwierdzał na każdym kroku pogłębiające się, coraz mniej ukrywane niezadowolenie, lecz jak dotychczas znajduje ono jedyne ujście w całkowitym zeniku chęci do pracy, w absenteizmie i gwałtownym wzroście alkoholizmu. Aleksander Ginsburg nazwał te zjawiska rakiem toczącym organizm społeczno-gospodarczy. Rezultatem jest katastrofalnie niska wydajność pracy, która doprowadziła już do spadku wzrostu gospodarczego i zakłamania się planów. W tak kluczowej gałęzi gospodarki jaką jest wydobycie węgla, zamiast planowanego przed czterema laty wydobycia 805 mln ton w roku 1980 - produkcja nie przekroczyła 700 mln ton. Deficyt węglowy odbił się na produkcji stali, prądu elektrycznego i innych działków przemysłu zależnych od dostaw węgla. Wszystkie wskaźniki są znacznie niższe od zaplanowanych w czasie zjazdu partii w roku 1976.

Przymus ma więc swoje granice. Okazało się, że terrorem nie można zapobiec opuszczeniu pracy i szerzącemu się pięknstwu. Robotnik buntujący się przeciwko warunkom, w jakich żyje, nie wydobędzie z siebie większego wysiłku niż absolutnie minimum niezbędne dla oszukania nadzorców i uniknięcia represji. Trzeźwego robotnika można groźbą utraty pracy lub zarobku zmusić co najwyżej do punktualnego przyjscia do pracy; systemem pracy na akord można wymusić ilość - ale nie sposób wpłynąć na jakość produkcji. W praktyce robotnik ma nieograniczone możliwości bezkarnego sabotażu podejmowanego na własną rękę.

Polski przykład może przełamać paraliżujące przeświadczenie, które tkwi głęboko w świadomości mas w ZSRR, że wszelki opór w jakiegokolwiek formie jest bezsensowny bo prowadzić może tylko do samozniszczenia. Na tym polega znaczenie polskiej lekcji. Jeśli wydarzenia w Polsce zdziałają przeniknąc do świadomości przeciętnego człowieka w Rosji, mogą podziałać jak katalizator, który obecne, behawiorystyczne, podświadome objawy protestu i niezadowolonia zamieni w bierny opór, coś w rodzaju ukrytego strajku ludzi pracy w pełni świadomych swego celu.

Tylko taki proces może zmusić Sowiety do zshamowania zbrojń a nawet do reformy wewnętrznej i ustępstw wobec własnej ludności. Proces ten może być przyspieszony przez świadomą swego celu i konsekwentną politykę Zachodu.

## II.

### Kontrofensywa Zachodu

Nowa polityka amerykańska musi wyjść z podstawowego założenia, że dozbrowienie USA i NATO jest niezbędne dla powstrzymania generalnej agresji sowieckiej, lecz skuteczne zatrzymanie lokalnych podbojów od zewnątrz /jak w wypadku Afganistanu/ albo od wewnątrz /przez siły lokalnie wspierane przez

Moskwę wprost lub przez pośredników/ może być osiągnięte tylko środkami politycznymi i gospodarczymi a przede wszystkim przez oddziaływanie na czółwieka. Kissingerowi warto w tym miejeću przypomnieć jego własne słowa wypowiedziane bardzo dawno, bo w roku 1957, gdy był jeszcze mało znanym profesorem Hsrverdu: "Jedna z paradoksalnych lekcji naszego nuklearnego wieku polega na tym, że w chwili, gdy dysponujemy siłami o nieporównywalnych rozmiarach, musimy uświadomić sobie, że problem przetrwania może być rozstrzygnięty tylko w umysłach ludzkich... Ślepa siła nie zawsze stwarza mechanizm potrzebny w walce o przetrwanie" /H. Kissinger, Nuclear Weapons and Foreign Policy, 1957, str. 406/.

Jeżeli Ameryka nie zdobędzie się zawnazu na kontrofensywę uderzającą w najlepszy, wewnętrzny front przeciwnika, koniec dekady przyniesie może rozpadnięcie się przymierzy i katastrofę.

Nazwijmy ten front umownie "wojną ideologiczną" choć natarcie objąć musi cały kompleks środków gospodarczych i politycznych, które mogą pogłębić wewnętrzne sprzeczności w samej Rosji i wzocnić nacisk czynnika społecznego.

#### Broń gospodarcza

Import zachodnich środków produkcji, zboża i wiedzy technicznej w ciągu całej ubiegłej dekady umożliwił Rosji dorównanie czy nawet wyprzedzenie Zachodu w wyścigu zbrojeń. Dzięki pomocy z Zachodu - Sowiety mogli unilnąć przesunąć w rozdziale dochodu społecznego i reform niezbędnych dla choćby częściowego usprawnienia gospodarki i podniesienia wydajności pracy. Punktem zwrotnym może stać się embargo na zboże wprowadzone po inwazji Afganistanu. Dotychczas było ono tylko częściowe. W myśl umowy z roku 1975 Stany Zjednoczone musiały dostarczyć Rosji 7 mln ton zboża. Wstrzymanie pozostałych 17 mln ton, pomimo złamania się z bojkotu Argentyny - kosztowało Rosję ponad miliard dolarów w twardej walucie i w połączeniu ze złym urodzajem wpłynęło na zmniejszenie dostaw mięsa i produkcji rolnej. Za kilka miesięcy wygaśnie umowa z roku 1975. Jeśli połowiczne embargo Cartera obejmie teraz cały eksport zboża i rozciągnięte zostanie na nwozy sztuczne i inne towary służące rolnictwu, odbije się to poważnie na sytuacji wewnętrznej w ZSRR.

Jeszcze większe znaczenie może mieć wstrzymanie wywozu nowoczesnego sprzętu technicznego a w szczególności urządzeń wiertniczych, niezbędnych w poszukiwaniach nowych złóż naftowych. Zatrzymanie wzrostu wydobycia ropy naftowej przy rosnącym zapotrzebowaniu ZSRR i jego satelitów stanowi jeden z najtrudniejszych problemów gospodarki sowieckiej.

rosnący niedostatek ropy naftowej idzie w parze z nadmiarem gazu ziemnego. Jeżeli projektowany rurociąg z Rosji do Europy Zachodniej, budowany przy pomocy zachodniego kapitału i sprzętu, ukończony zostanie zgodnie z planem w połowie lat osiemdziesiątych, nie mniej niż 40% całego importu gazu ziemnego Niemiec zachodnich pochodzić będzie z ZSRR. Stosownie to będzie tylko 5% zapotrzebowania RFN na energię, ale nagłe wstrzymanie tych 5% pogrążyłoby gospodarkę niemiecką w stan całkowitego chaosu. Stworzona w ten sposób zależność prowadzi w prostej linii do finlandyzacji dsząc Sowietaom do ręki potężny środek nacisku. Już dziś opór rządu Schmidtą przed solidarnymi sankcjami po inwazji Afganistanu wywołany jest obawą utraty przyszłych dostaw gazu ziemnego z Rosji.

Traktując handel, kredyty i wywóz technologii jako broń w obecnym konflikcie natykamy się znowu na problem polski.

Zachód musi stosować odmienną politykę wobec Kosji i tych satelitów, którzy usiłują reformować swój system. Pomoc ekonomiczna na rzecz kraju w sowieckiej orbicie ma sens tylko wtedy, jeśli jest ściśle związana i uzależniona od reform gospodarczych, i poszanowania praw ludzkich. Pomoc kredytowa dla Polski niewątpliwie rozciągnęła ochronny parasol nad działalnością opozycji lecz równocześnie umożliwiła katastrofalną politykę rolną, w znacznej mierze odpowiedzialną za obecny kryzys. Kredyty zachodnie zamiast służyć reformie gospodarczej umożliwiły jej uniknięcie. w przyszłości pomoc gospodarcza może być udzielana tylko w takim rozmiarze i na takich warunkach, które służą ochronie procesu odnowy.

Posługiwanie się bronią gospodarczą natrafił na pewności na sprzeciw w Stanach Zjednoczonych. Reagan bardziej od poprzednika podatny jest na nacisk amerykańskiej finansjery i wielkiego kapitału, który ma własne interesy w rozbudowie wymiaru z oszczędnością. Nowa polityka odprężenia ma swoich zwolenników w tych samych kołach, które ciągną korzyści ze zbrojeń. koncepcja Kissingera znajduje tu podatny grunt.

Stany Zjednoczone nie mogą posługiwać się bronią gospodarczą bez solidarnego wsparcia swoich sprzymierzeńców. Finlandyzacja musi być wstrzymana zanim ten proces stanie się nieodwracalny i zanim NATO stanie się fikcją. Prędzej czy później USA będą musiały uzależnić swój własny udział w obronie Europy Zachodniej od solidarnego frontu wobec dalszych prób sowieckiej ekspansji.

#### Polityka obrony praw człowieka

Drugim elementem kontrofensywy może stać się przemyślana na nowo i gruntownie zmieniona polityka obrony praw człowieka. W Helsinkach Zachód odzyskał, przynajmniej częściowo, inicjatywę w walce ideologicznej. Niestety hasło obrony praw człowieka podjęte przez Cartera zostało w latach jego kadencji gruntownie zdyskredytowane. Zabrakło koncepcji na czym ta polityka ma polegać, jaki cel ma osiągnąć, jakimi środkami ma być realizowana, w jakiej kolejności i przez kogo. Powierzenie polityki praw człowieka Departamentowi Stanu było zasadniczym błędem stawiając w niezwykle trudnej sytuacji służbę zagraniczną, której zadaniem jest utrzymywanie poprawnych stosunków i dialogu z obcymi rządami bez względu na ich ustroj i ideologię. Jedynymi środkami stały się z konieczności instrumenty, którymi dysponuje służba zagraniczna a więc pomoc gospodarcza i wojskowa. Z natury rzeczy stosowanie tych środków nacisku możliwe jest tylko wobec odbiorców amerykańskiej pomocy a więc pomniejszych sprzymierzeńców i Klientów Ameryki, rządzonych przez różne junty i dyktatury, zarzuczone przez komunistyczną dywersję. Główny sprawca pogwałceń praw i wolności ludzkich pozostawał całkowicie poza nawiasem Carterowskiej polityki obrony praw człowieka. Podejmowane ze strony polskiej próby przywrócenia równowagi przez powołanie do życia Komitetu Obrony Praw Człowieka, popierane przez Zbigniewa Brzezńskiego i kongresmena Faccella zostały stopniowane przez elementy skrajnie prawicowe w Kongresie. Obrona praw człowieka skierowana w jednym tylko kierunku geograficznym /głównie Ameryka Południowa i Środkowa/ i politycznym /dyktatury prawicowe/ stworzyła w praktyce podwójny standard moralny. Kompromisy i wyjątki podrytowane względami bezpieczeństwa stępiły jej ostrze i zgasiły do reszty początkowy entuzjazm, z jakim społeczeństwo przyjęło wprowadzenia do polityki zagranicznej elementu moralnego.

Nawet ta jednostronna i mało konsekwentna polityka obrony praw człowieka miała jednak jakieś symboliczne znaczenie dla dysydentów i opozycji w orbicie sowieckiej. Była przejawem zainteresowania Ameryki tą sprawą. Widziano w niej dalszy ciąg postanowień konferencji helsińskiej. Pod wpływem samego hasła powstały samorzutnie grupy obrońców praw ludzkich w Sowietach, w Polsce i w Czechosłowacji.

Odżegnanie się Keagana i Haiga od polityki obrony praw człowieka było wyrzuceniem dziecka z kąpielą. Jeśli obecny rząd pójdzie dalej po tej linii, będzie to równoznaczne z pozbyciem się ważnej broni ideologicznej. W kołach dysydentów i opozycji zostało to zrozumiane jako powrót do kissingerowskiej real politic.

Politykę obrony praw człowieka trzeba bowiem traktować właśnie jako broń a nie kazondziejską krucjatę albo narzucać innym własnym wartości moralnych takimi negatywnymi środkami nacisku jak odmowa pomocy gospodarczej i wojskowej.

Polityka praw człowieka musi być wyraźnie zdefiniowana jako moralna i materialna pomoc na rzecz demokratycznych obrońców praw ludzkich dążących do swego celu tak jak w Polsce i ZSRR - bez użycia siły. Tylko tak określona linia polityczna pozostawia poza nawiasem terrorystów i grupy marksistowskie manipulowane przez Moskwę lub Hawanę i tylko taka definicja pozwoli na uniwersalne stosowanie zasad w stosunku do wszystkich walczących o prawdziwą demokrację z despotycznymi rządami bez względu na ich zbarwienie.

Polityka obrony praw człowieka nie może być prowadzona przez dyplomatów a pomoc nie może być udzielana kanałami rządowymi, bo stawia to przedstawicieli polityki zagranicznej w konfliktowej sytuacji. Sowiety prowadzą swoją politykę na kilku szczeblach od siebie oddzielonych poziomach. Partyjne i państwowe organy zaangażowane w "wojnie ideologicznej" są odizolowane od resortu prowadzącego grę dyplomatyczną z obcymi rządami. Jeden tor służy polityce odprężenia, drugi działalności ekspansyjnej.

Amerykańska polityka obrony praw człowieka może się skutecznie rozwinąć, jeśli zostanie uwolniona od taktycznych ograniczeń, jakim podlega na codzień każda na świecie służba zagraniczna. Musi być w tym celu powołany komitet podporządkowany nadzorowi i koordynacji na najwyższych szczeblach, finansowany przez Kongres, ale równocześnie na tyle samodzielny, by przedstawiciele dyplomatyczni nie musieli przyjmować odpowiedzialności za jego działalność.

Dla opozycji w państwach totalnych komitet taki stałby się widocznym symbolem zainteresowania zarówno rządu jak i społeczeństwa amerykańskiego obroną podstawowych wolności i praw ludzkich. Stałby się jako most między administracją a takimi organizacjami społecznymi jak Amnesty International, Freedom House, Helsinki Watch Committee, Freedom of Publication Committee etc. Mógłby wykonywać wielorakie funkcje jak rejestracja wszystkich wypadków naruszenia praw człowieka i nadawanie im rozgłosu w skali światowej jako najsukuczniejszej obronie przed prześladowaniami; udzielać pomocy więźniom politycznym i ofiarom prześladowań; pomagać w publikacji dzieł i prac autorów nie dopuszczonych przez cenzurę w ich języku ojczystym i dorozumieć do ich rozpowszechnienia w danym kraju na zasadzie wolnego przepływu idei i informacji; udzielać na szeroką skalę nagród /nie subwencji/ na rzecz twórców, którym odebrano prawa publikacji czy wystawiania swych prac; zasłużonych obrońców praw człowieka - zarówno jednostek jak grup i organizacji.

Pomoc taka, udzielana w taki sposób jak to czyni obecnie AFL/CIO wobec NSZZ, zgodny z uznanymi normami międzynarodowego współzycia, w żadnym wypadku nie mogłaby oznaczać podporządkowania się regułom narzucanym przez ustroję despotyczne. Komitet Obrony Praw Człowieka powinien wreszcie ułatwić współpracę podobnych organizacji w innych krajach zachodnich, by stać się z czasem promotorem międzynarodowego ruchu obrony praw człowieka.

Funkcje te i zadania wymienione tu zostały przykładowo. Zasięg działania Komitetu ulemnie rozszerzeniu, gdy opinia publiczna oceni znaczenie i rolę instrumentu. Jego skuteczność będzie jednak zależała od tego, czy i w jakim stopniu możliwa będzie projekcja tego symbolu na ludność żyjącą w ustroju totalnym.

### Rola radiostacji

Trzecim elementem walki ideologicznej muszą się stać środki masowego przekazu, dostatecznie silne i atrakcyjne, by docierać do 350 mln ludzi na obszarze podlegającym dominacji sowieckiej. Wszystkie trzy rozgłośnie amerykańskie: Radio Wolna Europa, Radio Swoboda i Głos Ameryki muszą być wreszcie uznane jako integralna część amerykańskiego systemu obronnego, główne narzędzie kontrofensywy, potraktowane na równi z wydatkami na zbrojenia. Nie wchodzi tu w możliwość ich usprawnienia i podniesienia jakości programu. Zacząć trzeba od umieszczenia tego instrumentu bardzo wysoko na liście priorytetów strategicznych, naprawienia szkód wyrządzonych przez czynniki oszczędności i cięcia budżetowe a przede wszystkim radykalnego podniesienia i rozbudowy ich mocy technicznej.

Carter wbrew zabiegom Brzezińskiego i protestom grup etnicznych z Europy Wschodniej na zakończenie swojej kadencji zażądał od Kongresu obniżenia budżetu RFE/RL jeszcze o 4 mln dolarów. W ciągu kolejnych rządów Nixona, Forda i Cartera obie radiostacje straciły ponad 40% pracowników, możliwości odnowienia kadr zostały drastycznie ograniczone a w końcu doszło do tego, że maszyny antenowe w Portugalii i w Hiszpanii pokrywa rdza i sól morską, bo zabrakło funduszy na ich odmalowanie. Antena średniej fali, na której nadawane są programy do Polski, zbudowana była w 1949 roku i już dawno powinna była znaleźć się w składzie z antykami. Dwie inne starszki po prostu wysiadły. Cała Rosja azjatycka za Uralem nie wyłączając Azji Środkowej zamieszkałej przez 60 mln ludności moskwańskiej znajduje się poza zasięgiem jakichkolwiek nadajników amerykańskich. Nie ma audycji do Algieristanu czy na Kubę pomimo wielkiej obfitości talentów wśród uchodźców kubańskich i bliskości wyspy. Ze to Rosjanie budują gorączkowo na Kubie anteny przekątnikowe, z których płynie propaganda żywersyjna na obie Ameryki. Wszystko to świadczy o zupełnym braku zrozumienia dla roli czynnika ludzkiego w strategii amerykańskiej, wciąż doremnie poszukującej metody zatrzymania sowieckich podbojów bez wojny.

Według memoriału opracowanego przez ekspertów USA Bezpieczeństwa w roku 1976 skuteczne przebitcie się przez zagłuszenia wymaga budowy 36 nowoczesnych nadajników o dużej mocy, optymalnie rozlokowanych 77 na Europie Wschodniej, 17 na Rosji europejskiej i Kaukaz oraz 12 na Południowo-Wschodnią Azję i Syberię/. Carter ściął ten program z 36 do 11. Wągan pod wpływem niezadowolonych zabiegów czynników polskich i grup politycznych, współpracujących, nieoczekiwanie przez zarsch budowy na budynku RFE/RL w monachium cofnął redukcję 4 mln do-

larów i dodał na razie 3 mln na doraźne a palące potrzeby. Sprawa pełnego wykorzystania technicznego potencjału środków masowego przekazu jako głównego instrumentu w ofensywie ideologicznej jest wciąż otwarta.

Nadawanie audycji do orbity sowieckiej przy pomocy satelitów jest już dziś technicznie możliwe. Oznaczałoby to całkowite wyeliminowanie przesłuchań poza wielkimi ośrodkami miejskimi. Na przeszkodzie stoją wysokie koszty: około pół miliarda dolarów. Nie są one znówu tak wielkie w skali ogólnych wydatków na zbrojenia. Jeden lotniskowiec kosztuje dwa razy więcej. Wprowadzenie telewizji, którą mogłyby odbierać telewizory w Europie wschodniej i w ZSRR wymagałoby, przy obecnym stanie wiedzy technicznej, sześciu lat. Na przeszkodzie stoją narzucone przez ZSRR i kraje Trzeciego Świata konwencje międzynarodowe lekkoomyślnie przyjęte przez Departament Stanu lecz jak dotychczas nie ratyfikowane przez Kongres. W specjalnej rezolucji podpisanej przez 52 kongresmanów obu partii, a wniesionej z inicjatywy kongresmana Edwarda Derwieskiego, sygnatariusze domagają się, jak dotychczas na próżno, specjalnych dotacji na badania, które mogłyby znacznie obniżyć koszty audycji radiowych i telewizyjnych nadawanych przy pomocy satelitów.

Marksizm-leninizm i związany z nim system być może ma jeszcze jakąś atrakcyjną w krajach Trzeciego Świata znajdujących się na wczesnym etapie ekonomicznego startu. W obrębie bloku sowieckiego oficjalna ideologia jest całkowicie martwa podczas gdy idee prawa do strajku, zrzeszania się w związki zawodowe, wolności słowa i sumienia oraz bawna różnorodność pluralistycznego społeczeństwa mają coraz większą moc przyciągającą. Wypadki w Polsce, bez względu na to jak się skończą, są początkiem dezintegracji systemu sowieckiego. Może to być proces bardzo powolny lub szybki. Czy Ameryka i jej sprzymierzeńcy znajdują w sobie dość woli, by w obronie własnej proces ten przyspieszyć wszystkimi środkami jakie mają do swej dyspozycji?

#### WIDZIANE Z BRUKSELLI

#### RATUJEMY ZACHODNICH EGOTYSTÓW - Brukselczyź

Samuel Bronfman, miliarder /w dolarach/ właściciel ogromnego concernu whisky i innych delicjów, znany filantrop i mecenas, człowiek który "daje" bardzo dużo własnych pieniędzy na tzw. "cele", spóźnił się kiedyś na jakieś zebranie i zajął skromnie miejsce z tyłu sali. "Ależ, panie prezesie, to niemożliwe, powiedziałem do Bronfmana jeden z gospodarzy, pańskie miejsce jest przecież w prezydium". Bronfman nie drgnął, tylko powiedział: "Kłóć człowieku, niech pan się nie martwi, prezydium jest tam gdzie ja siedzę".

Niektórzy w Warszawie zachowują się jak Bronfman, nie mają jednak jego pieniędzy. Mylą się, jeżeli sądzą, że tam gdzie oni siedzą tam jest prezydium, a przede wszystkim, że świat to Bronfman, który siada skromnie i "daje" z miłości bliźniego.

Po pierwsze bowiem, miłość bliźniego to uczucie dwuznaczne i pojęcie abstrakcyjne. Zdaje egzamin z praktyki, kiedy sprowadza się do pukania do drzwi sąsiada o piętro niżej i wypożyczenia szklanki mleka, bo zabrakło na śniadanie. Sąsiad "kocha bliźniego", ale przede wszystkim wie, że on z kolei będzie mógł zapukać i poprosić o szklankę cukru w podobnych okolicznościach. Kiedy natomiast spirala "pukania do

drzwi" wykracza poza szklanę mleka czy cukru, i dochodzi np. do szczerzaki do zębów, żony lub, co gorzeza, samochodu, wtedy miłość bliźniego się kończy. Pozostaje nam zwycięzna zawiść, która jak wiadomo polega na tym, że my przegniemy mieć wszystko, to, co, oczywiście niesprawiedliwie, należy do innych. Mówimy wtedy: "egoiści".

Po drugie, pomoc bezinteresowna nie istnieje. Nawet Bronfman, choć szalenie bogaty i dobrego serca, "daje" także z wielu innych powodów nie mających nic wspólnego z miłością bliźniego: ulgi podatkowe, spokojne sumienie, solidarność szczepowa, ambicja, sława, obecność w historii.

Odwrotnie do Bronfmana Europejska Wspólnota Gospodarcza nie jest szalenie bogata i nie ma zwyczaju "dawać" na tzw. cele. Komisja EWG nie może, jak Bronfman, wyjąć z kieszeni książeczki czekowej i nie pytając nikogo wypisać kilku zer wyłączenie dla czystego sumienia, albo z umiłowienia kraju przodków. Polska, choć to dziwne i dziś w modzie, nie jest, jak wiadomo, krajem przodków urzędników EWG. Pomoc dla Polski nie jest bezinteresowna.

Różne są powody, dla których Zachód chce Polsce pomóc. Oczywiście, jest w tym nieco nut irracjonalnych: kraj chrześcijański, sumienie narodów, przedmurze, szable i roman-tyzm. Przede wszystkim jednak chodzi o elementy polityczne. Polska stara się obecnie ucywilizować ustrój komunistyczny, ten sam, z którym Zachód obecnie musi koegzystować, albowiem nie chce z nim wojować. Zachód ma więc oczywisty interes w tym, aby operacja polska się udała i pacjent nie umarł. Bezpieczniej i przyjemniej jest - jak już kiedyś to ujawniłem - koegzystować z Polską "Solidarności", Wałęsy i felietonów tygodnika Polityka, co jest jednak możliwe nie w ramach imperium brytyjskiego czy austriackiego /hélas! / a tylko z Polską Kani i Jaruzelskiego. I - jak to podkreśla niezmordowany Kisiel - w ramach geopolitycznego imperium Breżniewa.

Teza taka, pozornie prosta, nie jest jednak, o dziwo powszechnie uznana na Zachodzie. Pogląd, że zachodni kapitaliści i podatnicy, nie mają wyraźnych powodów aby ratować ustrój komunistyczny nie jest odosobniony. A nawet wprost przeciwnie. Argument, że nie należy jednostronnie ratować Ursusa skorc nikt się nie zwraca do ZSRR, aby pomagał ratować bani rutującego Chryslera, nie jest wymysłem li tylko Williama Safira, publicysty, z którym sąsiaduję czasem na tej samej stronie amerykańskiego dziennika. Wielu wybitnych polityków, kilku byłych i obecnych ambasadorów w Warszawie, sprzą liczbę fachowców od finansów i gospodarki, uważa np., że Polsce można by pomagać i udzielać dalszych kredytów nie w ogóle i nie jak filantrop Bronfman dla czystego sumienia i z dobrego serca, a we wspólnym interesie polsko-zachodnim. M.in. po warunkach przeprowadzenia poważnej reformy gospodarczej i poddania sposobu użytkowania kredytów określonej kontroli międzynarodowej. Inaczej bowiem - obawiają się na Zachodzie - także następne miliardy zostaną zmarnowane przez tych samych co już popsuli kilka zegarków i zwrot długów będzie jeszcze bardziej wątpliwy. Nie wiem w jakim stopniu artykuł Furrowskiego ze styczniowej Kultury został na Zachodzie przeczytany i przyswojony, ale wiem, że w czasie dwóch seminariów na uniwersytetach w Rzymie i w Paryżu interepelowano mnie w kwestii uzależnienia dalszych kredytów dla Polski od przeprowadzenia tam nierygodnych zmian w zarządzaniu gospodarką i jej finansowaniem zasobami.

Na razie jednak w EWG utrzymuje się pogląd bardziej umiarkowany. Ten mianowicie, że bez wpadania w przesadną spiralę "pułkania do drzwi", Polsce należy jednak nadal pomagać przezwy-  
ciągając trudności, które - jak tu wszyscy wiedzą - nie są ani  
trudnościami wzrostu ani przejściowymi. Koła te nie spodzie-  
wiają się, to jasne, wdzięczności /jest to w polityce uczucie  
podejrzane/, ale chciałyby móc zarejestrować sygnały potwier-  
dzające, że zwołennicy "teorii Chrysiere" nie mają racji. Nie  
mam zamiaru bronić EWG, które nie należy do moich ulubionych  
tematów, wiem, że wspólnota mogła być uczynić więcej dla Pol-  
ski, ale trzy rodzaje zarzutów, jakie stawia się Europie za  
jej pomoc dla Polski, po prostu nie pasują. + mogą zaszkod-  
zić. Nikt przecież nie wątpi, że niedługo delegacja z War-  
szawy zgłosi się w gmachu EWG z następną listą życzeń. Chodzi  
o to aby go nie opuściła z listą wyłącznie zażaleń.

### Sentymentalny minister

Najbardziej zastanawiający i reprezentatywny jest w tej  
mierze głos pana ministra Stanisława Długosza, zastępcy prze-  
wodniczącego Komisji Planowania przy Radzie Ministrów PRL.  
Jeżeli dobrze zrozumiełem wypowiedź pana ministra udzieloną  
pismu Ryński Zagraniczne w dniu 3 marca /lektura nie była łatwa  
jeżeli zważyć, że trzeba się było przedziierać przez takie  
pułapki nowomowy jak nieadekwatność, restrukturyzacja, deko-  
niunktura, newsis oraz luka inflacyjna, obiektywizacja itp./,  
to pan minister ma państwu kapitalistycznym za złe, że "wy-  
kazują w stosunku do Polski znacznie więcej egoizmu...".

Można by w tym miejscu sprytnie spytać "więcej egoizmu",  
ale od kogo, od jakich innych państw, ale trzeba przede wszyst-  
tym wyrazić zdumienie, że pan minister osoba - jak sam o  
sobie mówi - "zajmująca się od lat problemami współpracy za-  
granicznej i negocjacji z różnymi państwami" wprowadza tak  
sentymentalne pojęcia jak "egoizm" do stosunków międzynaro-  
dowych. Minister, człowiek widac uczuciowy, upiera się przy-  
nieklasycznych czynnikach handlu międzynarodowego. "A w  
ogóle, - zwierza się - to nie ma co w stosunkach z partne-  
rami kapitalistycznymi liczyć na sentymenty czy grupy eni-  
matycznych przyjaciół, o których piszą niektórzy nasi dzien-  
nikarze. W systemie kapitalistycznym pomaga się tylko wtedy,  
kiedy można na tym zarobić, albo kiedy się nie chce stracić..."

Nie są to rewelacje. Aż dziwne, że po to aby skarżyć się  
w ten sposób niezbędne było długoletnie "zajmowanie się"...  
 itd. a końcu p. Długosz ujawnia o kapitalistycznym egoizmie  
prawdę. "Głośno ostatnio reklamowana "pomoc" żywnościowa  
EWG okazuje się - twierdzi p. Długosz - tylko próbą pozby-  
cie się części nadwyżek niektórych produktów na warunkach  
dogodnych dla tego grupowania /zniżki cenowe są mniejsze  
od kosztów całszego składowania tych nadwyżek/..."

Można by znowu zapytać za co pan minister brał pieniądze  
zarobione przez polskiego górnika, skoro w ciągu "zajmowania  
się od lat" nie był w stanie zrozumieć istoty wilczego sys-  
temu kapitalistycznego i odkrył prawdę o "egoizmie" i tzw.  
"pomocy" dopiero po podpisaniu kontraktów, a nie przed, ale  
muszą przede wszystkim spytać gdzie twój ratunek, Polsko.  
Pan minister ma odpowiedź na pytanie gdzie nie ma egoizmu  
/ani nadwyżek zresztą/. "W stosunkach z krajami socjalis-  
tycznymi, powiada p. Długosz, możemy niejednokrotnie liczyć  
na prawdziwą pomoc wynikającą ze wspólnoty interesów nie  
tylko ekonomicznych".



Jeżeli znowu pominąć mało precyzyjne określenie "niejednokrotnie" - co bardzo osłabia entuzjazm pana ministra dla "prawdziwej pomocy" - to pozostaje zasadnicza wątpliwość dlaczego rząd PRL i pan minister Długosz w ciągu "długich lat zajmowania się" tak ostro napierali na EWG i na zachodnich bankierów, aby się na Polskę tak egoistycznie, jak pijawki, karmili i pesożytowali.

A teraz, dość sentymentów, kolej na fakty. Punkt pierwszy lamentu pana ministra sprowadza się do odkrycia, że to nie EWG pomaga Polsce, a Polska pomaga EWG w pozbyciu się katastrofalnych nadwyżek, pod którymi ugina się Europa ryzykując śmiercią przez uduszenie i przejedzenie. Co prawda, można by wyrazić żal, że pan minister nie skorzystał z okazji aby wyjaśnić tajemnicę produkowania przez gnijący kapitalizm katastrofalnych nadwyżek, podczas kiedy triumfujący socjalizm zdołał, jak na razie, wyprodukować jedynie nadwyżki bubli i ogonków, ale ważniejsze jest żeby stwierdzić, że teza o nadwyżkach jest w konkretnym przypadku umowy z Polską po prostu nieprawdziwa, a w każdym razie bez większego znaczenia.

Nadwyżki rolne były, są i będą. Rolnikom zachodnim opłaca się produkować nawet jeżeli wspólnota musi do tego dopłacać. Nadwyżki te jednak nigdy nie były tak małe jak w chwili decydowania o pomocy dla polski. Cukru, ryżu, smalcu lub jęczmieńca, właściwie wcale w nadwyżkach nie było. Nadwyżki masła równały się dwutygodniowemu spożyciu, co byłoby w Polsce fantastyczne, ale co na Zachodzie jest poniżej normy. Nadwyżki, powtarzam, są i - mam nadzieję - będą jeszcze bardzo długo i w EWG i w USA, skąd w roku 1980 popłynęło do Europy Wschodniej ponad 10 milionów ton zboża, głównie do Polski. Dzięki więc Panu Bogu za nadwyżki i za takie katastrofy. Niech polski minister, który powinien mieć tak dużo zmartwień na głowie, nie zajmuje się ratowaniem EWG od tego nieszczęścia.

Drugi punkt to zarzut szwindli z cenami. Ktoś z Warszawy puścił plotkę i ktoś inny narobił hałasu - niekoniecznie w interesie Polski - że EWG sprzedała Rosji masło po cenach niższych od tych, jakie zapłacić musiała Polska. Prawda jest wprost przeciwna. Nie należy przesadzać, dosyć nieładnych kombinacji kryje EWG w dziedzinie przełamywania np. embarga zbożowego wobec Rosji, aby trzeba było wymyślać nowe. Polska zapłaciła za masło 15% poniżej ceny światowej. Na tym właśnie polegała pomoc EWG, która pokrywa różnicę między ceną płaconą przez Polskę, a ceną jaką otrzymuje producent czy eksporter i która na ogół równa się cenie światowej. Rosja natomiast płaciła pełną cenę, bez żadnych tzw. restytucji. Plotka wykorzystuje nieporozumienie: to co sprzedawano Rosji poniżej światowej a nawet polskiej ceny masła, to był tłuszcz mieszany maślano-kokosowy nie nadający się do spożywania przez ludzi. Smacznego!

Trzeci wreszcie punkt, to zarzut opieszałości technicznej i kredytowej w realizacji umów zawartych z Polską. Znowu nieprawda, rzadko kiedy w praktyce EWG czyny poszły tak szybko za słowami. W dniu 17 marca, kiedy piszę te słowa, Polska mogła je zakupić - i formalnie biorąc rzucić na rynek - 100% zakontraktowanych ilości masła, cukru, ryżu, 75% wołowiny i zboża itd., a opóźnienia zdarzały się z powodu nieodczynnego charakteru transakcji. Włochy i Irlandia np. nigdy jeszcze nie udzieliły nikomu spoza EWG kredytów na zakup produktów rolnych. Jeżeli więc nie ma jeszcze śladu nadwyżek w sklepach i jeżeli ktoś jeszcze zadaje sobie pytanie "czy będziemy kiedyś jeść nadwyżki EWG", to niech się zwróci po

wyjaśnienie nie do komisji EWG czy parlamentu europejskiego, a do osób formalnie sprawujących władzę w PRL.

#### Nie egoizm a wyrachowanie

EWG nie jest stowarzyszeniem bractwa różańcowego ani armią zbawienia. Zajmuje się nie kochaniem bliźniego a robieniem interesów. Odmienne zresztą od pana ministra, polscy przedstawiciele do kontaktów z komisją EWG nie mają co do tego wątpliwości i nikomu nie wymyślają tu od egoistów. Wprost przeciwnie, bardzo są zadowoleni z przebiegu rokowań i realizacji umów. Mówią OK i w dalszym ciągu starają się - wbrew rozpaczy ministra od planowanie, zachować możliwość sięgnięcia do katastrofalnych nadwyżek nie w celu ratowania kapitalizmu, a w celu ulżenia do li Polaków. Odmienne niż ich minister, są oni zdania, że jeżeli chcemy, aby kapitaliści w dalszym ciągu pomogli rządowi w Warszawie ratować bankrutujący polski komunizm, to trzeba i tam w Polsce i tu w Brukseli zachowywać się poważnie.

Decyzja udzielenia Polsce pomocy miała oczywiście charakter polityczny. Nie podjęli jej urzędnicy komisji EWG duszeni nadwyżkami, a podjęli ją szefowie państw EWG formalnie na szczycie w Luksemburgu, faktycznie zaś nieco wcześniej, kiedy udało się włoczyć do ich świadomości fakt, iż nad Polską wisi dosyć niebezpieczeństw i że należy zmniejszyć groźbę wybuchu np. z powodu nędzy, koszmarnych ogonków, wściekłości zrozpaczonego tłumu i oszukiwanego społeczeństwa. Decyzja ta wynikała także z dobranej pojętego interesu Zachodu, który w czasie Afganistanu, Salswadoru, itd., nie chce dodatkowych napięć i nieporównanie groźniejszych komplikacji polskich. Tak więc się składa, że interes Polski i interes EWG uzupełniają się lub po prostu nie są ze sobą sprzeczne.

Jest to stan pozytywny, który należy przedłużyć jak długo się da. Nie pomagają temu prostackie propagandowe łamańce, nie tylko negujące czy przemilczające niewątpliwy wysiłek EWG, którego kraje członkowskie przeżywają głęboki kryzys gospodarczy, ale lansujące nieprawdziwe zarzuty i śmieszne pretensje. Pan minister odliczy, że składowanie nadwyżek kozałkowskich więcej niż wyniosły ulgi cenowe, a pewien dziennikarz obliczył, że odsetki od kredytów niezbędnych dla zakupu zakontraktowanych nadwyżek EWG przekroczą wartość bonifikat udzielonych przez Brukselę.

Odpowiedź Brukseli mogłaby być prosta: nie brać kredytów, nie kupować nadwyżek, niech kapitalizm zgnije do końca, a EWG udusi się pod górą nadwyżek, nie ratować "Chryslera", nie kupować od... Zachodu.

#### Nienapisany rozdział

A propos...

Polemizując z Wilianem Sapiroem, autorem w New York Times'ie tezy o "Chryslersze", dziennikarzem, który według Polityki, "traktuje neród polski wyłącznie jako kartkę do wydarcia z podręcznika historii, po to, żeby później dzieciom amerykańskim pokazać, że na brakujących stronach mieścił się rozdział pt. "Polska odnowa", ty. odnik warszawski wyraża nadzieję, że "są w Ameryce ludzie, którzy lepiej rozumieją Polskę i sytuację naszego narodu. Być może wytłumczą oni Sapirovi, że Polacy wcale nie pragną być amunicją w wojnie ideologicznej..." Nikt nie pragnie. Są w Ameryce a także i w Europie ludzie, którzy tłumaczą to Sapirovi i innym. Nie robi tego wszakże Polityka. Żenim Sapiro zdoła wydrzeć z podręczników historii rozdział pt. "Polska odnowa", tygodnik Polityka powinien podjąć

trud właściwego zredagowania i napisania tego rezdżaku. Inaczej bowiem, tak jak się to właśnie teraz dzieje, na placu pozostaną historycy tej klasy: co Koczarski i Gontarz, Sokorski czy Krasicki, żeby już pominąć pismo codzienne Żołnierz Wolności, pilnie czytanie nie tylko w Moskwie ale i na Zachodzie, jako że jest to organ obecnego premiera. Tacy historycy nie mają żadnej szansy przekonania Sefi'ów o tym, że Polacy nie chcą być amunicją w wojnie ideologicznej. Wprost przeciwnie.

W chwili kiedy rząd PRL negocjuje już nie kredyt kilkuset śmiesznych milionów dolarów na zakup żywności, ale moratorium ukryte pod eufemizmem "konwersji" około 24 miliardów dolarów oraz 10 miliardów natychmiast potrzebnych, z Warszawy wylatują dwie torpedy. Z jednej strony alegia o egoizmie zachodnich bankierów i rządów, z drugiej strony - "Grunwald". To dowodzi, że Zachód poznaje wielkie daty i nazwy z historii Polski, z których wynika, że co prawda jesteśmy biedni, ale że kredyty to nie jest pierwsza skazka do kontaktu z niektórymi naszymi dawcowymi partnerami. Szkoda tylko, że dzieje się tak przy okazji antysemitkiej hecy.

Dla nas sprawa jest jasna. Dziwić się należy nie temu, że "aż", a temu, że "tylko" 500 "patriotów" znalazło się, aby ujawnić syjonistycy ny spi. ek. Nie chodzi przecież o syjonistów, a o Wałęsę i o Jaruzelskiego. Obsz. ci panowie mają w Polsce i za granicą więcej przeciwników niż liczy cały ruch syjonistyczny z Kurokiem i Michnikiem włącznie. 500 ponurych facetów pod budynkami bylejakiej bezpieki nie wyczerpuje, niestety! liczby batalionów, zamierzających zatrzymać odnowę, "wydrzeć kartkę z podręcznika historii", zamienić Polaków w amunicję w wojnie nie tylko ideologicznej i sprzymierzyć się w tym celu z Moskwą, w czym lansowanie hasła właśnie antysemitycznych jest zabiegów naturalnym i skutecznym. Polacy już wiedzą, że i dziś, kiedy Polska jest "judenrein", i w 1968 roku, kiedy było jeszcze w Polsce kilkanaście tysięcy Żydów, nie chodziło o Żydów a o chodząco o Polaków, i że właściwymi adresatami "zdrowego odruchu narodu" - ówczesnego "Grunwaldu" - nie było 15.000 Żydów, których z Polski wypędzono, a było - jak to wykazały tzw. wyderżnienia z lat 1973, 1976 i 1980 - 35 milionów Polaków, którzy w Polsce pozostali.

### Nie błogosławić

Polacy to wszystko rozumieją, Sefi'owie niekoniecznie. Układam ten krótki wypis z większej pracy, którą Polityka, zasm. nadzieje, niedługo napisze, po to aby cały świat i Sefire zrozumieć mieli naprawdę, że nie chodzi ani o "Chryslera" ani o amunicję ideologiczną. Brak prawidłowej interpretacji marca 1969 uniemożliwia prawidłową interpretację "Grunwaldu" 1981, utrudnia prawdziwy dialog z Zachodem.

Partia oraz niektórzy bezpartyjni traktują Marzec i jego trujący opad, zakażeniem całego jednego pokolenia Polaków, jak chorobę węgryczną. Lepiej nie dotykać. Polityka ogłosz. kiedyś list w tej sprawie, ale natychmiast zapetrzyła go nieprzekonywującym komentarzem, /je wiem, że nie swoim/, że to nie czas na porachunki. JARNE, że z Koczarem czy z Ciszowskim w Biurze politycznym, nie mówiąc już o ich brunatnych porteparole'ach w kraju i za granicą, rewizje Marca i oczyszczenie abcesu nie jest operacją prostą. Ale partia się ponylizła. Argumentu, że nie "czas na porachunki" nie wzięli pod uwagę warszawscy studenci. Ani antysemita!

A tymczasem gdyby nie zabroniono Polityce, która ma tyle zaskak w propagandzie zdrowego rozsądku w Polsce, pójść za mądrą inicjatywą Bartoczewskiego i innych, to dziś "Grunwaldy" rozmaitej maści, także gospodarczej, miałyby wyraźne oblicze nie antysemitkie czy antyzachodnie a antypolskie, a p. Kanis nie musiałby wykonywać dziwacznych kamałów ideologiczno-propagandowych polegających na potępieniu antysemityzmu i uznaniu konieczności rewizji Marca, przy równoczesnej odmowie uznania racji tych, którzy tej rewizji dawno dokonali albo wręcz byli tego Marca ofiarami. Kanis upiera się, że rację miał Koczkar a nie Kozłowski. Jest to zajęcie nieproduktywne. "Rewizjoniści" ani w kraju ani za granicą, nie są odpowiedzialni ani za Marzec 68, ani za Grudzień 70, ani za Czerwiec 76, ani - mam nadzieję, że p. Kanis już w to nie wątpi - za Sierpień 80 i to wszystko co po tym nastąpić...

W czasie wizyty pewnego wysokiego rangi polityka amerykańskiego, papież udzielił błogosławieństwa wszystkim obecnym, rodzinnie gościa i liczny dziennikarzem. W pewnej chwili papież zorientował się, że nie wszyscy obecni są katolikami i szybko ich uspokoił: "Moje błogosławieństwo nie powinno wam zaszkodzić..."

Cwiadczenie p. Kani piętujące antysemityzm w kraju bez Żydów, nie może już też nikomu zaszkodzić. Natomiast wykluczenie z jego "partyjnego błogosławieństwa" osobników określanych jako "rewizjoniści", którzy, mimo partyjnej rewizji Marca, nie mogą liczyć na "rehabilitację", może być szkodliwe. Dla p. Kani.

To nie rewizjoniści czy syjonisci powinni prosić p. Kanię i jego partię o rehabilitację. To p. Kanis i jego towarzysze powinni skromnie i bez pokrzykiwania prosić o rehabilitację. Powinni o to prosić oczywiście nie rewizjonistów czy syjonistów, a naród polski.

Oraz jeszcze inne narody.

KULTURA 5/1981

#### ARCHIWUM POLITYCZNE

#### CZY JEST POTRZEBNA NIEZALEŻNA OPOZYCJA? - Jan KIELANOWSKI

Czy to prawda, że wobec zmian, które zachodzą u nas od półroczna, KSO "KOR" zamysła się rozwiązać? Z pytaniem tym spotykamy się ostatnio dość często. Niektórzy spośród pytających gotowi byłiby uważać taką decyzję za zrozumiałą i słuszną; odnosząc się do KSO "KOR" i innych niezależnych organizacji opozycyjnych nawet z sympatią i ceniąc ich zasługi, sądzą oni, że powstające obecnie zrzeszenia w rodzaju "Solidarności", związków twórczych, klubów, demokratycznie powołując władze reprezentatywne dla swych środowisk, równie dobrze - nie tak samowolnie spełniać mogłyby i powinny tę samą rolę - rolę społecznego sumienia, stróża godności narodu i jego praw. Są i tacy, którzy wiedząc o rozważaniu się KOR-u oczekują dość niecierpliwie i z satysfakcją. Rekrutują się oni spośród osób, które dostrzegają, choć z suładonnie przysioną ostrością, co się u nas dzieje i na których sumieniu pojawia się pewna leka wysypka, że nic nie przedsięwzięli, aby się temu przeciwstawić. Nie tak dotkliwa jednak, by zmusić ich do porzucenia drożnych komfortów, zwdzięczonych lojalności; rozwiązanie KOR-u pomógłby im w pozbyciu się resztek tej wysypki. W końcu, niektórzy tak mówią: "Chcecie rozwiązać KOR? Teraz? Niechże was ten bóg broń!". Najdziwniejsze w tym wszystkim, że choć pogłosek jest dość

wieści o zamierzonym rozwiązaniu KOR-u nie wyszły z jego grona i można przypuszczać, że kto inny zainteresowany jest w ich szerzeniu. Kto? Nie próbuję zgadywać. Zapewne niejedno jest ich źródło. Do rozwiązania KOR-u namawiano już niekiedy z pewnością w dobrej wierze, w czerwcu 1977 roku, gdy pomyślnie zakończyła się sprawa Ursusa i Radonia. KOR namów tych nie usłuchał, dodał tylko litery "ISS" do swej poprzedniej nazwy - i dobrze się stało, że został, trudno mieć co do tego wątpliwości.

Przedmiotem moich rozważań nie był jednak nie tylko KOR, lecz ogólnie to wszystko, co najtrafniej nazywa się niezależną opozycją demokratyczną, mając przy tym na myśli nie wystąpienia odosobnione, choćby osób albo grup o wysokim autorytecie, lecz organizacje trwale istniejące i rozwijające działalność w imię określonych zasad. Do momentu sierpniowej kulminacji organizacji tego rodzaju było w Polsce dość dużo. Zachowując z grubsza porządek chronologiczny, wymienić tu można Komitet Samoobrony Społecznej "KOR", Ruch Obrony Przew Człowieka i Obywatela, Studenckie Komitety Solidarności, Towarzystwo Kursów Naukowych, Komitet Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej i inne podobne organizacje chłopskie, Ruch Młodej Polski, kilka grup organizacyjnych niezależnych związków zawodowych, Konfederację Polski Niepodległej. Sporo było poza tym organizacji efemerycznych albo zrzeszających zaledwie kilka osób.

Kilka miesięcy przed powstaniem KOR-u rozpoczęło działalność Polskie Porozumienie Niepodległościowe.

Solidnie opracowane, obiektywne publikacje FPN zdobyły mu w społeczeństwie zaufanie i autorytet i można mieć nadzieję, że prowadzona przez nie akcja będzie kontynuowana. Zespół ten, strzegąc anonimowości członków i autorów, nie ujawnia się jednak publicznie i zachowując pewien dystans w stosunku do bieżących wydarzeń, ograniczając się wyłącznie do dystrybucji swych opracowań. Na skutek wiążącej się z tym inercji, chociaż jest niezależny i bez wątpienia opozycyjny, nie może być zaklasyfikowany do niezależnej opozycji, o której pragnę pisać i za której cechę swoistą uważam personalną obecność w polskim społeczeństwie z wszystkimi konsekwencjami, jakie stąd mogą wynikać.

W następstwie gdańskiej Umowy Społecznej sytuacja zmianała się bardzo radykalnie, przede wszystkim z uwagi na utworzenie i bujny rozwój "Solidarności". Zgadzaniem rzetelnych związków zawodowych, któremu w działalności opozycji demokratycznej nadawano należytą rangę, znalazło dzięki temu nadspodziewanie pomyślnie rozwiązanie i w życiu społecznym powstał zupełnie nowy czynnik, silny i niezależny. Zadaniem "Solidarności" będzie z natury rzeczy szeroko rozumiana obrona praw pracowniczych; powinna ona także uzyskać bardzo poważny wpływ na organizowanie, planowanie i rozwój produkcji, po zwalczeniu anarchii, panoszącej się w tej dziedzinie co najmniej od dziesięciolecia. Wszystko to także dotyczy innych niezależnych i samorządnych związków zawodowych, gdy tylko powstaną i ustabilizują się, przy czym szczególnie ważna rola przypadnie organizacjom rolniczym, których powstanie, gdy piszę te słowa, natrafia wciąż jeszcze na duże i wielorekłe trudności.

Legalizacja związków zawodowych i, co za tym idzie, wzmocnienie ich w istniejący system administracji i władzy, z jednej strony jest niezbędne, lecz z drugiej nakłada na nie dość znaczne ograniczenia. Zgodnie z Umową Gdańską związki mają zachowywać charakter "apolityczny" i "uznawać kierowniczą rolę partii". Co prawda, już samo ich istnienie jako organizacji niezależnych i samorządnych poczytywane być musi za fakt polityczny o bardzo doniosłym znaczeniu, bez precedensu w krajach naszego systemu, za bardzo ważny krok w kierunku demokra-

tyzacji i stąd nerwowość naszych sąsiadów. Niemniej, chcąc utrzymać i rozwinąć swe zdobycze, "Solidarność" i inne związki nie mogą angażować się w żadną działalność, która mogłaby być interpretowana jako zechcą na ustroj określony konstytucją, ani, przede wszystkim, na sojusznicze układy. Ponieważ interpretacja, poparta siłą i wciąż ponawianymi groźbami, należy tu do władz, jeśli ma nie dojść do konfliktu o nieobliczalnych konsekwencjach, konieczne jest zachowywanie skrajnej ostrożności. Nie do odparcia jest bowiem pogląd, że okrzepnięcie organizacyjne i ustabilizowanie się autorytetu "Solidarności" w kraju i poza jego granicami powinno być w chwili obecnej jej celem nadrzędnym. Liczne sprawy dla kraju ważne, lecz dla władz drażliwe, spośród których kilka później wymienię, będą więc musiały znaleźć się poza sferą jej działalności.

Okrzepnięta "Solidarność", nawet gdy działalność jej nie będzie dotyczyć zagadnień w ścisłym rozumieniu politycznych, stanie się mocną podstawą do stopniowej demokratyzacji życia społecznego większości jego przejawach. Nikt nie może dziś mieć wątpliwości, że członkowie "Solidarności" i jej oddani zwolennicy stanowią w narodzie przynajmniej większość, żadne więc sprawy, które mogą liczyć na jej choćby milczące - na razie - poparcie, nie będą przez władze negligowane. Chociaż więc realizm polityczny nakazuje unikać konfrontacji z władzą, opartą o "Solidarność", wzmocnioną jej sojuszem z Kościołem, daje możliwość znaczącego bezkonfliktowego poszerzenia swobód. Gdy to piszę, pod koniec stycznia 1981, wiele już na tym polu osiągnięto: przoduje tu całkowicie chyba oczyszczony z totalitarnych nacisków ZNP, za nim poszły lub pójdą inne związki twórcze, zapowiada się odzyskanie częściowej przynajmniej autonomii szkół wyższych i nauki, udrzwia się szkolnictwo średnie i powszechne, rośnie liczba katolickich klubów inteligencji i niezależnych organizacji młodzieżowych. Toczy się batalia o nową ustawę o cenzurze, a tymczasem, choć niektóre informacje i wypowiedzi są nadal kurtyzowane, w prasie pojawiają się często rozsądne i bardzo odważne artykuły, o których dopuszczeniu przez cenzurę przed półroczem nawet i mowy być nie mogło. W ten sposób prasa legalna odbiera podziemnej potencjalnych autorów, co jednak nie przeszkadza ukazywaniu się bardzo licznych ulotek, broszur, nowych czasopism, produkcyjnych schładnie przez małą poligrafię z ominięciem cenzury. Widocznie działalność przewencyjna w tej mierze nieco /oby nie chwilowo/ osłabła, choć nie brak wiadomości o konfiskacie powielaczy.

Może więc rzeczywiście niezależne opozycja staje się zbyt czynna, może zeżądania jej mogą przejąć legalne stowarzyszenia, może rolę jej periodyków spełniać zaczęta np. wydawnictwa "Solidarność", obok niektórych dotychczasowych, lecz swobodniejszych dziś gazet i tygodników? Pytanie to na razie jest przedwczesne, bo proces przemian, rozpoczęty z końcem sierpnia, nie jest zakończony, daleko jeszcze do stabilizacji stosunków społecznych. Nie można wykluczyć, że proces ten toczyć się będzie dalej, że w stosunku do swobód już osiągniętych nastąpi regres, może nawet dość znaczny. Zależać to będzie od różnych czynników wewnętrznych i zewnętrznych, przeważnie niemożliwych do przewidzenia. Żegnając zapobieg decyzjom nierozważnym, a także chcąc uwiadomić sobie zeżądania jeszcze nie spełnione, potrzebę będąc zbyt zochoczoną niezależnej opozycji demokratycznej rozważyć jednak można i należy już dziś, przyjmując za punkt wyjścia sytuację obecną i realistycznie oceniając zakres jej ewentualnych zmian.

Łódźcem, który spowodował powstanie zorganizowanej opozycji niezależnej stało się jaskrawe pogwałcenie praworzeczności po wypadkach czerwcowych w 1976 roku, a po upływie roku likwidacja

skutków tego pogwałcenia wzmocniła stanowisko i autorytet opozycji w społeczeństwie i wytworzyła atmosferę sprzyjającą poszerzeniu i rozwinięciu jej działalności. Obrona praworządności i pomoc dla ofiar jej łamania spełniała w niej, jeśli może nawet nie najważniejszą, to w każdym razie bardzo istotną rolę, w znacznej mierze wyczerpującą rozporządzalne środki i możliwości. Wydaje się, że zadania te podjęte zostaną obecnie przez zalegalizowane zrzeszenia, w pierwszym rzędzie przez "Solidarność" i inne związki zawodowe, a także przez niedawno zawiązany Patronat nad "Wspólnymi". Tu więc niezależna opozycja mogłaby zostać zastąpiona bądź co najmniej poważnie odciążona, choć pozostanie z pewnością margines przypadków, w których akcja zrzeszeń legalnych nie wystarczy i konieczne będzie odwoływanie się do niekserpowanej opinii obywatelskiej.

Bardzo utrudnione, zwykle niewskazane, a czasem wręcz niemożliwe będzie natomiast występowanie wszelkich zalegali swanych zrzeszeń w obronie praw ludności innych krajów, przy czym szczególnie drażliwe i częste, niestety, są sprawy łamania praworządności w ZSRR i pozostałych sąsiadujących z nami krajach. Ustosunkowanie się nasze brakuje nie może i głos naszego protestu powinien być słyszany, gdy gwałcone są prawa obywatelskie, narodowe lub religijne Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Litwinów, Łotysz, Estończyków. Solidarność nasza z radzieckimi dysydentami, a pośród nich z czcigodnym i nieustraszenym Andriejem Sacharowem, z czechosłowackimi przedstawicielami Karty 77, udokumentowana jest wspólnymi wystąpieniami i tu niezależnej opozycji zastąpić się nie da.

Sumienie nasze obciąża los Polaków, obdarowanych obywatelstwem radzieckim. Przed kilku laty z inicjatywy Antoniego Słomińskiego zespół literatów upomniał się o ich prawa, o zapraszanie do kraju tej najliczniejszej po USA grupy Polaków żyjących na obczyźnie, o reżyczenie nad nimi opieki, umożliwienie nauki języka i dziejów ojczystych. Inicjatywa ta została uciszona, a wznowienie jej jest naszym obowiązkiem, który podjąć może tylko opozycja. Dzisiaj nie potrafimy nawet wymienić liczby tych naszych rodaków, wiemy tylko, że z roku na rok maleje na skutek rusyfikacji. Pomimo sąsiedztwa i jednocierennego ustroju naszych krajów, repatriacja ich jest bardzo trudna. A jaki jest los mniejszości narodowych w PRL? Ze strony władz - i nie tylko z ich strony - sprawa tych mniejszości jest przeliczana, pomniejszana, ignorowana. Znow należałoby zacząć od rzetelnego uprzytomnienia sobie liczby żyjących w Polsce Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Dane ze spisów ludności nie zastępują na zaufanie, gdyż, po pierwsze, jak wiele innych /choćbyżby dotyczących produkcji/ mogą być sfałszowane, po wtóre, liczni przedstawiciele mniejszości ze względów oportunistycznych z pewnością deklarują się jako Polacy. Dotyczy to przede wszystkim Ukraińców, na skutek przymusowych przesiedleń rozproszonych w małych grupach po całym kraju i często zastraszonych. W stosunku do nich ponosimy największą winę. Cierpieli, co prawda, głównie w wyniku poczynąk władz, które równocześnie poddawały srogim represjom także ludność polską i usprawiedliwia to częściowo smutny fakt, że społeczeństwo nasze zachowało milczenie, gdy powinno było opowiedzieć się w obronie prześladowanych Ukraińców. Kto nasze obciąża jednak czasem niechętnie ustosunkowywanie się do przesiedlonych Ukraińców, w następstwie nieszczernej, świadome uprawianej propagandy odwetu, trafiającej niekiedy na podatny grunt. Na skutek represji, głównie brutalnych przesiedleń, łankawie, jako odrębna grupa etniczna, praktycznie przestali istnieć, co nie bez podstaw określane jest przez ukraińskich emigrantów jako ludobójstwo. Spieszczające przema-

nowanie wielu odwiecznych nazw miejscowości na Rzerzowszczyźnie, nota bene przeważnie nieudolne i głupie, to inne świadectwo anty-ukraińskich poczynań władz PRL. Sprawa może najsboleńszo, to zaniedbanie opieki religijnej nad katolicka ludnością ukraińską obrządku wschodniego, co również podnosi ukraińska emigracja. Obawiam się, że zarzut ten jest uzasadniony. lecz jeśli jest inaczej, należy o tym otwarcie powiedzieć. Niedawny synod ukraińskich biskupów w Kzymie stwierdził nie po raz pierwszy, że powojenne wcielenie unitów do rosyjskiej cerkwi prawosławnej było bezprawiem i nie ma mocy obowiązującej, z powinności z tym związanych należy się więc wywiązać. Problemistka idącej również w setki tysięcy mniejszości białoruskiej oraz najmniej licznej litewskiej jest zapewne nie tak drastyczna, lecz żyjący w Polsce Białorusini i Litwini także zasługują na naszą przyjazną pomoc i opiekę, a dotyczy to również całkiem już drobnych grup Tatałów i Keraimów oraz, jeśli jeszcze istnieją, żydostwa chasydzkiego. Sprawy mniejszości narodowych w naszym kraju otwarcie, śmiało i bez uprzedzeń podjąć dziś może tylko niezależna opozycja i tylko ona nawiązywać może dialog z ich przedstawicielami przebywającymi na emigracji.

Niezależna opozycja - czyniono i nadal jeszcze czyni się jej z tego zarzut i przedmiot oskarżeń - w miarę bardzo tłumionych możliwości starała się utrzymywać łączność duchową z polską emigracją polityczną. Podstawą było przekonanie o jedności kultury narodowej, współtworzonej w kraju i za granicą, a zarazem łączność ta była nieustającą i bardzo potrzebną. Zaświadczeniem tej jedności. Stało się to oczywiście w chwili, gdy nagrodę Nobla przyznano Czesławowi Miłoszewi, poecie i pisarzowi emigracyjnemu, w kraju znanemu małej grupce uprzywilejowanych posiadaczy wydawnictw Instytutu Literackiego, ale także tysiącom czytelników "bibuły", wydawanej z omińnięciem cenzury". Opozycja utrzymywała kontakty z wszystkimi emigrantami, którzy tego rzeczywiście pragnęli i czując się wygnanymi, chcieli świadczyć dla ojczyzny czym kto mógł, myślą, mową i uczynkiem, wedy chociaż per procura być w kraju docelowym. Rozumie się, że kontakty te zagęszczają się wokół wydawnictw i periodyków: na pierwszym miejscu, daleko przed innymi, wokół Kultury i Instytutu Literackiego, ze skupiskiem "nowej" emigracji około Aneksu, a także w pobliżu Kontynentu. Wkrótce po swym powstaniu krajowa opozycja niezależna przemówić już mogła bezpośrednio do liczniejszych emigrantów poprzez reedycje własnych czasopism. Bez wątpienia Kultura była przyczynkiem, którzy opozycji umożliwił zbudowanie mostu. Aby most ten był uczęszczany, by stawał się coraz szerszy i mocniejszy, niezbędna jest niezależna opozycja, bo dla łączonej wianych pojazdów teraz i pewnie jeszcze dość długo most ten będzie zamknięty.

Jeszcze w czerwcu 1980 roku dyskutowano w TKN sprawę publicznych wykładów dla kilkudziesięciu bodaj słuchaczy. Ostatni taki wykład, wygłoszony przez Władysława Bartoszewskiego, uhonorowany wizytą wywołujących do rozejścia się "władz" i wyróżniony grzywnami, odbył się 1 listopada 1979 r. Do kolejnych, przewidzianych programem, już nie dopuszczono. W jesieni 1980 roku chciano dokonać nowej próby zorganizowania inauguracyjnego wykładu prosiad Edwarda Lipińskiego o jego wygłoszenie we własnym mieszkaniu i licząc, że autorytet prelegenta zapobiegnie najściu milicji. Tymczasem na przykład trzeźwemu pesymizmowi wykład prof. Lipińskiego odbył się otwarcie w Auditorium Maximum UW dla 2 tysięcy rezentuzajmowanych słuchaczy. Później nie można już było prawie nastarczyć wykładowców .. którzy przy tłumnej frekwencji wygłaszają prelekcje w całym kraju. Prelekcje oczywiście niecenzurowane i w niczym nie krępujące wykładowców, po wykładach dyskusje



są otwarte, nie ma takich spraw, które omijano by z politycznych powodów. Czy oznacza to, że TKN obecnie może już rozwijać bez przeszkód swą programową działalność, tj. udostępnić i rozwinąć rzetelną wiedzę, głównie w zakresie historii, filozofii, ekonomiki, socjologii? Będą czy zadania te będą przejęte przez inne powołane do tego organizacje, jak np. Polskie Towarzystwo Historyczne albo Towarzystwo Wolnej Wszechnicy Polskiej? Można się spodziewać, że uda się utrzymać przynajmniej część zdyscyplinowanych, dotyczących usmierzenia zapędów cenzury oraz swobody studiów i dyskusji, podobnie, jak po przewrocie październikowym, ale tak samo jak wtedy następować będzie stopniowy regres. Trudno bowiem oczekiwać, że władze nie będą stawiały przeszkód w udokumentowanym przedstawieniu genezy inwazji radzieckiej w 1939 roku, losu jeńców polskich w ZSRR i półtora miliona deportowanych na Syberia Polaków, albo w otwartym konfrontowaniu obowiązujących dogmatów marksizmu i socjalizmu z współczesną myślą ekonomiczną i socjologiczną. Jeśli więc TKN zeżbrane dalej pełnią rolę poręczycielską i propagatorów prawdy w dyscyplinach humanistycznych, będzie musiał zachować swą niezależność i gotowość do przeczyczenia przeszkód w swej tak bardzo potrzebnej działalności.

TKN nigdy nie miało i nie będzie miało na celu prowokacyjnego koncentrowania się na zagadnieniach szczególnie drażliwych dla naszego wielkiego sąsiada i tym samym dla tutejszych władz, jednakowoż dążąc do przedstawiania całej niewypaczonej prawdy nie mogło i nie będzie mogło takich zagadnień unikać. Szczególnie ważna jest historia, najpierw dlatego, że jest siedliskiem, organem pamięci: wierność, czystość i powszechność wiedzy historycznej jest głównym warunkiem naszej świadomości i tożsamości narodowej. Po wtóre, z przyczyn łatwych do zrozumienia, historia była dziedziną najczęściej i najprzewrotniejszą zakłamywaną, najpilniej więc wymaga odkłamania. Istnieją realne przesłanki do przewidywania, że obecna działalność historyków w polskich uniwersytetach i instytutach znacznie się oczyści i ożywi. Jeśli pominiąć smutne, lecz raczej nieliczne wyjątki, historycy polscy tworzą środowisko uczciwe i wysoko kwalifikowane, zdolne do kontynuowania najlepszych tradycji naukowych. Warunkiem pozytywnego rozwoju pozostanie jednak istnienie trybuny całkowicie niezależnej, a więc TKN albo podobnej organizacji, umożliwiającej zuchwie nie skrupułowane ścieranie się poglądów, a także rozporządzającą możliwością swobodnego publikowania rozpraw i dyskusji, bez jakiegokolwiek cenzury.

Już więc ukazuje się wyraźnie konieczność kontynuowania akcji wydawniczej całkowicie wolnej od wszelkiej ingerencji władz. Klucza wydawnicza NCK-owej, która otwiera drogę dla innych podobnych oficyn, rozwinięta się z inicjatywy niezależnej opozycji, aby potem stać się jej oparciem oraz najważniejszym instrumentem oddziaływania. Wystarczy pomyśleć o roli odegranej przez Kopotnika, a także przez Biuletyn Informacyjny, Zapis, Głos, Krytykę. Istnienie tych periodyków w przeszłości i dziś jest nie do pożylenia bez niezależnej opozycji demokratycznej, tak samo, jak działalność opozycji nie mogłaby się rozwijać bez ich istnienia. Nawet stroniący od skojarzeń z opozycją klub dyskusyjny "Dowiedzenie i Przyszłość" w swej walce z marazmem gospodarczym chętnie skorzystał z pomocy niezależnych wydawnictw. Prawdziwie swobodna informacja poglądów, dotyczących nie tylko historii, ale także ekonomiki, socjologii, filozofii, będąca niezbędnym warunkiem rozwoju kultury, wymaga w naszych warunkach kontynuowania egzystencji zrzeszeń deklarujących pełną niezależność oraz niezmiernie ograniczonej swobody wydawniczej.

Wszystkie te rozważania prowadzą do konkluzji, że niezależna opozycja demokratyczna, uosobiona w jawnie występujących, nieanonimowych zrzeszeniach o jasno zdefiniowanej postawie, prowadząca działalność według dotychczasowych zasad, jest Polsce nadal niezbędnie potrzebna. W obliczu osiągnięć ostatnich miesięcy zedenia jej oczywiście ulegną przemianom. Tam, gdzie dotychczas wkraczała opozycja, teraz często wystarczy ingerencja zalegalizowanych organizacji, pozostaną jednak jeszcze istotne sprawy, których podejmowanie będzie dla tych organizacji trudne albo niemożliwe. Ponadto, dopóty, dopóki w wolnych wyborach nie zostanie powołane rzeczywiste przedstawicielstwo narodu - na co, niestety, w najbliższych latach jeszcze się nie zanosi - a w zagadnieniach zasadniczych zachodzić będzie potrzeba ocwołania się do niczym nie przytkłumionej opinii publicznej, głos społeczeństwa nadal będzie mogła reprezentować tylko niezależna opozycja. Powaga jej, jak dotychczas, będzie się mogła wspierać jedynie na osobistym autorytecie jej przedstawicieli. Nakładać to będzie na nich wielką odpowiedzialność, zadania ich wymagać będą odwagi cywilnej, hartu i ofierności. Zschowując niezachwianą wierność przyjętym zasadom, nie będą mogli zajmować takich publicznych stanowisk, które mogłyby ich krępować w jawnym wypowiedzeniu opinii zgodnej z sumieniem, liczyć się będą musieli z różnymi przejawami dyskryminacji, z pomówieniami, niekiedy z bolesnym oszczotnieniem, powodowanym tak częstym, niestety, wśród inteligencji oportunistem. Kiekistwam do naśladowania wzorem może być tu niezależna postawa demokratycznych opozycjonistów w Związku Radzieckim i w Czechosłowacji.

Aburdalna byłaby intencja, aby tak rozumiana niezależna opozycja zgrupowała się w jednym jakimś zrzeszeniu: różnice w wyznawanych zasadach społeczno-politycznych, w bezpośrednich celach, w strategii działania, podobnie jak w wolnym społeczeństwie demokratycznym, wyrazić się będą musiały pluralistycznie, tak, jak to u nas było dotychczas. Kiekistóre zgrupowania opozycyjne przetrwają, niektóre rozwiążą się lub po prostu zanikną, nowe powstaną. Jedność platformy moralnej umożliwi nam jednokrotnie podejmowanie wspólnej akcji przez różne zgrupowania, tak, jak to już bywało w przeszłości, niekiedy nawet w skali międzynarodowej. Nazwa zgrupowania nie ma większego znaczenia, lecz kojarz się z nią pewne postawy i wydarzenia, obrasta ona trudycją, co nie jest obcojętne, szczególnie wtedy, gdy tradycji tej nie trzeba się wstydzic. Niech zdanie to będzie odpowiedzią na pytanie, postawione na wstępie.

KORRESPONDENCJA Z RZYMU  
Lominik KRASKI

Człowiek dla naszych czasów /rozmowa z Jean-Marie Lustigerem/

Od paryskiej parafii Sainte-Jeanne-de-Chantal w ciągu piętnastu miesięcy, poprzez siedzibę biskupią w Orléans, do największej i najbardziej prestiżowej diecezji w samym sercu Francji. Oto biskupowska "kariera" Jean-Marie Lustigera, nowego arcybiskupa Paryża, byłego duszpasterza studentów literatury i nauk humanistycznych na Sorbonie. Fakt, że urodził się w rodzinie polskich Łydów i przyjął chrzest w 1940 roku<sup>x</sup>

x/ Urodził się w Paryżu 17.9.1926 r., na chrzcie przyjął imię Jean Marie, nie wyrzekając się własnego imienia Aron.

wywołał nieco niezdrówą sensację już z okazji nominacji na biskupa Orleanu /10 listopada 1980/, z wielokrotnioną jeszcze, kiedy otrzymał nominację papieską na arcybiskupa Paryża /2 lutego br./.. Tak jakby wyłącznym motywem tej nominacji była okoliczność jego pochodzenia i "nawrócenia".

Kiedy poznałem go w czasie spotkania zorganizowanego w seminarium francuskim w Rzymie /w dniu przyjęcia go przez Papieża/, dla zamkniętej grupy dziennikarzy akredytowanych przy Watykanie, przez naszego dziekana, Maxa Bergerre'a, odniosłem wrażenie, że na ten rozgłos o cechach agresji na jego prywatcy, reaguje ze zniecierpliwieniem. Trudno się temu dziwić. Podczas debaty w radio "France-Inter", nazajutrz po nominacji, oświadczył, że konieczność oswojenia się z tego rodzaju ciekawością i traktowaniem przez opinię publiczną kosztuje go w kategoriach "osobistej ofiary", której cenę "zna tylko Bóg". Na natarczywe pytania jednego z dziennikarzy włoskich odpowiada, że akceptuje termin "nawrócenie" w sensie biblijnym jako wskazanie na "rzeczywistość historyczną, w której kwestia Izraela i wiary narodów stanowi samo serce chrześcijaństwa, a Jezus Chrystus stanowi znak sprzeciwu". Pytania na temat jego pochodzenia interpretuje jako niestęsumienie Zachodu. Co sądzi o ostatnich zamachach antysemitycznych we Francji i RFN? "Nie jest to nowe zjawisko, trzeba tylko zweryfikować czy chodzi o zwykłą wysypkę, czy też o ospę". Nie wyklucza, że chodzi o "ducha rewanżu".

Przedstawiono mnie w krąganku seminarium, gdzie odbyło się nasze spotkanie. Wygląda o 10 lat młodziej, ubrany jak clerygman, prosty w obyczajach i nieceremonialny, od razu powiedział z uśmiechem: "moje polskie znajomości są ograniczone, nauczyłem się kilku polskich słów w stołówce seminarium od kolegi Polaka". Śmieje się kiedy przytaczam - by go sprowokować - etykiety jakich mu prasa przykłada: "nowoczesny tradycjonalista", "klasyk o nowoczesnych upodobaniach", "oświecony konserwatysta". W żadnej z tych klasyfikacji nie widzi siebie. Odpowiada słowami Chrystusa do Pilata: "ty to powiedziałeś". Innymi słowami, "konserwysta", "tradycjonalista", "progresista", z czy bez przymiotnika, stanowią kategorie nieadekwatne dla wyrażenia zjawiska religijnego. Według niego "odzwierciedlają jedynie to co jest w umyśle klasyfikującej, prawdziwie bowiem klasyfikacje zależą od danych problemów, od sposobu ich pojmowania". Na moje pytanie, zmieniające do uściślenia tej kwestii: - chodzi zatem o kategorie relatywne, zależne od punktu odniesienia? - odpowiada twierdząco.

Po oczyszczeniu pola z obiegowych uproszczeń, przechodzimy do sedna zasadniczych problemów, dotyczących ogólnej sytuacji Kościoła, tożsamości chrześcijańskiej i perspektyw chrześcijaństwa na tle pontyfikatu Jana Pawła II. "Koniec Soboru Vaticano II - stwierdza - zbiegł się z zachodnimi iluzjami na temat nieograniczonego postępu ludzkości. Pojawienie się wciąż nowych problemów i rozczarowania w okresie posoborowym uderzyło w koniunkturę społeczną, nie naruszyło jednak w niczym przełomu dokonanego przez ten Sobór. Wiele osób - w tym różni myśliciele i działacze katolicki - sądziło, że filozofię przyszłości stanowi marksizm. Wydawało im się, że chrześcijaństwo może odnowić się i wzmocnić poprzez symbiozę z marksizmem. Dziś, nawet filozofowie marksistowsy oceniają te rachuby, jako naiwne, a historia, ze swymi okrucieństwami, potwierdziła, że chodziło o czyste złudzenie".

Po tej konstatacji można lepiej zrozumieć dlaczego, mówiąc o problemach wobec których stoi dziś Kościół, abp Lustiger znajduje się na tej samej długości fali z Janem Pawłem Drugim. Jego zdaniem, chrześcijański Zachód akcentował zawsze tożsa-

mość i różność innych i ta tendencja spowodowała że zapomniano o własnych korzeniach chrześcijańskich. "Po to by nadal nie ulegać tej tendencji sekularyzacyjnej - mówi - trzeba odnaleźć własną tożsamość, należy dziś rewindykować prawo do tożsamości dla nas samych jako chrześcijan. W tym sensie jesteśmy zobowiązani do dysydencji". Generalna sytuacja Kościoła Powszechnego odznacza się, według niego, kresem eurocentryzmu. "Nie można - stwierdza - mówić nadal o Zachodzie w kategoriach doraźnych, geopolitycznych sprowadzających się do naszej części Europy. Kraje takie jak Polska, Litwa, Czechosłowacja, Węgry, należą do Zachodu w sensie kulturowym. Europa Wschodnia należy do świata przemysłowego, stanowi wytwór tej samej racjonalności. Obecny podział Europy jest więc kryzysem en famille. Dowartościowanie tradycji kulturalnych i udziału lokalnych Kościołów wschodnich jest dla Kościoła Powszechnego zyciową koniecznością, jednym z naczelnych warunków przetrwania, rozstrzygającym drogę do wyjścia z panującego kryzysu". Diagnoza tego kryzysu jest w jego ujęciu surowa: "Zachód w aktualnym wydaniu eksportuje własny model myślenia, własną akumulację bogactw i zarazem zubożenie duchowe".

Oddziaływanie Papieża na opinię publiczną jest - według niego - realne, aczkolwiek trudne do wymierzenia. Sytuacja chrześcijaństwa jest według niego związana z obecnością Papieża polskiego, który "może stać się katalizatorem idei, ponieważ jego wrażliwość jest wpisana w samo tkło dramatu europejskiego. Stawis on pytania - tak jak w czasie ostatniej wizyty w Japonii - które uruchamiają nowe siły i potudniają refleksję nad poruszonymi problemami - nie wymagając zatem udzielenia przezeń odpowiedzi". "Do niedawna - ciągnie dalej - wyłączność chrześcijaństwa ograniczała się i zamykała się w orbicie Francji, Włoch, Hiszpanii i Niemiec. Te kraje stanowiły katolickie unwersum. Dzisiaj, z wiekowego zapoznania wkraczają na widownię wszystkie siły ukryte, historycznie związane z chrześcijaństwem i inne, które jeszcze je ignorują tylko dlatego, że było dotąd zamknięte w orbicie zachodnioeuropejskiej. Papież zna tę nową rzeczywistość, symbolizuje ją. Wszyscy ci, którzy na własnej skórze doświadczali co oznacza ojcowska rozczłonkowanie, którzy poznali konflikty rasowe i etniczne, doznali tragedii masowego uchoźstwa i dramatu totalitaryzmu - słusznie sądzą, że Papież ich zrozumie. Jan Paweł II zwraca się do narodów, posiada silne poczucie ich misji dziejowej i uczy nas zarazem właściwej miary rzeczy. Jeśli naród traci poczucie własnej przeszłości, historyczną pamięć własnego dziedzictwa kulturalnego, skazuje się na śmierć".

Przyszłość chrześcijaństwa? Czy przewiduje możliwość zahamowania zjawiska dechrystianizacji w świecie przemysłowym? "Nie można planować rozwoju wiary tak jak produkcji samochodów. Sprawa jest otwarta. Występują na arenę nowe siły w Europie Wschodniej, Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji. Przyszłość chrześcijaństwa rozgrywa się przede wszystkim w grupach młodzieżowych, gdzie już można dostrzec odnowę duchową i zdumiewające przejawy wspaniałomyślności. Rozgrywa się również w łonie żytywnych mniejszości, które antycypują przyszły kształt chrześcijaństwa. Zbliżając się do progu trzeciego tysiąclecia, znajdujemy się już w nowym brząsku chrześcijaństwa, które posiada wizję człowieka bardzo różną, bogatą i solidną, na miarę czasów pełnych fermentów i rozkładu tradycyjnych walorów, tzn. zjawisk wynikających z samej ewolucji społeczeństwa".

Spotkania z wybitnymi ludźmi, świeckimi czy duchownymi, pozostawiają wrażenie bądź o przewadze elementu emocjonalnego bądź też czysto intelektualnego. W spotkaniu z abo. Lustigerem nie górował ani jeden ani drugi, lecz obydwu naraz. Ogarnął mnie azam-cunek i podziw, czemu na pożegnanie dałem spontaniczny wyraz. Kiedy go ponownie spotkam, tym razem w Paryżu, jednym z tematów rozmowy będzie kultura - jest bowiem, jak sam przyznał, słabo zorientowany w sprawach polskich i pragnie tę lukę uzupełnić.

Papież a chadecja. Dalszy ciąg podszywania się pod cudze szyldy

Na liście uczestników audiencji papieskiej 2 kwietnia br. z okazji 100-letniej rocznicy urodzin Alcide De Gasperi'ego, dla przedstawicieli europejskich stronnictw chadeckich, figurowało pod hasłem "Polonia" nazwisko Jerzego Skwary "z Krajowej Komisji Solidarności". Listę sporządziło biuro Światowej Unii Chrześcijańskiej Demokracji. Tenże samowolny delegat Krajowej Komisji Porozumiewawczej "Solidarności" wystąpił w rzymskiej Operze na jubileuszowej galoperze ku czci De Gasperi'ego, jednego z założycieli i przywódców włoskiej Democrazia Cristiana. Wszyscy zorientowani wiedzą, że w/w pan jest członkiem Polskiego Związku Katolicko-Społecznego - dywersyjnej organizacji utworzonej przez posła Żabłockiego. Ukryto jednak skrętnie ten fakt przed prasą, podszywając go ponownie pod cudzy szyld. Jak wiadomo, mimo protestów /ocenzurowanych w prasie krajowej/ przedstawicieli sumentycznego ruchu katolickiego "Znak", grupa Żabłockiego, po przekształceniu się w PZKS, utworzyła obecnie lokalną komórkę "Solidarności" po to by zatrzeć w zbiorowej pamięci awą przezachłość. Grupa ta, według opinii miarodajnych przedstawicieli różnych środowisk krajowych /zwłaszcza z Warszawy, Krakowa, Lublina i Gdańska/ jest nadal pozbowiana całkowicie zarówno kredytu moralnego jak i poparcia społecznego.

Obecność delegata tej grupy na międzynarodowym spędzie w Rzymie świadczy o nieprzerwanych jej ciągatach do przekształcenia się w stronnictwo chadeckie, satellite reżymu. Potraktowanie jej przez chadecją Unię Światową jako ersatz'u wymagało kamuflażu. Poakuzanie się szyldem "Solidarności" stoi ponadto w sprzeczności z interesami tego niezależnego syndykatu, którego przywódcy i wszyscy doradcy są zdecydowanie przeciwni nadawaniu mu charakteru konfesjonalnego, a tym bardziej chadecckiego. Także Episkopat polski jest przeciwny wszelkiej ideologicznej orientacji tego syndykatu.

Przedstawiciel PZKS-u nie śmiał nawiązać kontaktów z polskim środowiskiem katolickim w Rzymie. Przypadkowo spotkany kapłan wrócił mu dobru dusznie uwagę na negatywne konsekwencje występowania pod szyldem "Solidarności", do czego jest nieuprawniony i nie ma mandatu. Zaczerwienił się i zaczął coś bąkać o rekomendacji bp. Bednorza z Katowic i rzekomych zbiegach o pomoc dla MKZ z Jastrzębia na Śląsku skąd pochodzi.

Włoski poseł E. Rumor, przewodniczący chadeckiej Unii Światowej /UADC/ i jego współpracownicy kładą się oczywiście, że przy pomocy tego rodzaju szalbierstw uda im się wprowadzić, w bład Papieża. Można im jedynie doradzić, by zastanowili się i wyciągnęli wnioski z przestrogi papieskiej. W przemówieniu na w/w audiencji Papież postawił im jako wzór do naśladowania b. członek parlamentu austriackiego /De Gasperi pochodził z Trydentu, okręgu który przed pierwszą wojną światową należał do monarchii austro-węgierskiej/. Nawoływał ich do działania w harmonii z jego /silną wiarą i duchowym zaangażowaniem, ożywianiem wizją wolną od egoizmu i osobistych interesów". Naj-

wytrawniejszy "watykanista" włoski E. Lei, komentując to przemówienie, stwierdza: "Zamysł papieża polega na penetracji chrześcijaństwa we wszystkie ruchy społeczne i polityczne, a więc także o orientacji socjaldemokratycznej i laickiej". Przyjmując na audiencji 3 marca br. katolickich posłów i senatorów francuskich z różnych ugrupowań, oświadczył, że "katolicy są uprawnieni do przynależności do rozmaitych formacji politycznych... istnieje słuszna autonomia czynnika politycznego, zgodnie ze słuszną zasadą pluralizmu w demokracji". Jan Paweł II zrywa z dotychczasową praktyką włoskich papieży popierania "jedności katolików w życiu politycznym" czyli z koncepcją, jakiej chędący nie chcą lub nie potrafią się wyrzec. Kontynuując swoje rozrywki - sprwadzające się wyłącznie do zachowania władzy - działają w złą i wierze. Pogrążeni po uszy w rozmaitych kombinacjach i spekulacjach /jak słynny skandal bankiera Sindony, przypominający kładąc przedwojenną aferę Stawisky'ego we Francji/, utracili kredyt społeczny i wiarygodność jako stronnictwo o inspiracji chrześcijańskiej. Stwierdzają to dziś jednomyślnie intelektualści i działacze katolicki, odcinający się lub przynajmniej dystansujący się od chadecji. Parlamentarzyści chadecy młodszej generacji zaczynają dostrzegać akumulację zł, wynikającą z luctim pomiędzy uprawianym politykierstwem, brakiem wszelkiej wizji, a aferami gospodarczymi, co spowodowało małe trzęsienie ziemi w tej partii.

KULTURA 6/1981

#### WARIANT OPTYMISTYCZNY - Jan KOWALSKI

Od jesieni zeszłego roku widno interwencji sowieckiej wisi nad Polską. Ale interwencja nie następuje. Ujmując rzecz w kategoriach tak zwanej doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności, Rosjanie mają już od wielu miesięcy "powód" do interwencji. Najpierw zaskoczył ich strajki robotnicze latem zeszłego roku, w czasie których podobno dwukrotnie groziło wejściem do Polski. Następnie musieli strawić powstanie wojsnych związków zawodowych i przyznanie robotnikom prawa do strajku. Dla wielu z nas wydarzenia te były zaskoczenie, coż więc mówić o władcach Kremla. W czasie pobytu Keni na zjeździe KPZS w Moskwie mieli pech z strony przywódców sowieckich dwa bezapelacyjne postulaty pod adresem partii polskiej. Zatrzoniono jej udzielenie zgody na związek zawodowy rolników indywidualnych i ześlądno osłózenia zjezuzu PZPR o rok. Lania próbował wywiązać się z tych nakazów, ale ciśnienie od dołu zniweczyło jego "dobre chęci". Mimo uprzedniego negatywnego wyroku Sądu Najwyższego PRL, wieemy już, że fala buntu chłopskiego wymusiła faktyczną i prawną zgodę na zarejestrowanie "Solidarności" wiejskiej. Wreszcie bunt dołów partyjnych, ulegających demokratycznemu duchowi całego narodu, spowodował wczesniejszą zwołanie zjezdu partii, zgodnie z wolą jej członków i wbrew woli Moskwy. Ciśnienie z dołu uważało się tym razem silniejsze niż ciśnienie z góry i Lania musiał znieść uwagę i przyrzeczenia cewane w Moskwie. Najdelikatniejszym politycznie momentem w ostatnich miesiącach była prośba strajku generalnego, związanego z pocieniem działaczy związkowych w Łódzku. Wiele wskazuje na to, że gdyby 30 marca nie nastąpiło porozumienie komisji rządowej i przedstawicieli "Solidarności" i w konsekwencji odwołanie strajku generalnego, to władza spróbowaby uprzedzić strajk i zastosować przemoc, co wobec ich słabości musiałoby skończyć się interwencją sowiecką. Ale i tym razem Rosjanie, choć

ramach manewrów wojskowych Układu Warszawskiego mieli najdogodniejszą operacyjnie okazję szybkiego opanowania Polski, nie uciekli się do tego drastycznego środka.

Wszystko to nie jest przypadkowe. Nacisk na Polskę trwa nadal, ale niezdecydowanie kierownictwa sowieckiego jest wyraźne. Mówi się nawet, że Breżniew i Gromyko są przeciw interwencji - ze względu na jej ewentualne skutki i komplikacje międzynarodowe, a Cusłow i Andropow prą do niej, jeden z przyczyn ideologicznych, a drugi, jeśli tak rzec można, z powodów profesjonalnych. Układ sił w sowieckiej górze partyjnej musi być jednak nadal interwencji nieprzyjający. Nie bez znaczenia pozostaje naturalnie fakt, że Zachód, a szczególnie administracja Reagana interweniuje w sprawie polskiej wcale energicznie. A do tego Sowieci już od dawna nie są przyzwyczajeni. Na tok myślenia przywódców Kremla, w tym wypadku w przeciwnym kierunku, ma wpływ "nietyпова" dla nich sytuacja w polskiej partii. Jest już oczywiste, że jeżeli interwencji nie będzie, to PZPR stanie się po zjeździe inną partią, mniej zburokratyzowaną, mającą wiele mechanizmów kontrolnych. Zachowując przynajmniej formalnie zasady marksizmu-leninizmu, partia będzie bardziej autentycznie robotnicza i bardziej się uspołecznia, pozbawiając zawodowców "aparaczków" dużej części ich wpływów i przywilejów. Niektórzy sądzą, że to właśnie stanie się przyczyną sowieckiej interwencji, że Rosjanie mogą zgodzić się na wszystko, tylko nie na partię, które nie jest w ich całkowitej i wyłączonej dyspozycji. Jest to argument poważny, głównie ze względu na międzynarodowe położenie Polski, na jej strategiczne znaczenie dla imperium sowieckiego. Dlatego uważam, że ani do zjazdu PZPR, ani też przez pewien czas po tymże zjeździe, nie można wykluczyć inwazji sowieckiej na Polskę. Ale mimo wszystko skłaniam się do wariantu optymistycznego, że inwazja nie jest jednak nieunikniona.

Dość powszechnie wiadomo, że głód panuje nie tylko w Polsce, ale i w Rosji. Okupacja wojskowa Polski przez Rosję sprawiłaby tej ostatniej potężne kłopoty. Nie tylko Ameryka, ale nawet Francja i RFN dałyby Kremlowi do zrozumienia, że byłoby to koniec wszelkiego "pdpnężenia", koniec - przynajmniej na pewien czas - rozmów rozbrojeniowych, koniec korzystnej wymiany gospodarczej i zdobywania zachodniej technologii. Sami Rosjanie wiedzą, że ich korpus ekspedycyjny w Polsce musiałby być o wiele liczniejszy niż w Afganistanie. Musieliby więc wziąć setki tysięcy rąk od pracy i żywić setki tysięcy żołnierzy okupujących Polskę. Wreszcie przejęliby całą odpowiedzialność za skutki finansowego bankructwa państwa polskiego wobec państw i banków zachodnich i musieliby sami stawić czoła głodowi w Polsce. A głód dyktuje różne, nawet nieobliczalne odruchy. W razie interwencji rozlew krwi mógłby nastąpić nie tylko w czasie wkroczenia Rosjan, ale także w czasie ich postępu w naszym kraju. Rosjanie są także świadomi, jak wszystko to rzutowałoby na wewnętrzną sytuację w ZSRR, jak bardzo osłabłoby ten kraj gospodarczo, prowadząc w konsekwencji do poważniejszych rozruchów w samej Rosji.

Wszystkie te argumenty są znane całemu światu, ale, moim zdaniem, nie tylko one powstrzymują Rosjan od inwazji przeciw Polsce. Góra partyjna w ZSRR, dobrze wie, że poważna część społeczeństwa także w Rosji żyje w nędzy i wie, że terrorem można zmuszać też do godzenia się z tą sytuacją. Od lat terro-

rem zmusza się narody Związku Sowieckiego do straszliwych wyrzeczeń, by prowadzić politykę imperialną i prześcignąć Zachód w zbrojeniach. Choć więc gospodarze skutki interwencji w Polsce mogłyby być dla Rosji niemal katastrofalne, to jednak nie one definitywnie decydują o tym, że Rosjanie zwiekają z decyzją, a być może nie zdecydują się na interwencję.

Nie zapominajmy, że ZSRR jest mocarstwem światowym, a jego przywódcy, choć w polityce wewnętrznej bywają tępi i dogmatyczni, w polityce zagranicznej myślą w kategoriach imperialnych, a nie partykularnych. Imperium sowieckie dokonało w ostatnich latach olbrzymiego wysiłku zbrojeniowego, a następnie umocniło swą pozycję światową szeregiem lokalnych zaborów jak choćby w Anglii, Abisynii, Jemenie czy Afganistanie. Wszystko to jednak spowodowało częściowe "obudzenie się" Zachodu, zwycięstwo prezydenta Reagana i pierwsze próby przeciwstawienia się lokalnym agencjom sowieckim. Rosjanie/doskonale wiedzą, że zdecydowanie przeciwstawienie się ich dalszym zdobyciom imperialnym jest o wiele silniejsze w USA niż w krajach Europy zachodniej. Dlatego jednym z ich celów strategicznych jest rozluźnianie sojuszu zachodniego i wykorzystywanie w tym celu odziedziczonych po generale de Gaulle separatystycznych tendencji Francji i narodowych aspiracji Republiki Federalnej Niemiec. Wielu komentatorów zachodnich sądzi, że NATO stanowi dziś sojusz bardziej formalny niż faktyczny. Nie szedłbym tak daleko, ale fakt rozluźnienia związków USA z ich europejskimi sojusznikami nie ulega wątpliwości. Osobny rozdział stanowi także rola Japonii, której dynamika gospodarcza stawia i Stany Zjednoczone i ich europejskich sojuszników w sytuacji wielce kłopotliwej. Gdyby nie typowy dla myślenia imperialnego upór Sowietów w sprawie wysp Kurylskich, sytuacja na odcinku Japonii mogłaby nastęrczać także wiele obaw. Zachłanność stanowi na szczęście największą słabość imperializmu. Stawiając na rozluźnienie w bloku zachodnim, jako na swój główny cel strategiczny. Rosjanie nie mogą jednocześnie powtórzyć w Polsce operacji węgierskiej z 1956, czy czechosłowackiej z 1968 roku. Tak więc, przez lata całe denerwujący Polaków brak solidarności Francji i Republiki Federalnej Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi, w tym momencie gra na naszą korzyść. Najpoważniejszym rozmówcą Breżniewa w ostatnich miesiącach był zachodnioniemiecki minister spraw zagranicznych Hans D. Genscher. Tenże Breżniew sam właściwie zaprosił się do republiki Federalnej Niemiec. Rosjanie, nie przyzwyczajeni do tonu jakim rozmawia z nimi administracja Reagana, chcą teraz za wszelką cenę konfekować z Niemcami Zachodnimi i Francją. Można wątpić, czy kraje te będą z tego wiele miły, poza oczywiście korzyściami w wymianie i współpracy gospodarczej. Ale trudno jest przypuścić, żeby Rosjanie nie rozumieli, że ich wielka gra na rozluźnianie więzów bloku zachodniego byłaby do pogodzenia z interwencją w Polsce i dalszym zaciskaniem powrozów krępujących blok wschodni. Być może znajdujemy się na pewnym zakręcie historycznym, oznaczającym rozluźnienie więzi w obydwu blokach, przy jednoczesnym utrzymaniu zasadniczych struktur NATO i Układu Warszawskiego. Jeśli jesteśmy rzeczywicie świadkami takiego zwrotu, to Polska ma szansę, jaka zdarza się raz na kilkadziesiąt lat. Przełomy historyczne bywają jednak zdradliwe i nie raz występują w czasie ich trwania cofnięcia wstecz. Stąd nakaz ostrożności i rozważa dla Polaków pozostaje w całej pełni w mocy. Wielka ilość czynników politycznych i psychologicznych wpływa i będzie wpływać na politykę sowiecką, by w sprawie polskiej nie



dała za wygraną. Polacy mogą przyczynić się do tego, by Rosjanie nie popełnili szaleństwa, które w ostatecznej konsekwencji wstrząsnęłoby całym imperium. Możemy to uczynić umacniając wolności uzyskane od lata 1980 roku i wszelkie dalsze kroki podejmując z należytą ostrożnością, po dokładnym rozeznaniu sytuacji. Nie ma żadnych stałych granic, które chroniłoby nas przed interwencją sowiecką. Granice są płynne, stale się zmieniają. Wpływ na ich wytyczanie mamy my sami, jak to mogliśmy stwierdzić w ostatnich 9 miesiącach. Wpływ ma układ sił na Kremlu i ogólna sytuacja imperium sowieckiego. Tym razem poważny wpływ ma także Zachód i to nie tylko Ameryka, ale głównie Niemcy Zachodnie. Jeśli uda im się wciągnąć ZSRR do stałego dialogu z Zachodem, to będziemy uratowani, naturalnie pod warunkiem, że w Polsce nie zdarzy się nic, co stałoby się wielką prowokacją. Nie możemy pozwolić sobie, że KGB stać tylko na prowokację, tak prymitywną, jak pobicie związkowców w Bydgoszczy. Pewna nadzieję budzi fakt, że społeczeństwo Polskie w ciągu ostatniego roku przeszło nieluzką szkołę polityczną, reaguje alergicznie na skrajności i nie wydaje się podatne na próby awantury, czy prowokacje. Wydaje się także, że powinniśmy z pewnym relatywizmem podchodzić do tezy o rozluźnieniu się więzów w obydwu wielkich blokach politycznych. Pamiętajmy, że armie sowieckie stoją nad Łabą, a co kilka dni instalowana jest nowa rakietą średniego zasięgu, wycelowana na Zachód. Pamiętajmy, że na wszystkich naszych granicach, dookoła Polski stoją armie, gotowe w każdej chwili wejść do naszego kraju. Z pewnością Sowiety jak każde inne imperium w dziejach, przeszły swój rozwój, miały liczne konflikty, ujawniły się ich załamania i rysy strukturalne i nieuchronnie wejść w fazę upadku. To wszystko wiemy i możemy przewidywać w oparciu o liczne analogie historyczne. Historia nie zna jednak jeszcze upadku imperium wyposażonego w broń nuklearną i inne monstrualne siły zniszczenia. Stąd wypływa wymóg ostrożności przewidywania rozwiązań finalnych i wysuwaniu zbyt daleko idących haseł politycznych. Za takie hasła uważam nadal ideę wyjścia z Układu Warszawskiego, lub tak czy inaczej pojętą finlandyzację. Nikt nie jest w stanie przewidzieć rozwoju wydarzeń na zbyt odległą metę. Niestety przewidywania na bliską przyszłość też nie są całkiem pewne, bo nie znamy wszystkich współczynników międzynarodowych i wewnętrznych polityki bloku wschodniego, decydujących o naszej przyszłości. Wysunęliśmy hipotezę optymistycznego wariantu rozwoju spraw polskich. Hipoteza ta ma jak sądzę, poważne oparcie w celach politycznych, jakie stawia sobie obecnie imperium sowieckie, a więc działania Polaków w ostatnich latach i w ostatnich miesiącach wydają się racjonalne. Musimy jednak uwzględnić możliwość ruchów wstecznych. Historia nie wyraża krzywej nieustannego i niezgrożonego wzrostu ku dobru. Dlatego interwencji sowieckiej w Polsce wykluczać nie wolno. I nie wolno zapominać o należytej ostrożności. Jednak bez pewnego ryzyka polityki narodowej i niepodległościowej uprawiać nie można. Nie jesteśmy natomiast narodem strażników. Nasze poczynanie i wyutki mają szansę i opierają się o sprzyjające elementy w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Polska rewolucja z lata 1980 roku zaczęła się z przyczyn wewnętrznych. Z niemożliwości dalszego znoszenia przez naród bezprawia, nierzeczy i go przez dyktantyzm, przy jednoczesnym stałym uzależnieniu go od Sowietów. Nasza rewolucja jest najczystsza wielkimi niebezpieczeństwami, a w momentach spięć w Polsce w całej Europie zapierało ludziom dech w piersiach. Nie dla pokrzepienia serc, ale w oparciu o trzeźwą analizę sytuacji ogólnej możemy dziś jednak stwierdzić, że istnieje także optymistyczny wariant dalszego rozwoju wydarzeń.

## KORRESPONDENCJA Z RZYMU

### "Polonizacja Kościoła Powszechnego"? - Dominik MORAWSKI

Nowy pontyfikat wywołał w świecie - czego nie należało się spodziewać - ogromny wzrost zainteresowania dla problematyki polskiej w ogóle, a dla roli chrześcijaństwa i Kościoła w szczególności. Zanikły za jednym zamachem rozmaite irytujące clichés, jak "kościół milczenia" /mówił przecież głośno/ lub "kościół prześladowania" /w porównaniu z innymi krajami bloku wschodniego "tylko" był azykanowany/. W miejsce ignorancji, której nie można uprawiedliwić /kto chciał mógł bowiem sięgnąć do dokumentów/, zaczęły kursować - zwłaszcza we Włoszech - pośpieszne i naciągane często oceny, a nawet obawy o "polonizację" Kościoła Powszechnego. Naciągane, bo sprowadzające spoiwość i siłę katolicyzmu w Polsce wyłącznie do motywacji politycznych. Patrząc przez okulary zachodnie, w zależności od preferencji patrzącego zobaczono Kościół ten jako ośrodek epozycji politycznej lub jako dialogujący, a nawet ugodowy wobec władzy.

Wybitny socjolog włoski F. Alberoni dostrzegł w elekcji Jana Pawła II dylemat: "Jaki kościół polski ma odegrać rolę modelu dla całego katolicyzmu, czy dewocjonalny Kościół masowych procesji i pielgrzymek do sanktuariów, czy moralnie potężny, schronienie i twierdza dla wszystkich, zaangażowany w obronę praw człowieka?". Oczywiście dylemat fałszywie postawiony. Jeden i drugi Kościół są bowiem nierozłączne. Pojawiły się również głosy mądrzejsze: "Z doświadczeń konfrontacji z marksizmem kościół polski wyszedł nie tylko wzmocniony, ale i oczyszczony. Mam wątpliwości, czy doświadczenia te były twardsze od doświadczeń Kościoła na Zachodzie, rozkładanego przez konsumizm" /G. Alberigo, historyk kościelny z Bolonii/.

Zainteresowanie dla polskiego wątku w obecnym pontyfikacie nie jest pozapawione pewnego lęku o automatyczne niejako przenoszenie na grunt zachodni "modelu" Kościoła w Polsce. Obawy te, moim zdaniem przesadne, choć często przez Polaków alimentowane, pojawiają się nieraz w krytycznych akcentach watykańskich komentatorów. Doszło do tego, że zwykły włoscy śmiertelnicy piszą listy otwarte do prasy katolickiej, dając wyraz tym obawom. Tygodnik Il Sabato, organ swangardowej, młodzieżowej organizacji katolickiej Comunioni e Liberazione, opublikował kiedyś list czytelnika, atakujący - nie bez pewnej racji - redakcję pisma za forsowanie polskiej tematyki kościelnej i katolickiej bez należytego pogłębienia, za wybijanie sensacyjnych nieraz momentów bez krytycznego komentarza. W miesięczniku CSEO, zasłużonego ośrodka dokumentacji w Belonii, zajmującego się problematyką Kościoła w Europie Wschodniej,

---

1/ Wydał on m.in. po włosku zbiór pism Karola Wojtyły dot. etyki społecznej, "Dzieje chrześcijaństwa w Polsce" pod red. prof. J. Kłoczowskiego, "Przedłom historyczny. Chrześcijaństwo i marksizm w Polsce" ks. prof. J. Tischnera /polskie wydanie pt. "Polski kształt dialogu"/. Biblioteks Spotkań, Londyn, Rzym 1981/.

ukazał się ostatnio list czytelnika odwołującego prenumeratę, ponieważ "centrum przestało być ośrodkiem dokumentacji całej Europy Wschodniej, stając się jedynie odbiciem jednej jej części /Polski/. Należałoby zachować dystans w interpretacji wyderzeń, unikać manipulacji i przesądów... wydaje się, że wybór tego Papieża skłonił Was do sądzenia, że jedynym sposobem zreformowania Kościoła katolickiego jest polski wzorzec!". Redakcja broni się przed zarzutami, ekceptuje jednak rakt, że opinia tego czytelnika "podziela wiele osób", które patrzą na pontyfikat Jana Pawła II z obawą o polonizację Kościoła, zwłaszcza Kościoła włoskiego." Wydaje mi się, że do tych obaw, w zasadzie nieuzasadnionych jeśli chodzi o bezpośrednie "polskie" oddziaływanie pontyfikatu, przyczynia się pewna swoista "moda na Polskę", która przejawia się nieraz w formach nieszczerzych, naciąganych i oportunistycznych. Ale jak każda moda, może szybko zgasnąć. Na to zjawisko składają się drażniące przykłady forsowania obrazu Polski /a zwłaszcza jej kultury/ nie odpowiadającego rzeczywistości. Niektórzy włoscy specjaliści od "instrumentalizacji" politycznej usiłują wygrywać polski wątek pontyfikatu dla własnych przyziemnych interesów, nie mających nic wspólnego z rzetelną troską o prawdę i autentyczną wymianę myśli. "Wystrzał z grubej rury" - skomentował pewien duchowny polski, znakomity wykładowca jednej z katolickich wyższych uczelni w kraju, wydany tu ostatnio tomik poezji Czesława Miłosza z Matką Boską Jasnogorską na okładce i z wprowadzającą w błąd notą wydawcy. Do nieocrozmień i obaw przyczyniają się także ci polscy kapłani i świeccy, którzy nie-obeznani z tutejszym terenem dają się łatwowiernie "nabijać w butelkę". Sama dobra wola nie wystarczy! Przynoszą tu prowincjonalną mentalność, znieczuloną na wszelką krytykę, nawet najbardziej konstruktywną i w dobrej wierze czynioną. Jakikolwiek akcent krytyczny pod ich adresem uważają nawet za atak na Papieża! Na szczęście idzie o jednostki. Nie wszyscy bowiem zdradzają chorobliwą euforię i pretendują do nieomylności w sąsiedztwie Spisowej Bramy. Nie uważają, że wszystko wiedzą lepiej - przeciwnie, skwapliwie słuchają kompetentnych opinii świeckich ekspertów. A nawet proszą o radę i sugestie.

Na forum międzynarodowym pojawiło się ostatnio szereg poważnych krytycznych kontrybucji na rzecz omawianego tu problemu. Czy Kościół polski stanowi model dla Kościoła Powszechnego? Czy i w jakiej mierze jest zdolny do odegrania roli przywódczej względnie drogowskazu? Pytania te stawia Peter Hebblethwaite, korespondent watykański National Catholic Reporter, autor kilku książek, w tym The Year of three Popes /Collins, 1978/ i John Paul II, Pope for the Year 2000 /tłumaczenie włoskie Cappelli, 1979/. Szyni to w obszernym artykule /pierwsze jego pytanie w tytule/ na łamach międzynarodowego pisma teologicznego Concilium.

2/ Ukazuje się w 10 wydaniach językowych. W Komitecie Redakcyjnym tego pisma figurują znakomici teolodzy, m.in. M.D. Cheny i I. Congar /Francja/, K. Rahner i H. Küng /RFN/, Schillebekk /Holandia/, L. Bertoni /Italia/, J. Coleman i M. Collins /USA/.

Pytania te są nieuniknione - powiada - ponieważ istnieje Papież-Polak, który "wymyka się swemu polskiemu zapleczu, chociaż pozostaje przez nie ukształtowany". Paradoks, w którym tkwi sedno prawdy - stwierdza - trzeba bowiem być zakorzenionym w danym Kościele lokalnym i równocześnie "otwartym" ku służbie dla Kościoła Powszechnego. Angielski pisarz katolicki nie może jednak pojąć, że Jan Paweł II dlatego uosabia ten paradoks, że nie jest typowym Polakiem, a na pewno nie jest typowym polskim kapłanem. Z tym zastrzeżeniem, oczywiście, czy taką "typowość" da się - niezależnie od odczucia - zdefiniować. Tym bardziej więc na stronie polskiej spoczywa obowiązek udzielania mu pomocy dla dokonania przytywnych przemian w mentalności i stylu ludzi reprezentujących Kościoł; jest on bowiem, jak słusznie twierdzi Hebblethwaite, na pewno do tego zdolny. Angielski pisarz zauważa, że Papież jest świadom tego paradoksu i stąd pewnie jego wystąpienie można uznać za "sprzeczne" lub "dialektyczne". I podaje następujący przykład: 18.X.1978 roku, przyjmując korpus dyplomatyczny, powiedział, że docenia różnice kulturalne i historyczne i uznaje tę różnorodność jako bogactwo. I dodał: "Odtąd szczególny charakter mego kraju pochodzenia ma niewielkie znaczenie, jako papież jesteśmy i będziemy świadkami miłości uniwersalnej". 3 czerwca 1979 roku natomiast mówił w Gnieźnie o kulturze polskiej, która zespala inspirację chrześcijańską i głęboko odczuwane walory ludzkie. I konkludował: "Słuchacie człowieka, który zawdzięcza od początku swą formację duchową kulturze polskiej, jej sztukom pięknym, szkołom i uniwersytetom". Zdaniem Hebblethwaite'a, w pierwszym wystąpieniu Papież deklarują swą niezależność od polskiej tradycji,

w drugim natomiast proklamuje swą całkowitą od niej zależność. Można się zrodzić z autorem eseju, kiedy tłumaczy ten "zaspekujący paradoks", że tylko silne poczucie własnej tożsamości daje odwagę służyć dobru wiodłemu, a zatem "fakt, że Papież jest tak mocno zakorzeniony w kulturze polskiej może być korzystny". Doświadczenie nabyte przez księdza, biskupa i kardynała Wojtyłę umożliwia mu dziś "dowartościowanie peryferii Kościoła i lokalnych kultur". Kwestionuje jednak przekonanie o misji uniwersalnej obecnej w Kościele polskim, i wierzy, że jego "doświadczenie, szkolone unikalne, jest również wzorcowe". Wątpliwości i zastrzeżenia budzi, "polskie teologiczne samozadowolenie i doświadczenie kulturalne, nieodłączne z sobą związane". Wybór Papieża-Polaka pojęto jako "kompensatę za wiekowe prześladowania". To samozadowolenie, przerażające się w triumfalizm, bezrytyczne zachwytywanie się, angielski pisarz katolicki usprawiedliwia poniekąd historyczną pamięcią zbiorową i zwycięskimi wynikami konfrontacji z marksistowskim totalitaryzmem. Widzi też odwrotną stronę medalu: sytuację Kościoła na Zachodzie, poczuwającego się do winy za "utrata robotników", szlamienie napięcia ideowego i skandaliczny wyzysk trzeciego świata. Kościół polski natomiast nie ma powodów do poczucia winy, do odpowiedzialności za krzawiące się zło, "ani na skutek swej akcji, ani za grzechy zaniedbania". Rezultat ostateczny odcienia psychologia wiary w Polsce, wiary "pewnej i zadowolonej z siebie", zwalnijacej od stawiania pytań. Na Zachodzie wyłącza to na "triumfalizm", niechęć do zmierzania się z wątpliwościami i konfliktami /które istnieją w łonie Kościoła/ i do akceptowania pluralizmu jako wartości pozytywnej. Czytelnikowi doradzalbym w tym miejscu ponownie przeczytać jakże przenikliwe uwagi na temat "niebezpieczeństwa triumfalizmu religijnego" w refleksjach ks. J. Tischnera w numerze kwiet-

niowym Kultury.

Kluczowe znaczenie ma niewątpliwie poruszona tu kwestia "samozadwołenia" Kościoła polskiego. Czy w tych warunkach może służyć Kościołowi Powszechnemu? Angielski autor twierdzi, że im bardziej podkreśla "unikalność swej sytuacji, swe uwarunkowanie kulturalne i swoje doświadczenie historyczne, tym trudniejszą rzeczą staje się możliwość służenia jako model dla innych". Jako składnik przycygniający się do symfonii całoci "heroiczna rola tego kościoła jest bezsprzeczna i wspierała, jako dostawca dyrygenta ma granice". Te same bowiem zalety, które nadają mu siłę i apoistość w Polsce, mogą przekształcać się w słabość, jeśli są rzutowane na arenę międzynarodową. Obserwatorzy neutralni ulegają czasem wrażeniu - stwierdza Hebblethwaite - że "polski model Kościoła zawdzięcza trochę za wiele partii komunistycznej, na której opiera się z taką mocą". Specyfika polska jest według niego pozbawiona doświadczenia demokracji w życiu narodu w ostatnich czasach i dlatego nie może pojąć idei "lojalnej dysydencji". Konkluzja? "Szczególny model Kościoła uformowany w sytuacji ucisku i cudownie przystosowany do niesprzyjających okoliczności nie może być łatwe rozciągnięty na Kościół Powszechny". Do podobnego wniosku doszedł Paul Thibaud, naczelny redaktor pisma francuskiego *Esprit* /kwiecień 1979/: "Kościół katolicki w Polsce ma podwójną wyjąźność, jest zarazem potężny i niezależny od władzy, jest równocześnie silny i niewinny". Jest potężny, ponieważ reprezentuje aspiracje mas, jest niewinny, ponieważ nie jest odpowiedzialny za to co się stało. "Wynika jednak z tego, że przejście od epozycji do przywództwa najeżone jest trudnościami" - brzmi końcowe zdanie artykułu, nad którego treścią nie można przejść do porządku dziennego.

"Jeżeli ksiądz nie biał się władców tego świata..."

Odkładałem tę lekturę "na później" /Ks. Adam Boniecki: "Budowa kościołów w diecezji przemyskiej", Biblioteka Spotkań, 1980/. Tymczasem czytając ten zbiór reportaży okazuje się, że posiada on jakby drugą warstwę, kto wie czy nie ważniejszą niż sam zapis relacji z tego "niebываłego przedsięwzięcia", jakie z inspiracji biskupa Ignacego Tokarczuka podjęli w latach 70-tych kapłani diecezji przemyskiej. Jak słusznie zeznacza w posłowie autor reportaży, budowa kościołów bez zezwoleń władzy nie była "aktem prowokacji czy formą kontastacji". Należy tę wielką przygodę pojmować jako "poczynania czysto duszpasterskie, które stanowiły konieczność życiową wobec postępu urbanizacji i niedostatecznej sieci parafialnej. Otrzymywano pozwolenia na remont czy rozbudowę domów mieszkalnych, na budowę stodół, stajni, a nawet chlewni. Pótem plany budowy przerabiano i wykorzystywano na wznieszenie domu Bożego. Wszystkie to działo się po nocach, w warunkach stałego zagrożenia i ryzyka. "Zapiski" - jak ks. Boniecki nazywa swe reportaże - są faktycznie rekonstrukcją podwójnego mechanizmu, jako towarzyszył "niebывалemu przedsięwzięciu" : z jednej strony przełamywania bariery strachu, nacisków, szantaży - z drugiej zaś strony powstawania więzi integrującej społeczności wiernych, rodzenia się poczucia solidarności. Budowa kościołów w tych niecodziennych warunkach, wymagająca odwagi, samozaparcia i świadomości ponoszenia ofiar /nie tylko materialnych/ stwarzała sposobność do przeżywania doświadczeń wspólnotowych, ba nawet zmiany charakteru ludzi. Cni się zmieniali - mówił jeden z kapłanów - ale ja także wiele spraw zrozumiałem dopiero teraz". Jest to chyba kluczowe zdanie w tej niewielkiej książce, tak pełnej zarazem wielowarstwowej treści. Jakże znamienne są wyznania tych kapłanów, przytaczane niby na marginesie właściwej relacji, kapłanów zbratanych z ludem,

którzy pod wpływem wspólnych doświadczeń przy tej okazji dokonali radykalnej zmiany stylu duszpasterzowania. Przedtem /tzn. przed podjęciem budowy/ organizacja pracy duszpasterskiej była często jałowa, bezduszna. Odtąd - wyreklamowana nową treścią społeczno-wychowawczą. "Jeżeli ksiądz nie boi się wścibów tego świata, to wierni podoją w jego ślady" - zwierza się pewien kapłan. Otóż to. Wtedy i podszepty ludzi żywych lub tylko manipulowanych przez wścibę w dążeniu do popsucia reputacji księdza nie wskórają. W pięknej przedmowie Maria Winowska pisze: "Strach przybiera, jak kameleon, różne formy, często niewinne. Nigdy wchodzi w rany zwykłych rachunków sumienia. Jest jednak, właśnie dlatego, trucizną duszy. Wrogiem wolności wewnętrznej. Przetargiem osoby bezcennej za cenę przysłówowej misy soczewicy".

W relacjach spisanych przez ks. Bonieckiego w latach 1976-78 dramatyczny wątek spleta się nieraz z tragicomicznymi epizodami, jak np. opis najścia milicjantów i tajemników krocipnych przez kobiety święconą wodą z Lourdes. Zasadniczą funkcję spełniały w tych wyprawach dzwony kościelne bijące na alarm. Szkoda, że autor, wezwany do innych prac, nie mógł skończyć serii reportaży. Ziemiasz 24 relacji mieliśmy wówczas około setki - tyle bowiem wynosiła liczba nie autoryzowanych konstrukcji sakralnych. To, co nam dał, to nie tylko ważny zapis dokumentalny o cechach bezpośredniości, włącznie z pewnym niedopracowaniem, co w innym przypadku stanowiłoby wadę. Dał nam żywy obraz, w którym jak w soczewce odbija się krajowa rzeczywistość z wszystkimi swymi blaskami i cieniami, w całym swym splocie elementów psychologicznych, religijnych, społecznych i politycznych. Zbiór tych reportaży stanowi więc materiał pobudzający do refleksji, cenny zwłaszcza dla socjologa.

Post scriptum

1. Wyneź z Pekinu? Biskup Dominik Tang, administrator episkopatu w Kantonie /pisał o nim w numerze kwietniowym w związku z podróżą Jana Pawła II na Daleki Wschód przybył 20 kwietnia do Rzymu i tego samego dnia był przyjęty przez Papieża. Spotkał się w tych dniach z kard. Casarolim, Sekretarzem Stanu i innymi szefami dysasterii watykańskich. Można zakładać, że jego wizyta wiąże się z powolnym procesem normalizacji sytuacji Kościoła w Chińskiej Republice Ludowej i stosunków między Stolicą Apostolską i Pekinem.

2. 6-9 maja br. przebywali w Rzymie na zaproszenie Komisji Porozumiewawczej "Solidarności" Kyszczak Kalinowski i kierownik wydziału Zarządczego KIP Wacław Korczyński. Przyjeżdżali do Rzymu, a przedtem pobyt w Brukseli i Paryżu - gdzie spotkali się z przedstawicielami Międzynarodowej Konferencji Wolnych Syndykatów i Europejskiej Centrali Syndykatów w Paryżu - z przedstawicielami wszystkich głównych centrów związkowych - wiązała się koniecznością uregulowania kontaktów zagranicznych. Oświeścili oni, że niepowołane i nieupoważnione osoby, które występowały za granicą pod szyldem "Solidarności" /jak np. J. Skwara z GUS-u, obecny w kwietniu w Rzymie na palowce chadeckiej/, popełniły nadużycie i wprowadzały w błąd międzynarodową opinię publiczną. Uprzejmionymi do reprezentowania "Solidarności" za granicą są wyłącznie osoby posiadające mandat Krajowej Komisji Porozumiewawczej. Odpowiedzialnymi za ten sektor są: K. Kalinowski, E. Geremek i W. Korczyński.

KULTURA 1/1981

### UMOWA I ZMOWA SPOŁECZNA

Piszę te słowa w końcu listopada 1980 roku. Parę dni temu I Sekretarz trzymilicjonowej PZPR Stanisław Kania spotkał się z przewodcą dziewięciomilionowych Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych "Solidarność" Lechem Wałęsą. 10 listopada na dwa dni przed zapowiedzianym generalnym strajkiem okupacyjnym w całej Polsce, Sąd Najwyższy zarejestrował "Solidarność" bez zmian w statucie. Pokonałmy w ten sposób już drugi próg w tym pracowitym i trudnym powrocie ze świata komunistycznej fikcji do świata komunistycznej rzeczywistości. Pokonanie pierwszego prógu rozpoczęło się krótkim komunikatem prasowym o spotkaniu "Przewodniczącego Komisji Rządowej Mieczysławowi Agielskiemu z przewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Lechem Wałęsą", a zakończyło porozumieniami w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. To, co się stało i to, co się dzieje partia opatrzyła okrągłą formułą "umowy społecznej". W terminie tym kryje się uznanie podstawowe o fakcie, że istnieje w Polsce dwie strony i to stanowi już pierwszy decydujący cios dla partynjnej nowomowy. Białe nazwano białym a czarne czarnym. Nie możemy więc eufemizmu o nowej mowie społecznej traktować podobnie jak "demokracji ludowej" roku 48-go, "suwerenności i demokracji" roku 56-go, "nowego stylu i klimatu" roku 70-go, czy też "konsultacji ze społeczeństwem" roku 76-go. Jest rok 1980. I właściciele PRL zorganizowani w aparacie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wiedzą, iż stoją naprzeciw całemu społeczeństwu zorganizowanemu /łącznie z częścią szarych członków partii zewnętrznej/ w "Solidarności". Taki jest prawdziwy sens "odnowy".

Niezależne Samorządne Związki Zawodowe "Solidarność", nie są pozostałością starego", jeśli określać je w nowo-mowie, są natomiast "załącznikiem nowego". Ukształtowana w komunizmie, w znacznej mierze pochodząca ze wsi, klasa robotnicza wystąpiła w obronie swoich praw w taki sposób, że partia nie może nawet przed sobą samą udawać, że na inny niż rokiwski mandat na sprawowanie władzy. To, co się w Polsce stało nie jest odpowiednikiem odwilży inspirowanej odgórnie, czy choćby prowokowanej. Powtórzenie się trzy razy tego samego schematu /1970-1976-1980/ dało "syndrom polski". Mimo ciężkich obaw Zachodu przed nową tragedią węgierską czy czeską Rosjanie nie znajdują na razie na syndrom polski innej odpowiedzi niż Radio Erywań, które na pytanie: "Czy jest wyjście z sytuacji bez wyjścia?" odpowiada: "Problematyką polską nie zajmujemy się w naszych sudydach".

x x x

Przez ostatni rok polska opozycja znajdowała się w stanie, które wielu odbierało jako kryzys. Po pierwszych trzech latach rozwoju nastąpiła stabilizacja ruchu i padały pytania czy to aby nie stagnacja, czy opozycje nie wypełniły tylko wąskiego marginesu pozostawionego jej przez władze. Partia zryzygowała już wówczas z wychowania na pokuszących obywateli garstki niepoprawnych wichrzyeli i postanowiła zastosować szeroką profilaktykę, aby uniemożliwić rozszerzanie się zarazy na zwykłych obywateli, np. słuchaczy Towarzystwa Kursów Naukowych, czy czytelników nieoficjalnych publikacji. Nie było to trudne. Każdego obywatela PRL można przecież co kilka dni zatrzymać w areszcie na 48 godzin, jest to praktyka względnie praworzędna, a na tle normalnej brutalności komunistycznej policji, może wręcz uchodzić za łagodną perswazję. Czas pokazał jednak, że wszelkie polityczne represje były wyrazem słabości a nie siły. Solidarne kontrakcje społeczeństwa doprowadziły do uwolnienia z więzienia Michalaka czy Chojeckiego.

Czy opozycja reprezentowała milczącą większość narodu? Czy była i czuła się "u siebie"? Czy spotrafiła się z powszechnym poparciem podobnym do tego, jakie otaczało akowców w czasie okupacji? Na te pytania odpowiedź była wciąż negatywna. To opozycja tłumaczyła wciąż swe działania przerwem do wolnego życia we własnym kraju, natomiast władza nie usprawiedliwiła się przed nikim z przymusu, który narzucała społeczeństwu. Karierowicz, donosiciel, łapownik, partyjny dziennikarz czuł się bardziej u siebie niż opozycjonista. To nie przypadek, że nikt nie napał na Ryszarda Wojnę za uprawianie intelektualnej prostytucji, a pobito Michnika za popularyzowanie prawdy o historii Polski. Przełomem była wizyta Papieża. Partyjna nowo-mowa przegrała konfrontację z językiem elementarnych prawd. Wreszcie mogliśmy się policzyć ilu nas jest, a ile jest "szkuby porządkowej". Trójkąt władza-opozycja-społeczeństwo uproszczył się do podziału władza-społeczeństwo. Po roku atmosfera tych wielkich dni z Papieżem wroczyła w eierpniowych strajkach na Wybrzeżu.

X X X

Wydawało się, że historia wlecze się gdzieś z tyłu. Tymczasem lipcowe i sierpniowe strajki wykazały, że historia żywa wyprzedziła wszystkie programy. Realizują się dziś w dużo trudniejszej sytuacji niż marzyliście - działacze Juliusza Mieroszewskiego. Ale i realizują i mają rzycele pracujący od lat nad nową umową społeczną. Zobaczyli, że jedynym liczącym się warunkiem jej ustanowienia jest zмова społeczna /płtent językowy Jans Nowaka, który tak nazwał w "Kurierze z Warszawy" okupacyjne poczucie solidarności/. Tylko na zasadzie zmony społecznej mogły epontanicznie powstać w ciągu dwóch miesięcy NSZZ "Solidarność". Bywało tak już nieraz w naszej historii i nic dziwnego, że historia okazała się znowu nauczycielką życia. Zmowy społeczne nikt nie uruchamia i nikt nie inicjuje. Ona jest lub jej nie ma. Dłatego Grot-Rowecki nie musiał zakładać AK, od góry, a Jürgen Stroop /patrz "Rozmowy z katem" Moczarskiego/ mimo największych wysiłków nie zdołał założyć konspiracji hitlerowskiej mającej działać po kapitulacji Trzeciej Rzeszy.

Historia nie jest inkarnacją idei tak proste, by ktokolwiek mógł powiedzieć: "A nie mówiłem!" Gdy opozycja pisała o wolnych związkach zwodowych jako najlepszej broni w walce z totalitaryzmem, były to wciąż tylko postulaty o charakterze strategicznym, bliskie niewielkiej grupie działaczy skupionych w wolnych związkach zwodowych. Doniero zмова społeczna zmieniła te postulaty w rzeczywistość. Zmowa dotyczyła trzech czynników: ekceptcji działaczy robotniczych czy intelektualistów znanych już społeczeństwu ze swojej postawy, sprawnej informacji i wypracowanych metod działania oraz zgody co do warunków realizacji założonych celów. Na Wybrzeżu czynnik ostatni sorowadzał się do przekonania, że: nie można wyjść na ulicę, nie można liczyć na dobrą wolę władz - kompromis wykonany się dopiero z oforu i walki, nie ma celu choćby dotykającej kwestii ideologicznych. /Jeden z członków M.S.-u tsk skomentował zmianę na stanowisku I Sekretarza KC: "Nas te sprawy nie interesują". Nam nie chodzi o takie, czy inne osoby"/. Lipiec i sierpień pokazały, że z chwilą istnienia elementarnej jedności w społeczeństwie spontanicznie odruch protestu, którym kieruje grupa świadomych dziecięcy, porusza lawinę i kolejni przywódcy średniego i niskiego szczebla wyrastają już w ciągu godzin i dni. I jeśli dziś bierzemy do ręk "Robotnika Wybrzeża", organ M.S.Z Wybrzeża z marca 1980 roku, nie możemy bez uśmiechu czytać o tym, jak panią Annę Walentynowicz konwojowano w pracy, by tylko w drodze z kabiny suwnicowej do toalety nie wręczyła kolegom bibuły. Co myślą teraz ci, którzy chronili zdrową klasę robotniczą przed zerazą samorządności? Podobne chyba uczucia zranionej rodności cerbera musza mieć profesorowie, którzy wyrzucili Michnika z uczelni, a później musieli słuchać jego wykładu w audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. Sprat-



czycy, którzy doprowadzają obecnie kraj do chaosu wojną podjazdową wypowiedzianą "Solidarności" wciąż nie mogą zrozumieć, że sytuacja zmieniła się nie ilościowo a jakościowo. Nie są to już nieliczni, pełni determinacji działacze, a znowa społeczna. Gdy istnieje znowa społeczna wystarcza kilkanaście mieszkań - lokali regionalnych związków zawodowych, by zbudować wielomilionową organizację. Bo znowa społeczna odwołuje się do tego świata ideałów, który zakorzeniony jest w historii narodu i w doświadczeniu rodzinnym. Jest zaprzeczeniem prokurowańskiej wciąż na nowo przez partię spiskowej wersji historii PRL, w której głupi robotnicy są podszuczani przeciw swojej władzy przez złych pisarzy i studentów. Znowa społeczna pokazuje, że "nasza rzeczywistość" jak nazywają to, w czym żyjemy komuniści, jest tylko herzuconą, cudzą fikcją. Choć społeczeństwo musi, jak w czasie zaborców, normalnie żyć, wielu ludzi widzi już, że komunizm nie będzie trwał wiecznie. Teraz naród nie tylko żyje podwójnym życiem, ale drugie życie zostało de facto uznane za ważniejsze niż pierwsze.

x x x

Wolne związki zawodowe pozwalają wyrwać się ze szklanej kuli opozycyjnych dyskusji o granicach jawności i niejawnosci. Umożliwiają bowiem zalegalizowanie sfery działalności, która tu i teraz służy wyzwoleniu narodowemu i społecznemu, i to w bardzo szerzokich ramach. Katakaz nieprzekraczania statutowych ram "Solidarnosci" każe jednak nadal rozwijać opozycję niejawną. Wprawdzie opozycja jest wreszcie "u siebie", ale partia komunistyczna jest także tu i teraz.

Powstanie "Solidarnosci" nakłada na grupy opozycyjne obowiązek penetracji w głąb, a często rewizji utrwalonych echematów myślenia. To, co było postulatami opozycji moźno już dziś często przeczytać na pierwszych stronach gazet. I jeśli poprzednio baliśmy się o los wolnego słowa w Polsce, dziś głównym problemem działań legalnych jest to, czy życie puści to, co puściła już oszokomiona cenzura? Nie chodzi więc o to, żeby pewne sprawy wykrzyczeć, a o tworzenie, choćby niewielkich faktów dokonanych co "Solidarnosc" sprowadziła do wspomniałego hasła: "Partia kieruje, rząd rządzi, a my robimy SŁOWE". Sytuacja obecna tworzy dla całej jawnej opozycji nowe pokusy i zagrożenia. "Solidarnosc" daje nowe, kapitalne możliwości współpracy społecznej. Począwszy od sierpniowych gwarancji bezpieczeństwa dla osób wspomagających strajk, NSZZ wymuszają uznanie de facto opozycji. Następstwem tego jest obecność Borusewicza wśród działaczy "Solidarnosci", z którymi robiła wywiad "Polityka", i niepastliwy, ale jednak merytoryczny komentarz do decyzji o uwipzieniu Lioczulskiego. Wydarzenia te stawiają jednak jawną opozycję wobec wyboru: wyrzec się haaż niepodległościowych i entykonunistycznych w imię większego wpływu na bieżące wydarzenia, czy głosząc je nadal ekstremizować sytuację polityczną Kraju bez żadnych szans na aż tak zasadnicze zmiany w obecnej sytuacji międzynarodowej. Jak to określił Szczypiorski odrzucając w wywiadzie dla "Głosu" postulat zniesienia cenzury rewencyjnej: nie chodzi o to, żeby nie siusiać do basenu, ale o to, żeby tego nie robić z trampoliny, bo to musi się zakończyć podobnie jak w Czechosłowacji w 68 roku.

Zagadnieniem, które wymaga zwrotu w myśleniu, jest podejście do naprawy gospodarczej. Dotychczas dominowało przekonanie, że bez zasadniczej, jakościowej reformy wprowadzonej przez centralę, ekonomika kraju nie podniesie się z upadku, że

reformą jest początkiem naprawy. Petytyzowano więc wiele warunków /płace, długi dewizowe itd./, uznanych za ścisłe ograniczenia, gdy tymczasem determinacja stoczniovców całkowicie je zrelatywizowała. Przez całe lata państwa "nie było stać" na posunięcia, do których sytuacja zmusiła je w

parę dni lub miesięcy. Okazało się też w trakcie kolejnych dyskusji, że stopień dezinformacji jest tak wielki, że nawet ludzie najlepszej woli nie potrafili wielu spraw uściślić /jak tu zresztą mówić o precyzji, gdy złotówka ma kilka kursów?/. W tej sytuacji naprawa struktur gospodarczych od dołu przy równoczesnym nacisku na generalną reformę gospodarczą, są kierunkami, które zyskują po obu stronach barykady coraz więcej zwolenników. Równoległe rozluźnianie gorsetu od szczybla przedsiębiorstw, i od szczybla centrali jest podwójnie korzystne: poprawiając pewne sytuacje od zaraz wymusza kolejne zmiany. Nie było w końcu przypadkowe, że wszystkie dotychczasowe próby reform niezależnie od intencji władzy centralnej ułykały już na średnim szczeblu nomenklatury. Przesunięcie, działalności z płaszczyzny politycznej na praktyczną pozbawia większość ciosów w monopol państwa ich "antysocjalistycznej" wymowy. Programem pozytywnym dla "Solidarności" może być, np. powrót do wielu punktów Manifestu Lipcowego. Wystarczy, by dziś zrealizować przyrzeczenia powojennego czasu kompromisów, by odrodziło się polskie rolnictwo. /Prawo posiadania gospodarstw do 50 ha w Polsce centralnej i wschodniej i do 100 ha na Ziemiach Zachodnich!/. Odwołując się do przyrzeczeń Manifestu Lipcowego można odtworzyć na zasadach prywatnych znaczną część drobnego i średniego przemysłu, nie mówiąc już o czystszej ideologicznie kwestii uspołecznienia gospodarki państwowej i spółdzielczej.

x x x

Sprawą, którą warto, jak to mówił Piłsudski, przepracować w sobie jest zachowanie się wobec ewentualnej sowieckiej interwencji. Interwencja nie dlatego nam grozi, że "Solidarność" lub opozycja zagraża tzw. socjalizmowi w Polsce. Interwencja nie jest i nie była elementem wliczonym w cenę przemian w naszym kraju. Jeżeli nastąpi sowiecka inwazja to tylko na skutek rozkładu władzy w Polsce, za który sama władza odpowiada i dziś jedynie sama może ten rozkład powstrzymać. Argumentem propagandowym, który miał pozbawić polskich komunistów piętna sęgenturalności była dotychczasowa "racja stanu". Teraz uzyskała ona nowy wymiar: komuniści muszą we własnym i społecznym interesie pilnować, by zagrożony erozją ustroj socjalistyczny zachował wystrój socjalistyczny. Tego bowiem niedwuznacznie chcą wszyscy i dlatego nikt nie kwestionuje dwóch filarów sowieckiego; kierowniczej roli partii i cenzury prewencyjnej. Ten consensus partii i "Solidarności" napawałby optymizmem, gdyby Politbiuro i KC Partii utrzymywały się faktycznie w kategorii GDR /Grupy Dość Rozsądnej, jak określił ją wątko przemawiając po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego/ i zaprzestęła prób konfrontacji z mitycznymi "siłami antysocjalistycznymi". § /słownie: dziewięć/ milionów ludzi o ustalonej strukturze organizacyjnej, to jest armia, o której istnieniu przed sierpniem nie można było nawet marzyć. Armia ta jest faktem, którego wyznaczyć ani rozmyć nie sposób. Partia musi przyjąć do wiadomości, że choćby Rosjanie w imię doktryny Breżniewa okazali braterską pomoc towarzyszącą znaną wiskę i zniszczyli wszystko co wywalczono, to za dziesięć lat sytuacja i tak się powtórzy.

Trudno tu razić partii i cenzurze jak powinny się wzmocnić, by socjalizm w Polsce nie był zagrożony w rozumieniu doktryny Breżniewa. Byłoby to już zbyt przewrotne, więc powtórzmy tylko za Adamem Kruczkim klasyczne hasło Ilfa i Pietrowa: "Kartunek tonących jest w rękach samych topielców".

Wielu sądzi, że braterska pomoc jest tym elementem obecnej sytuacji, którego z wielu względów nie należy obecnie rozważać. Jest to wywoływanie wilka, wręcz prowokowanie go. W takim ujęciu kryje się brak skromności. Sowieccy marszałkowie nie wydają decyzji po lekturach polskiej bibuły, lecz po analizie stanu zdrowia partii, co zależy od jej prowadzenia się. Istnieje też przekonanie, że rozważając różne aspekty inwazji Starszego Brata ulegamy nieświadomie szantażowi polskich komunistów, szczególnie, że spekulacje na ten temat zawierają więcej makabrycznych skojarzeń niż trzeźwej kalkulacji możliwego ryzyka. Skoro jednak /a tego sądu nikt nie kwestionuje/, najważniejszą przyczyną, która wstrzymuje Rosjan przed inwazją jest ich historyczna wiedza o naszym przywiązaniu do imponderabilów, ich pewność, że będziemy stawiać opór, to rozważanie dylematu czołgów ma charakter także doktryny odstraszania. Bowiem, prócz ekonomicznych konsekwencji inwazji, a w tym wzięcia na swoje utrzymanie 35-milionowego narodu, głównie my sami ich odstraszamy, a nie Carter, Reagan czy Madryt 30.

Kompleks polski Rosjan stanowi nie tylko pamięć o powstaniach, ale i lekcja afgańska, a więc przekonanie, że żołnierz sowiecki na pewno wjedzie do Polski, ale nie wiadomo, czy żywy z niej wyjedzie. Lęk przed Polską ma charakter ambiwalentny. Tolerując "syndrom polski" stwarza się możliwość zarażenia wolnościami Ukrainy, Litwy, Białorusi i republik bałtyckich. "Normalizując" Polskę zaraża się "osję" za pomocą samych pacyfikujących. Władcy sowieckiego imperium zdają sobie sprawę, że "pańska Polska" może być początkiem końca ich kolonialnej ekspansji. Już dziś nic nie wróży spokoju w Wietnamie, Angoli i Afganistanie, więc tym gorzej dla Rosjan gdyby przytyła jeszcze jedna, tym razem biała, zbuntowana kolonia. Ta ostatnia grupa motywów może skłonić Moskwę do potraktowania Polski jako Jugosławii Układu Warszawskiego, jeśli tylko ten wariant pozwoli usunąć groźbę szerzenia się kolonialnych zmartwień. Sceptykom warto przypomnieć, że już od 48-go roku co najmniej w dwóch sprawach kalecy jesteśmy od ortodoksji: mamy niezależny Kościół i indywidualne rolnictwo. Możliwe więc, że w "syndromie polskim" zmieszczą się jeszcze "pańskie" związki zawodowe zamiast "fabskich".

Wypracowanie społecznej i organizacyjnej formuły na wypadek interwencji jest absolutnie niezbędne, by nie popaść w lekkomyślne bohaterstwo zamykające się w haśle: robimy co się da teraz, a jak wejdą Sowieci, to i tak postawią nas pod ścianę. Oznacza to bowiem myślenie tylko o przyszłości chciwej i zamykanie oczu na nie chciwą. Czy szansa interwencji wynosi 10% czy 90%, trudno nie zauważyć kordonu sanitarnego wokół Polski. Elementy scenariusza przyszłych wydarzeń jakże można odnaleźć w podświadomości wielu Polaków w kraju i za granicą są następujące. Wojsko Polskie podejmuje czynną walkę z agresorem. Na terenie miast trwają zacięte walki do których włącza się ludność cywilna. Milicja i Służba Bezpieczeństwa niszczy dossier wszystkich, którzy mogą być w pierwszej kolejności zagrożeni represjami Sowietów. W momencie interwencji PZPR rozwiązuje się. Do roszów z okupantem przystępują tylko rząd i administracja jako władza zajmująca się wyłącznie codzienną egzystencją. Komitet Narodowy wykoniony przez ośrodki niezależne kieruje z konspiracji ruchem oporu, kontrolując i dając dyspozycje polityczne pozostającej na stanowiskach administracji. Ten zestaw przypuszczeń i marzeń - życzeń i nakazów narodowego sumienia? obecny w zbiorowej świadomości i podświadomości rzadko podlega powyższej konkretyzacji. Rzeczywistość jest i będzie kształtowana bardziej

przez znowę społeczną niż przez umowę społeczną, którą proponowałby rząd lub opozycja.

W świetle znowy społecznej jest oczywiste, że postawa MC i SE będzie oceniana pod kątem tego, na ile policja błękitne okaże się granatową. Słowem: na ile milicjanci będą służyli Polsce a nie Rosji. Członkowie partii już dziś wiedzą, że przyszedł Husak-Quisling odpowie przed narodem za rolę, którą na siebie weźmie, bo dla każdego jest oczywiste, że niezależnie od względności naszej cuasi-suwerenności, agresja rosyjska odbiera PRL-owi już najelementarniejszą odrębność w ramach systemu sowieckiego. Wobec znikomej szansy - po doświadczeniach węgierskich i czerkich - zastosowania przez Sowietów tradycyjnego terroru /rozstrzelywanie, łagry, zsyłki na białe niedźwiedzie/ przeciwstawianie molo-chowi sowieckiemu czegoś poza propagandą i biernym oporem byłoby nieodpowiedzialnym narażeniem społeczeństwa na wykrwawienie. Tym bardziej istotne jest, by wszyscy aktywni działacze polityczni uniknęli w pierwszym momencie aresztowania przez Sowietów chociażby znalezienia rezerwowej sieci lokali i ustalenia łączności między nimi. Demonstracja suwerenności i solidarności narodowej ponad podziałkami politycznymi może być istotnym kapitałem wyniesionym z konfrontacji z doktryną Breżniewa. Z dniem inwazji winien rozpocząć się tygodniowy domowy strajk generalny w całym kraju. Pozwoli on na demonstrację ludności cywilnej w formie, która uniemożliwi konfrontację czołgów z tłumami. Niestety wiele wskazuje na to, że milczącej znowie społecznej towarzyszyć będą wiernopoddające przemówienia polskiego Husaka. Istotniejsze jest jednak, to by ewentualna "normalizacja" spełzała na niczym, nie mogąc zatamować społeczeństwa i zniszczyć jego narodowych więzi. Byśmy z czwartą już w naszej historii - po 1920, 1939 i 1944 roku konfrontacji z Armią Czerwoną wynieśli okrzepłą w nowych doświadczeniach znowę społeczną. Najlepszą odpowiedzią na sowiecką normalizację byłoby MILCZENIE MORZA.

KULTURA 7-8/1981

#### TEORIA I POLSKA JEDYNOŚĆ- SOCJUSZ

Czy rosnąca aktywność partyjnych "struktur poziomych", nacisk na wewnętrzny demokratyzację partii, możliwość swobodnych i tajnych wyborów delegatów na nadzwyczajny zjazd PZPR w lipcu, a wreszcie perspektywa radykalnej zmiany nie tylko składu osobowego kierownictwa partii, ale i całego modelu "demokratyzmu centralistycznego" - czy te powiązane ze sobą procesy grożą interwencją sowiecką? Oto pytanie, które w oczach zachodnich komentatorów wydarzeń w Polsce przesłania od pewnego czasu wszystkie inne, dotyczące Solidarności, niezależnego ruchu zawodowego rolników indywidualnych, nowych organizacji młodzieżowych, nawet sytuacji gospodarczej.

Pytanie to jest na Zachodzie /sądząc z prasy/ zadawane o wiele częściej, niż w Polsce - ale nie jest ono wymysłem cudzoziemców. Jeszcze w lutym tego roku Jan Józef Lipski w Biuletynie Informacyjnym przestrzegał przed demokratyzowaniem się partii, bo to grozi katastrofą. W kwietniu powtórzył to samo ostrzeżenie Leszek Kożakowski w londyńskim

Times'ie, argumentując, że Sowietci nie mogliby "stać się zde-  
mokratyzowaniem się polskiej partii, ponieważ znaczący to,  
że utracą narzędzie kontroli". Kołakowski twierdzi dalej /i  
nie bezpodstawnie, bo w środowiskach opozycyjnych w War-  
szawie słyszymy podobne opinie/, że "rzecz paradoksalna, lu-  
dzie którzy dążą do stopniowego rozmywania instytucji totali-  
tarnych w Polsce nie chcą rozpadu partii rządzącej i unadku  
aparatu władzy. To bowiem nieuchronnie spowodowałoby stowio-  
kie czółgi na ulice polskich miast" /The Times z 21 kwietnia  
1981/. Wymieniam te dwa głosy jako charakterystyczne; po-  
niższe uwagi nie są jednak polemiką czy rozprawą z Lipskim  
i Kołakowskim, lecz rozważaniami na temat określonego stowio-  
wiska, które nota bene niezbyt moim zdaniem pasuje do innych  
poglądów Kołakowskiego, eutors wielu znakomych analiz ide-  
ologiczno-politycznych/.

Odkroźmy chwilowo na bok kwestię, czy istotnie demokraty-  
zacja partii musi nieuchronnie wywołać interwencję. Zadejmy  
inne pytanie: czy mają sens apele do członków partii, aby  
się od demokratyzacji powstrzymali? Jestem przekonany, że  
są one i bezcelowe i niesłuszne. Żadne wezwania nie powstrzy-  
mają żywiłkowego ruchu "struktur poziomych". Nie jest to  
ruch zaprogramowany z zewnątrz /choć można było przewi-  
dzieć jego powstanie i przyszły historyk wyczyta takie prog-  
nozy w niezależnych publikacjach z lat 1977-1980/. Sponta-  
niczność i naturalność czynią go mało podatnym na wyrozumo-  
wane perswazje. Z czego się zrodził? Ogólnie biorąc z dwu  
impulsów: psychologiczno-moralnego i politycznego.

Te trzy miliony Polaków, które należały i należą do PZPR,  
mogły przez lata chować głowę w piasek śopoty, dopóki w ot-  
wartym życiu publicznym, a zwłaszcza w ich miejscach pracy,  
niewiele się działo. A to, co się działo, było sztuczne i  
bezsensowne. Od lata 1980 członek partii, której kierowni-  
ctwo ma na swoim zbiorowym sumieniu zrujnowanie, gospodar-  
ki narodowej /nie mówiąc o innych przewinach/ musi, jeżeli  
chce siebie uważać za człowieka względnie przywoitego, ak-  
tywnie odciąć się od tradycji samowładzy kierownictwa, od  
biernego posłuszeństwa nakazom z góry. Od dawna zdawano  
sobie sprawę, nikt się temu nie ośmielał zaprzeczać w prywat-  
nych rozmowach, że partyjna "górze" kłamie i zmusza do kłam-  
stwa, ogłupia, łamie prawo, gnębi i sowietyzuje naród, po-  
słusznie słucha nakazów Kremla. Ale na to, tłumaczyli sobie  
i innym partyjni, nic zasadniczo poradzić nie można - bo to  
sfery geopolityki. Wyższa konieczność /wedle celnego sformu-  
lowania Stefana Nowaka/, która pozwalała tolerować szma-  
cenie się i jednocześnie zachowywać cudownym sposobem po-  
czucie własnej godności. Nie myślny to wymyślili, powiadano,  
nie nasze siły to zmieniać. Jednakże kiedy ujawniono pub-  
licznie zwykłe kradzieże i pospolite oszustwa - to już gra-  
nie osobistej uczciwości, nie wielkości polityki. Tego na kon-  
to "narzucanego systemu" nie można było zapisać. A równocze-  
śnie solidarność pokazała wielomilionową dłoń figę Wyższej  
Konieczności. I teraz nawet ludzie, którzy przynykali oczy  
na fakt, że należą do partii pełniącej funkcję dozorczy włas-  
nego narodu - nie chcą się pogodzić z myślą, że mają być  
członkami partii złodziejskiej /dlatego "rozliczeniowy"  
aspekt zachodzących przemian jest tak ważny/. I jeżeli wię-  
kszość z nich nie decyduje się - a zrozumiałe - wykreślić  
sporego kawałka własnej przeszłości i przynadzić się do fatal-  
nego błędu, muszą tę przeszłość odciąć. Jest to zdrowy i  
cenny odruch, a tłumienie go jest nierządne i szkodliwe  
dla ładu społecznego.

Impuls polityczny jest prostszy: jeżeli Solidarność może /i wolno jej/ - dlaczego nie my? Czy, należąc do "przewodniej siły", mamy pozostać stadem ogłupianych baranów? Zwłaszcza, że w ciągu ostatniego roku kierownictwo partii, sperealiżowane widmem katastrofy i wewnętrznymi walkami, przestało już nawet wyćwacać dyspozycje "ustawiające" mesy. Było to, w zestawieniu z aktywnością polityczną członków Solidarności i innych samorządnych organizacji, upokarzające i frustrujące.

Jednakże bezcelowość i moralno-społeczna szkodliwość wstrząsań o powstrzymanie się od demokratyzowania partii nie są jedynymi argumentami przeciwko wygłaszaniu takich apeli. Wizja partii niezreformowanej, albo kierowanej przez zwolenników tradycyjnego, autokratycznego modelu władzy, albo też nadal rozdzielanej przez frakcyjne walki, partii ietniejącej obok i przeciw Solidarności i innych samorządnych organizacji społecznych - to wizja dwuwładzy w Polsce. Dwuwładzy, która nie może być koegzystencją pokojową. Konserwatywna, albo współ-sparaliżowana, partia i wzwolone społeczeństwo toczyłyby ze sobą nieustanną, wielofrontową walkę, podobną do tej, z którą mieliśmy do czynienia od września do końca marca. Taki stan rzeczy groziłby co parę tygodni nową Bydgoszczą i nowym strajkiem powozecznym.

Można sobie teoretycznie wyobrazić taki podział władzy w państwie, że sprawy wojskowe, policyjne i polityka zagraniczna należą do kompetencji partii, a reszta do kompetencji samorządnego społeczeństwa; ale w systemie państwowej własności przemysłu, dystrybucji, transportu, środków łączności itd., jest to praktycznie nie do przeprowadzenia. Zwłaszcza, że przecież od sami ludzie /członkowie partii, trzy miliony/ musieliby w takim układzie dzielić siebie na dwie części: partyjną i społeczną.

Ponadto - a może przede wszystkim - bez szerokiej ugody między partią i społeczeństwem i bez przestawienia się partii na nowe tory niemożliwe jest przeprowadzenie zasadniczej reformy gospodarczej. A bez reformy czeka nas katastrofa przed interwencją, nie z jej powodu.

Tak więc program partii niezreformowanej zakłada wizję Polski rozdzielanej wewnętrznymi sporami, przegranej w kryzysie gospodarczym i stale balansującej na krawędzi przepaści, w którą ją mogą zepchnąć prowokacja albo niecierpliwość. Jedyne odnowa partii stwarze prawdziwe szanse - chociaż tylko szanse, nie więcej - utrwalenie zdobyczy i swobód społecznych, uzyskanych od sierpnia 1980 roku. Jak słusznie

1/ Warto zauważyć, że "struktury poziomowe" i opanowane przez nie partia mogły realizować wizje rzetelnych i otwartych różnów polsko-sowieckich. Nie z opartej na dobrych chęciach i wymuszonych założeniach pozycji katolickich /czy innych/ intelektualistopolityków, ale z pozycji władzy, która ma oparcie w masach, przynajmniej partyjnych, z pozycji władzy które ma oparcie w masach przynajmniej partyjnych, z pozycji władzy zinstytucjonalizowanej, rozporządzającej aparatem wykonawczym. Jeżeli w setki stron papieru, zapisane przez zwolenników różnych rodzajów "realizmu", "trzeźwego porozumienia" czy "finansyzacji" mają jakikolwiek sens - to praktycznym urzeczywistnieniem tych myśli i ciągłot może być w naszej sytuacji tylko dialog między wyczuloną na postawy i aspiracje społeczeństwa polskiego partią - a kierownictwem KPZS. Wszystko inne, niezależnie od intencji projektodawców, to pożywka dla roboty rozbijacko-agenturalnej.

napisał Stefan Kurkowski: "Albo "Solidarność" przekształci swoje otoczenie społeczne, albo też dotychczasowy system narzuci nam swoje normy i cele, sprowadzi nasze wysiłki i w końcu pochtone "Solidarność", przekreślając raz na zawsze nadzieję na odrodzenie" /Tygodnik Powszechny z 19 kwietnia 1981/. Kiedy Jadwiga Steniszka (wi o trudności utrzymania demokratycznego charakteru Solidarności w niedemokratycznym otoczeniu /warszawska kultura z 22 marca 1981/, wypowiedzi się na podstawie kilkumiesięcznego doświadczenia we współpracy z tą organizacją.

Nadmier teoretyzowania jest dziecięcą chorobą odradzającą się polskiej myśli politycznej. Nic dziwnego: przez wiele lat intelektualści mieli prawie-monopol na niezależne myślenie o polityce. Poze i leopokrowinaż czasem skłonnością do wyprowadzania się na śmie wówczas, kiedy zdrowy rozsądek nakazywały robić swoje i nie rozgłaszać, co się robi/, mają oni - mamy, nie będą w pierzei przynależności - profesjonalną skłonność do nucia teoretycznych rozważań. U niektórych dochodzi do tego niechęć lub nieumiejętność rezygnacji z jawnych kategorii myślenia, wyuczonych za młodu - chociaż rzeczywistość już do nich nie przystaje, jeżeli kiedykolwiek przystawała. I jeszcze jeden czynnik: myślenie teoretyczne daje poczucie bezpieczeństwa, złudzenie panowania /choćby umysłowego/ nad chaotycznym i żywiołowym kłopotliwym zdarzeń i procesów; pozwala brać pod uwagę to tylko, co zakładamy sobie w naszych umysłach. I im bardziej rzeczywistość wyłamuje się z naszych teoretycznych schematów - tym usilniej staramy się, nieświadomie, bronić przed jej zalewem, trzymając się kurczowo "bezpiecznych" bo wdrożonych formuł.

Skutek jest banalny: myśli się w kategoriach tradycyjnych i nie dostrzega, że wokół nas powstają rzeczy jakościowo zupełnie nowe. Można na przykład opisywać NSZZ Solidarność używając tych samych pojęć, w których opisywało się, w Polsce i gdzie indziej, związki zawodowe. /Usiłowałam to zrobić przed paru miesiącami prof. Ję. Szczepański/. Ale cóż to daje? Parodię. W tak wyjątkowej, nigdy przedtem nie bywałej, jedynej w swoim rodzaju sytuacji, jaką mamy od paru lat w Polsce - wszystkie zjawiska społeczne i polityczne posiadają charakter odmienny, niż dawniej. Większość z nich trzeba opisywać w nowych kategoriach. To trudne i wymaga dużego wysiłku - ale konieczne, jeżeli myśl ma odzwierciedlać rzeczywistość.

Najprostszym i najdotkliwszym skutkiem teoretyzowania jest ujmowanie społecznej rzeczywistości jako zespołu tendencji, instytucji, klas, układów itp. bytów ogólnych i abstrakcyjnych. To, że owe byty składają się naprawdę z konkretnych ludzi - przecieka przez palce. Stąd właśnie m.in. zaskoczenie wykonaniem się z partii ruchu odnowy. Ale przecież, powtórzmy, owa partia, której samodzielne ruchy społeczne miały stopniowo odbierać władzę - to nie było ciało astralne, istniejące w osobnej sferze rzeczywistości. To byli i są ludzie, których codziennie spotykamy na ulicy i, co ważniejsze, w miejscach pracy. I o ile można teoretycznie "ustawić" klasę czy partię - to ludzie ustawiają się sami. Często na przekór naszym przewidywaniom<sup>2</sup>.

2/ Które bywają błędne po prostu także z braku informacji. Muszę tu odcwołać wypowiedziane w nrze 1/2 tegorocznej Kultury posądzenie, jakoby Andrzej Kerslan przygotowywał się do odegrania roli polskiego Vasila Bilaka. Jego wystąpienia po rezygnacji z Biura Politycznego KC PZPR przeczą tej hipotezie /opartej na jego jawnej reputacji/. Sądzę natomiast,

Wróćmy teraz do odłożonego pytania: czy demokratyzacja partii musi doprowadzić do interwencji? Odpowiedź twierdząca może być rozumiana na dwa sposoby: 1/ Sowieci muszą wówczas interweniować, bo będzie jasne, że zmiany w Polsce stały się nieodwracalne; 2/ Sowieci muszą wówczas interweniować, bo partia zdemokratyzowana jest dla nich nie do przyjęcia z przyczyn zarówno ideologicznych /odejścia od zasady "centralizmu demokratycznego"/ jak i politycznych /kierownictwo przestaje być dyspozycyjne, traci się kontrolę nad wojskiem i policją/.

Chcemy, aby zmiany w Polsce były nieodwracalne, aby nie powtórzyła się, w znacznie ostrzejszej formie, sytuacja z roku 1956. Zapewnienie takiej nieodwracalności warte jest największego ryzyka: inaczej cały dotychczasowy wysiłek na nic. Więc jeżeli nieodwracalność przemian grozi interwencją - trudno, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Drugiemu rozumieniu tezy o demokratyzacji i interwencji warto się przyjrzeć dokładniej. Jest to wariant innych, podobnych też głoszonych od sierpnia 1980 roku: że ani PZPR ani jej mocodawcy nie mogą się zgodzić na niezależne związki zawodowe; że nie mogą się zgodzić na rozbitcie ruchu młodzieżowego, że nie mogą się zgodzić na istnienie związku zawodowego rolników indywidualnych.

Wywody o prawdopodobieństwie lub nawet nieuchronności interwencji sowieckiej w Polsce są z reguły oparte na przesłankach natury teoretycznej. Zakłada się mianowicie, że ZSRR bezwzględnie wymaga zachowania określonych form ustrojowych, takich jak monopół władzy partyjnej, podporządkowanie jej związków zawodowych, jedność i hierarchiczna struktura partii itd. Na drugim miejscu wymienia się niezbędne reguły polityczno-wojskowe: pozostanie w pakcie warszawskim, utrzymanie linii komunikacyjnych do NRD, itd. Słabością takiej argumentacji ujawnioną przez fakt przełamania w Polsce już paru "nieprzekraczalnych" barier, jest sztywność formuł. Np. zasadę niezbędności pozostania PRL w pakcie warszawskim można uznać za naprawdę obowiązującą tylko wtedy, kiedy się ją traktuje fasadowo; jest dość jasne, że już dzisiaj Sowieci nie mogą liczyć na Ludowe Wojsko Polskie w razie wywołania przez nich jakiegś ewenturu w Europie albo poza nią. /Ta fasadowość jest jednak

---

c.s. przyp. 2/ że dość popularny, zwłaszcza za granicą, błąd przypisywania Stefanowi Olszowskiemu skłonności liberalnych płyną z braku wiadomości, co z założenia, że ten człowiek ma w ogóle jakieś stałe poglądy. Przebieg jego kariery /łącznie z legendarnym protegowaniem Klubu Doświadczanie i Przyszłość na pierwszym etapie jego działalności/ wskazuje, że Olszowski po prostu dąży do władzy, a metody i poglądy są mu obojętne. Teraz dopiero Grunwald...



ogromnie ważna: jawny rozpad imperium, nawet dokonany drogą pokojową i z zachowaniem poprawnych stosunków na wzór Finlandii byłby dla ZSRR groźniejszy niż rozpad rzeczywisty, ale ukrywany, bowiem jedność ruchu komunistycznego i niendzwrotność rewolucyjnego procesu historycznego są dogmatami, na których opiera się legitymizm władzy komunistycznej. Dlatego gadanie o "finlandyzacji" jest tylko gadaniem/.

Jednakże rozumowanie teoretyczne i schematyczne ma również swoje zalety: prawdopodobnie naśladuje sposób myślenia przywódców ZSRR. Wszystko wskazuje na to, że są oni jeszcze znacznie bardziej oderwani od dziejących się zdarzeń, jeszcze bardziej przyzwyczajeni do operowania abstrakcyjnymi formułami, niż owi intelektualiści, których powyżej złośliwie scharakteryzowałem. Ich schematy myślowe nie muszą się pokrywać ze sloganami, którymi od lat operują; trudno wszakże przypuścić, aby były do nich całkiem niepodobne. I jeżeli widzą oni wydarzenia w Polsce w rutynowych kategoriach podważania roli partii, aktywizacji sił antysocjalistycznych, imperialistycznych wpływów i spisków, syjonistycznych podszeptów, resztek burżuazyjnej ideologii itd. - to istnieją poważne niebezpieczeństwa, że zareagują na te wydarzenia sposobem także tradycyjnym i dobrze dla siebie zrozumiałym, to jest przełomem. Jeżeli, inaczej mówiąc, uznają to, co się w Polsce w ciągu ostatniego roku stało, za jedno wielkie odchylenie od normy - to reakcja chirurgiczna jest prawdopodobna. Pamiętajmy, że operowanie wyczynionymi kategoriami i etykietami jest łatwiejsze i o wiele mniej męczące, niż wczuwanie się w nowość. Możemy mieć tylko nadzieję, że i do ich świadomości dotarła owa niebываłość, jedyną tego, co w naszym kraju zachodzi. Wyjątkowość, domagająca się nietypowej reakcji.

Trzeba jednak zakładać, że wypadki w Polsce są dla starców na Kremlu trudniejsze do zrozumienia a nawet opisanie, niż dla zachodnich obserwatorów, bardziej otrząskanych ze swobodnymi i spontanicznymi procesami społecznymi i politycznymi. Łatwo się też domyślać, że stopień poinformowania o rzeczywistym przebiegu i skali wydarzeń w Polsce nie jest w Biurze Politycznym KC KPZR zbyt wysoki. Działka tam ten sam system, który działał przez lata w Polsce: członkowie władz najwyższych słyszą w zasadzie tylko to, co ich informatorzy uważają za dogodnie dla siebie. I tutaj również kryje się niebezpieczeństwo; bilans ewentualnych strat i zysków, przeprowadzany na Kremlu, może być oparty na błędnych danych wyjściowych.

Twierdzenie, że interwencja musi nastąpić, jest wynikiem myślowego schematu. Twierdzenie, że nastąpić nie może, jest nieprzekonujące z innych powodów. Po pierwsze wywodząc, że koszty polityczne i gospodarcze interwencji byłyby zbyt wysokie, pomija się właśnie względy doktrynalne, które np. każały Sowiетom zaprzepaścić szanse korysytnej współpracy z Japonią w imię kurczowego trzymania się paru wysp Kurylekich. Po drugie zakłada się, że Kreml posiada pełne i dokładne rozeznanie w sytuacji; jeżeli to prawda - dlaczego zachowali bierność rok czy dwa lata temu? Po trzecie wyklucza się możliwość prowokacji /takiej, jaka omal się nie powiodła na przełomie marca i kwietnia/. Po czwarte, i może najważniejsze, sąd, że interwencja jest wykluczona oznaj ją bardziej prawdopodobną - bo ukatwia prowokację, a koszt ewentualnej agresji obniża, skoro ani Polacy ani Zachód nie będą na taką możliwość przygotowani.

Ostatecznie jednak wszystkie hipotezy na temat stopnia prawdopodobieństwa interwencji oraz okoliczności, które je mogą czy muszą wywołać są tylko domyskami. Istota sprawy polega bowiem na tym, że kierownictwo KPZS musi wybierać między dwiema niedobrymi ewentualnościami: kosztowną interwencją i kosztownym powstrzymaniem się od niej. Nikt zaś dokładnie nie wie, jak widzą przywódcy Kremla sytuację we własnym kraju; na ile rozumieją wydarzenia w Polsce; jakimi metodami obliczają koszty i bezpośrednie korzyści interwencji. A skoro najteżsi zachodni rzeczoznawcy w sprawach sowieckich różnią się diametralnie co do tego, czy interwencja przyspieszyłaby czy też opóźniłaby rozpad ZSRR - to jest co się Sowietaom na dłuższą metę bardziej opłaca - łatwo się domyślić, że i sami Rosjanie mają trudności z podjęciem decyzji. I zapadnie ona na podstawie hipotezy, co dla ZSRR mniej szkodliwe.

Ponieważ zaś rachunek zysków i strat będzie przy tej decyzji odgrywał jakąś rolę /choć może mniejszą, niż znużenie, wynikłe z wieku Kremlofskich decydentów/ - należy dążyć do tego, aby koszty interwencji jawiły się przed ZSRR jako maksymalnie wysokie.

I nie prowokując, ani nie dając się sprowokować - robić swoje. Bez złudzenia bezpieczeństwa, ale też bez przesadnych obaw przed świętymi krowami komunistycznej doktryny. Dlatego też kompromisy, o ile pozwalają na zachowanie dotychczasowych osiągnięć są w zasadzie każdorazowo lepsze od ryzyka totalnej konfrontacji albo ostrego zaognienia na linii społeczeństwo - władza. Zresztą kompromis z reguły sprzyja na dłuższą metę silniejszemu, a nie powinno już być wątpliwości, kto dziś w wewnętrznej rozgrywce w Polsce jest silniejszy. Czas działa na korzyść ruchów odnowy. Pozwala im okrzepnąć /i w wypadku katastrofy, zostawić bogatszą spuściznę/; przyzwyczajają wszystkich zainteresowanych do nowej niebywałej sytuacji. Im więcej ludzi, przede wszystkim polityków, zrozumie wyjątkowość polskich przemian - tym mniejsza szansa błędów, wynikających ze schematycznych reakcji. Oto nigdy jeszcze w kraju uprzemysłowionym nie doszło do szybkiej i demokratyzującej zmiany struktury władzy, spowodowanej przez masowy ruch pracowniczy. Nigdy dotychczas masy, sięgające skutecznie po wpływ na losy własne i swojego państwa, nie okazały tyle umiaru, rozsądku, patriotyzmu. I nigdy partia komunistyczna nie ujawniła tyle potencjału do odnowy.

Wielka w tym zasługa przywódców i doradców, którzy kierowali się nie teoriami, doktrynami i planami - ale bystrą obserwacją, wycuciem, rozumną świadomością celów i środków. Ludzi, którzy mieli otwarte oczy na błyskawiczne zmiany i uczyli się szybko. Młodość przywódców z Solidarności, widziana w tym świetle, nie jest przypadkiem: oni tę dynamikę naszej sytuacji widzą najlepiej, bo sami są jej częścią i sami ją tworzą, wolni od urazów i stereotypów myślowych, które taką sprawiają trudność wielu ludziom starszych pokoleń.

Nie chciałbym zostać odczytany jako chwalcą postawy pragmatycznej. Elastyczność, zdolność do kompromisów, rozsądek, umiar - wszystkie te cechy są godne aprobaty jedynie wówczas, gdy idą w parze z nieustanną pamięcią o podstawowych ideałach i wartościach. Kiedy służą do osiągnięcia nie byle jakiej ugody, spokoju, porozumienia i sukcesu - ale do postąpienia naprzód w stronę ostatecznych celów, kiedy innymi słowy są zrećznością polityczną nie lawiractwem.

Nie chciałbym również zostać odczytany jako zdeklarowany optymista. To, co napisałem o przyszłości nie jest wyrazem wiary, że wszystko będzie dobrze. Jest wyrazem przekonania, że trzeba iść naprzód. Bo lepszej drogi nie ma. Interwencja nastąpić może równie dobrze dlatego, że nas będą widzieli jako słabych, jak i dlatego, że się wydamy zbyt suchwali.

KULTURA 6/7/1981

. . . I CO DALEJ? - ZYGMUNT OLSZTYŃSKI

Obecną sytuację gospodarczą kraju określić można bardzo krótko i bardzo jednoznacznie: totalna klęska. Być może jest to właściwością ustrojów totalitarnych - że ich konsekwencje są totalne: zwycięstwa ale jeszcze bardziej klęski. W naszym konkretnym wypadku jest dla wielu korzystne, nie chciałbym mefistofelizować, ale zdziwiłbym się, gdyby wyszły na jaw motory działające na rzecz rozsypki, takie ukryte pogłębiarki ekonomiczne.

W tej sytuacji trzeba pilnie się zastanawiać nad sposobami wyjścia z impasu, trzeba ze wszech sił - a to znaczy zbiorowo, społecznie, przeciwdziałać klęsce, bowiem wraz z kompromitacją ekonomiczną naważoną przez kolejne ekipy rządzące nastąpi kompromitacja tych sił, które przeciwko temu gigantycznemu nonsensowi wystąpiły. Tzn. - Solidarności. Tzn. w pełniejszej konsekwencji - całego naszego narodu.

Polacy chcieliby być kochani. To nic, że częstują na lewo i na prawo, a zwłaszcza najbliższych sąsiadów, kuksańcami złości lub pogardy, sami - jak piękne kobiety - pragnęliby rozkwitać w ciepłe wzniosłych uczuć. Niestety w sytuacjach międzynarodowych seks przestaje funkcjonować, a podobnie wzniosła i bezinteresowne uczucia. Będziemy się cieszyć przyjaźnią i szacunkiem innych tylko wówczas, gdy poza wzniosłymi hasłami będziemy mieć dla nich do zaoferowania dobry interes. Na razie do zaoferowania mamy jedynie wzniosłość.

To nie jest cynizm, a raczej to nie jest mój cynizm, ale cynizm psychologii zbiorowości. Zbyt mnie los własnego kraju i społeczeństwa obchodzi, abym miał oszczędzać bolesnych prawd. Na nieświadomości nic dobrego ani pięknego nie wyrasta. Nieświadomość to wcale nie jest gówno, w sensie nawozu bardzo pożyteczne, nieświadomość przypomina ową przemysłową policję, która zatrzuwa wszystko dokoła. Trzeba mówić zawsze i wszędzie całą prawdę i nie poza prawdą. To tylko chorym na raka nie mówi się, na co są chorzy, ale Polacy nie są wcale chorzy na raka. Są właśnie cholernie zdrowi, choć jednocześnie i przepicci, i politycznie skacowani.

W sytuacji totalnej katastrofy gospodarczej trzeba na gwałt naprawiać i uruchamiać wszystko, co zepsute. Nie mam konkretnych propozycji, bowiem różnię się od 99% mych ziomków i doceniam swą niekompetencję. Interesuje mnie plan ogólniejszy: naprawy społeczeństwa. I w tej dziedzinie miałbym do przedstawienia kilka spostrzeżeń, a przy okazji chciałbym zwrócić uwagę, że kiedy przed kilku laty ostrzegąłem w Kulturze przed ewentualnymi następstwami korupcji, stanowiącej podstawowy "oreg" ekipy Gierka - Jaroszewicza, to się najwyraźniej zagalopowałem. Rzeczywistość wykazała, że społeczeństwo samo potrafiło się wobec owej korupcji zbuntować /zwłaszcza, że jak wszystko w marksizmie, nie była ona dawkowana sprawiedliwie/.

Na swoje usprawiedliwienie mam jedno, co już raz na tych łamach napisałem: tego co się stało w sierpniu i po sierpniu, nikt, a zwłaszcza NIKT NIE PRZEWDZIAŁ. Jeden z działaczy ŁCR-u powiedziecie? niedawno: "Jak to dobrze, że mnie SB przyzmknęło w sierpniu, kiedy wybierałem się na Wybrzeża tłumaczyć robotnikom, że na tek wielka manifestacja jest jeszcze za wcześnie? Dzięki, "siłom porządkowym" nie zahamowałem procesu tamtego wielkiego przełomu, zresztą pewnie nie zdołałbym, ale w każdym razie sam się nie skompromitowałem".

Nie mniej elementy korupcji funkcjonują w wielu komórkach społeczeństwa, a ponadto pojawiły się nowe objawy, może jeszcze nie schorzeń, ale nie-pokojących zmian w organizmie. Problemem wedle mnie podstawowym jest reedukacja społeczeństwa. Powie mi ktoś na to: ejże, mędrku, dopiero co mędrkowałaś o zniewoleniu społeczeństwa wielką mełą stabilizacją, a tymczasem ono pokazało w sposób zdumiewająco powszechny zdrowy rdzeń swej psychiki, a teraz bierzesz się do jakiejś reedukacji? Niby kogo? Co ci się jeszcze nie podoba?

Otóż chodzi mi o społeczną aktywność, ale nie tę można by rzec zbrojną, która się ujawniła w potężnym zrywzie Wybrzeża w sierpniu a całego nspredę CAŁEGO społeczeństwa podczas etrajku społeczeństwa po Bydgoszczy. Chodzi mi o aktywność pokojową, codzienną, aktywność w sorswach pomniejszych i niekoniecznie wzniosłych, ale ważnych z punktu widzenia poprawności dzielenia całego organizmu.

Proszę pamiętać, że ustrój w którym przyszło nam żyć, pomimo jego ogromnych przemian po kolejnych wywrotkach skompromitowanych ekip, miał w całym tym okresie wiele cech jednakowych. Do nich niewątpliwie należała pesymność i społeczne zobojętnienie, które nam podawali żyłeczka i wstrzykiwaną przemocą kołską strzykawką. Niedawno oglądałem maleńki filmik, jeden z tej wielkiej rodziny polskiego krótkiego metrażu, który nie przypadł do gustu Łukaszewiczowi i jego doradcóm. /tzw. bandzie Łukaszki/. "Próba mikrofonu" Marcela Łozińskiego pokazywała usiłowanie młodego brodacza, prowadzącego węzła radiofoniczny w dużej fabryce przeprowadzenia wywiadu-ankiety z pracownikami: czy czują się wespół gospodarzami zakładu? Łatwo wyobrazić sobie co z tego wynika, a reakcje w dyskrekcji były klasycznym przykładem tego, czym się karało krnąbrnych, którzy nie chcą się leczyć z aktywności.

Ideologicznie zakalec podawany, jako sprawa duchowa, wszystkim instytucjonalizmu, który "wyręcza" obywatela zawsze i wszędzie, amputowanie wszelkich wyłamujących się z przyjętego schematu inicjatyw, leki zepobiegawcze i doskonałe urzędzone prewentoria przeciwnyślowe, to wszystko przyniosło mizerne bo mizerne, ale jećnak plony. Jesteśmy cholelni wypyskowani, krytykowani, w besserwierstwie, ale tam gdzie się nasze codzienna działalność rozwija, charakteryzuje nas niespożyte lenistwo umysłowe i psychiczne. Przywykliśmy do pewnych mechanizmów, a może nawet polubiliśmy je. Jesteśmy zresztą niepoprawnie sentymentalnie niepoprawni. Zawsze krytykowaliśmy królów, za dążą do narzucenia nam absolutum dominium, ale kochaliśmy naszego lokalnego magnata, który ugościł od święta, "panem bratem" zwał choćby i wiaćcie nam z cholew wyzierały. I dziś krytykujemy królów, królików ale właściwie w pełni godząc się na koślawe funkcjonowanie naszego własnego biura, warsztatu, stanowiska pracy, naszej administracji blokowej i szkolnictwa. Jest nam wygodnie, że wielki mechanizm instytucjonalny raz po raz wyręcza nas w podejmowaniu decyzji i angażowaniu odrobiny dodatkowego wysiłku.

Niestraśno przechodzi mi wytknąć jasniej, o jaki typ aktywności mi chodzi. Na pewno bowiem nie o ten, który warała się deklamacją i pewnym siebie besserwisserstwem tych, którzy z łapetem gardzą na wszystkie tematy, podejmuje się uzdrawiania wszystkiego. Uważam, że istnieje w naszym społeczeństwie absolutna niewspółmierność w zakresie problemów, które rozwiązujemy słownie, a maciupinką przestrzenią indywidualnych decyzji, których najczęściej boimy się podejmować na własną odpowiedzialność. Wzywałbym mych rodaków do tego, by mniej przemawiali, a więcej się zastanawiali, mniej krytykowali ogólnie i niekompetentnie, a więcej proponowali drobnych, konkretnych problemów. Musi się ustabilizować relacja pomiędzy wielkim narodowym catharsis, a wycinkową sytuacją, w której tkwimy osobiście. Bowiem coraz częściej słyszymy wielkie słowa i mocne słowa, ale w naszej codzienności idziemy obok tych słów, a za to skutecznie dawno ustalonym torem.

Reedukacja społeczna, to także zrozumienie, że teraz poważnie przybliżyliśmy się do tego, by myśleć "nasze" nie tylko o klatce schodowej w zamieszkiwanym przez nas bloku, ale także o przedsiębiorstwie czy instytucji, gdzie jesteśmy zatrudnieni. Trochę o naprawę Rzeczypospolitej powinna się zaczynać zaraz, zaraz za progami naszych mieszkań.

I uważam, że do tej reedukacyjnej "pracy od podstaw" potrzebne jest nam niezbędnie szybsze dojrzewanie. Najskuteczniej może ustrój marksistowski w swym zadaniu społecznego ubezwłasnowolnienia obywateli działał dotychczas - jak to się ślicznie mówi, w nowo-mowie - "na odcinku młodzieżowym". Natrętne forsowanie młodzieżowością "muzyka młodzieżowa, literatura młodzieżowa, moda młodzieżowa, kultura młodzieżowa, brygada młodzieżowa z młodzieżową awangardą polityczną na czele/ odniosło pewien gramatyczny skutek: obserwuję w Polsce coraz powolniejsze dojrzewanie kolejnych pokoleń. Może jest to proces ogólnościatowy - brak mi materiału porównawczego, ale u nas jest on faktem.

Przed wojną byli wojewodowie liczący niewiele ponad 30 lat, podobnie profesorowie i dyplomaci. Obecnie o facecie dobiejającym czterdziestki mówi się "kolego", co ma dowodzić naszej łaskawej wywyższości i nadziei, że ów młodszy "kolega" wciąż jeszcze dobrze się zapowiada. Szybki zwans jest hamowany dwukierunkowo: odgórnie i odśrodkowo. Dziesiętki podzysiałych i przytyżen dobrze zapowiadających się młodzianków około czterdziestki chodzi w jeansach, sweterkach, koszulkach polo lub "safari", stylizuje się na wieczną młodziankowatość. Ja sam uwielbiam teksasowe portki, bo są wygodne i nie obowiązuje, ale naciągając je na swe posiadki mam pełną świadomość własnego wieku i miejsca w społeczeństwie. Za poklepujące "panie kolego" lub niestrawne wręcz "panie Mundziu" lałbym po mordzie, nie zważając na pięć.

To bardzo zabawne, gdy się obserwuje w telewizji spotkania przedstawicieli "przewodniej siły narodu" z przedstawicielami narodu - czyli solidarnościowcami. Ci pierwsi niezależnie od rzeczywistego wieku są programowo podtatualiali: są grubzi, ale w koszulach z krawatami, podbródkowaci ale w marynarkach, są nagiennie ogoleni i ostrzyżeni, khyba że przerostami owłosienia maskują jego niedostatki. Ci z Solidarności brodaci i kudłaci, a przynajmniej po ważowsko wąsaci, noszą jeansy lub sztrukey, golfy i sweterki. Krawaty i marynarka są wyklete, dopuszczalna najwyżej wiatrówka. Jedni są podtatusiało-dostojni ideowo, drudzy chłapięco-młodzieźowi stylowo. I dopiero wówczas ogarnia stądzenie,

kiedy z ust tych niepoprawnych młodzianków płynąco zaczynają bardzo dojrzałe sformułowania.

Ja doskonale rozumien ową stylizację po stronie Solidarności: to stylizyka, która sama przez się wypowiada się, oczywiście wobec Bessilijęci wierchuszki i Kreniowskiej i innych "buntach" wierchuszek. A w tym wszystkim Kania o wyglądzie proboszcza na wakacjach i Jaruzelski jako zapóźniony kłopot. Proszę zważyć, że ja tych obu panów nie krytykuję za wygląd i jeszcze nie za postępek, że ja tylko komentuję optyczną dziwaczność polskiej bezkrawej rewolucji, od dawna bowiem przestałem wierzyć w wygląd, a nawet w słowa. Gierk miał doskonałą "aparycję" i mówił o wiele lepiej niż Kania z Jaruzelskim razem wzięci i co z tego wyszło...?

Ten wtręt stylizacyjny umieścisz tu jako ornament. Ale o tyle potrzebny, że w jakiś sposób odbija w krzywym zwierciadle młodzieżową niedojrzałość sporej części naszego społeczeństwa. A najgorszym chyba owocem owej niedojrzałości "manipulowanej" jest tzw. działacz. Znany go aż za dobrze: jedyymi jego kwalifikacjami było wyszczerzenie i poszuszenie. Wyszczekanie zresztą specyficzne, nie służące do walczenia o coś, ale najwyżej przeciwko komuś. Eufemizmy stały się ostatnio ogromnie modne w oficjalnej mowie-trawie. Dawniej wszyscy mówili "ONI" i doskonale wiadomo było, o kogo chodzi. Dziś mówi się nam: "oni" /obce sily, nieodpowiedzialne elementy, odzany/ i z grubszą można się domyślać o kogo tu chodzi, ale wrodzony takt nabyty po sierpniu karze władzuchnie być niezwykle dyskretną. Otóż model - działacz uprawiał zawsze dobrze utemperowane wieloskowie i pustoskowie, a ponieważ to były jego jedyne kwalifikacje, więc i nadawał się do działania "na każdym odcinku", pisano na ten temat wiele i ja też pisałem, więc go tu nie rozwijam, ale pragnąłbym zwrócić uwagę na fakt, że działacze zczynają się raz po raz pojawiać także w szereгах Solidarności. I nie mam na myśli wyłącznie tych, którzy zostali specjalnie skierowani "na ten trudny odcinek". Nie wątpię, że jest ich wielu, ale nie demonizowałbym zjawiska /co dość często pojawia się w "nocnych rodakach rozmowach"/. Ci infiltrowani prędzej czy później się sypną i nie wierzę, by ze swymi sgrzebnymi kwalifikacjami mogli zagrozić milionom Polaków.

O wiele większy niepokój budzi się we mnie wcale nie mała rzesza działaczy z przekonania, którzy w Solidarności znaleźli pole do wyżycia się i... wykazania przed sobą samymi. Przed tym, co zaraz napiszę, muszę zaprezentować wiarome wyznanie: nie tylko jestem członkiem Solidarności, ale się z nią utożsamiam, co jest prostą konsekwencją faktów, że utożsamiam się z narodem Polaków, a pomiędzy tym narodem a Solidarnością stawiam znak równania. Jest to jedyne hasło tylko na skalę polską, ale ogólnosiwiatową zjawisko zjednoczenia jakiegos społeczeństwa, zjednoczenia działającego i pionowo i poziomo. Jest to - wola nie nadużywać słów - wielka szansa dla ludzkości, jako dla zbioru społeczeństw i narodów. I tej szansy przegrać nie można.

A jednak są w Solidarności zjawiska głęboko niepokojące. Przede wszystkim ów wewnętrzny zajadły jazgot na szczytach, to kotłowanie się ludzi żądnych władzy i ludzi żądnych działania dla działania, matych i dużych fanatyków i egocentryków, tłoczących się pospolicz na najświatlejszymi szczytami nas; Nie! Nie ma pod sztandem społeczeństwa idealnego. Czy tu, czy na antypodach zawsze wielkie wuchy społeczna: porwała ją wyprzedzić na powołanie ludzian o najcięższych gardłach,

na skuteczniejszych krokach i braku jakichkolwiek zasad. A także takim, którzy przekonani o swej doskonałości i swych osiągnięciach chwytają się uwaga, że mają do spełnienia misję: "Lęcej pokory - panowie, więcej dojrzałości - przyjaciele!"

"Obecnej chwili, kiedy panuje pozorny spokój i przeprowadzane są rozmaite manewry psychologiczne na przedpolach wielkiego milczącego frontu, chodzi o rzecz niesłychanie ważną: o zachowanie pełnej równowagi, o to, by pod żadnym pozorem nie dać się porwać. Twierdząc, że obecna sytuacja jest w pewnym sensie trudniejsza niż minione kolejno okresy konfrontacji. "tamtych o jednolitości działań decydująca" wielki stress narodził. Obecnie na niekorzyść jednolitości ruchu i jednomyślności społecznej działają wstydliwe ale dot. złe bodźce codziennych kłopotów. Można istnieć i działać z sukcesem w momencie jakiejś "pali" głodu, dezorganizacji, odcięcie źródeł energii /prądu, gazu, wody/, o wiele trudniej o nią zbiorową aktywność utrzymać w momencie wydużających się kolejek do sklepów, ogólnej małej niemożności, tysiąca codziennych rodzinnych kłopotów.

ŻPR robi teraz w stronę Solidarności gesty zginania ręki w łokciu, pukanie się w czoło, grania na nosia. A kuku: chcieliście podwyżek - no to je macie. I co za te pieniądze możecie dostać? To fakt, że trzeba było raczej w pierwszym rzędzie negocjować natychmiastową restytucję i rehabilitację gospodarce niż kilkaset dodatkowych złotych lub wolne soboty, ale Solidarność musi także działać dla ludzi, tzn. dawać im widoczne zdobycze: właśnie podwyżki i właśnie pewne ulgi w pracy. Ale teraz, kiedy rozciągnęła się nad naszym krajem milcząca zastoja "90 spokojnych dni" Jaruzelskiego, które nota bene wcale nie są spokojne, tylko przeobrażają się z dnia na dzień w coraz żłośniejszą drogą krzyżową rodzin polskich, trzeba utrzymać wysoki ton, trzeba utrzymać owa tak nagle, niespodziewanie powszechnia zadzierzgniętą społeczną jedność. Trzeba wpręgać ludzi w reedukacyjną działalność "pracy ograniczonej", tzn. w małą, komórkową pracę naprawy Rzeczypospolitej. To właśnie na tym poligonie wykruszają się z szeregow przycacze modelu "działacz", bowiem oni właśnie nie są przystosowani do "pracy do podstaw", zresztą do jakiegokolwiek pracy, a jedynie do wielkich słów.

Zagrożenie po tej stronie barykady - tzn. po stronie narodu - to nasz przyzwyczajony słomiany zapór. "codziennych kłopotach przyswędzić skrzydła łatwo najgorliwszym. I dlatego na pytanie: co dalej? mam tylko jedną jedyną i podstawową odpowiedź: utrzymać za wszelką cenę wysoki ton, a choćby nawet drogą propagandowych chwytów: rocznic - jak dopiero co hucznie po zmckłym i razowym i Maja skoneczny i tłumny i Maja, jak ewentualnie przeniesienie zwłok Sikorskiego do kraju, budowy jakichś kolejnych pomników, szczególnie uroczyste msze itd. I równocześnie zakasac rękawy do naprawiania nie na szczeblu ogólnopolskiej reformy gospodarczej, ale na szczebelku swych własnych, autentycznych uczciwie wobec własnego sumienia weryfikowanych kompetencji.

Zrobmy bowiem krótki bilans: co mamy do stracenia, a co do zyskania, a także zastanówmy się przez chwilę, jakie istnieje na najbliższy okres zagrożenia.

Do stracenia mamy - rzecz ujmując najkrócej - wszystko. Tzn. ten stopień swobód, które wywalczyliśmy w smym sercu democulców i wbrew nim, tworząc oszę wolności od Berlina po Władystok i od Archangielska do Tirangę. Nigdy nie dość politycznej tautologii. Ten margines swobód, który w kolejnych mniej czy lepiej udanych etapach społecznych wstrząsów wyrwaliśmy z gardła PZPR'owi to naprawdę coś, co zdumiewa i zachwyca. Co nie oznacza, że już zdobyliśmy wszystko, co się nam należy i czego żądamy i żądać będziemy. Ale co nie oznacza również, że te zdobyte mamy traktować po macoszemu, tak jak na codzień po macoszemu traktujemy naszą, naprawdę naszą wspólną własność: autobusy i trolejbusy, tramwaje i EKD /te nasze strupieszkie koniki i pojazdy/, nasze klatki schodowe, skwery, urzędzenia sanitarne i wystroje świetlic. Słomiany zapach Polaków przejawiał się zawsze tym, że z zapętem coś budowali, coś tworzyli, ale stworzywszy natychmiast zakładali ręce i nie kwepili się codzienną higieną i okresową naprawą.

Nic do czego przykładamy ręki nie trwa niezmiennie: wszystko, absolutnie wszystko ulega psuciu się, niszczeniu i dewastacji. Zrozumialiśmy w okresie powojennym tysiące domów i nawet całe miasta. Nie przykładając ręki do dziury w dachu i naderwanej rymy. Nasze wywalcone z takim wysiłkiem, poświęceniem i zahycającą jednomyślnością swobody też zaczną zaciekać i grzybieć, jeśli ich nie b;dziemy pielęgnować na codzień.

Myśmy w naszej historii mieli trzy "bezkrwawe rewolucje", każdą inną: tę z okresu wielkiej reformy Sejmu Czworoletniej i Konstytucji 3 Maja, która poszła w niwecz wskutek zdecydowanych działań ów naczelnych żendarmów Europy: Rosji i Prus - zakłamaną "bezkrawą rewolucję" po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski w 1944 roku - zakłamaną podwójnie, bowiem de facto nie była to żadna rewolucja tylko narzucenie udręczonemu okupacją narodowi reakcyjnego reżymu marksistowskiego, a po drugie - ponieważ obficie spłynęła krwią mordowanych masowo bojowników wolności i przypackowych ofiar.

Twierdząc, że ta trzecia i jak dotychczas najbardziej autentyczna /tzn. przynosząca rezultaty/, bezkrawa rewolucja polega na zupełnie nowej sytuacji: poddania samowładnej grupie rządzącej szerokiej kontroli społecznej. Czy taka sytuacja na dłuższą metę jest możliwa do utrzymania? Nie, i to dla dwóch przyczyn, bowiem nikogo nie satysfakcjonuje, ani podporządkowanych ów kontroli, ani tych, którzy kontrolują - strupa, którego wciąż jeszcze z reny zerwać jeszcze nie można. Ale niezależnie od długości okresu, w którym sytuacja taka może i powinna trwać, jest ona niezwyklej wprost zdobyczą, stwarzającą nowe perspektywy "miękkiego lądowania" od dyktatury do demokracji. Pierwszą jaskółką owego "miękkiego" lądowania były Hiszpania i Portugalia, w których udało się przejść gładko do demokracji, nie pozwalając komunistom na zastąpienie dawnej dyktatury nową. Tyle, że w obu tych krajach wciąż jeszcze odczuwa się silne wewnętrzne wstrząsanie i brak im tego ogromnego consensusu, który od ubiegłorocznego sierpnia jednoczy Polaków. Zresztą myśmy całego procesu "miękkiego lądowania" nie przeszli. Jesteśmy ciągle w trakcie, a lądowisko otaczają zewsząd szczelne tłumy obserwatorów, u których trudno doszukiwać się sympatii i zrozumienia.

Walka Solidarności o sprawiedliwość jest dla nas sprawą pierwszorzędną wagi. Musi zaś być ona powszechna.



Nie ma sprawiedliwości czarowniczej, bowiem - jak by powiedział Stalin - sprawiedliwość jest niepodzielna. Więc dotyczy także tego ogromnego problemu, w jaki sposób udręczonym 36 milionom zapewnić już nie luksusowe, ale przynajmniej zrodę bytowanie. To sprawiedliwość to nie tylko ujmowanie bogatszym, czyli proponowane przez wszystkich socjalizm równanie w górę, ale przede wszystkim odwołanie biedniejszych. Czyli równanie w górę. To powinno być naczelnym hasłem Solidarności: równamy w górę w dziedzinie spraw obywatelskich, swobód politycznych i ... warunków bytowania.

Nie jestem zwolennikiem represji i polowań na czarownice. Ciekawe zresztą, że ostatnio /na kolejnych plenerach i zebraniach partyjnych/ nie Solidarność domaga się surowego karcenia winnych obecnym stosunkom naszego stanu gospodarczego, ale ładni krwi się do niedawna gorący popiełcznicy, okłaskiwacze i jednoczłowiecznicy z ZPR. Jest mi żęgoko obojętne, czy będzie się karać sądowno ojców chrześniych Gierka i Jeroszewicza i pomniejszych ojczulków - złodziejasków. Zresztą jak-ich tu szukać limitów karalności, czy pierwszy na ławie oskarżony nie powinien zasięgać spensjony old-play-boy. PZPR Czarankiewicz?

ale nie jestem zwolennikiem represji i nawet dziwi mnie furia społeczeństwo wobec tych, którzy raję dacie i samocho- dy, bo dom i samochód to jest coś, co się w cywilizowanym społeczeństwie należy każdemu za jego uczciwą pracę. Proponowałbym w rezultacie większą społeczną troskę i rozpoczęcie równania w górę, a nie poszukiwanie wybrańców dotychczasowego losu nadających się do ściągania w dół. Złodziejstwo winno być karane zwłaszcza u nas, gdzie jest zjawiskiem nagminnym ale niech będzie represją stała, represją prawa wobec tych, którzy je łamią, a nie okresowym świętem narodowym Polaków.

Nie muszę chyba składać oświadczeń, że nie jestem zwolennikiem marksizmu, a nawet że nie jestem zwolennikiem socjalizmu w ogóle. To chyba jasno wynika z tego co piszę. ale równocześnie raz jeszcze powręcam do sprawy, którą poruszyłem przed laty w artykule "Akcja K" - nie wolno nam wylewać dziecka z kąpielą, po 35-leciu rządów marksistów powinniśmy ocenić te wszystkie wartości, które one wniosły. Łączne biadolenia przywódców "rządzącej siły narodu", że jednak mają jakieś zasługi świadczą jedynie o tym, jak bardzo tym ludziom brakuje perspektyw i oceny właściwych kryteriów. Oczywiście ten cały socjalizm w jego moskiewskiej edycji wniosł pewną ilość wartości, które powinny być trwałe. Nie są to koniecznie "zdobycze budownictwa socjalistycznego", bo ono jest wyjątkowo marne i nie warte trudu podpierania go drogami. Wartości, które wniosł w naszą polską rzeczywistość leżą w sferze niewymiernej, w sferze poczucia równouprawnienia /które nie było realizowane, ale o którym się oficjalnie dakleowało bez przerwy/, w sferze socjalnych urządzeń, w sferze zasad oświatowych. Nawet jeżeli poszczególne realizacje były, jak wszystko w tym ustroju, spaprane, same zasady warte są ochrony i kultuwowania.

A teraz jeszcze chwilę uwagi należy poświęcić najgroźniejszemu przeszkodom na drodze realizowania modelu polskiej bezkrwawej rewolucji. Są więc oczywiście dwa podstawowe zespoły owych zagrożeń: zewnętrzne i wewnętrzne.

Zacznijmy od pierwszych: groźby interwencji ZSRR i nieustannego mieszaninawia w nasze sprawy dwóch panów: H. - tego z Berlina i tego z Pragi. Ci ostatni niewiele znaczą, ich bezcelne wrzaski i pogroźki wynikają z potężnego strachu: sami siedzą, jak i do lata ubiegłego roku Gierka, na mrowisku niechęci, gniewu, pogardy. Tyle że Gierka w swej przetrnąjącej grupocie nic o tym nie wieział, a oni

wiedzą, więc mobilizują swe bezpieki, milicję i armię, przeciwko nam i przeciwko własnej potencjalnej Solidarności.

Sprawa poważna to Kreaml z jego ekipą żelaznych sterców. I tak od siebie powiem, że im nawet współczuję, bowiem znaleźli się w sytuacji psia. Nie mają ruchu bo wkroczyć, to znaczy rozpocząć na nową zimną wojnę, która ma dwie alternatywy: albo nie przerodzi się w wojnę gorącą i wtedy musi być ekonomicznie przez ZSRR przegrana, albo przerodzi - a wtedy mogą się i Chińczycy uaktywnić, no i w ogóle nie wiadomo, czy dziś jeszcze istniejąca przewaga militarna może dać Rosjanom pewność sukcesu, a nie wkroczyć, to znaczy pozostawić chorobę Solidarności nieleczoną /jest to bowiem cneroba, którą można leczyć jedynie chirurgicznie/. I to znaczy jeszcze: ryzykować, że przerzuty społeczne buntu i rewolucyjny sprzeciw wobec dyktatury samozwańczych reprezentantów proletariatu przekroczą granicę PRL.

Stwierdzając powyższe wyrażam głębokie przekonanie, że na wschodniej flance mamy do czynienia z "sojusznikiem" bardzo inteligentnym i zaprawionym w wielorakich metodach skutecznego działania. Co to zresztą znaczy: wkroczyć? Kiedy Zachód potrząsał szabelką /i trzeba Reaganowi przyznać - skutecznie / oraz onu prorocztwa: wkroczą - nie wkroczą, Ruscy wkroczyli de facto. Było ich wszędzie po całej Polsce do licha i trochę. Stacjonowali wcale się z tym nie kryjąc, po rozmaitych Wólkach, laskach i pagórkach. Mieszkałi w namiotach a z tubylcami handlowali konserwami Made in Poland, które wymieniali za bimber. Teraz jakby się ich trochę przeredziło, ale nadal jest ich pełno, nie tylko w dotychczasowych głównych obszarach dyslokacji /Legnickie, szczecińskie, koszalińskie itd./, ale i w nowych "obozach przejściowych".

Tylko co innego - wkroczyć, a co innego - zrobić porządek. Błędy dotychczasowych zrywów węgierskiego i czeskiego polegały na tym samym co zrywy naszego narodu 1956, 1970 - na wychodzeniu na ulicę, na stwarzaniu awantury umorzeliwiającej prowokację kończąca się nieuchronnie "przyjacielską pomocą". I jeszcze jednego potrzeba tu czynnika, czynnika klik partyjnych gotowych na wszystko /tu dochodzimy do zagrożeń wewnętrznych/.

Proszę pamiętać, że w Polsce od sierpnia spadło z wyżyn nomenklatury mnóstwo bożków: najwyższych, średnich i małych, ale w sumie tworzą oni wcale pokaźną gromadkę "pokrzywdzonych", ludzi, którzy jak przed niemal dwustu laty Targowiczanie, skłonni są w imię własnych interesów sprzedać całą resztę narodu. Potencjalni Targowiczanie polskiej bezkrwawej rewolucji są w moim przekonaniu zagrożeniem dotychczasowych zdobyczy najgroźniejszym.

I na tym tle istnieje realna szansa współpracy Solidarności z PZPR: należy odeprzeć partię, a w szczególności tę jej - wcale liczebną! - część, która się opowiedziała za odnową. Partia jest dziś przeraźliwie słaba i faktem wcale nie jest tak bardzo pocieszający, jakby się to mogło na pierwszy rzut oka wydawać. Jeśli wciąż jeszcze partia jest nam Polakom w kraju potrzebna, to tylko na tyle, by potrafiła się sama ze swymi własnymi strupami rozprawić.

Zjazd partii będzie wielkim problemem umiejętności politycznych kani oraz konsolidacji tych, którzy teraz powinni przejąć odpowiedzialność za tę mizerną roślinkę. Mają oni bardzo trudne zadanie: ich poprzednicy skompromitowali ową "siłę przewodnią" tak doszczętnie, że przejmują teraz nie organizację polityczną, ale masę upadłościową

Spółczesność rozumie lepiej niż to się komukolwiek wydaje, że mamy wszystkich kompromitacji PZPR na właściwie tylko jeden aut: utrzymanie sytuacji w ogólnych ramach porządku i umożliwienie tym samym "braterskiej pomocy".

Starczy bratolowscy obserwują nas bacznie i z nieukrywanym niepokojem. Breżniewowi nawet wymknęło się nie opacznie stwierdzenie, że trzeba PRL-owi pomóc "odwrócić bieg wypadków". Jak na przywódcę "kraju zwycięskiej rewolucji" ujawni w tych słowach cały bezmiar wsteczności tego, co reprezentuje. "wydawać by się mogło, że chociaż by z uwagi na wiek, powinien być rozumieć fakt, że historii zawrócić się nie da. Ani pełką, ani czołgami, ani jaszczką swych preskich czy berlińskich ekspozytur.

Nie chcemy konfrontacji z nikim. Chcemy uczciwych warunków bytowania i czystego powietrza w płucach narodu. I zbyt wiele wciągnęliśmy go w ciąg ostatnich miesięcy, byśmy się mieli wernie zgodzać na zawracanie biegu historii. I to świetnie punktuje po trosze wszędzie plakaciki Solidarności: Nie ma odwrotu.

Przyp. ze str. 8<sup>a</sup>

x/ Ostatnio panuje w PRL posucha na kawały. Jeden z nielicznych i nie nadmiernie wesołych, to odpowiedź na pytanie: czy mogą obecnie nastąpić kolejne rozbiory? Odpowiedź: nie! Bo Austria się nie zgodza.

KULTURA 1/2 - 1981

ROZMOWA Z BUKOWSKIM W MADRYCIE - Barbara Toruńczyk

Barbara Toruńczyk: - Ocena faktycznych relacji pomiędzy Wschodem i Zachodem stanowi tu, w Madrycie, główny temat rozmów. Jakie jest pańskie stanowisko w tej sprawie?

Władimir Bukowski: - Détente jest pojęciem, w które każdy wkłada co chce /Anglicy mają na to określenie red hering/. Jeżeli polityka détente byłaby czymś realnym, to znaczyłoby, że państwa polegałyby na pogłębieniu kontaktów międzyludzkich czy ideowych, nie mielibyśmy nic przeciwko niej. Z tym, że nic z tego wszystkiego nie wyszło.

B.T.: - Czy rzeczywiście nic nie wyszło? To znaczy: jeśli rozpatrywać wyłącznie sytuację rosyjską, to Rosjanie, zwłaszcza dyplomaci, na tej polityce raczej stracili. Imperializm czy też agresywność Rosji wzmożła się, środowiska opozycyjne w Rosji zostały w gruncie rzeczy rozbite. Natomiast już punkt widzenia Polaków jest inny. Polacy na koniunkturze politycznej lat 70-tych raczej zyskali. Czy nie zmienia to Pańskiej oceny rezultatów polityki Wschód-Zachód w tym czasie?

W.B.: - To jest sporna sprawa, czy rzeczywiście détente miała korzystny wpływ na sytuację w Polsce. Jest to raczej sprawa wewnętrznej logiki rozwoju ruchu demokratycznego w Polsce i détente nie miała na to specjalnego wpływu.

Takie ruchy, podobne sytuacje powstawały przecież i wcześniej, bez żadnej détente, na Węgrzech w 1956, w Czechosłowacji w 1968, kilka razy w Polsce.

B.T.: - Ale ogromne pobudzenie życia publicznego w Polsce, powstanie ruchów opozycyjnych, ich swoista "bezkarność" zawdzięcza Polska jednak w jakiejś mierze i temu, że PRL miała określone stosunki z Zachodem, których nie chciała zerwać. Polityka PRL była nabytą uzależniona od reakcji opinii publicznej Zachodu, by móc sobie pozwolić na zbyt twardą linię w polityce wewnętrznej. Można więc mówić o pewnym wpływie polityki détente sprzyjającym rozwojowi polskiej opozycji i pobudzeniu opinii publicznej, która ożywiła się dzięki tej swoistej bezkarności.

W.B.: - Nie zgadzam się, że był to wpływ détente. Głównym filarem rozwoju i siły opozycji polskiej był Kościół katolicki, który istniał i zdobył swoją opozycję i znaczenie niezależnie od détente. I bez jej pomocy.

B.T.: - Ale Kościół nie wystarczyłby na stworzenie tej swoistej sytuacji "bezkarności" dla polskich opozycjonistów, nie wystarczyłby, żeby nie wsadzać ludzi do więzienia z wieloletnimi wyrokami.

W.B.: - Również z tym się nie zgadzam. Nawet pomijając rolę Kościoła, które była ogromna, trzeba pamiętać o latach 1970 i 1976, kiedy powstania robotników zostały bardzo brutalnie stłumione a Zachód jakoś wcale nie pomógł, chociaż były wtedy nawet ofiary w ludziach. To znaczy, że détente nie wpłynęła pozytywnie na złagodzenie brutalności rządu w tej sprawie. Ruch demokratyczny, jego powstanie, to była odpowiedź na te krwawe wypadki, była to więc wewnętrzna logika rozwoju ruchu demokratycznego, KOR właśnie wtedy przecież powstał.

Co się tyczy problemu zależności finansowej PRL od Zachodu, to nie jest to sprawa na serio, gdyż Zachód nigdy nie umiał stawić warunków przy dawaniu kredytów i pożyczek. I nigdy ich nie stawia. A ponieważ nie stawia warunków, to nie można mówić o uzależnieniu od Zachodu. Właściwie jest zupeł-

nie odwrotnie, to Zachód zaczyna zależeć od krajów Wschodu, gdyż kredyty i pomoc ekonomiczna rozwijają po części problem bezrobocia i kryzys, który przeżywa Zachód, w wyniku którego do Zachodu staje się zależny od Wschodu a nie odwrotnie. Mam na to uczyć przykład: ostatnio wraz z innymi dyrygentami zwróciliśmy się do rządów zachodnich, żeby wprowadziły klauzulę w umowach gospodarczych i w sprawie kredytów ze Wschodem, że jeżeli w Polsce nastąpi interwencja, umowy zostaną zerwane. Żaden z rządów zachodnich nie zgodził się na to i klauzuli takiej nie będzie.

B.T.: - Pełna ocena polityki Zachód-Zachód lat 70-tych jest bardzo surowa. Czy posunąłby się Pan do twierdzenia, że zatem lepsza jest ze strony Zachodu polityka pozbawiona hipokryzji - a więc zupełne zerwanie d'étente i KWE - niż utrzymanie relacji z ostatnią ekipą, nawet w takiej ich, niedoskonałej, postaci? Czy wolał Pan taką alternatywę: obecna d'étente albo tracna?

B.T.: - Zachodni politycy są szarymi politykami, mówią, że nie widzą dla d'étente innej alternatywy niż zimna wojna.

B.T.: - A jaką Pan widzi alternatywę? Przecież wiadomo, że Zachód niejednokrotnie jednak stawiał warunki. Swego czasu gdy ZSRR ubiegał się o klauzulę najwyższego uprzywilejowania, senator Jackson zaproponował uzależnienie tej klauzuli od zgody Rosji na emigrację Żydów. Rosja zerwała wtedy rokowania. Tak więc gdy Zachód zdecydował się na politykę idącą po Pana myśli, Rosja okazała się nieustępliwa. Czy zatem polityka dyktowania warunków jest polityką realistyczną?

B.T.: - Odpowiedź jest prosta: o d'étente należy się bić, trzeba zmusić ZSRR do przyjęcia warunków. Alternatywą nie jest zimna wojna, lecz inna postać d'étente.

B.T.: - A jak konkretnie modyfikować d'étente? Jakie stawiać warunki, mając w pamięci, że Rosja jest podatna na te warunki tylko do pewnych granic?

B.T.: Zaczynamy od pytania, kto jest zainteresowany w korzyściach ekonomicznych, Zachód czy ZSRR? Jest oczywiste, że zależy na nich ZSRR i Wschodniej Europie. To Zachód potrzebuje kredytów, technologii, pieniędzy etc. Trzeba więc to wykorzystać, a tymczasem Zachód biegnie za Rosją i błaga, żeby wzięła te rzeczy od niego. Oczywiście, poprawka Jacksona była dla nas mimo wszystko korzystna /choć mówiąc ściśle nie był to sukces, gdyż dotyczyła nie całego kompleksu spraw związanych z prawami człowieka a wyłącznie problemu emigracji - jedynej sprawy, którą Amerykanie zdokali pojąć i to tylko dlatego, że są narodem emigrantów/. Poprawka ta była mimo wszystko plusem, lecz tylko dlatego, że jednak po jakimś czasie coś załatwiono.

Modyfikować d'étente można też przez stawienie warunków przy współpracy naukowej. Zachód nie może zmusić ZSRR żeby wypuszczał określonych ludzi, dostaje więc szpiegów albo bonów partyjnych, ale nigdy prawdziwych uczonych. Nawet w podpisanych umowach nigdzie nie jest zaznaczone, że Zachód ma prawo zapraszać konkretnych ludzi. Dlatego umowy dotyczące wymiany i współpracy naukowej nie mają większej wartości. Wychodzi z tego parodia. Poza tym ważne jest jeszcze jedno: chodzi o prestiż uczonych. Polityka Zachodu powoduje, że tym prestiżem cieszą się nie prawdziwi uczeni, tylko hochsztaplerzy. Innymi słowy: chodzi o to, ilu będzie Sacharow ców. Gdyby nie błędna polityka Zachodu, byłoby ich

1. Oświadczenie o tej treści sformułowane w Bonn 28.X.1980 podpisali m.in.: W. Bukowski, E. Kuzniecow, W. Maksimow, P. Tigrid, P. Coma, G. Herling-Grudziński /przyj. B.T./.

znaczenie więcej. Weźmy na przykład psychiatrię: ZSRR posłała na Zachód przede wszystkim po prostu kryminalistów, jak Snieżewski. Gdyby Zech zmusił ZSRR do wyłączenia za granicę arawidowych psychiatrów, to mielibyśmy Sacharowców wśród psychiatrów. Podobnych przykładów mogą podać więcej.

E.T.: - Czy obecnie, po zmianie na stanowisku prezydenta USA nie uważa Pan, że polityka USA może się zmienić i pójść bardziej po Pana myśli?

W.B.: - Nie wiem. Niestety chodzi o to, że w zachodnim spectrum politycznym zarówno na lewicy jak na prawicy są głupcy. Lewicowi są proswieccy w sensie politycznym, prawicowi w sensie, ekonomicznym. Dobrym przykładem był Nixon, który był pravicowym republikaninem a w rezultacie doprowadził do détente. To był wielki dureń, absolutny głupiec. Większego głupca niż Nixon nie było w historii USA, nawet Carter jest troszeczkę lepszy od niego. Na przykład: w 1973 r. Nixon pojechał do Pekinu i zrobił mu zdjęcie z Mao Tse-tungiem tete-a-tete. Sam pamiętam, siedziałem wtedy w więzieniu, ale kiedy tylko zobaczyłem wiadomość o tym w prasie, zrozumiałem z jej tonu, jak bardzo rząd rosyjski się boi - był przerażony, absolutnie przerażony, - i zależało mu jak na życiu, żeby też sięgnąć do siebie Nixona i sfotografować go z Breżniewem. Nixon mógł wtedy zażądać wszystkiego: zwolnienia więźniów politycznych /i zwolniono by ich/, złagodzenie klimatu politycznego, choćby tylko w krajach nadbałtyckich. Lecz ci idioci przyjechali do Moskwy i mimo, że mogli otrzymać za to jedno zdjęcie wszystko co chcieli, nie postawili ani jednego warunku. Nixon po prostu przyjechał do Moskwy i zrobił sobie zdjęcie z Breżniewem.

E.T.: - Złożymy jednak na chwilę, że polityka USA za Reagana zmieni się i pójdzie bardziej po Pańskiej myśli. Można o tym wnioskować raz z deklaracji przedwyborczych a dwa z wczorajszego oświadczenia Reagana - słyszał Pan chyba - że jeśli Rosja będzie interweniować w Polsce, to USA nie będą czekać a opuszczonymi rękoma. Gdyby zatem Amerykanie okazali nieustępliwość w sprawie Polski /co by nas, Polaków, oczywiście satysfakcjonowało/, to czy nie można się z drugiej strony obawiać, że byłoby to jednak w pewnym sensie sprzeczne z obecnymi interesami polskiego ruchu demokratycznego, w tym sensie mianowicie, że zwiększałoby ryzyko konfrontacji politycznej?

W.B.: - Trzeba rozumieć, dlaczego Reagan wystąpił z takim oświadczeniem. Znam sztab polityczny Reagana, znam tych ludzi, mogę to wytłumaczyć. Linia Reagana, zwłaszcza wyborcza, ustalana była w opozycji do polityki Cartera, który zawsze mówił, kiedy tylko coś się zaczynało dzieć w jakimś kraju, że USA nie będą się do tego mieszać /było tak na przykład w sprawie Jugosławii/. Cznaczało to po prostu, że Rosja może robić co chce.

E.T. - Powtarzam jednak swoje pytanie. Czy nie obawia się Pan, że nieustępliwość USA, wszystko jedno czym spowodowana - względami psychologicznymi, wyborczymi czy politycznymi - spowoduje wzrost nieustępliwości ze strony rosyjskiej, i że polem "bitwy" stanie się Polska?

W.B.: - Jest to zagadnienie bardzo złożone. Uważam jednak, że w żadnych okolicznościach nie można zdawać się na łaskę ZSRR. Od nich trzeba żądać, trzeba ich zmuszać do ustępstw, trzeba zaważe być w ofensywie. Tylko wtedy mamy jakieś szanse. A inaczej co? Teraz macie w Polsce wolność, ale co z tego jutro możecie mieć tam sowieckie czołgi.

E.T.: - Ale obecnie w ofensywie jest polski ruch demokratyczny. I można założyć, że za Reagana ze strony USA będą

padają różne bojowe stwierdzenia i "nieustępliwe" oświadczenia. Reagan może w swojej propagandzie ostrzeżniej niż Carter stawkować Rosję, usztywnić swoje wobec niej stanowisko. Ale w gruncie rzeczy nie będzie to oznaczało, że jest on gotów interweniować militarnie po stronie Polski. Jest to mało - wręcz wcale - realne. Zmiana stanowiska może więc polegać tylko na tym, że jego ekipa będzie się cieszyła, kiedy coś będzie "ropieć" w obozie komunistycznym, to znaczy kiedy będzie jątrzący się, przewlekły kryzys czy to w Polsce, czy na Węgrzech, czy w NRD. A więc chodzi tu o to, że politykę taką w gruncie rzeczy zadowolę stan, w którym nerody bloku socjalistycznego są pogrążone w permanentnym kryzysie i chaosie, tylko dlatego, że to wycieńcza Rosję. Czy nie uważa Pan, że Pańskie stanowisko w tej sprawie jest analogiczne, a w każdym razie, że można je podobnie rozumieć? Polski oczywiście nie może zadowolę takie stanowisko, gdyż w tej chwili może ona na tym stracić. Czy nie widzi Pan wobec tego ewentualnej kolizji interesów?

W.B.: - Rzecz w tym, że Rosjanie się z niczym nie liczą, jeśli im czegoś trzeba; z atmosferą détente też nie.

B.T.: - Ale czy nie rysuje się konflikt interesów pomiędzy Polską a długofalowymi interesami ruchu demokratycznego we wschodniej Europie i Rosji?

W.B.: - To zależy od tego, jak polski ruch demokratyczny pojmuje swoje interesy.

B.T.: - Tak, ale czy nie obawia się Pan, że namawiać w chwili obecnej Zachód do usztywnienia jego polityki jest podjęciem ryzyka konfrontacji? I że w konsekwencji stanowi to być może ryzyko dla szansy na demokratyzację Polski?

W.B.: - Ależ przecież los Polski rozgrywa się w Moskwie, tylko w Moskwie! Jeśli polityka nasza będzie pasywna a nie aktywna, jeśli nie będziemy w permanentnej ofensywie, to szanse że polski ruch demokratyczny zostanie zdławiony znacznie wzrosną. Weźmy przykład Afganistanu. Dopóki istnieje détente w jej obecnej postaci, USA nie dają im nawet broni. Gdyby natomiast nie było détente, Afgańczycy dostaliby przy najmniej broń do USA, co już byłoby lepiej.

W.B.: - Wasz problem jest taki: czy chcecie, żeby, kiedy Polaka zostanie okupowana, cały świat umył ręce i nadał dewał Polsce kredyty a nie dewał broni, czy też żeby świat się wzburzył i posłał wam chociaż broń?

B.T.: - W tej alternatywie okupacja Polski jest konieczna. Czy nie widzi Pan istotnie żadnego innego rozwiązania, jak tylko interwencję?

W.B.: - Tak, uważam, że interwencja jest w 85% prawdopodobna.

B.T.: - Czy może Pan powiedzieć dlaczego Pan tak sądzi?

W.B.: - To jest temat na długą rozmowę. Przede wszystkim Rosja nie może tolerować istnienia władzy alternatywnej, drugiego rządu w Polsce. Ta sytuacja musi wcześniej czy później doprowadzić do niezawisłości Polski; wcześniej czy później dojdzie do tego, że Polska wyąpi i z bloku komunistycznego, i z Układu Warszawskiego. Jest to zupełnie oczywiste. Naturalnie, stanie się to nie jutro, lecz w ciągu 5-10 lat. Rosjanie są tego w pełni świadomi.

Druga przyczyna jest taka, że jeśli polski ekaperement nie zostanie zdławiony w zarodku, jutro za przykładem Polski pójdą Czechy, Węgrzy, Niemcy i kraje nadbałtyckie. Dlatego Rosjanie nie mogą na to pozwolić.

B.T.: Jest Pan więc przekonany, że będzie interwencja?

W.E.: - Tak.

B.T.: - Pena zdaniem wszystko się jakby stale powtarza, tymczasem doświadczenie polskie wskazuje, że za każdym razem dzieje się mimo wszystko rzeczy trochę inne, sytuacja się zmienia.

W.E.: /ironicznie/ - Od kiedy to? Stu, dwustu lat?

B.T.: - Ostatnich dziesięciu. Ruch, który obecnie obserwujemy w Polsce jest czymś zupełnie nowym, otwiera nieznaną możliwość, stwarza nową, dotychczas nieprzewidywalną sytuację. Mamy do czynienia z próbą prowadzenia przez całe społeczeństwo nowej polityki i to polityki roztropnej i rozsądnej, przy której starają się uniknąć tej alternatywy, o której Pan mówi. Podczas gdy Pan zdaje się nie widzieć żadnej możliwości wyjścia z tego zakłętego kręgu.

W.E.: - Ta poprawa sytuacji o której Pani mówi, czy też tylko jej zmiana, to są rzeczy bardzo tymczasowe. Absolutnie nie można jeszcze na tej podstawie mówić o jakimś trendzie. To już na przykład było w Czechosłowacji i trwało tylko parę miesięcy. Jeżeli myślicie, że polskie interesy są odmienne od interesów pozostałych krajów socjalistycznych i że wasze problemy mogą zostać rozwiązane w oderwaniu od całego wschodnioeuropejskiego kontekstu /w tym sowieckiego/, to się mylicie.

B.T.: - Nikt tak nie myśli, przeciwnie, bardzo się liczymy z uwarunkowaniami geopolitycznymi i również z wspólnymi interesami naszymi i demokracji rosyjskiej. Tyle tylko, że chcemy znaleźć z tego jakieś wyjście, zwłaszcza że dla nas przelew krwi jest końcem i to końcem wszystkiego. Musimy myśleć nie teoretycznie lecz praktycznie, tego wymaga od nas sytuacja.

W.E.: - Skoro już mowa o szukaniu wyjścia, to przede wszystkim polski ruch demokratyczny musi wykazać teraz maksymalną ostrożność. Scenariusz rosyjski jest bardzo prosty. Rosjanie postarają się przede wszystkim doprowadzić do konfliktu między wolnymi związkami i władzą, spowodować strajk generalny w Polsce, który doprowadzi do krańcowego chaosu i anarchii. Wtedy pośle czołgi.

Po drugie, trzeba żeby polski ruch demokratyczny natychmiast rozpoczął szeroko zakrojoną akcję propagandową w wojsku. Jest to sprawa o zasadniczej wadze, bo jeżeli polska armia opowie się po stronie społeczeństwa, to zarysuje się poważna szansa, że Rosjanie nie odmieli się interweniować zbrojnie.

Po trzecie: /to co wszyscy staramy się robić/ należy za wszelką cenę starać się synchronizować kryzys, tak, żeby on wybuchał nie tylko w Polsce, albo nie tylko w CSRS, ale i w krajach nadsbałtyckich i na Kubie, tu i tam, i ówdzie, tak, żeby ZSRR był zmuszony walczyć na dziesięciu frontach na raz.

B.T.: - Jest to stanowisko teoretyczne, z którym trudno się nie zgodzić, Natomiast my w Polsce mamy sytuację konkretną, praktyczną. Kryzys u nas już jest. Czy widzi Pan jakąkolwiek możliwość, żeby nie doszło do interwencji? Dotąd podawał Pan tylko argumenty za interwencją. Czy Pana zdaniem jest coś, co przemawia za tym, że jej nie będzie? Te 15%, które zostało z Pańskiego rachunku - co się na nie składa?

W.E.: - Powiedziałem już, że te 15% od tego, jaką całkowitością wykażą się niezależne związki zawodowe i od postawy wojska.

B.T.: - A czy Zachód może mieć wpływ na tę sytuację?

W.E.: - Oczywiście, Zachód może pomóc, przede wszystkim domagając się uznania niezależnych związków zamiast starych, i po drugie, przez wprowadzenie klauzuli w sprawie udzielenia kredytów, uzależniając je od tego, czy w Polsce nie będzie interwencji rosyjskiej. Po trzecie, pomagając tym rejonom, gdzie już jest kryzys, to znaczy na przykład Afganii-



stanowi, tak, żeby odciągnąć uwagę ZSRR na inny front.

Na wszystkich frontach można stawiać. Ja na przykład od trzech lat staram się przekonać Zachód, że powinien postawić problem narodowy w ZSRR na forum ONZ. Jeśli Rosjanie odmówią udziału w rozmowach, nie szkodzi, należy mówić dalej, upierać się. Najważniejsze to zmusić ZSRR do defensywy - to podstawowe zadanie dla Zachodu.

Największy błąd Zachodu polega na tym, że politycy zachodni są dżentelmenami, którym wydaje się, że trzeba zawsze zachowywać się racjonalnie, również w stosunku do Rosji. Tymczasem z Rosją należy zawsze postępować irracjonalnie i dopiero taka postawa może być skuteczna. To jest mój główny zarzut wobec rządowej polityki Zachodu w stosunku do Rosji.

B.T.: - Mam jeszcze jedno pytanie. Czy uważa Pan, że droga polska, ta, która została ostatnio u nas zestosowana, może być wzorem dla innych krajów socjalistycznych, a zwłaszcza dla ZSRR?

W.B.: Byłoby wspaniale, gdyby tak się stało. Niestety, pozostajemy daleko w tyle za Polakami. Trzeba rozumieć, że Rosja to ogromny kraj, dziesięć razy większy od Polski, ponadto liczy 130 różnych narodowości, nie może być więc mowy o tym, aby ukłatałował się tam ten wspólny duch, który stanowi o polskiej sile obecnie.

B.T.: - Czyli widzi Pan raczej inne źródła dynamiki sytuacji politycznej w Rosji? Polska nie może być więc dla Rosji modelem?

W.B.: - Nie, Polska nie może być modelem, przynajmniej nie w pełni. Polskie doświadczenia będą miały na pewno duży, nawet bardzo duży wpływ, zwłaszcza, że istnieje pewne podobieństwo w sytuacji Rosji i Polski. W Rosji również nie ma produktów, wciąż w różnych częściach kraju wybuchają strajki itp. Znaczy to, że Polska dostarczy w jakiejś mierze modelu zachowanie, lecz głównym źródłem dynamiki sytuacji politycznej w Rosji pozostaje w moim przekonaniu kwestia narodowa i ona będzie miała największy wpływ na naszą sytuację w przyszłości. Ona też stanie się główną przyczyną ewentualnego kryzysu polskiego w Rosji.

KULTURA 6/1981

W SOWIECKIEJ PRASIE - Adam KRUCZEK

Miniony miesiąc był pierwszym od sierpnia 1980 roku, który w Polsce upłynął stosunkowo spokojnie: cykl "konflikt - odprężenie - konflikt" został przerwany. Frontalne ataki prasy sowieckiej nieco osłabły, co jest wyrazem nowej taktyki w walce z "odnową" w Polsce. Moskwa zrobiła krok do tyłu i zajęła się przegrupowaniem swych sił i podliczeniem sejsuszników.

Kwietniowe gazety i czasopisma powtarzały znane już sowieckiemu czytelnikowi imiona "wrogów socjalistycznej Polski": KOR, Kultura, radio Wolna Europa, emerytańskie związki zawodowe i CIA. Dorzucono do nich paru nowych, przede wszystkim syjonistów. Korespondent Literaturnej Gazety w USA donosi np. /22.4.1981/ o groźnym wydarzeniu: delegacja Światowego Kongresu Żydostwa ze swym generalnym sekretarzem na czele odwiedziła polskie poselstwo w Waszyngtonie. Jako tego - jeden z przywódców syjonistycznej organizacji w Chicago "wezwał swoich braci do ważniejszego śledzenia wydarzeń w Polsce". Czytelnicy dowiedzieli się także, że od

14 czerwca 1975 roku 7-dokładna data uwazygodnia informację/ istnieje w USA "północnoamerykański ośrodek badań nad Polską", którym kieruje prof. A. Brunkreutz, wśród członków zaś znajduje się L. Korzkowski. Zadaniem ośrodka jest "kierowanie antypolską działalnością w USA", opracowywanie koncepcji programowych oraz dywersji, itd.

Ulubionym wrogiem Polski Ludowej pozostaje jednak dla prasy sowieckiej - KSS "KOR". 15 kwietnia Literaturna GAZETA opublikowała w rubryce "Zto jest kto?" ogromny artykuł pod metafizycznym tytułem "Nieczyste siła - pełzająca kontrrewolucja w Polsce". Jest to niepełniejazy w dotychczasowym piśmiennictwie sowieckim wykład o historii KSS "KOR" i jego działalności. Nie ulęga wątpliwości, że sowieccy czytelnicy z najwyższym zainteresowaniem zaznajomią się z tym artykułem - decyduje o im rzetelności sporu informacji. Autor artykułu nieczego nowego nie odkrywa - pisano już o tym: KOR, "tak zwany Komitet Obrony Robotników", to organizacje które pretenduje do roli partii politycznej; chce ona obalić ustrój socjalistyczny; "związana jest z wyrotowanymi ośrodkami na Zachodzie". Krótko mówiąc jest to "zła nieczyste siła, która mać spokój i duszę marań". Do roli diabła sowieccy dziennikarze dawno już wytypowali Jacka Kuronia i Adama Michnika. We wspomnianym artykule tę właśnie rolę grają.

Nowy w tej informacji jest opis form działania KSS "KOR" przed sierpniem 1980. Autor wylicza: zrominawszy, że nie uda mu się wpłynąć na ruch studencki, Kuron zmienia taktykę - grupa jego zaczyna tworzyć nielegalne jacezjki w całym kraju i stara się zdobyć sprzymierzeńców wśród robotników; powstają pierwsze komitety niezależnych związków zawodowych; w nielegalnych kółkach przygotowuje się aktywy, z którego szeregu rekrutuje się wielu przywódców związku zawodowego "Solidarność". Poza tym "kuroncy przypisują wielką wagę do politycznej i ideologicznej pracy wśród młodzieży, zwłaszcza studenckiej". Autor artykuła szczególnie podkreśla "tak zwane "Letające Uniwersytety", których działalność opisuje tak: "zajęcia prowadzą intelektualny od spraw kontrrewolucyj", "prowadzi się seminaria naukowe i sesje, na których pod przewodnictwem kuronców tłumaczy się, jakie walceki należy wyciągnąć z Powstania Warszawskiego...."

Krótko mówiąc artykuł jest pozytywny i wbrew woli autora i redakcji stanowi zwycięży wykład, jak dzisiejszy prawdziwy ruch wyzwolenia narodowego w socjalistycznym kraju.

Krok do tyłu, jaki zrobiła Moskwa - to wymuszona zgoda na istnienie "Solidarności" i nawet "Solidarności wiejskiej". Sowieckie gazety opublikowały 19 kwietnia bez komentarza oświadczenie TKSS-a o podpisaniu porozumienia w Bydgoszczy, w którym podkreślono, że rząd polski uznał związek zawodowy robotników indywidualnych, uwzględniając deklarację komitetu chłopskiego, że "przyznaje polskiej partii kierowniczą rolę w budownictwie socjalizmu". Na nowym etapie taktyka polega na odwołaniu KSS "KOR" od "Solidarności" i skierowaniu wszystkich wysiłków na przekształcenie "Solidarności" w związek, zajmujący się wyłącznie kwestiami syndykalnymi.

Przy czym nieustających ataków na KSS "KOR" szukać należy w uderzającym skostnieniu umysłów władców sowieckich. Widząc świat przez lufcik "Krótkiego kursu KPZS", który to kurs stanowi filozoficzne podstawę ich myślenia, władcy ZSRR twardo pamiętają gwałtowne słowa towarzysza Lenina, który 79 lat temu oświadczył w swym głównym dziele "Co robić?", że proletariat sam z siebie nigdy nie odchodzi do świadomości socjalistycznej, lecz zawsze będzie walczył

tylko o swoje materialne inter. sy. To inteligencja powinna wnieść świadomość socjalistyczną do klasy robotniczej. Jest oczywiste - per analogiam - że tylko inteligencja, KSS KOR np. może wnieść "antysocjalistyczną" czyli antysowiecką świadomość w szeregi polskiej klasy robotniczej. Naczelnik zadaniem jest zatem walka z "inteligentami od kontrrewolucji". Kiedy się ich obezwładni, można będzie przekształcić "Solidarność" w organizację związkową zajmującą się powszechnymi potrzebami ludzi pracy i nie mieszającą się w nieswoje sprawy. 8 maja Tredda z niechęcią wybrała materiałów pod tytułem "Prasa PRL o programie "Solidarność". Teksty z Trybuny Ludu, Życia Warszawy, Żołnierze Wolności i Polityki wyglądają tak, jakby wszystkie wyszły spod jednego pióra i głoszą jedną i to samo: program "Solidarność" ma na celu przekształcenie z iązk w zwo owego w partię polityczną. Autor wyboru ogranicza się do cytowania prasy warszawskiej /choć nierazko c tuje bez c-dzyszo m, swobodnie wykładając myśli polskiego autora/. Dopiero w ostatnim zdaniu podkreśla słuszność zarzutów stawianych "Solidarność", oskarżonej o to, że "stara się w konkretnych warunkach socjalizmu oddzielić interesy państwa od interesów robotników". To jest wykluczone, Jeszcze bardziej wykluczone jest - co zrobili autorzy programu - "pominięcie kierowniczej roli PZPR".

Oddzielenie interesów robotników od interesów państwa jest nie do pomyślenia. Interes państwa zaś - jest interesem partii. I oto wracamy do zagady, którą tak trafnie sformułował na XII Zjeździe w 1929 roku L. Kamieniew: "Ten kto wydziela się przeciw partii, kto domaga się oddzielenia funkcji aparatu sowieckiego od funkcji partii dąży do takiego samego podzielsu władzy, jaki istnieje w innych krajach... Niech sowiecki aparat rządu, a partia niech się zajmuje agiucją, propagandą, pogłębianiem świadomości komunistycznej itd. Nie, towarzysze, zbyt wielką byśmy sprawili radość naszym wrogom".

Jak wiadomo, wrogom nie było dane się cieszyć: państwo sowieckie od chwali swych narodzin różniło się od innych państw i władze w nim spoczywa w rękach partii. Rezultaty widać jak na dłoni. Póć wieku temu popularna była w Związku sowieckim piosenka w której były prorocze słowa "Ubogi Chiriczuk; nieszczęsny Hindus, z zawiścią patrzy na Związek Rad". Ubogi Chiriczuk rzeczywiście może dziś z zawiścią patrzeć na Związek sowiecki, ale już o nieszczęsnym Hindusie trudno to powiedzieć. Nie ma też cienia wątpliwości, że wymędniali: obywatel ZSRR z zawiścią patrzy na biedną Polskę.

Porównanie spożycia podstawowych produktów na głowę ludności w ZSRR i w Polsce, sporządzone na podstawie cyfr podanych w roczniku Statystycznym PWPG /wyd. "Statystyka", Moskwa 1980/ nie wymaga komentarzy. Cyfry odpowiadają stanowi z końca 1979 r. /sytuacja jak widać pogorsza się z tą samą szybkością w obu krajach/:

	Polska rocznie	ZSRR rocznie
Mięso	81 kg	58 kg
Produkty mleczne /w tym i masło/	457 "	319 "
Ziemiński	160 "	119 "
Cukier	41 "	43 "
Radioodbiorniki /na 1 mln mieszkańców/	438	246
Telewizory /na 1 mln mieszkańców/	254	242
Pralki /na 1 mln mieszkańców/	184	77
Produkcje samochodów /w tym ciężarowych/ - na 10 mln mieszkańców	114	80
Ilość samochodów osobowych /na 1 mln mieszkańców/	59	21
Produkcja mieszkań /na 10 mln mieszkańców/	80	73

Patrząc na te cyfry<sup>reg.</sup> należy zapominać, czym są oficjalne statystyki. Nie ulega wątpliwości, że dane są zawyżone, przede wszystkim jeśli chodzi o ZSRR. Jednak i te zawyżone dane nie pozostawiają wątpliwości co do katastrofalnej sytuacji gospodarki sowieckiej. Jak wiadomo z fizyki, różne cieczy mają różną temperaturę wrzenia. Historia pokazała, że ze wszystkich "narodów socjalistycznych" Polacy pierwsi osiągnęli pułap wrzenia. Z tego jednak nie wynika, że nie wybuchną i narody sowieckie, kiedy ich położenie etanie się nie do wytrzymania.

Wyderżenie w Polsce zmusiły rząd sowiecki do namysłu i "zastosowania środków". Tym bardziej, że od pierwszych miesięcy 1981 r. stało się jasne, że nawet skromne wskaźniki wzrostu ustalone dla jednej pięcioletki nie są realizowane. Komunikat Centralnego Urzędu Statystyki o wynikach pierwszego kwartału /Lzwiestia z 18.04./ brzmi jak zwykle zwycięsko w myśl formuły "sowiecki kerzeł o głowę wyższy od zachodniego"! Jeśli jednak porównać wyniki pierwszego kwartału 1981 r. z planem, nie ulega wątpliwości, że sowiecki kerzełek maleje. Produkcja przemysłowa wzrosła o 3,1%, podczas kiedy plan przewidywał wzrost o 4,1%. W latach 1966-1975 produkcja wzrastała o 8% rocznie, w latach 1976-1980 o 4,6% zaś w samym roku 1980 wzrost wynosił 3,6%. W ubiegłym kwartale 1981 r. produkcja mięsa i mleka spadła o 2%, mimo że nowy plan 5 letni zapowiadał znaczny jej wzrost. Nie zrealizowano również planu wydobycia ropy naftowej, węgla i produkcji stali.

Pierwszy środek jest łatwy i prosty /dla kierownictwa/: nasilenie represji. Praktykuje się szeroko powtarzane wyroki na dysydentów, którym kończy się pierwszy wyrok: sędzi się ich w łagrze i czeka dalszych 3-5 lat. Dobijs się resztki helsińskich grup, 2.04. - w Madrycie trwają rozmowy o "odprzeżeniu".- skazano w Moskwie na 5 lat obozu i 5 lat zesłania 32 letniego inżyniera geofizyki, Tatjanę Osipową, członkę moskiewskiej helsińskiej grupy. Oskarżoną ją o to, że /w latach 1978-1980/ osobiście i razem ze swymi współnikami sporządzała, przeczynowała i rozprzestrzeniała oszczercze materiały, szkalujące sowiecki ustroj społeczno-polityczny... dzieła w celu podważenia i osłabienia władzy sowieckiej". Uwaga "organów" skunbiona jest ostatnio na nadbałtyckie, w szczególności na Estonii. W liście otwartym 40 estońskich działaczy kultury, zaadresowanym do Komisji Praw Człowieka ONZ, mowa jest o demonstracjach w Tallinie "wywołanych niezadowolaniem z powodu wzrastających w ostatnich latach kolejek w sklepach,

braku produktów, i nierówności w ich podziale". Śmierć Jurija Kukka, profesora Uniwersytetu w Tartus, zmarłego w Łagrze, ma być ostrzeżeniem dla estońskich dysycentów. Aresztowany w marcu 1980 z oskarżenia o "oszczerstwa antysowieckie", Jurij Kukk ogłosił w styczniu 1980 r. głodówkę. Sąd nad nim odbył się w czasie głodówki, a następnie przetrzucano go z obozu do obozu. Sędząc z aktu zgonu, Jurij Kukk udusił się podczas sztucznego karmienia. Śmierć głodowa Irlandczyka Hobby Sandsa wywołała falę protestów na całym świecie. Sowiecka prasa poświęciła wiele stron irlandzkiemu patriotcie - oficerze imperializmu brytyjskiego. Na mogile Jurija Kukka - na cmentarzu wołogodzkiego więzienia - nie pozwolono postawić tabliczki z jego imieniem. Grób oznaczony jest numerem - 23781. Nie ma żadnych wiadomości o losie estońskiego biologa Martina Nikkusa, skazanego razem z Kukkiem i głodującego od początku razem z nim.

Następny "środek" to "nasilenie pracy ideologicznej". W rzeczy samej: "komuniści - pisze Prawda z 30.03.1980 - dysponują tak potężną bronią teoretyczną jak marksizm-leninizm. Co do głębi oddziaływania na umyły ludzi nie może się z nim równać żadna inna teoria społeczna lub filozoficzna, czego dowodzi ogólny rozwój społeczny świata". Wynika z tego, że należy wykorzystać "potężną broń teoretyczną" dla "oddziaływania na umyły ludzi". Tow. Susłow - Naczelnik Marksista naszych czasów zwołał w Moskwie 20.04. Wszechzwiązkowe Seminarium - naradę pracowników frontu ideologicznego. Postawiono im 2 zadania: po pierwsze, objaśnić obywatelom sowieckim, że nie żyją jeszcze w komunizmie. Wydawałoby się, że sami mogli zauważyć, iż słynna formuła Saint - Simona "od każdego według zdolności, każdemu według potrzeb" nie odpowiada sowieckiej rzeczywistości. Z drugiej strony aktualny program KPZS informuje, że komunizm zaczyna się od 1980 r. Na XVI Zjeździe zdecydowano zmodyfikować program, a przede wszystkim wyrzucić zeń wszystkie precyzyjne daty. I zaczęć tłumaczyć, że żyjemy w epoce... Sowieccy ideolodzy proponują kilka nazw epoki, w której żyjemy: epoka okrzepłego, dojrzałego albo realnego socjalizmu. Teoretyczny artykuł pt. "Koncepcje okrzepłego socjalizmu w strategii i taktyce KPZS" /Prawda z 8.5.1981/ podkreśla, że należy koniecznie "wnieść korektury do ukaztektowania dawnych wyborów i okresie socjalistycznej fazy nowego społeczeństwa". W ogólnie zrozumiałym języku znaczy to: nie mówić, kiedy mianowicie nastanie komunizm czyli raj, złoty wiek. Autor teoretycznego artykułu zaleca agitatorom, aby kładli nacisk na to, że "nie można przeprowadzić wyraźnej linii między udoskonaleniem dojrzałego społeczeństwa socjalistycznego a jego atonijnowym przechodzeniem w społeczeństwo komunistyczne". Przed sowieckim narodem otwiera się cudowna perspektywa: dojrzały socjalizm będzie się udoskonaliał, dojrzał i dojrzał aż nie spostrzeżenie przejdzie w komunizm. Któregoś ranka obywatele sowieccy obudzą się w Raju.

Póki co - trzeba pracować. Oto kolejne zadanie, jakie stoi przed sowieckimi ideologami: "powszechne umacnianie autorytetu uczciwej, sumiennej twórczej pracy" /Literaturnaja Gazeta z 22.4.1981/. Poetronnemu obserwatorowi mogłoby wydać się dziwne, że w 60 roku władzy sowieckiej w kraju, w którym "zbudowano okrzepłe społeczeństwo socjalistyczne, atonijnowo przetradzające się w komunistyczne". /Prawda z 8.5.1981/ trzeba przekonywać klasę robotniczą, że "była i jest wiodącą siłą, cementującą... nasze społeczeństwo" i że "niezbędna jest sumienna, uczciwa praca dla wspólnego dobra"

/Prawda z 8.5.1981/.

W sześćdziesiątym czwartym roku władzy sowieckiej przywódcy ZSRR odkryli, że naród nie chce pracować. Byłoby łatwież powoływać się na wielkiego poetę A. Puszkina, który ze smutkiem stwierdził: jesteście leniwi i nieciekawi. Puszkini miał na myśli Kosjan. Okazało się jednak, po rewolucji socjalistycznej - każdy naród Kosjanie i Ukraińcy, Polacy i Kubańczycy, Cześć i Albańczycy, Wietnamczycy i Łukgerzy - staje się leniwy i nieciekawy, kiedy mu przychodzi pracować "dla wspólnego dobra". Bo kiedy trzeba pracować dla siebie - wszyscy zaczynają pracować wspaniale. Amerykański ekonomista Władimir Traml, specjalizujący się w badaniach nad sowieckim alkoholizmem przywiózł z niedawnej podróży do ZSRR dane, którymi sowieccy ideolodzy powinni się szczyścić. Według obliczeń amerykańskiego uczonego ok. 250-300 tys. sowieckich obywateli poświęciło się wyłącznie produkcji samogonu. Pracują sumiennie, twórczo i uczciwie. W efekcie każdy z nich zarabia do 15 tys. rubli rocznie. Biorąc nawet pod uwagę, że muszą opłacić milicję, żeby przymykała oczy na ich proceder, przyznać trzeba, że wydajność produkcji jest wysoka: średnia klasa w przedsiębiorstwie socjalistycznym wynosi 2.500 rubli rocznie.

Przywódcy sowieccy wiedzą, że ani represje, ani namowy do "uczciwej pracy" nie rozwiążą problemów gospodarki sowieckiej. Dlatego całą nadzieję pokładają w trzecim "środku": w pomocy Zachodu. Tylko z Zachodu mogą przyjść niezbędne kredyty, technologia i żywność. I Zachód nie zawodzi.

24.04., w dniu, w którym tow. Susłow opuścił Warszawę, Prezydent USA ogłosił, że uchyła embargo na sprzedaż zboża do Związku sowieckiego. Prasa sowiecka odpowiedziała tużm-falnymi oświadczeniami, że Stany Zjednoczone, ponoszące wielkie straty na skutek embargo zmuszone były ustąpić. W toku najbliższych pięciu lat Związek sowiecki będzie musiał nabyć nie mniej jak 30 mln ton zboża za granicą, żeby choć jako tako wykarmić własną ludność i przyjeźdźców. Przyjździe karmić Afganistan i nawet Nikaragwę. Uchylenie embargo ułatwi zakup zboża i w sensie technicznym i finansowym. Amerykańskie zboże zawsze szło do ZSRR po ulgowej cenie.

Uchylenie embargo nie było jedyną radosną wiadomością dla obywateli sowieckich. O tym akurat mało im mówiono. Znacznie uroczysiej obchodzono inne zwycięstwo: W drocznym spisie autorów, przekładanych na języki obce jako sprządza UNESCO, Leonid Illjicz Breżniew wybił się na piąte miejsce, wyprzedzając Szekspira.

KULTURA 9/1981

W SOWIECKIEJ PRASIE - Adam KRUCZEK

Sierpień 1981 - dwunasty miesiąc polskiej rewolucji - rozpoczyna się od kolejnego kryzysu. Składają się nań zrówno stałe elementy tego, co można nazwać "polskim koktajlem" - czwarta na przestrzeni jedenstu lat próba podwyżek i niezgoda na nie społeczeństwa - jak i nowe składniki charakterystyczne dla minionego roku: narastający nacisk Moskwy i "bratnich socjalistycznych krajów", manewry wojakowe /tym razem morskie/, wizyta marszałka Kulikowa.

Dwanaście miesięcy, które wstrząsnęły Polską nazywam rewolucją, bo po raz pierwszy w dziejach ustroju komunistycznego podjęto próbę zmiany struktury władzy, próbę wyparcia partii z miejsca, które zajmuje w społeczeństwie. A fakt, że rewolucja ta przez całych dwanaście miesięcy pozostała pokojową, bezkrwawą /jedyny taki przypadek w XX wieku/ nie zmienia jej charakteru. Stocznioicy gdańscy, podejmując 14 sierpnie 1980 roku strajk, podjęli najważniejsze chyba pytanie naszej epoki: czy ustrój komunistyczny można zreformować? Wydarzenia ostatnich dwunastu miesięcy dają argumenty i pesymistom, i optymistom. Optymiści mogą się powołać na sukcesy - utworzenie i rejestracja "Solidarności" i "Solidarności Wiejskiej", większa wolność prasy itd. Pesymiści zaś na to, że struktura władzy pozostała niezmienną.

Położenie w Polsce odpowiada dokładnie leninowskiej definicji sytuacji rewolucyjnej. Jeden z bohaterów Zinowiewa tak je parafrazuje: sytuacja rewolucyjna to taka, kiedy góra nie może a doły nie chcą. Krok polskiej rewolucji dowiódł, że Moskwa nie godzi się na zmiany w Polsce, których nie uważa jednak za rewolucję, a za perfidny spisek wywiadu amerykańskiego, eyjonistów i rewizjonistów.

Jednego i tego samego dnia /6.8.1981/ Prawda podaje równoległe dwa komunikaty o atrajkach. Pierwszy: "Kolejne demontacje i strajki... Praktyka, która doprowadzi do dalszego osłabienia gospodarki i wzrosto naprężenia politycznego w kraju". Drugi: "Administracja...całym ciężarem swego aparatu karno-sądowego zwróciła się przeciw strajkującym związkom zawodowym...starając się zdławić wystąpienie ludu pracującego i zmusić strajkujących do kapitulacji". Nie trzeba wyjaśniać, że pierwsza wiadomość nosi tytuł "Położenie w Polsce", a druga dotyczy atrajku amerykańskich kontrolerów ruchu lotniczego.

Cał strategiczny Moskwy pozostaje przez całe dwanaście miesięcy ten sam: zsprowadzić w Polsce porządek. Taktyczne wahania polityki Kremla wynikły z tego, że Moskwa nie zdawała sobie sprawy z zasięgu wydarzeń i pokładała pewne nadzieje w polskim kierownictwie, w oddanych sobie ludziach w jego łonie. Pierwszym wariantem repliki na polskie wydarzenia była inwazja typu czechosłowackiego. Nie doszło do niej - wbrew oczekiwaniom całego świata - z kilku powodów. Przede wszystkim z powodów technicznych: kiedy wodzowie aowieccy pojęli wreszcie, że PZPR nie jest w stanie samodzielnie zaprowadzić porządku w Polsce, interwencja na wzór czeski nie była już możliwa. Moskwa miała już pewność, że Polacy stawią opór, zatem interwencja będzie musiała przebiegać w formie okupacji niepokornego kraju. Zdecydowano najpierw wypróbować inne sposoby "normalizacji". Poze tym nieinterwencja Moskwy przyjęta została na Zachodzie z głębokim zadowoleniem jako dowód "liberalizacji". Podobnie jak okrutny ale selektywny terror wobec "inaczej myślących" interpretowany jest na Zachodzie jako dowód zmiany ustroju sowieckiego, który zrezygnował z masowego terroru typu stalinowskiego - pośrednia interwencja Moskwy w Polsce spotkała się z powszechną aprobatą.

Pośrednia interwencja przybiera najróżniejsze formy nacisku od listów z dyrektywami do manewrów wojskowych, od opisów wrógów do opisów przyjaciół. Wiadomo dookonałe, że w sowieckim języku nie ma słów neutralnych. Każde słowo nie tylko określa przedmiot lub pojęcie, ale zawiera też ładunek ideologiczny - może być dobre albo złe, "nasze" albo wrogie. Na przykład słowo "alians" jest złe. Z zasady towarzyszy mu przymiotnik "antykomunistyczny". A słowo "przymierze" jest dobre, na przykład "bojowe przy-

mierze internacjonalistów". Od niedawna bardzo dobrym słowem stało się "forum". Używa się go z zaskakującą w zwrotach takich jak "forum prawdziwych komunistów". Tytułem bratniej pomocy słowo to przekazano "prawdziwym" polskim komunistom.

W arsenale środków działania pośredniego najważniejsza jest broń ekonomiczna. Nie wiadomo dokładnie, czy moskiewski przemysłowiec Riabuzinskij naprawdę wyraził latem 1917 roku nadzieję, że "koścista ręka głodu" przemówi do rozumu rosyjskim robotnikom, jednak wyrażenie to weszło do skartynicy propagandy awoieckiej. Na początku lat trzydziestych Stalin użył "kościstej ręki głodu", żeby zdławić opór sowieckiego chłopstwa przeciw kolektywizacji. Sam Stałin liczbę ofiar głodu lat 1930-1939 ocenił na 10 milionów.

W ciągu roku zaszły w Polsce poważne zmiany, na Związek Sowiecki jednak wpływu one nie miały. Podobnie wojna z Afganistanem nie odbiła się na życiu wewnątrz ZSRR. Wydarzenia ostatniego roku są świadectwem potęgi, wszechpotęgi ideologii, aprowdującej niepodzielną władzę nad rozumem. Zachodni wólcodzy i działacze państwowi pocieszają się tym, że "w ZSRR nikt w sowiecką ideologię nie wierzy". Powołują się przy tym na entuzjazm lat dwudziestych albo trzydziestych i cbojętność połączoną z cynizmem lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Różnica w stosunku do ideologii rzeczywiście istnieje, ale nie wpływa na to, co najważniejsze: sowiecki człowiek reaguje na sygnały, które wysyła Najwyższa Instancja, i reaguje na nie szybko i właściwie.

Teza sowieckiej propagandy, że w Afganistanie Amerykano-Chińsko-syjoniscy prowadzą "nie wypowiedzianą wojnę" nie budzi w większości sowieckich obywateli wątpliwości. Stanowisko rządu sowieckiego, domagającego się od Zachodu "niezawodnych gwarancji", że "nie wznowi interwencji" i z gwarancji tych robi warunek rozpoczęcia rozmów o "obecności ograniczonego kontyngentu wojskowego ZSRR na terytorium afgańskim" /Prawda z 5.8.1981/ nie budzi prawie żadnych zastrzeżeń. Wojna, którą 85 tysięcy żołnierzy sowieckich prowadzi przeciwko 18 milionom Afgańczyków, jest dla sowieckich obywateli sprawą zapomnianą.

Polaka leży bliżej Moskwy niż Kabu! Oprócz tego istnieje wiekowa hipoteka stosunków rosyjsko-polakich. I rzeczywiście - wydarzenia w Polsce budzą zainteresowanie. W kolejnych smizdatowym Biuletynie Informacyjnym SMOT-u /Wolny związek zawodowy w ZSRR, zażalenie przesładowany przez władze/ opublikowano szereg listów, petycji i apeli pod wspólnym tytułem "Rosja popiera Polskę", Widać z nich, że są w ZSRR ludzie, dla których sens wydarzeń w Polsce jest jasny. W artykule podpisanym Iwan Iwanskijski czytamy: "Pełny aplauz dla Polaków: Zuchy! Popieramy Was. Jesteśmy z Wami, bracia. A jeśli poleje się krew, zrobimy wszystko, żeby Wam pomóc. Jeśli będzie trzeba, ataniemy razem z Wami na barykadach. Pod wspólnym hasłem - za wolność, za chleb!". Feliks Sierebrow pisze pod adresem przywódców w styczniu 1981 roku: Odkąd Polacy wywalczyli sobie prawo do wolnych związków zawodowych, zgrzytaście zębami ze złości, że nie jest w waszej mocy rozzerwać ich na strzępy, zausić ich gasienicami waszych czołgów". Pod koniec marca przeprowadzono w Moskwie rewizję w związku z rozprezatrzeniem apelu do polaków robotników, podpisanego przez Rosyjski komitet Pomocy Polakom Robotnikom /RKPPR/. Apeli głosił: "Tak jak 63 lata temu rewolucja w Rosji dała impuls światowemu ruchowi robotniczemu, tak wasz ruch musi stanowić potężny bodziec do walki o demokrację krajów "socjalistycznych"... Dołączymy wszelkimi starań, aby ruch wasz zyskał szerokie poparcie w ZSRR".



"Solidarność" nie cieszy się jednak szerokim poparciem w ZSRR. Jest to przede wszystkim skutek bezustannych bezlitosnych represji. W lipcu na przykład zakończyła się rozprawa przeciwko członkom Robotniczej Komisji do Badań nad Psychiatrią w ZSRR. Utworzona w 1977 jako filia Grupy Helsińskiej. Robotnicza Komisja zarejestrowała liczne przypadki stosowania psychiatrii dla celów politycznych. W lipcu sądzono dwóch ostatnich członków Komisji: Feliksę Sierebrowa skazano na 4 lata obozu o obostrzonym reżymie i 5 lat zesłania, a Irinę Griwninę na 5 lat zesłania. Wyrehabilitowano prawie wszystkich członków Grupy Helsińskiej. Cybernetyk Wiktor Brażkowski, który organizował u siebie w mieszkaniu seminaria naukowe z udziałem matematyków i fizyków żydowskich, zwolnionych z pracy po zgłoszeniu się na wyjazd do Izraela, skazany został na 5 lat zesłania.

Artykuł 70 Kodeksu karnego, przewidujący "pozbawienie wolności na okres od trzech do dziesięciu lat z zesłaniem na okres od dwóch do pięciu lat" za "agitację albo propagandę, mającą na celu podkopywanie lub oskażanie władzy sowieckiej" stosowany jest z całą nie widzianą szczerością.

Nadsk nie tylko represje powodują, że zrozumienie dla sensu polskich wydarzeń jest tak małe. "Interpretacje" propagandy sowieckiej idą w dwóch kierunkach. Po pierwsze: wydarzenia w Polsce są wynikiem antysowieckiej polityki USA; to Amerykanie zorganizowali i kierują wszystkim, co zachodzi w Polsce. W ostatnich miesiącach propagandyści sowieccy łatwo i szybko przekonali obywateli sowieckich, że wojna atomowa jest tuż-tuż. Czyba tylko na początku lat pięćdziesiątych, kiedy Stalin organizował światowy ruch przeciw amerykańskiej bombie atomowej, istniał w Związku Sowieckim podobny strach przed wojną. "ojenną histerię" wzmagają informacje o potężnym ruchu pacyfistycznym w niektórych krajach Europy Zachodniej. Sowieckie gazety poświęciły dużo miejsca "Marszowi pokoju 81", który wyruszył 22 czerwca z Paryża i skończył się 6 lipca w Paryżu. Pochód ten, który w Zachodniej Europie nie wzbudził szczególnego zainteresowania, a do Moskwy rzecz jasna nie został wpuszczony /organizatorzy prosili, żeby im pozwolono wkroczyć do stolicy pokoju i socjalizmu/, sam Breżniew zaszczylił specjalnym pozdrowieniem. Poparły go też partie komunistyczne. Hasło "Marszu pokoju 81" - pokojowi i bezpieczeństwu Europy zagrożeń Stany Zjednoczone - nie mogło nie zyskać poparcia Moskwy.

Wydarzenia w Polsce analizowane są w prasie sowieckiej w ramach kampanii strachu przed wojną: nieporządku w Polsce przywołują wojnę. Izwieścia z 8.8.1981 zarzucają "Solidarność", że jej działania pograżają Polskę w chaos i anarchię. Przede z 9.8.1981 oskarża "Solidarność" i jej "grupy kataryzmu" o pograżanie Polski w anarchię. Komentator Borys Żwerczenko zapewnia polskich robotników, że w razie potrzeby mogą liczyć na wielu wiernych przyjaciół. Polska, zapewnia komentator Prawdy, pozostanie nieodłączną częścią obozu socjalistycznego. "Dożący temu obozowi wróg grozi ludzkości zagładą.

Drugi kierunek "interpretacji" polskich wydarzeń jest może jeszcze bardziej skuteczny. Przede wszystkim dlatego, że opiera się na zawaalowanych, ale dla wszystkich czytelnymi eluzjach. Sprawa jest prosta: Polacy opływają w dostatek, chcą żyć jeszcze lepiej. Niezależne moskiewskie pismo "Poiski", rozgromione przez władze /większość redaktorów aresztowano i skazano, część zmuszono do emigracji/ opublikowało ciekawy dokument

- "Dziennik okupanta". Jest to zapis codziennych wydarzeń, jakie notował w sierpniu 1968 roku sowiecki żołnierz wysłany do Czechosłowacji. Notatki zaczynają się 20 sierpnia, kiedy z oknierzom odczytują rozkaz: "Towerzyse czołgści! Siły antykomunistyczne i kontrrewolucyjne chcą dokonać buntu w Czechosłowacji i otworzyć granicę z RFN! Naszym zadaniem jest zdławić bunt...". Młodzi żołnierze armii wywołanej z osłupieniem stwierdzają, że ludność Czechosłowacji uważa ich za okupantów. Nie mogą pojąć, dlaczego Czesi odnozą się do nich wrogo. Stopniowo zaczynają się domyślać. Zastępca naczelnika do zadań politycznych oświadcza 11 października: "W związku z zastrzeżeniem sytuacji międzynarodowej i knowaniami reakcji wojska sowieckie na prośbę narodu czeskiego wprowadzono do Czechosłowacji na okres 20 dni". Czołgści wiedzą już, że w rzeczywistości naród czeski prosi, żeby ich jak najprędzej zabrano z jego ziemi. Mimo to przewidziwy powód wywolezeń pozostaje dla nich niejasny, bo są głęboko przekonani że, jak im w tajemnicy objasnia mądry młodszy lejtnant, "wszyskie eocjelistyczne republiki drogo nas kosztują, a pożytku z nich żadnego... A my przecież pozwalamy im żyć znacznie lepiej niż sami żyjemy. Za tę samą robotę co my dostają oni wszyscy trzy razy więcej...".

Autor dziennika dostaje z domu list, w którym brat mu pisze: "Uważem, że tym Czechom zwyczajnie przewrócilo się w głowie od zarcia. Dowalście im jak należy"...

Niezmierznie ciężkie położenie gospodarce Związku sowieckiego, niedostatek produktów spożywczych i przemysłowych i niezdolność polepszenia sytuacji bardzo często wywołuje wrogość wobec tych, którym się "przewróciło w głowie od dobrego życia". Opór polskiego społeczeństwa przeciw objęciu racji mięsa do 3 kg na miesiąc popierają tylko nieliczni "dysydenci"; u wszystkich pozostałych, którzy wiedzą, że w większości sowieckich miast kartki na mięso opiewają na 800 g miesięcznie budzi on tylko złość.

Chroniczna bieda, do której ludzie przywykli, czyniąc z niej w ten sposób nieodłączny element "realnego socjalizmu", staje się czynnikiem stabilności. Przy założeniu, że każdy głoz zadający pytanie zostanie natychmiast zduszony.

Ponad pięćdziesiąt lat temu Jewgienij Zemiatin powie-dział, że współczesna literatura powinna obowiązkowo łączyć fantastykę z życiem. Znakomity pisarz nie przypuszczał wtedy, że najlepszym przykładem współczesnej literatury staną się sowieckie gazety. Dzień w dzień można na stronkach Prawdy znaleźć fakty, których by Aleksander Zinowiew nie umieścił w awych książkach, bojąc się, że będą wyglądały zbyt surrealistycznie. 16 kwietnia 1981 Prawda opublikowała list robotnika nuty szkła i opatrzyła go przejmującym tytułem "Dlaczego mamy deficyt w produkcji szklanek?" Okazuje się, że w kraju "dojrzałego socjalizmu", domagającym się prawa do dysponowania takim samym arsenałem wszelkiej broni jak USA a w rzeczywistości nieco wyprzedzającym Amerykanów, brak w sprzedaży szklanek. Jest to bardzo ważne nie tylko dlatego, że Rosjanie lubią pić herbatę w szklankach, ale też dlatego, że od dawna już i wódkę piją szklankami. Minęły 4 miesiące i 5 sierpnia 1981 Prawda znówu postawiła to dramatyczne pytanie: "Dlaczego mamy deficyt w produkcji szklanek?". Odpowiedź centralnego organu KC KPZS uspokoiła zroszczony naród: "Wydano polecenie, potwierdzające podjęcie kroków celem usunięcia niedostatków".

Wiedomo doskonale, że już dziesięć tysięcy razy polecano zwiększyć produkcję szklarek. Podobne środki stosowano nie tylko do szklarek. Pod koniec zeszłego roku utworzono na przykład ministerstwo ziemiołódów i owoców. W pierwszym kwartale 1991 roku sprzedaż owoców spadła o 10%, a kartofli - o 19%. Należy przy tym pamiętać, że są to cyfry oficjalne. Nie zrealizowano także planu produkcji przemysłowej - wzrost produkcji wyniósł zamiast planowanych 4,1% - 3,4%.

Brak jakiegokolwiek chęci reform wyjaśnia się dwiema przyczynami. Po pierwsze tym, że reformy są niemożliwe: każda reforma zagrożą podstawom ustroju. Ze nie ma wyjścia z entropii dowodzi najlepiej zasada, że każda teoretyczna praca w dziedzinie nauk ścisłych /nie związane oczywiście z jakimiśkolwiek wojskowymi gałęziami orężu/ musi zostać "zwyfikowana" w pierwszy oddział instytutu naukowo-badawczego /w każdym instytucie jest taki oddział/ i zostać ostrzeżona pieczęcią: "Praca nie zawiera niczego nowego". Dopiero z taką oceną może iść do druku.

Sowiecki ustrój nie może i nie chce się zmieniać, bowiem bezwład jest jednym z warunków jego stabilności. Drogą zaś przyczyną jego bezwładności jest fakt, że Zachód zaopatruje go we wszystko, co mu jest potrzebne dla rozwoju jedynej dziedziny, w której kraj "resinego socjalizmu" uważa postęp za niezgodny: zbrojenia.

W 1973 roku Aleksander Solżenicyn pisał do przywódców ZSRR: "55 lat nowego ustroju i 40 lat sławetnego systemu kołchozów, i oto zmuszeni jesteście importować 20 mln ton ziarna". Minęło dalszych 8 lat i "muszeni jesteście" importować jeszcze więcej ziarna. Które nam ochocho sprzedają. Tak jak sprzedają masło. W czerwcu przedstawiciel Biłego Dому oświadczył stanowczo, że nie sprzeda Związkowi Sowieckiemu masła. Niech jedzą am ryński suchy chleb. Jednak miesiąc później znalazł się sposób na oszukanie samego siebie: zdecydowano się sprzedać masło Nowej Zelandii, która sprzedaje je Związkowi Sowieckiemu.

Sprzedają masło. Sprzedają i armaty. Na kredyt zresztą. Zachodnioeuropejskie kraje w zasadzie zgodziły się udzielić Moskwie 10 mld dolarów kredytu na budowę gazociągu z Syberii do Europy Zachodniej, do RFN, Francji, Włoch, Holandii i Belgii. Obliczono, że w latach dziewięćdziesiątych 40% gazu jaki zużywa RFN będzie pochodzić ze Związku Sowieckiego. Amerykanie protestują i ostrzegają Europę Zachodnią, że uzależnienie się od sowieckiego gazu jest niebezpieczne. Równocześnie 4 sierpnia rząd USA zezwolił amerykańskiej firmie na sprzedaż do Związku Sowieckiego urządzeń do układania rurociągów gazowych. Zezwolenie to zawiera wprawdzie klauzulę, że urządzenia te nie mogą być wykorzystane dla budowy gazociągu amerykańskiego. Myślę jednak, że sami Amerykanie rozumieją, ile taka klauzula jest warta.

Ubiegłe dziesięciolecie przyszli historycy określą jako okres, w którym obróciła się karta w dziejach zachodniej cywilizacji: ustrój sowiecki przestał być wrogiem, rywalem, wierzycielem, a stał się partnerem ustroju kapitalistycznego.

KULTURA 10/1981

W SOWIECKIEJ PRASIE - Adam Kruczek

Prasa sowiecka poświęciła za zjazdu "Solidarności" trzy korespondencje. Były to materiały TASS-a, które wszystkie gazety przedrukowały, nie zmieniając w nich ani słowa. Pierwsza wiadomość pojawiła się w prasie 9 września, czyli w cztery dni po rozpoczęciu zjazdu, pod pytającym tytułem: "Kogo oni reprezentują?". Krótka notka podkreśla niedostateczną liczbę robotników na zjeździe (według obliczeń TASS-a mniej niż 25%, przewagę etatowych pracowników "Solidarności" i "stronników kontrrewolucyjnych grupek KSS KOR i Konfederacji Polskiej i Niepodległej". Ogólną atmosferę gdańskiego zjazdu określono jako "krytykę socjalistycznych podstaw Polaków ludowej, ataki na PZPR, rząd, wybrane organy władzy, próby oczerpania zdołczy kraju".

Poza tym delegaci "nieoświadczalnie formułowali coraz to nowe żądania wobec państwa, w tym i żądania materialne". Notatka kończy się ostrzeżeniem: "dyrygenci zjazdu zmierzają do objęcia władzy politycznej w Polsce i chcieliby zachować zaufaniem ludzi pracy do ludowego, socjalistycznego państwa".

Następnego dnia - 10 września - artykuł z Gdańska był dłuższy, s w tytule wciąż widniał znak zapytania: "Dokąd zmierza gdański zjazd?". Ton stał się znacznie ostrzejszy; autorzy notatki są wstrząśnięci wystąpieniami delegatów: "W toku obrad gdańskiego zjazdu "Solidarności" coraz wyraźniej ujawnia się jego antysocjalistyczny kierunek". Autorzy podkreślają "aktywność takich przeciwników socjalizmu jak członkowie KSS KOR Kurczi, Micznik, Litwiński... Z trybuny zjazdu rozlegają się apele o likwidację ustroju socjalistycznego w Polsce". Za tym idzie straszące oskarżenie: "Wyetępujący na zjeździe przywódca "Solidarności" podnosi rękę na konstytucję PRL, na międzynarodowe więzy Polski". Wreszcie autorzy notatki wskazują na główny "oczywisty fakt": "Jest oczywiste, że "Solidarnosc" zmierza do wyprowadzenia działań związku zawodowego poza ramy syndykalne i utwierdzenia go w roli opozycyjnej organizacji politycznej".

Trzeci artykuł, opublikowany 11 września, jest nie tylko najdłuższy ale i jedyny, który w tytule nie ma pytania. Ma za to odpowiedź: "Gdański zjazd - entysocjalistycznym spodem". Pierwsze zdanie artykułu rozszerza i uzupełnia tę charakterystykę zjazdu: przeobraził się on misnowicie w "antysocjalistyczne i antysowieckie bachanalia". Biorąc słowa "zjazd związków zawodowych" w cudzysłów, autorzy notatki nazywają go także "schadką etatowych pracowników "Solidarności", przedstawicieli kontrrewolucyjnych, antysocjalistycznych grupek"... W złodziejskim żargonie, który na stałe wszedł do języka prasy sowieckiej, "Schadzka" oznacza spotkanie złodziei, kryminalistów. Nie ograniczając się do tych definicji, autorzy notatki cytują Żołnierza Wolności, który nazwał zjazd "prawdziwym sabbatem antysocjalistycznym".

Wściekły gniew autorów notatki wzbudził przede wszystkim list "Solidarności" do robotników Europy Wschodniej, wzywający ich do walki o wolne związki zawodowe. TASS określił ten dokument jako "apel do narodów Europy Wschodniej, wzywający do walki przeciw ustrojowi socjalistycznemu".

Nazywa go też "jawna prowokacyjna, bezczelna wobec krajów socjalistycznych" i "nikczemna wezwaniem".

Iconie z ryteniami. TACS odwołująca: "Cały konglomerat kontrrewolucjonistów różnych marek, z agentami imperialistycznych służb specjalnych i wyżyłkami, którym nienawistny jest socjalizm włącznie, prowadzi akcję zmierzającą do podważenia podstaw socjalistycznego państwa polskiego, naruszenia międzynarodowych sojuszy PRL i nieuchronnej restauracji burżuazyjnego porządku w Polsce".

Artykuł kończy się niezawołowaną potrojką: "Ci panowie tak się zapędzili, że nie widzą prawdziwego zaburzenia i głębi, jakie budzą ich prowokacje, awanturnicze posunięcia, pogłębiające położenie w Polsce, które i bez tego jest akomplikowane".

11 września, w dniu w którym wszystkie sowieckie gazety opublikowały notatkę o "gdańskich pachanaliach", w sowieckich fabrykach i zakładach pracy, przedsiębiorstwach i kołchozach "spontanicznie" zebrał się sowiecki lud pracujący, żeby wyrazić gniew i oburzenie, jakie wzbudził w nich list zjazdu "Solidarności". Na wszystkich zebraniach, które prowadziła moskiewska telewizja, lud pracujący stał pod jednakoowymi transparentami, które "spontanicznie" przygotował. Na transparentach widniało: "Nie opuścimy Polski w białej", "Zjazd w Gdańsku - antyocjonalistycznym spodem", "Odpowiedź prokuratorom z Solidarności".

Masówki ludu pracującego jako formy mobilizacji "gniewu ludu" wprowadzono po raz pierwszy pod koniec lat dwudziestych. Szeroko posługiwał się nimi Nikita Chruszczow. Tak szeroko, że się przejadły. Aleksander Galicz w jednej ze swych piosenek opisuje, jak sowiecki przodownik pracy Klim Pietrowicz występował na masówce w obronie pokoju. Organizator "spontanicznego mitingu" wręczył mu tekst jego wystąpienia, ale pomylił kertki, i Klim Pietrowicz "nie spiesząc się, surowo" zagrział: "Zrańska so ataska jest znana cskiemu światu! Jako matka i jak kobiecie pociągam ich do odpowiedzialności". Aleksander Galicz trafnie zauważył, że każdy może się omylić, rzecz wszak w tym, że Klim Pietrowicz domagał się pokoju jako "matka i kobieta" a nipt tego nie zauważył. Sam sekretarz obkomu podziękował mu: "Dobrze, bracie, po robociarsku im dałeś! Bardzo słusznie naświetliłeś położenie!".

Rytualnych mów i rytualnych oskarżeń nikt nie słucha. Nie znaczy to jednak, że nie są ważne. W Związku Sowieckim rytuał ma znacznie większe znaczenie niż treść. Oficjalnie istnieje tylko to, o czym się oficjalnie mówi. Masowe "spontaniczne" mitingi oznaczają, że kierownictwo sowieckie oficjalnie przyznało, że Polska przeżywa ostry kryzys, który - po gdańskim liście - przedstawiają jako zagrożenie dla wszystkich krajów socjalistycznych.

W liście odczytanym na masówce w fabryce samochodów im. Lichaczewa /niegdyś im. Stalina/ lud pracujący nalega na to, że Polska swoje istnienie zewdzięcza Związkowi Sowieckiemu. W telewizji okazano tę masówkę: setki ludzi słuchają z tępym wyrazem twarzy "Klimów Pietrowiczów" i mechanicznie podnoszą ręce, kiedy tego żąda prezydium. Ale wśród argumentów które oddziaływały na świadomość obywateli sowieckich najskuteczniejsza jest wciąż formuła: myśmy was wyzwolali, my zapłaciliśmy milionami istnień ludzkich na wojnie, a wy teraz jesteście niewdzięczni... Literaturna Gazeta opublikowała 9 września artykuł Bazumanakowo pt. "Jak zachód sprzedał Polskę". Sowiecki dziennikarz wspomina dzień 3 września 1939 roku kiedy to warszawianie przyszli radośnie

do angielskiego poselstwa witał posła Wielkiej Brytanii. Bezmienski przechodził potem do oczywistego faktu: Anglia i Francja mogły pomóc Polsce w wojnie z Hitlerem, a nie pomogły. Pomoc okazała Polsce jedynie Związek Sowiecki; zdrada Zachodu miała dla Polaki "daleko idące skutki" - ale mogły one być "jeszcze straszniejsze, gdyby nie wielki zryw narodu sowieckiego...".

Otwarte oskarżenia pod adresem Polski czyli "Solidarność" składają się z trzech punktów. Po pierwsze "Solidarność", zwracając się do robotników krajów socjalistycznych, stała się zagrożeniem dla ustroju; po drugie, zagrażając reżymom socjalistycznym "Solidarność" daje dowód zbrodniczej niewdzięczności; po trzecie wreszcie - "my was i dziś karmimy, a wy się buntujecie...".

Ten trzeci punkt jest przekonujący dla każdego obywatela sowieckiego: od 1946 roku sytuacja na rynku żywnościowym nie była tak zła jak dzisiaj. Nowy dowcip sowiecki ilustruje, jak sobie to tłumaczy większość obywateli sowieckich: Co to jest solidarność internacjonalistyczna? To kiedy strajkują w Polsce, a żreć nie ma co w Moskwie.

Masówki odbywające się od 11 września w całym kraju pod hasłem "obrona socjalizmu największym obowiązkiem sowieckiego i polskiego narodu" wienczą akcję rozpoczętą na początku września "poufnym listem KC" o wprowadzeniu racjonowania żywności. "Poufne listy KC" to szczególna forma informacji w państwie sowieckim. W swoim czasie "Radio Erywań" na pytanie: skąd się dowiemy, że już nastał komunizm? odpowiedziało: z poufnego listu KC.

"Poufny list KC" czyta się na zamkniętych zebraniach partyjnych: dzięki członkom partii dochodzi on do publicznej wiadomości. Celem "poufnego" listu nie jest zachowanie tajemnicy, tylko rozprzestrzenienie jej w sposób nieoficjalny. W rezultacie racjonowanie żywności jest, a zarazem go nie ma, jako że oficjalnie nie wydano ustawy o wprowadzeniu systemu kartkowego.

Sowieckich obywateli "obrabia się" w ten sposób z dwu stron: poprzez organizacje partyjne, rozprzestrzeniające informacje zawarte w "poufnym" liście i poprzez masówki. Nasilenie "obróbki" wiąże się z tym, że sytuacja żywnościowa będzie się w toku najbliższych miesięcy poparzać. Już trzeci rok z rzędu będzie rokiem nieurodzaju. Plan przewidywał zbiór 236 mln ton zbóż, a według wstępnych obliczeń plony nie przekroczą zbiorów z 1980 roku, tzn. 189 mln ton. Na zaspokojenie potrzeb kraju potrzeba 225-230 mln ton.

Trzeci nieurodzajny rok nie tłumaczy jednak klęsk sowieckiego rolnictwa, trwających lat więcej niż pięćdziesiąt. Nieurodzaje ostatnich lat to wynik polityki, którą ZSRR prowadzi od około 15 lat. Jest to jedne z "reform" ery Breżniewa: kółchozy stopniowo przemianowuje się na sowchozy, toczy się "sowchozacja" sowieckiego rolnictwa. Właścicielom ziemi staje się bezpośrednio państwo, kółchoźnicy stają się robotnikami pracującymi na roli. Ziemia jednak nie poddaje się potężnemu naciskowi ideologii i nie chce zmienić swego charakteru: praca w polu od ósmej rano do piątej po południu z przerwą obiadową daje prawdziwie sowiecki wynik: system kartkowy.

Dwa dokumenty opublikowane w sowieckiej prasie w pierwszej dekadzie września doskonale ilustrują zmiany i możliwości państwa sowieckiego tj. KPZS. Występując na obiedzie na część pierwszego sekretarza KC KP Wietnamu Breżniew oświadczył /Lzwiestia z 9 września/, że Związek Sowiecki "nie pozostanie obojętny wobec nowych typów broni" i "uzbroi się w odpowiedni kontrarsenał". Breżniew rez jeszcze powiedział, że Związek Sowiecki ma zamiar zająć pierwsze miejsce w wyścigu zbrojeń. Według amerykańskich danych Związek Sowiecki produkował w latach 1975-1980 3.000 czołgów, 1.300 samolotów bojowych i 400 rakiet taktycznych rocznie. W roku 1980 Stany Zjednoczone wyprodukowały 25% sowieckich czołgów, 50% samolotów i rakiet. W 1980 roku w stoczniach sowieckich zbudowano 11 łodzi podwodnych, a w amerykańskich - jedną. I tak dalej.

Ilościowa przewaga uzbrojenia armii sowieckiej nie ulega wątpliwości. Ale oto drugi dokument, 6 września Prawda opublikowała uchwałę KC KPZS, Prezydium Rady Najwyższej, Rady Ministrów ZSRR i WCSPS "o zwiększeniu pomocy państwa dla rodzin obciążonych dziećmi i o dalszym polepszeniu zabezpieczenia emerytalnego ludności". Uchwałę tę tłumaczy pewna zbieżność: w tym samym czasie, kiedy armia sowiecka osiągnęła zdecydowaną przewagę w dziedzinie uzbrojenia, Centralny Urząd Statystyczny ZSRR spostrzegł znaczny wzrost śmiertelności dzieci w kraju dojrzałego socjalizmu. Między rokiem 1970 a rokiem 1975 śmiertelność dzieci wzrosła w ZSRR o 1/3. Po roku 1975 przestano publikować dane na ten temat. Według obliczeń amerykańskiego demografa Murraya Deshabacha w 1980 roku na 1.000 niemowląt w wieku do 1 roku w ZSRR umierało 40, a w Europie Zachodniej i USA - 13. W dziedzinie zbrojeń ZSRR dorównuje - jak twierdzi Breżniew - Stanom Zjednoczonym; zdaniem zachodnich ekspertów, wyprzedza je - "w dziedzinie śmiertelności dzieci ZSRR dorównuje Chile, Republice Dominikańskiej i Trinidadowi.

Powody śmiertelności dzieci nie są tajemnicą: po pierwsze okropna jakość "mleka dla niemowląt", po drugie stan zdrowia kobiet sowieckich, spowodowany m.in. skrobankami. Statystycznie kobieta sowiecka robi 6-8 skroberek w ciągu życia, podczas gdy nie amerykańską kobietę przypada 0,5 skrobanki. Najważniejszą przyczyną jednak jest krajch sowieckiej służby zdrowia: grypa, która w krajach rozwiniętych przestała zaliczać się do chorób śmiertelnych, w ZSRR kosi co rok dziesiątki tysięcy dzieci; rośnie tam też liczba dzieci umierających na zapalenie płuc, chorobę, którą w Zachodzie leczą z łatwością; rachityzm, który w krajach przemysłowych dawno zniknął, w ZSRR zalega. Krajch sowieckiej medycyny polega na tym, że środki przewidziane na ochronę zdrowia wydaje się nie na polepszenie usług medycznych, a na ich rozszerzenie. Sowiecka medycyna przypomina sowiecką armię - zwyciężyła na przez ilość, nie przez jakość. ZSRR ma dwa razy więcej ludzi zatrudnionych w służbie zdrowia niż w USA, ale środki przeznaczane na medycynę są znacznie mniejsze. Dlatego lekarzom brak niezbędnych leków, urządzeń, a szpitalom pościeli. Państwo, wydające miliardy na zbrojenia, oszczędza na zdrowiu obywateli, na zdrowiu dzieci.

Uchwała o "zwiększeniu pomocy rodzinom obciążonym dziećmi" dowodzi, że nic się nie zmieniło w polityce państwa sowieckiego. Jego dar polega na tym, że przynajmniej kobietom rok płatnego urlopu macierzyńskiego. Średnia pensja wynosi 130-140 rubli. Podczas rocznego urlopu macierzyńskiego kobiety będą pobierały ok. 50 rubli miesięcznie "w rejonach Dalekiej

Syberii i na Północy", a 35 rubli miesięcznie w pozostałych. Charakterystyczne jest przy tym, że uchwała ta wchodzi w życie na Dslekim Wechodzie, Syberii, Północy 1 listopada 1981 r. w RFSSR, na Ukrainie, Białorusi i w Mołdawii i krajach niedbałych - 1 listopada 1982 r., a w republikach muzumańskich, Kszachstanie, Środkniej Azji i na Zekeksziu 1 listopada 1983 r. Jak wiadomo, liczba ludności w krajach muzumańskich bardzo szybko wzrasta, spada natomiast i to znacznie przede wszystkim w RFSSR.

Zwiększa się o 50 rubli jednorazowy zasiłek porodowy przy pierwszym dziecku i o 100 rubli przy drugim i trzecim. Samotnym /tzn. żyjącym bez męża/ matkom będzie się wypłacać zasiłek rodzinny w wysokości 20 rubli na dziecko.

Według uchwały wzrosną też emerytury: najwyższe do 75 rubli na miesiąc, najniższe do 26 rubli. Szczególnie aktualny jest paragraf przewidujący renty dla "rodzin zabitych szeregowych żołnierzy", jeśli zabity był żywicielem rodziny; rente wynosi 38 rubli. Od 1 listopada 1981 roku wojscy sowieccy w Afganistanie mogą umierać spokojnie: ich rodziny dostaną po 38 rubli na miesiąc!

Uchwałs "o zwiększeniu" i "dalszym polepszeniu" kończy się podsumowaniem: "Na cele te przeznaczają się z budżetu państwowego ok. 2,5 mld rubli rocznie". Raz jeszcze potwierdza się jak bardzo miał rację wódz całej postępowej ludzkości, towarzysz Stalin, kiedy oświadczył: najcenniejszy kapitał to człowiek. W tych dniach członek Biura Politycznego i najlepszy przyjaciel pierwszego sekretarza K.U. Czernienko wydał kolejną książkę pt. "IPZS a prawa człowieka". Towarzysz Czernienko niemal dosłownie powtarza myśl towarzysza Stalina: "Człowiek to najwyższa wartość społeczeństwa socjalistycznego".

Zdaniem K.U. Czernienko zbudowane zostało najsprawiedliwsze społeczeństwo, w którym "wszystko się dzieje w imię człowieka, dla dobra człowieka". Doświadczenie ZSRR, liczącego sobie ponad 60 lat - stwierdza dalej członek Biura Politycznego - przekonywująco dowodzi: "socjalizm i prawa człowieka są nierozdzielne". Ale, dorzuca z naciskiem teoretyk-marksista, "tak jak socjalizm jest nie do pomyślenia bez praw i wolności człowieka, tak przeważnie prawa i wolność człowieka są nie do pomyślenia bez socjalizmu". Dlatego właśnie członek Politbiura i minister obrony ZSRR marszałek Ustinow zapewnił obywateli sowieckich w awym wystąpieniu telewizyjnym 13 września, że choć administracja amerykańska wspiera "międzynarodowych gangsterów" i stara się wykorzystać "wydarzenia w Polsce" na szkodę całego obozu socjalistycznego, sowieckie siły zbrojne i ich sojusznicy gotowi są "bronić zdobywszy socjalizmu i interesów społeczeństwa socjalistycznego".

Jeśli bez socjalizmu nie ma "prawdziwych praw i wolności człowieka", to kto prócz wrogów rodu ludzkiego zechce zrezygnować z błogosławieństw socjalizmu?



KULTURA 11/1981

W SOWIECKIM TRACIE - Adam KRUCZEK

Zakończenie zjazdu "Solidarności" zamyka kolejny etap w antypolskiej strategii Moskwy. Miękką falą oszołomienia i nadziei na odwrócenie biegu wydarzeń poprzez zmianę składu Biura Politycznego i straszenie interwencją, wydarzenia w Polsce biegną własnym torem, przerażając się w rewolucję, której ogromne znaczenie zwiększe jeszcze jej pokojowy charakter. Teraz można już niemal z pewnością powiedzieć, że zamknie się "jesienne oko", o którym pisał niedawno amerykański dziennikarz i znawca historii ZSRR Harrison E. Seilsbury. Uważając, że ze względu na warunki klimatyczne działania wojenne są w Europie wschodniej możliwe tylko w ściśle określonych porach roku, Seilsbury doszedł, do wniosku, że "jeśli Warszawa dotrzyma 3 1 listopada nie doczekawszy się Armii Czerwonej, można będzie odetchnąć z ulgą mniej więcej do maja 1982 roku".

Komentarze do gdańskiego zjazdu prasa sowiecka umieszczała w rubryce "Położenie w Polsce". Tytuł rubryki uprzedzał czytelnika z góry: w Polsce jest "położenie", tzn. nienormalne położenie. Komentarze były niepodpisane, pochodziły od TASS-a i cała prasa przedrukowywała je bez najmniejszych zmian. Sowieccy propagandziści przede wszystkim powtarzali po raz tysięczny to samo. Tak jak pół roku temu pisząc o "Solidarności" ujmowano w czystych słowach "związek zawołowy", tak teraz w cudzysłowach ujmowano "zjazd". W październiku obywateli sowieccy przeczytali, że w "Gdańsku kończy się wielodniowy sejm polityczny, który kierownictwo "Solidarności" złożyło przedstawić polskiej i zagranicznej opinii publicznej jako "zjazd związku zawodowego".

Sowieccy propagandziści nie mają już wątpliwości co do celów "Solidarności": chodzi o likwidację socjalizmu i ustnowienie nowego ustroju. W Moskwie widzą dokładnie, że "Solidarnosc" nie życzy sobie istniejącego w Polsce ustroju, natomiast nie umieją wyjaśnić, czego "Solidarnosc" sobie życzy. Cytując Żołnierza Wolności, Prawda donosi 8 października: "Proponowana forma władzy państwowej zawiera burżuazyjne, liberalne, anarchoistyczne, kosmopolityczne, religijne i inne elementy". Dla czytelnika jest oczywiste, że jest to wręga forma państwowości, gdyż wszystkie wymienione przymiotniki są synonimami słowa "wręga".

Charakterystyczne jest, że we wszystkich komentarzach partia - nie mówiąc już o jej kierownictwie - świeci pełną nieomal nieobecnością. Jeśli się ją wspomina to tylko wtedy, gdy jest mowa o konieczności czystki. Dla poparcia dowodów korespondentów TASS-a cytuje się dwie polskie gazety: Żołnierza Wolności i Rzeczywistość. Taktyka Moskwy na danym etapie sprowadza się do dwóch kluczowych zdań, powtarzanych bez najmniejszych zmian. Zdanie pierwsze: "Uwierzyć w swą bezkarność, wrogowie socjalistycznej Polski...". Zdanie drugie: "Podjąć rzucone nam zadanie polityczne...".

Wydaje się jasne. Sukcesy "Solidarności" tłumaczy się tylko brakiem oporu. Pora podjąć walkę. Chcąc uspokoić sowiecki lud pracujący, który zebrał się na masówkach i chciałby wiedzieć, jakie są rezultaty jego akcji. Sowieccy propagandziści twierdzą, że w Polsce istnieją siły zdolne zaprowadzić porządek. Gdańsk zjazd nazywają "sejmem" bo - zdaniem sowieckiej prasy - nie było na nim robotników. Domyślić się z tego należy, że polska klasa robotnicza jest przeciw

"Solidarności". Nie ma komentarza, który by nie powierzał, że na ręce PZPR i rządu PRL wpływają listy i rezolucje, w których przewidziwi patrioci domagają się, żeby wreszcie zaprowadzić w kraju porządek, skończyć z anarchią i bronić zdobyczy socjalizmu".

Z materiałów prasy sowieckiej można zatem wysnuć wnioski, że Moskwa zamierza w najbliższym czasie wykorzystać ekonomiczne trudności Polski i wewnętrzne tarcia w "Solidarności" i użyć dla zaprowadzenia porządku wewnętrznych sił związanych z Żołnierzem Wolności i Rzeczywistością.

Uznawszy rozwiązanie KOR-u za "manewr" mający na celu "przeniknięcie do Solidarności", sowiecka prasa zaczęła atakować ekstremistycznych działaczy Solidarności", z naciskiem oszczędzając innych. W przeddzień wyborów przewodniczącego "Solidarności" kierownik wydziału informacji międzynarodowej Zamiatin i jego zastępca Falin udzielili wywiadu tygodnikowi Stern. Dawno już zauważono, że przed wielkimi weźnymi wyborami na Zachodzie - w USA, Francji, RFN itp. - Moskwa ogłasza, który kandydat jej odpowiada, na którego "głosuje". Podczas ostatnich wyborów prezydenckich we Francji i w USA np. Moskwa głosowała na Cartera i Giscarda. I przegrała. W przeddzień wyborów w Gdańsku Moskwa oddała swój głos na Wałęsę. Otwarcie go popierając sowieccy propagandziści chcieli go przede wszystkim skompromitować i wzmoc w ten sposób spory w kierownictwie związku "Naturalnie - zauważył Zamiatin - są w "Solidarności" ludzie, którzy nie zajmują pozycji antysocjalistycznych. Do tego związku należy ostatecznie około miliona członków partii... Na tym Zjeździe Wałęsa miał też trudności. On zajmuje pozycję środkową i jest ściśle związany z kościołem katolickim. Stał się niewygodny dla tego rodzaju ekstremistów jak np. Gwiazda, Kulewski, lub pół-faszysta Bujak". Tych towarzyszy Zamiatin dobrze zna: "Nie są to ludzie wywodzący się z klasy robotniczej". Tak, jakby on sam, który w życiu nie widział robotnika, wsiadając do "Czajki" wychodził z szybu.

Moskwa zdecydowała przedłużyć oczekiwanie. Nie znaczy to oczywiście, że pogodziła się ze zmianami w Polacie. Sowieccy przywódcy wierzą, że czas pracuje dla nich. I wierzą, że czasu mają dużo. Gdański Zjazd zebrał się niemal równo dwadzieścia lat po XXII zjeździe KPZS. Warto go wspomnieć, chociażby dlatego, że jest to jeden z nielicznych zjazdów KPZS, o których nie chcą wspominać w Moskwie.

Na XXI Zjeździe, ostatnim, któremu przewodniczył Chruszczow, przyjęto nowy, trzeci program partii. Był on podobny do dwu pierwszych /1903, 1919/: rozgadany, mętny, pełen patosu i zapewniający, że jest w pełni naukowy. Wziewał jednak jeden szczegół, który sprawił, że był szalenie interesujący. Program partii był - jak i poprzednie - program budowy "światlanego gmachu komunizmu", ale Nikita Chruszczow wymienił dokładną datę objęcia nowych apartamentów, czyli dojścia do celu. "Kierujemy się - oświadczył uroczysto - ściśle naukowymi obliczeniami. Obliczenia zaś pokazują, że za 20 lat, społeczeństwo komunistyczne będzie w zasadzie zbudowane".

XXII zjazd odbył się między 17 a 31 października 1961 roku. Możemy dziś porównać obietnicę z rzeczywistością. Chruszczow twierdził: "Widzimy, jak bardzo jest konieczne, abyśmy zbudowali świetlany gmach komunizmu, widzimy, jak będzie wyglądał z zewnątrz i od wewnątrz, jacy ludzie będą w nim mieszkali i co będą robić". Chruszczow popełnił niewybaczalny błąd podając termin wykonania "światlanego gmachu". Po-

wierze, już obietnicę zbudowania przez 10 lat "człowieka społeczeństwa komunistycznego", którego brida sadnowała "wysoka ideałość, rozległa wielkość, gorliwa odwaga i absolutna sprawność fizyczna". W tej dziedzinie literatura i sztuka sowiecka /malarstwo, kino/ uszły najdalej, żywy przykład, Leonicza Iljiczka Braźniewa. Ale Chruszczow zapomniał, że w 1981 roku "Związek Radziecki pod względem poziomu gospodarczego przedścignie najbardziej rozwinięte kraje kapitalistyczne i zajmie pierwsze miejsce w produkcji na głowę ludzkości" oraz "zapewni ludziom najwyższy poziom życia w świecie".

Można przypuszczać, że podanie dokładnego terminu realizacji tego celu było jedną z głównych przyczyn upadku Chruszczowa. Dzisiaj jego obietnice wyglądają na koiny: jedynie dzięki amerykańskiemu zbożu ZSRR udaje się uniknąć głodu. Nic dziwnego, że KKW zjazd partii w 1981 roku postanowił zmienić program KPZS. Niewątpliwie zmiany polegają będą między innymi na usunięciu dokładnej daty dojścia do celu.

Konstanty Czernienko, członek Politbiura i sekretarz KC, 70-letni spadkobierca Breżniewa, twardo oznajmił we wrześniu 1981 roku: "Nasz główny cel - komunizm, przed nami". Droga jeszcze daleka, czesu nie brak. Artykuł Czernienki ogłoszony w Komunistycznym nr 13 przynosi pierwszą "teoretyczną" analizę polskiej lekcji. Tytuł artykułu brzmi: "Leninowska strategia przywództwa". Podtytuł: "C o niektórych zagadnieniach działania partii w warunkach rozwiniętego socjalizmu". Autor pyta: "Jak rozwiązuje się dziś zadanie spójni naukowego socjalizmu z masowym ruchem robotniczym? Jak mają się do siebie partia i państwo w politycznym systemie rozwiniętego socjalizmu? Jakimi drogami umacniać więzy między produkującą partią a masami? Jakie miejsce zajmują krytyka i samokrytyka w kierowniczej działalności partii?"

Czernienko nie ukrywa, dlaczego napisał artykuł. Powołując się na Lenina, który domagał się "umocnienia więzów partii z masami" Czernienko twierdzi: "Równocześnie przekonaliśmy się z własnego doświadczenia i doświadczeń innych krajów socjalistycznych, że prawdziwie trwałe, mogąca się oprzeć wszelkim próbom więz z masami nie może zostać ustanowiona raz na zawsze". Po 1956, 1968, 1970 roku kierownictwo sowieckie zrozumiało, że "masa" - może się ocknąć i zerwać więz z partią. Teoretyk Czernienko całkiem słusznie nie zagłębia się w powody zerwania. Proponuje za to receptę, czarodziejski środek: umacniać kierowniczą rolę partii. Artykuł Czernienki zajmuje bitych 16 stron gazety i na każdej stronie powtarza co najmniej dwukrotnie: "rola partii w społeczeństwie wzrasta", "przywódca, kierowniczka rola partii wzrasta", i jeszcze raz, i jeszcze raz i da capo. Tak brzmi odpowiedź na postawione pytania. Polityka partii "kierunkowa" dla organów państwa i organizacji społecznych", w mierze jak "wzrasta dojrzałość socjalizmu" partia powinna skupiać uwagę na opracowaniu strategii rozwoju społecznego", ale "komitety partyjne nie mogą wyrzec się codziennego kierowania działaniem państwowych, rolniczych i społecznych organizacji". Wszędzie i zawsze partia. Nie mówiąc już o tym - przypomina autor - że wszędzie istnieją komuniści, dla których "uchwała partii jest prawem".

Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy nie docenili wkładu K.U. Czernienki w marksizm-leninizm. Wprowadza on pojęcie "funkcji obronnej" związków zawodowych w warunkach rozwiniętego socjalizmu. Czernienko zdaje sobie sprawę z własnej zuchwałości i przewiduje powątpiewające pytania: "Obrona przed kim, jeśli partia i państwo za swe pierwsze i główne zadanie uważają służbę interesom narodu?". Pisząc artykuł w pierwszej roczni-

cę powstania "Solidarności", sekretarz KC KPZR zmuszony jest nazwać po imieniu tych, wobec których przejawiać się ma "obronna funkcja" związków zawodowych. Czernienie udało się zliczyć czterech wrogów: 1/biurokratów; 2/ pragmatycznych administratorów, dla których człowiek jest tylko środkiem do wypełnienia planu; 3/ formalistów patrzących nie na człowieka, a na papier; 4/ dijaków i prozniaków, którzy tylko udają, że pracują. Sekretarz KC jest przekonany, że przy pomocy partii związki zawodowe zdołają obronić lud pracujący przed wyżej wymienionymi wrogami.

Wszystkie pozostałe niedociągnięcia, autor przyznaje, że jest ich sporo, zostaną rozwiązane przy pomocy "usunięcia niedociągnięć w propagandzie i agitacji" oraz podwyższenia poziomu wiedzy i umiejętności zawodowych.

Teoretycznie wszystkie problemy rozwiązuje się łatwo. W praktyce wszystkim jest bardziej skomplikowane. Ale, jak słusznie zauważa, któryś z ojców marksizmu, teoria bez praktyki jest martwa. W kolejnym, 14 numerze Komunisty Siemion Cwigun, zastępca szefa KGB, opublikował obszerny artykuł o praktycznym wykonywaniu zadań partii.

Generał Cwigun donosi, że zdławiono ruch dysydentki w ZSRR. Generał ma się czym pochwalić. Ruch, któremu nadano nazwę dysydentstwa, zrodzony wkrótce po śmierci Stalina i który najpierw przyjął formę walki o prawa człowieka, a potem walki o przestrzeganie umów helsińskich - rozbito. Przy pomocy represji, więzień, łagrow, szpitali psychiatrycznych i emigracji, jako formy banicji "wrogich elementów", KGB rozgromiło pierwszy od czasu wojny domowej poważny ruch, walczący o rozszerzenia ram totalitaryzmu.

Pierwszym sygnałem zwycięstwa KGB było zesłanie Andrieja Sacharowa do Gorkiego w styczniu 1980 roku. Następnym znakiem był nieludzki wyrok na Anatole Marczenkę we wrześniu 1981 roku. Los akademika Sacharowa i robotnika Marczenki to los ruchu dysydentckiego z jego wzlotami, nadziejami, rozczarowaniami, wreszcie porażką. Mniej więcej w tym samym czasie - w latach sześćdziesiątych - otwarto się oczy robotnikowi, który dostał się do obozu za próbę ucieczki z ZSRR. Andriej Sacharow przystąpił do walki w 1968 roku artykułem "Rozważania o postępie, pokojowym współzistnieniu i wolności intelektualnej". Jako motto artykułu wybrał słowa Goethego: "Ten tylko goźdźien życia i wolności, kto dzień w dzień toczy o nie bój". Anatolij Marczenko zyskał sławę w samizdacie dzięki książce "Moje świadectwo", w której relacjonuje życie w post-stalinowskich obozach. Jest to jedna z najstraszniejszych i najszczerszych książek o obozach sowieckich. Ani Marczenko, ani Sacharowowi nie przebaczone. Światowa sława Sacharowa przez długi czas go chroniła. Marczenko takiej osłony nie miał: wyrok z września 1981 roku jest szósty z kolei. Odsiedzieć już 15 lat w łagrze. Nowy wyrok - dziesięć lat obozu obostrzonego reżymu i 5 lat zesłania. 43 letni pisarz - podstawą aktu oskarżenia była jego druga książka, poświęcona zesłaniu "Od Tsurusa do Czuny" / i artykuł, w tym i apel w obronie Sacharowa - jest ciężko chory. KGB zdecydowało unicestwić Marczenkę, który nigdy nie przestał czuć się wolny w ZSRR.

Generał Cwigun jest dumny ze zwycięstwa: "Antyocjonalistyczne elementy" działające pod przykrywką "obrońców praw człowieka" i "obrońców demokracji" zostały zamaskowane, a najbardziej szkodliwi spośród nich pociągnięci do odpowiedzialności karnej. Jak wiadomo, na przestrzeni całej epoki post-stalinowskiej, ruch dysydentcki zawsze pokreślał

że przestrasza świeckiego ustawodawstwa. Znana jest tylko jedna próba utworzenia nielegalnej organizacji - wszechrosyjskiego Socjalno-Przeziścielskiego Związku "Wyzwolenia Narodu". Jego założyciel, Jurij Gurew, skazany na 15 lat, wciąż jeszcze znajduje się w Barze. To, że dysydenci nie chcieli działać w konspiracji Olgun także uważa za zasługę KGB: "w wyniku środków zastosowanych przez KGB w ścisłej zgodzie z prawem i pod kierownictwem partii, niezależnie od znacznego materialnego i moralnego poparcia Zachodu, nie udało się im /t.j. dysydentom/ stworzyć zwartej organizacji na bazie antysowieckiego".

KGB, a przede wszystkim partia, dowodząca tajną policją, mogą być dumne ze zwycięstwa. Można też nie wątpić, że wkrótce powstanie nowy ruch, którego formy trudno w tej chwili przewidzieć. Świadczy o tym chociażby to, że na rozbiście jawnego pilnie śledzonego ruchu wywoleńczego KGB potrzeba było około 15 lat. Planowa walka z dysydenctwem rozpoczęła się po dojściu Breżniewa do władzy w październiku 1964 roku a nasiliła się szczególnie po 1967 roku, kiedy na czele "organów" stanął J. Andropow.

Nie spieszyć się i nie odstępować, póki wróg nie zostanie unicestwiony - oto dewiza przywódcy KPZS, człowieka, który decyduje o strategii tej partii i którego sowiecka prasa nazywa nie mniej ni więcej tylko "budowniczym pokoju" - L.I. Breżniewa.

Zakończona właśnie epopeja Aleksandra Czakowskiego pod tytułem "Zwycięstwo", poświęcona konferencji w Poczdamie, na której Stalin pokóżył podwaliny pod zwycięstwo Związku Sowieckiego oraz konferencji w Helsinkach, na której Breżniew umocnił owo zwycięstwo, wzbudza pełne zachwytu odgłosy w prasie sowieckiej. Brat Czakowskiego po piórze. Sawwa Dangułow, w swej recenzji /Izwestia z 7 października br./ przede wszystkim zauważa, z jak przekonującą siłą Czakowski skławi towarzysza Stalina; głównie mistrzostwo autora polega jednak na tym, jak pokazał tego, który ucieleśnia idee współczesnego świata. Sawwę Dangułows głęboko poruszył "wizerunek człowieka, robotnika i syna robotnika, żołnierza wielkiej armii antyfaszystowskiej, który stanął u steru Kraju Rad".

Wzorem dla Czakowskiego był opis "wizerunku" /nie mówi się już "oblicze" tylko "wizerunek", jak na ikonach/ innego wodza: "Człowieka z głową uczzonego, twarzą robotnika, w mundurze prostego żołnierza". To Henry Barbusse, zachwycający się Stalinem w roku 1934.

Mijają lata, mijają wizerunki, zostają zasada. Ze wszystkich domów ogromnego Związku Sowieckiego woła napis "Partia - naszym sternikiem".

KULTURA 11/84

ROZMOWA Z ALEKSANDREM ZINOWIEWEM

- rozmawiał M. BRUNSKI

M. Eroński: - Może zaczniemy naszą rozmowę od wypadków w Polsce. Jak je pan ocenia?

Aleksander Zinowiew: - Wypowiedziałem się już na ten temat i moje stanowisko nie zmieniło się. Odróżniam w moim pojęściu do sytuacji w Polsce stanowisko moje jako specjalisty i teoretyka społeczeństw tego typu od stanowiska psychologicznego, osobistego. Psychologicznie biorąc rozpatruję wypadki w Polsce jako powstanie przeciwko reżimowi komunistycznemu w ogóle;

i z tego punktu widzenia witem je z zadowolaniem. Powiedziałem kiedyś /w wystąpieniu w telewizji francuskiej/, że gdyby wypadki te miały przerodzić się w wojnę domową i walkę o niepodległość narodową w Polsce, udałbym się tam, żeby walczyć jako ochotnik. To nie żart ani demagogia - jeśli coś podobnego zajdzie, dotychczas słowo.

Jeśli chodzi o moje stanowisko teoretyczne, to nie wierzę w jakąkolwiek trzecią drogę. Niezależnie od tego, kto by objął w tej chwili władzę w Polsce, o ile zachowane zostanie socjalistyczne /czy też: komunistyczne/ podstawy systemu, czyli wspólne własność środków produkcji, po kilku latach wszystko wróci do tego, co było. Może w nieco łagodniejszej formie, ale istota rzeczy pozostanie ta sama. Znajdujemy się niestety u progu nowej ery w dziejach i ludzkość zmuszona będzie przejść wszystkie kręgi piekła, zanim wywalczy sobie na nowo demokrację i inne zdobycze zachodniej cywilizacji.

Los polski jest szczególnie, gdyż dochodzi tu jeszcze kwestia narodowa. Polska była przez wieki ofiarą innych państw: Niemiec i Rosji, z 4wiązku Sowieckiego w szczególności... Dlatego uważam, iż mimo, że nie ma perspektyw, to jednak z uwagi na - powiedzmy - historię i poczucie godności, polskie wypadki winny przekształcić się w walkę o narodową niepodległość. Cokolwiek by się miało zdarzyć w Polsce, jej niepodległość będzie zdobyczą dla Polaków - i dla Rosjan. Podkreślam, że mówię to jako Rosjanin. Pod tym względem całkowicie podzielam zdanie przedrewolucyjnego Lenina, który powiedział, że nie może być wcnym naród uciskający inne narody. Wolna Polska miałaby ogromne znaczenie właśnie dla Rosji, dla rozwoju demokracji w Rosji.

K.B.: - Czy sądzi Psn, że ludność w Związku Sowieckim myśli podobnie jak Pan?

A.Z.: - Niestety nie. Liczba ludzi patrzących na tę sprawę tak jak ja jest znikoma. Ludność sowiecka w swojej olbrzymiej większości odnosi się od wypadków w Polsce albo całkowicie obojętnie, albo popiera pozycje władz.

K.B.: - Dlaczego?

A.Z.: - To złożony problem. Wymienię tylko niektóre punkty wyjaśnienia tego niezmiernie dziwnego zjawiska. Ludzie sowieccy mają do dyspozycji cały system ideologicznego semousprawiedliwienia. Uważają, że Związek Sowiecki w czasie wojny Polskę wyswobodził czy też podbił /co na jedno wychodzi/ i w związku z tym traktują Polskę jako swoje terytorium: "to nasze". Jedną z zasad ideologii rozpowszechnianej wśród ludności sowieckiej jest, że wszyscy winni w jednokowym stopniu dźwigać ciężar nakładany przez historię. Ludność sowiecka patrzy na obecne wypadki w Polsce nie jak na walkę o niepodległość lecz jak na walkę o specjalne przywileje w obozie sowieckim.

K.B.: - Więc to nie "polski bunt" tylko "bunt"?

A.Z.: - Po prostu "bunt". Tak samo patrzono na bunt węgierski i czechosłowacki. Ludność sowiecka sądzi, że "my wszyscy żyjemy źle, po świńsku, więc wszyscy powinni tak żyć".

K.B.: - To bardzo pesymistyczny punkt widzenia. Więc nie ma co liczyć na poparcie czy zrozumienie ze strony rosyjskiej?

A.Z.: - To nie pesymizm, tylko trzeźwe spojrzenie. Ja po prostu podchodzę do tematu z uwzględnieniem czynnika czasu. W Rosji są ludzie, którzy całkowicie biorą stronę Polski. Ja na przykład całe życie sympatyzowałem z Polakami i pod wieloma względami mój światopogląd kształtował się pod wpływem polskiej kultury. I tacy ludzie jak ja istnieją. Ale na to, by zebrało się ich tylu, aby mogli wywrzeć wpływ na bieg

spraw w Rosji trzeba czasu. Na wszystko w ogóle trzeba czasu. Człowiek normalnie chce żyć, żeby wszystko było zaraz psychologicznie to zrozumiałe. Ale na wszystko potrzebny jest czas. A danym wypadku też: trzeba ofiar, trzeba czasu. Ja jestem optymistą w tym sensie, że stwierdzam, że walka zaczęła się i będzie toczona r. l. l. Polska stała się w tej dziedzinie najsilniejszym argumentem za tym, że walka o lepsze życie jest w warunkach komunizmu możliwa. I że walka ta może być uwieczniona sukcesem. W określonych granicach naturalnie.

M.B.: - To jest optymizm na długą metę. Na krótszą, w granicach ludzkiego życia uważa Pan jednak, że nic się nie zmienia?

A.Z.: - Ja nie patrzę na życie w ten sposób, że koniecznie trzeba osiągnąć jakiś pożądany cel. Patrzę na życie jako na walkę. I na to życie jest wystarczająco długie. Może jest za krótkie, by osiągnąć rezultaty, ale dość długie, by wziąć udział w walce. Takie jest moje stanowisko psychologiczne i z tego punktu widzenia jestem optymistą: wystarczy wziąć udział w bitwie. A dalej ponrowadzą ją następne pokolenia. Uważam, że gdyby wszystkie problemy udawało się rozwiązywać od razu, byłoby okropnie nudno. Uważam, że można walczyć...

M.B.: - Tak, ale w obecnej polskiej sytuacji tych problemów jest za dużo...

A.Z.: - Przyznając, że polska sytuacja jest złożona. Powiem nawet ze z socjologicznego punktu widzenia jest niesłychanie złożona. Ale Polska cyra ojczyzną konkretniej socjologii, dala światu wielu wybitnych socjologów, wielu ich jeszcze posiada: oni lepiej ode mnie potrafią tę sytuację zanalizować. Co do mnie uważam jednak, że niezależnie od stosnia komplikacji specyficznej sytuacji, istnieją pewne prawidłowości ogólne - przeważnie organizacji wielkich mas ludzkich - i odnoszą się one także do Polski.

M.B.: - Mój sąsiad w Kulturze, Bukselczyk, sformułował niedawno taki pogląd: "nikomu jeszcze nie udało się określić granic elastyczności systemu sowieckiego". Innymi słowy, nikt nie może z góry przepowiedzieć, ile Związek Sowiecki jest w stanie przetrwać. Może na przykład potrafi pogodzić się z tym, że obecny, bardziej liberalny kurs polityczny w Polsce utrzyma się i stworzy nową formę współzistnienia?

A.Z.: - Nie zgadzam się z tym poglądem co do granic, bo żadne określone granice tego systemu nie są mi znane; sądzę, że dość dużo napisałem na ten temat w moich książkach. A co do tego, ile potrafi przetrwać czy znieść? Związek Sowiecki ma w tej dziedzinie duże doświadczenia: niech Pan sobie przypomni NKP! Pozwolili? Tak, ale tylko chwilowo. Ten system może znieść wiele: może na przykład pozwolić na dwie partie, czemu nie; może dopuścić do władzy "Solidarność", zgodzić się na prywatną własność na wsi - tak, ale tylko chwilową, do czasu. Zgodziwszy się, już na drugi dzień będzie się starał to wszystko unicestwić, ponieważ wszystkie takie ustępstwa przeczą jego istocie.

M.B.: - Istnieją jednak racjonalne powody, że ludzie na Kremlu zmienią może z czasem swój stosunek do krajów satelickich i - dla obopólnej wygody - pozwolą by na przykład Polska, Węgry czy Czechosłowacja uzyskały status przypominający pozycję Finlandii.

A.Z.: - To całkowicie wykluczone. Powtarzam, należy brać pod uwagę czynnik czasu i ogólne położenie na świecie. Los sowieckich satelitów nie zależy od tarich czy innych przywódców na Kremlu: wszyscy oni będą robili to samo. Świat obecnie kłoni się ku wojnie. Tak jest. I już chociażby ten wzgląd - gotowość bloku sowieckiego do wojny, jego jedność w obliczu przyszłych wypadków - to wszystko wyklucza jakąkolwiek dalej idącą liberalizację reżimu.

To raczej Finlandia może zostać zmuszona do ewolucji w kierunku obecnej sytuacji Polski, Czech czy Węgier, niż odwrotnie. Niestety nie mogę tu dokładnie uzasadnić tych poglądów, ale dla mnie, który od wielu lat zajmuję się konstrukcją socjologicznej teorii tego systemu - teorii opartej na zasadach logiki formalnej - to jasne jak twierdzenie matematyczne. Abstrakcyjnie można rozważać różne warianty - abstrakcyjnie, tzn. nie biorąc pod uwagę praw systemu i konkretnych sytuacji w świecie - ale przy uwzględnieniu wspomnianych czynników nie należy spodziewać się zbyt wiele.

K.E.: - Oczywiście wszystko na świecie jest tylko czasowe, więc czasowe mogą być i ustępstwa. Ale w ludzkiej skali, jeśli jakaś sytuacja utrzymuje się dłużej czas, staje się "trwała". Na przykład Stalin wyraźnie dążył do wcielenia satelitów do Związku jako republik sowieckich - więc wówczas ich odrębny status był tylko chwilowym ustępstwem. Stalin nie odstąpił, a jego obecnym następcom trudniej już przyszedłoby to zrealizować. Więc jeśli na przykład obecna sytuacja w Polsce utrzyma się dostatecznie długo...

A.Z.: - Należy rozróżnić dwa podejścia: polityczne i socjologiczne. Pan mówi o tych sprawach w aspekcie politycznym, a ja cały czas - socjologicznym. Niezależnie od sytuacji ludzie muszą żyć, jeść, ubierać się, budować domy. Muszą zatem pracować w fabrykach, przedsiębiorstwach itd. A we wszystkich tych instytucjach organizują się według tych samych zasad i podlegają prawom tej samej organizacji. Dlatego też nawet Zachód ewoluje w kierunku modelu kolektywistycznego, czy też komunistycznego. Tu także można spotkać zjawiska tamtego systemu. Przyjrzyjmy się dokładnie Akademii Francuskiej czy niemieckim towarzystwom naukowym, a znajdziemy i w nich te wszystkie elementy, które tak bujnie rozwinięły się w Związku sowieckim. Niestety, tendencja komunistyczna jest obecnie najsilniejszą tendencją historii. A co do aspektu politycznego? Naturalnie, są pewne różnice, ale na przykład Jugosławia jest niezależna od Związku sowieckiego, a czy sytuacja w niej jest lepsza. Erynajmniej nie lepsza.

K.E.: - Nie czkniem rozumieć Pański determinizm. Pan uważa komunizm za zwycięstwo tendencji kolektywistycznej, a tę - za przedłużenie najgorszych cech ludzkiej natury: lenistwa, zawiści, chęci pasożytnictwa na innych. Ale przecież ludzka natura jest wszędzie taka sama, a systemy na świecie są różne.

A.Z.: - Nie jestem deterministą. To nie determinizm, tylko stwierdzenie pewnej prawidłowości procesu historycznego.

K.E.: - Ale na przykład w Stanach Zjednoczonych tendencja ta nie zwyciężyła. Tam jest liberalizm gospodarczy, kapitalizm... Od czego to zależy?

A.Z.: - Od warunków historycznych. Wszystko pojawia się gdzieś po raz pierwszy. Człowiek też pojawił się tylko raz, a potem powstała ludzkość. W kosmosie też raz powstała tendencja ewolucji, znalazła dla siebie podatną glebę, umocniła się i walczy teraz o byt. Jeśli nie uda się jej zlikwidować, tam gdzie rozkwitła - podbije cały świat. Problem wygląda tak: albo ją się zniszczy, albo ona zniszczy świat.

M.B.: - Czytając Pańskie książki odnosi się wrażenie, że to już niemożliwe, bo system ten tak głęboko wrosł w ludzi, że nie da się oddzielić "złej władzy" od "dobrego narodu".

A.Z.: - Znów to samo: czas, czas, czas... Wszystko można zniszczyć: ziemię, system słoneczny. Nawet galaktyka nie będzie trwała wiecznie.

K.E.: Ale w takim razie zniszczenie systemu komunistycznego równałoby się zagładzie dużej części świata?



A.Z.: Nie, mówiąc o zniszczeniu tego systemu nie mam na myśli tego, że wszyscy ludzie w nim muszą zginąć. Zakładam tylko, że rozpadnie się jego organizacja. A co powstanie na jej miejscu, nie wiadomo. Może małe kraje w rodzaju Szwajcarii czy Belgii... Nie wiadomo.

M.B.: - W swej książce "Komunizm jako rzeczywistość" kończy Fan podobne rozważania słowami: "... może jeszcze coś gorszego od systemu sowieckiego".

A.Z.: - Może coś gorszego. To zupełnie możliwe. Wie Pan, historia sowiecka w okresie porowolucyjnym jest oświetlana w krytycznej literaturze bardzo jednostronnie. Całkowicie pomija się fakt, że w okresie kiedy jeszcze nie było centralnych organów ucisku, ucisk ten już istniał w poszczególnych kolektywach - ludzie sami prześladowali się na wzajem. I co było gorsze? Powiedzieć tedy można, że centralizacja ucisku w organach państwowych z pewnego punktu widzenia była dla ludzi dobrem, poprawą sytuacji. To, co istnieje teraz w Związku Sowieckim nie jest po prostu wynikiem "złej woli" - to rezultat długiego doświadczenia historycznego, poszukiwania rozwiązań. Istnieją przykłady, jak to w przypadku powstawania autonomicznych komun, samorządzących się grup, władzę w nich bardzo prędko przechwytywała mafia, terroryzująca ludzi i praktycznie biorąc już w ogóle nie można było w nich żyć. Czy coś takiego może znów zajść po ewentualnym upadku systemu sowieckiego, trudno powiedzieć. Ja w każdym razie nie podejmuję się układania takich przepowiedni.

KULTURA 4/1981

DZIENNIK PISANY NOCĄ - Gustaw Herling-Grudziński

Naapol, 8 stycznia 1981

O okolicznościach śmierci Osipa Mandelsztama wiadomo mało i ngliscie, wersje są różne. Według jednej zaczął zdradzać objawy zaburzeń psychicznych podczas transportu z Moskwy do władystockiej piarsyki we wrześniu 1938 /po powtórny areztowaniu w maju tego roku/, podejrzewał że go chcą otruć, nie przyjmował więc dziennej racji i podkładał jedzenie innym więźniom; nie ustało to i w obozie tranzytowym we Władystoku /skąd więźniowie, w miesiącach sprzyjających nawigacji do Magadanu, przewożeni byli na Kołymę/, wyrzucono go z baraku, czatował brudny i prześmierdły koło śmietnika, żywił się odpadkami, czasami podkarmiali go lekarze z ambulatorium, niegdys czytelnicy jego poezji. Inna wersja, literacka, zawarta jest w krótkim opowiadaniu kołymskim Szalamowa o śmierci poety w łazrze: dogorywający poeta leży bez ruchu na przycy, komponuje w myślach swoje ostatnie wiersze; z zapadnięciem nocy umiera; przez dwa dni współwięźniowie w baraku ukrywają jego zgon, by pobierać należny mu pajok. "Umarły leżał z podniesioną do góry ręką, podobny do kukry. Umarł przed datą swej śmierci, szczagół nibzahy dla biografów". Nie jest pewne czy wzięli ten szczagół pod uwagę, ustalając datę śmierci na 27 grudnia 1938.

Nadieżda Mandelsztam umarła 29 grudnia 1980, prawie dokładnie w czterdziestą drugą rocznicę śmierci męża. Mienia naszi cari bojataia, lubiła w ostatnich latach życia zapewnić zagranicznych gości, zdumionych i równocześnie zaniepokojonych coraz większą ostrością jej wypowiedzi o "więzienną cywilizacji" systemu sowieckiego. Nie, nie była to

mieszczyna kokieterii i zuchwalstwa starej, samotnej kobiety. "Starucha która nie boi się niczego i nienawidzi siły" /jej własne słowa/ wyciągnęła z okresu prześladowań i cierpień naukę, że odwaga jest jedyną odpowiedzią na terror; i że na nią tylko licząc, broniąc do upadłego jej resztek choćby, udaje się nawet zeszczepić trochę strachu prześladowcom nienawikłym do oporu ofiar, zdeorientowanym wobec tak upartego zakorzenienia godności ludzkiej. Ledwie jednak Nadieżda Mendelsztam umarła "cerowie" otrząsnęli się ze swojej odrobiny strachu. Przywłaszczyli sobie natychmiast zwłoki, trzymając na odległość przyjaciół zmarłej i przez kilka dni zwlekając z wyznaczeniem omentarza i miejsca na grób. Opieczętowali jej moskiewskie mieszkanie, przekonani może że nareszcie zęgarną sekretne cymelia archiwum mandelsztamowskiego. Na szczęście, Nadieżda Mendelsztam przygotowała zawczasu swoje odejście. W testamencie z roku 1966 powierzyła opiekę nad papierami męża i swoimi "knieji sprawiedliwych", jeńcemu "osobom uczciwym" wymienionym z nazwisko w specjalnym aneksie, aby spuścizna nie wpadła w ręce tego "asyryjskiego monstrum jakim jest państwo sowieckie". Gdyż, "nie nadzorcy więzienni powinni dziedziczyć po galerniku, lecz ci co z nim razem byli przykuci do galery... niech państwo bierze spadek po tych, którzy mu sprzedali swoje dusze". Z czego wolno wnosić, że w czternaście lat później występnicy "cerów" opieczętowali rzeczy o znikomej lub żadnej wartości.

"Zawzięta zazdrościłam Antygonie: nie tej która za rękę wodzika ślepego ojca, lecz tej która oddała życie pogrzebania brata... Dobrze musi być życie w małym kraju, gdzie nie zatykają ust krzyżących w obronie własnych praw, gdzie można wykręcić zakazane zwłoki, a nie przetrząsać w trójkę - Mendelsztam, Achmatowa i ja - laski pod Petersburgiem w poszukiwaniu grobu rozstrzelanego poety /Gumilewa, męża Achmatowej rozstrzelanego przez bolszewików w roku 1921.../ Ja, wdowa która nie pochowała swego męża, składam ostatni hołd trupowi oznaczonemu tylko tabliczką u nogi, wspominając go i opłakując; mój płacz jest bez łez, my wszyscy należymy do pokolenia o wyschniętych oczach. Oczekuję wciąż, że przyjdą by zabrać mi te moje karteluski. Jeśli przyjdą, będą musieli zabrać także mnie. A jeśli zabiorą i mnie, przestanę zazdrościć Antygonie".

Sama Nadieżda Mendelsztam określiła tu najlepiej swoje dwa wspaniałe tomy, Wspomnienia i Księżkę Drugą, które miało można zaliczyć do księzek tej rangi co Doktor Żiwago Pasternaka, Requiem i roemal bez bohatera Achmatowej, Mistrz i Małgorzata Bułhakowa, powieści Solżenicyna i jego Archipelag. Nie zdolano jej odebrać wykradzionych "zwłok zakazanych", ani "zatkać ust krzyżących w obronie własnych praw". W setkach swoich "karteluszków", nasłuchując czy nie puka ktoś do drzwi, pogrzebała trupa męża i poety "z tabliczką u nogi". Więcej, wystawiła mu niezniszczalny pomnik na tle epoki terroru. Wystawiła go cierpliwie, przeobrażona przez miłość i gniew w wielką pisarkę. Gdy dziesięć dni temu wydawała catatnie technienie u progu dziewiątego krzyżyka, kto wie czy nie wpatrzona w rocznicowe ogarki pod młodzieńczą podobizną męża, mogła wyszeptać do siebie: "Nie odeszłem milcząc, jak większość mego pokolenia". Myślę o niej z głębokim wzruszeniem i z ogromnym podziwem. Requiem ze nieustraszoną Antygonę rosyjską.

Rzym, 11 stycznia

Rzym w zimowym słońcu, jaki jest piękny, wyniosły, bardziej wieczny, jak oczyszcza się w zimnym blasku, jaka przepaść między nim i jego letnim sobowtorem, tratowanym przez hordy Turystów, dyszącym w lepkiem ukropie, zmęczonym swoją wiecznością. Pewnie w taki dzień jak dzisiaj Stendhal zapisał w swoim rzymskim dzienniku? "W Rzymie zwykła buda bywa często monumentalna".

Najpierw R. zaprowadził nas do kapliczki, upamiętniającej miejsce, w którym papieżycza Joanna powiła dziecko na trasie erazaku z Watykanu do Lateranu. /Ale o tym innym razem, gdy przeczytałem pożyczoną mi przez K. książkę D'Onofrio La pspelsa Giovenna, Roma e papato tre storia a leggenda/. Potem do Świętego Klemensa i do kościoła-fortecy Santi Quattro Coronati. W tym kościele-fortecy jest kaplica, którą uważa się za średniowieczny majstersztyk propagandy politycznej. Mistrzoatwo nie do pogardzenia i w naszych czasach, warto zatem baczniej mu się przyjrzeć.

Na orzekomie VIII i IX wieku ogłoszono Constitutum Constantini, rzekomą "donację" Konstantyna z roku 321. Rzakomą, bo dokument był falsyfikatem; tak misternym jednak, że do połowy XV stulecia uchodził za autentyczny. Również sztuka falsyfikacji stała wówczas wysoko.

W owej "donacji" imperator miał jakoby złożyć w ręce papieża /Sylwestra/ władzę świecką nad Rzymem, a więc nad Italią i Zachodem. W trakcie niekończących się walk między papieżstwem i cesarstwem, za panowania Fryderyka II i pontyfikatu Innocentego IV, w kaplicy przybudowanej do kościoła-fortecy zilustrowano w roku 1248 serią fresków główne punkty "onstitutum Constantini, wraz ze sceną nawrócenia i chrztu Konstantyna, aby wykazać i unaocznić ikonograficznie istotę "donacji": że mianowicie, na mocy dokumentu tu oto w obrazach przedstawionego, władza Kościoła Rzymskiego znajduje się ponad władzą cesarską.

Bardzo jest ładna ta "donacja" w obrazach, ładna i sugestywna w swej narracyjnej prostocie i malarzkiej naiwności; bardzo też subtelnie, po mistrzowskiu rzeczywistość przechodzi od opowieści do morału politycznego. Na półkolistym fresku pod sklepianiem Chrystus sądzący w otoczeniu apostołów, jako poręka Najwyższego Trybunału. Po czym cykl właściwy. Chory na trąd Konstantyn, któremu lekarze rzymscy przepisali kąpiel w krwi dziecięcej, odrzuca radykalną i okrutną kurację na widok lamentujących matek. Trędowatemu imperatorowi ukazują się we śnie Piotr i Paweł i doradzają, by zwrócił się do papieża Sylwestra, zmuszonego cesarskimi prześladowaniami do ucieczki z Rzymu. Konstantyn budzi się i natychmiast wysyła trzech konnych gońców do kryjówki Sylwestra na górze Sorakte. Przybywa zbiegły papież, Konstantyn opowiada mu o ujranych we śnie dwóch "bogach" chrześcijańskich. Sylwester wyjaśnia, że to nie żadni "bogowie", lecz apostołowie Piotr i Paweł; i wyciąga z Sancta Sanctorum, na dowód prawdziwości swych słów, portrety obu apostołów. "Tak, to oni" - przytakuje Konstantyn, przekonany teraz niezbitnie, co wypada mu iść za pozostałymi radami zjew sennych. A rady były następujące: dać się ochrzcić w wannie przez Sylwestra, co uleczyć go zaraz z trądu; później zaś, na znak wdzięczności i odpłaty, wyposażyć w wszelkie dobra ziemskie i nade wszystko we władzę świecką Kościoła Rzymski Najwyższego Przedstawiciela na ziemi, papieża Sylwestra, spokobiercy apostoła Piotra. Ochrzczony w wannie przez Sylwestra /w rzeczywistości chrzest Konstantyna odbył się w roku 337 w Nikodemi, na kilka dni przed śmiercią/,

imperator na klęczkach wręcza papieżowi tiarę cesarską, czyli dokonuje symbolicznego aktu przekazania władzy świeckiej kościelowi Rzymskiemu. Na fresku zamykającym cykl widzieć Sylwestra na rumaku cesarskim prowadzonym przez Konstantyna, w drodze do objęcia nad Rzymem władzy religijnej i świeckiej; podwójną inwestyturę symbolizującą dwie figury heroldów z tarczy i mieczem.

Sredniowiecznym majstersztykiem propagandy jest naturalny i prawie niezauważalny automatyzm, z jakim cudowne uleczenie władcy z choroby mistycznej /taką miał sławę trąd w Sredniowieczu/ staje się pełnoprawnym tytułem do sięgnięcia po ziemską władzę nad jego podwładnymi.

Wespol, 19 stycznia

W roku 1362 umarł Boccaccio nieprzyjatyjny, bezwstydnym, autor Dekameronu, a narodził się Boccaccio "dudnowo odmieriony", skruszony i gotów piorem służyć najświętszej wierze. O "duchpwej odmierzenie" pisarza zdecydowała rozmowa z mnichem, którego przyszedł mu kartuzjanin Petroni. Groźba rychłej śmierci i wiecznego potępienia, poparta zapewne wizją strasznej agonii na naszym padole zez i dodatkowych mąk w królestwie piekieł, odniosła upragniony /przez Petroniego i jego wyszaniaka/ skutek. Nowy Boccaccio napisał łacińskie dziełko. De mulieribus claris, s to sześć medalionów kobiet przesławnych, postaci mitologicznych i realnych, zaczerpniętych ze świata antycznego i chrześcijańskiego. Realna była dla Boccaccio "Jeanne Angielka, papieżyca". Prózno edgadywać jaki byłby jej medalion w dawnym, wyklętym duchu Dekameronu. Na szczęście w świeżym, bogobojnym duchu De mulieribus zachował przynajmniej pisarską świetność, rytowniczą zwiążłość wielkiego nowelisty. "Jan "Giovanni/ z imienia zdawał się mężczyzną, był natomiast pięci żeńskiej. Dobrze znaną czołemu światu i potężności uczyniła ją niesłychana jej pycha".

"Niektórzy mówią, że pochodziła z Moguncji; lecz prawdziwe jej imię jest nieznanne, chociaż niektórzy twierdzą, że przed wstąpieniem na tron papieski używała imienia Gilberte. Z pewnych świadectw wiadomo, że jeszcze dziewicą będąc kochana była przez młodego studenta, którego miłość tak gorąco odważemniała, że na stronę odsunawszy dziewiczą wtydlwość i lek przyrodzony niewiastom, po kryjomu uciekła z domu ojcowskiego w ślad za kochankiem, pod zmienionym imieniem i w szatach młodzieńca. U boku kochanka, który studiował w Angli, przez wszystkich uważana była za kleryka i tak oto pędziła życie w służbie Wenery i litarackich nauk.

"Gdy umarł kochanek, ona, znając własna uzdolnienie i trwając dalej pod urokiem wiedzy, pozostała wierna męskiemu strojowi; nie chciała związać się z innym mężczyzną, ani ujawnić że jest kobietą; z taką zaś pilnością oddawała się studiom, takie pożyczki ciągnęła z nauk świeckich i świętych, że ją za wzór stawiano innym.

"Tak oto, przepełniona zadziwiającą wiedzą i bardziej już wiekiem dojrzała, przyjechała z Anglii do Rzymu, gdzie przez kilka lat wykładała, przyciągając sławnych słuchaczy. Ceniłno w niej, prócz wiedzy, szczególną uczciwość i czystość, wszyscy więc mieli ją za mężczyznę. Tak tedy, znana dobrze i ceniona wysoko. ze śmiercią Leona V wybrana została papieżem głosami wszystkich kardynałów; przybrała imię Jan. Gdyby była mężczyzną, przysługiwałoby jej imię Jan VIII. Nie wdrażając się przed wstąpieniem na tron Piotrowy i udzielaniem sakramentów /co nigdy dotąd nie było przez religię chrześcijańską dozwolone kobiecie/, znalazła się na szczycie apostołatu

i sprawowała jako kobieta namiestnictwo Chrystusa na ziemi. Lecz różniej Bóg z litością spojrział z wyżym na swój lud i nie pozwolił, by kobieta zajmowała tak ważny stolec, by przeważała takim krociom ludzkim i zwodziła je tak zgubnym błędem; i pozostawił ją samej sobie, widząc jak jest zuchwała w porywaniu się na rzeczy niestosowne i uparta w przywiązaniu do swego błędu.

"Za podszeptem diabła, który ochnął ją do tak niecej śmiałości i nie dopuszczał odwrotu, ona osobienie szczególnej uczciwości i czystości jako kobieta prywatna, po wyniesieniu na tron papieski dała się ogarnąć płomieniem żądy. A tej, co tak dobrze umiała ukrywać swą płać, nie mogło zabraknąć sposobów nasycecia swej rozwiątości. Znalazła kogoś, kto ją tajemnie posiadał /ją, następcę Piotra!/, podniecając jej piekącą chętkę; i tak doszło do papieskiego poczęcia.

"Niegodziwa nikczemność! Bezgraniczna cierpliwość Boga! Ta, co umiała tak długo mamie wzrok ludzki, nie potrafiła zasłonić przed światem swego haniebnego porodu. Pewnego dnia, gdy szła w orszaku do Lateranu na uroczysty obchód dni krzyżowych - a była bliższa rozwiązania, niż sądziła - i doszła do miejsca między Coloseum i kościołem Świętego Klemensa, bez pomocy położnej urodziła dziecko na publicznej drodze; pokazując tym samym jak dłużej i zrećnie udawało jej się wszystkich z wyjątkiem swego kochanka okamywać. Przepędzona przez kardynałów, nędznica uciekła z urodzonym właśnie dzieckiem.

"Jeszcze dzisiaj, dla napiętnowania jej sromoty i przedłużenia jej hanby, papieże celebrujący z klerem i ludem uroczystość dni krzyżowych omijają w procesji otrzydlive miejsce porodu, które znajduje się w połowie tej trasy; i skrecają w boczne zaułki; potem, gdy owo wstrętne miejsce mają już za sobą, wracają na główną drogę i kończą rozpoczęty pochód."

20 stycznia

Tekst Boccaccia można przyjąć za historię papieżcy Joanny. Inna sprawa, czy za historię naprawdę historyczną, poświadczoną przed dokumenty i wiarygodne przekazy, czy też za historię od początku do końca zmyśloną, za legendę powielaną w ciągu stuleci. Rozstrzygnięciem tego problemu zajmuje się książka D'Onofrio.

Inne wersje samych dziejów papieżcy różnią się od tekstu Boccaccia drobnymi tylko wariantami i nianseami. Czego natomiast u Boccaccia brak /i co w przyszłości kolejni wydawcy De mulieribus zwykli byli z własnej inicjatywy dołączać do jego medalionu Joanny/, to opisu następstw skandalu z papieżcą w mechanizmie intronizacji dalszych papieży. Odtąd, czyli od zdemaskowania i "przepędzenia nędznicy", każdego elekta natychmiast po wyborze sadzano w Lateranie na porfirowym fotelu z dużym otworem w siedzeniu, po czym najmłodszy z kardynałów przyklekał, wsadzał rękę pod spód i sprawdziwszy od dołu w otworze co trzeba, wykrzykiwał: Testiculos habet, dignus est papali corona, "ma jaje, godny jest papieskiej korony". W innych wreszcie, oficjalnych i historycznych /rzekomo, jak się okazało/, na ten proceder pominięty przez Boccaccia władzino szczególnie nacisk.

Historycznie więc, aż po wybuch Reformacji i rozgorzałych w związku z nią polemik, papieżcy Joanna istniała, chociaż nazywana na przemian to Janem VII to Janem VIII: od średniowiecznego Liber Pontificalis do vitae Pontificum,

które nadworny historyk papieski Platina napisał na życzenie Sykstusa IV i zżył pokornie u jego stóp w Roku Jubileuszowym 1475. Jej dwuletni przeszedł pontyfikat, 855-857, umiejacawiano między Leonem IV i Benedyktem III.

Dopiero lateranie, bez pardonu eksploatując Joannę w swoich atakach na papiestwo, posuwając się do szycerszego okrzyku Pontificalia habet spowafrazowanego z okrzyku Testiculos habet, spowodowali reakcję Kościoła Rzymskiego. Szarpani i wyszydzeni "papiści" uciekali się do różnych argumentów na dowód nieistnienia Joanny. Z historii przechodziła stopniowo do legendy. Przeszła do niej definitywnie, "przepędzona" /tym razem z mniejszą brutalnością/ argumentem głównym: że jej istnienie i pontyfikat zakończony macierzyństwem nie opierają się na niczym poza plotką, średniowiecznym odpowiednikiem współczesnego zwrotu "jedna pani powiedziała".

Gwóźdź to trumny "historycznej" papieżycy wbija w swojej książce D'Onofrio, ale usiłując równocześnie odpowiedzieć na pytanie skąd się wzięła i jak powstała legenda. Jego przekonywujący wywód jest zabiegiem odwrócenia porządku legendy. Epizod kobiety na papieskim tronie pociągnął za sobą wprowadzenie rytuału, w którym weryfikowano męskość jej następców. A może w zamierzonych czasach papieństwa przyjęty był jakiś rytuał intronizacyjny, podobny zewnętrznie do domniemanej weryfikacji męskości, lecz w rzeczywistości o zupełnie odmiennym znaczeniu? I może to on zapoczątkował ludzką wyobraźnię epizodem papieżycy w męskim przebraniu, ze wszystkimi konsekwencjami maskarady? Punktem centralnym dochodzenia staje się tu ów porfirowy fotel z dużym otworem. Otóż jest on imperialnym fotelem położniczym, na którym żony imperatorów rzymskich rodziły według antycznych /i zachowanych w Średniowieczu/ metod akuszerii. Pod koniec pierwszego tysiąclecia rytuał sadzenia na nim papieżycy był przypuszczalnie symbolicznym wyrazem Mater Ecclesia, zwłaszcza że ceremoniał przewidywał iż siedzący musi przybrać pozycję "jak gdyby leżał"; pozycję zalecaną właśnie matce-położnicy w dawnych operacjach porodu.

"Joanna Angielkę" wciągam tu, do mojego dziennika, nie tylko jako znakomity przyczynek do okoliczności towarzyszących "kształtowaniu się historii". Rzecz w tym, że sugestywna legenda silniejsza jest od prawdy. Komu sławną papieżycę, przemądrą lubieżnicę, zastąpi fotel położniczy, choćby porfirowy, choćby imperialny, choćby do tak wzniosłych w Lateranie powołany celów?

Jak to się stało, że Joannę przeczytał lub zlekceważył zapałony "kronikarz włoski" Stendhal?

28 stycznia

Sto lat temu umarł Dostojewski. "Ubóstwiana" Ania dość dokładnie opisuje jego śmierć w swoich Wspomnieniach. Można jej wierzyć: nagość śmierci trzyma na uwięzi wszystkie pokusy memoralistyki egzaltowanej.

Rok 1881 zaczął się dobrze, zdawała się trwać szczęśliwa narezście passa poprzedniego. A poprzedni był znakomity, prawie triumfalny: entuzjastyczne przyjęcie Erci Karamazow, posowanie Dostojewskiego na "proroka" podczas obchodów puszkinkowskich w Moskwie, ogromny sukces jedyne numeru Dziennika pisarza, uzdrowienie finansów rodziny, trzeci z rzędu rok bez ani jednego ataku epileptycznego. W styczniu 1881 Dostojewski, w wybornym humorze i pełen energii, nie chciał nawet słyszeć o zasłużonym odroczeniu; planował już dalszy ciąg Erci Karamazow /w dwadzieścia lat później/, w połowie

zabiał się do pracy nad kolejnym numerem Dziennika pisarza. Chodząc go i posłak do drukarni 25 stycznia, tego dnia urządzono w domu "wieczór towarzyski", goście nie mogli się nadszwić powodnemu uoprobieniu gospodarza, na próbie jakiegos zaproszonego profesora zjadził wykorcić 29 strzemiń odczyt na uniwersytecie o "ruszki" i "pacznic. śmierci poety. Wazajutrz wstał jak zwykle o "wierzwej i powieździej" ani o "drobnym wypadku" w noy. Upadko mu ulutone pióro i potoczyło się pod półkę z książkami, musiał więc ciężką półkę odsunąć, a wysiłek był tak wielki, że pękła mu arteria płucna i krew rzuciła się gardłem. Nic poważnego, nie na powodu do niepokoju. Innego zdania była Ania, wezwała natychmiast lekarza. Krwotok, o wiele gwałtowniejszy, powtórzył się w trakcie ogłędzin lekarskich. Dostojewski poroccił o księdze, długo się spowiadał, przyjął Komunię, Świętą. Najgorsze minęło, brzmiała diagnoza złożonego zaraz potem konsylium lekarskiego. 27 stycznia upłynęła w istocie spokojnie. Gdy Ania obudziła się 28-go rano, Dostojewski leżał z szeroko otwartymi oczami. "Od trzech godzin już nie śpię, wiem że dzisiaj umrę. Zapal świecę i podaj mi moją Ewangelię". Chodziło o Ewangelię podarowaną mu niegdyś w drodze na katory, przez żony dekabrystów, o "jedyną książkę, którą wolno było mieć w ostrogu". Usnął niebawem. O jedenastej przebudził się, krztusząc się i dusząc od krwotoku. Umarł wieczorem, wkrótce po następnym krwotoku. W godzinę później zajęchał przed kamieniem brat Ani, prosto z nodroty, nie jeszcze nie wiedząc o chorobie szwagra. Poło bramy kręcilo się kilku męczyz w długich kaftanach. Jeder wbiegł za nim na schody: "Wlecz nar się wstawi, aby zamówione dano mnie". "Jakie zamówienia?". "Jestem z zakładu pogrzebowego, chodzi o trumnę". "A kto umarł?". "Jakiś tam autor, nie pamiętam nazwiska, stróż o tym mówić".

x

"Stulecie śmierci "jakiegos tam autora" ciekawsze jest pytanie o jego pozycję i poczytność w Rosji, niż o to czy i na ile trwa jeszcze fascynacja nim na Zachodzie. W Rosji /i w nieco mniejszym stopniu w krajach "bloku"/ czyta się wciąż Dostojewskiego, roztrząsa jego "przeklęte problemy", jak gdyby był pisarzem bardziej współczesnym od kalendarzowych współczesnych. Na Zachodzie, ogólnie biorąc, panuje tendencja wznieszenia mu poczesnego kącika w szafie arcydzieł dziewiętnastowiecznej powieści, które należy czcić na słowo honoru i na zasadzie "skarbniicy", bez nadmiernie częstego odkurzania. W dobrym jest także tonie krzywił się lekko z pobieżliwym, głupekowato-przemądrezym uśmiechkiem - zrobił to właśnie Moravia z okazji obecnego stulecia - na "ograniczenia" Dostojewskiego "w świetle determinizmów Marksa i Freuda".

Dwudziestoletnia proskrypcja stalinowska Dostojewskiego dowodzi, jak się infiltracji jego "jadów" obawiano w okresie przyspieszonego ulepiania "człowieka sowieckiego". Dopiero w roku 1956 wydano jego dzieła wszystkie, choć z pewnymi pominięciami. I kontynuując porewolucyjne kryterium "dwóch Dostojewskich": jednego "do przyjęcia", malarza niesprawiedliwości społecznej w Skrzywdzonych i poniżonych, twórcę postaci zbuntowanej przeciw kapitalizmowi lichwiarskiemu w Zbrodni i karze, piewce carmen horrendum caretu w Zabiskach z martwego domu; drugiego, autora Biesów i Braci Karamazow, dwuznacznego oszczercę, mistyka na usługach cerkwi prawosławnej. Ale wobec Dostojewskiego

czytanego w Kosji klasyfikacje i wskazówki "wychowawcze" znaczą i zawsze znacząły mało, zresztą zmieniają się i zmieniały w przeszłości zależnie od miejsca i czasu. Jeden z rozdziałów mojego Innego Świata jest opowieścią o lekturze "carmen horrendum cesaratu" za drutami oboro sowieckie-go. Zdarzyło mi się też oglądać wydanie Biesów z końca 1941 roku, poprzedzone wstępem w którym powieść Dostojewskiego zrehabilitowano narle jako dalekowzroczną wizję i "przeczu-cie hitleryzmu". Łatwo sobie wystawić z jakimi uczuciami to "przeczu-cie" śledzili, pochłaniając Biesy, poddani Stalina.

Naturalnie Biesy są dziś w Kosji, i w zachodniach mar-chiach imperium, głównym arcydziełem Dostojewskiego "wciąż żywego". A w Biesach, jak sądzę, rozdział wśród naszych. Przytacza się zeń najczęściej słowa Szigalewa o "nieograniczonej wolności, które prowadzi do nieograniczonego des-potyzyzmu", oraz postulat "ścięcia stu milionów głów i przes-koczenia rowu". Szigalewa nie wolno redukować do kilku słów, trzeba go pamiętać w całości: "Zaplątałem się we własnych wywodach i konkluzja moja pozostaje w całkowitej sprzeczności z pierwotną ideą, która jest u mnie punktem wyjścia. Za-czynam od nieograniczonej wolności, lecz kończę na nieogranic-zonym despotyzmie. Muszę jednak zaznaczyć, że innego roz-strzygnięcia zagadnień społecznych nie ma i być nie może". Groza tkwi w ostatnim zdaniu.

"Przeczu-cie hitleryzmu"... A może coś w tym jest, niezale-żnie od intencji propagandowych topornego przedmówcy so-wieckiego? W wydanej po włosku książeczce L'Estetica del nichilismo komparatysta niemiecko-amerykański Lienhard Bergel zestawia Biesy z Doktorem Faustusem, Stawrogina z Adrisnem Leverkdhnem, "rewolucję postępową" Szigalewa z "rewolucją konserwatywną" mannowskiego doktora Ereisechera. Goebbels, gdyby chciał przyjąć wyzwanie, miałby pełne pra-wo pod koniec 1941 roku nakazać wydanie Biesów po niemiec-ku z przedmową o "przeczu-ciu bolszewizmu".

31 stycznia

Znany pisarz hiszpański Jorge Semprun, ex-komunista i to wysoko postawiony w hierarchii partyjnej, u boku Carrilla, podsumowuje swoją opowieść autobiograficzną Quel beau diman-che!: "Moja książka Le Grand Voyage była w druku, gdy prze-czytałem Dzień Iwana Denisowicza. I tak, jeszcze przed uka-żeniem się mojej książki, wiedziałem już że kiedyś będą musia-ła napisać ją na nowo. Wiedziałem już, że będą musiał zbu-rzyć tę niewinność pamięci. Wiedziałem, że będą musiał na nowo przeżyć doświadczenie Buchenwaldu, godzina po godzinie, z rozpaczliwą świadomością równoczesnego istnienia obców sowieckich, Gułagu Stalina. Wiedziałem też, że jedynym spo-sobem powtórnego przeżycia tego doświadczenia byłby jego opis z pełną znajomością rzeczy: w oślepiającym świetle reflektorów lokamy, skierowanych na moje wspomnienie Buchenwal-du. Krótko mówiąc, nic jeszcze nie napisałem. Nic istotnego, w każdym razie, nic prawdziwego. Napisałem bez wątpienia prawdę, tylko prawdę. Gdybym nie był komunistą, wystarczyłoby to co napisałem. Gdybym był chrześcijaninem, socjaldemokra-tą, nacjonalistą, lub po prostu patriotą, wystarczyłaby praw-da mojego świadectwa. Ale nie byłem chrześcijaninem, ani so-cjaldemokratą, byłem komunistą. Cały tok narracyjny Le Grand Voyage nasycony był milczeniem, bez akcentowania tego na pokaz, komunistyczną wizją świata. Cała prawda mojego świadectwa związana była pośrednio, ale w sposób wyraźnie wsrunkujący, z horyzontem społeczeństwa wolnego od alienacji: społeczeństwa bezklasowego, w którym zagry byłby nie do pomyślenia. Cała



prawda mojego świadectwa namaszczona była świętym olejem tego ukrytego, Jobrego samopoczucia. Ale horyzont komunizmu nie był horyzontem społeczeństwa bezklasowego: nam oczywiście na myśl horyzont realny, historyczny. Horyzont komunizmu, a niemożliwych do wytknięcia granicach, był horyzontem Gólfaru. Naraz całe prawda mojego świadectwa stawała się kłamstwem. Przynajmniej dla mnie. Mogłem sobie wyobrazić czytelnika nie komunista, dla którego prawda mojego świadectwa była prawdą tout court, przy tym głęboko odczuwaną. Lecz ani ja, ani żaden czytelnik komunista - żaden w każdym razie czytelnik, który komunizm utożsamiał z nowym wszechświatem moralnym - żaden więc czytelnik komunista, choćby się taki znalazł tylko jeden, nie mógł jak i ja sam uznać prawdy mojego świadectwa o hitlerowskich kacetach. Po latach, na uniwersytecie Yale, to właśnie chciała bym zrozumieć, i sama chciała dobrze zrozumieć, młoda Polka, pokazując mi książkę Herlinga-Grudzińskiego A World Apart podczas naszej rozmowy o Le Grand Voyage".

Trudno mi oprzeć się pokusie zacytowania tego przydługiego fragmentu. Nie dlatego że Bemprun wspomina w nim mój Janny Świat /wspomina go zresztą w swojej książce wielokrotnie, prawie jako nic przewodnią jednego z wątków narracyjnych/, ale dla zamknięcia wertowanej często w moim dzienniku sprawy. Zaskągą Michała Hellera było sprzeczanie opowiadań komyjskich Szałamowa z opowiadaniem oświęcimskimi Borowskiego, a zrobił to uderzony podobieństwami nie jedynie pisarskim. Nikt, komu rzeczywiście zależy na przeniknięciu istoty naszego wieku /"Wiek mój, zwierzu mój, kto potrafi zajrzeć w twoich źrenicę głęb" ... Mandelstam w roku 1923/, nie może uciec przed "reflektorami Kółmy skierowanymi na Buchenwald". Zwłaszcza, jeśli był kiedykolwiek komunista w dobrej wierze. Co jednak - wolno tu zapytać - znaczy w naszym "wilczym wieku" dobra wiara? Przed powrotem do kraju Borowski mieszkał jakiś czas w Monachium, w Monachium "Dziennika podróży do Austrii i Niemiec" Hcstowca, gdzie tak czy inaczej załamany i mniej czy więcej rozrzedzony docierał przeciw odblask "reflektorów Kółmy". Poza wszelką łatwą moralistyką, poza dociekaniami podobak czysto osobistych a zetem nieuchwytnych dla postronnego widza, upraszcza się zarazem niepotrzebnie gmatwa tragedię Borowskiego, sprowadzając ją do dziejów "nieszczęśliwego kochanka" historii, "zawiedzionej miłości do świata i ludzi".

3 lutego

Blisko dziesięć lat temu odnotowałem w moim dzienniku /kto ciekaw, niech zajrzy do pierwszego tomu/ książkę sowieckiego sincloga Żelochowcowa Kulturowa rewolucja s blizkiego resstojanija - Zapiski oczewidca. Dość niezwykły wyczyn, który mnie osobiście przysporzył w czytaniu sporo uciechy: opis chińskich "rewoltujących i karygodnych anomalii", dokonany wytrawną ręką sowieckiego poddanego, czyli nie oczewidca już, lecz uczestnika i ofiary identycznych "anomalii" ojczystych; prawie pamflet antysowiecki w dozwolonym, a nawet zalecanym lub zleconym, przebraniu pamfletu antymaoistowskiego. Pozostanie sekretem autora, czy wykorzystał świadomie znakomitą sposobność rozliczenia się w masce z ustrojem własnego kraju, czy też nie zdawał sobie po prostu sprawy, że jego książka parafrazuje okrzyk Gogola: "Kogo obsmarowujecie? Semych siebie, semych siebie!". Takie płała figle "ideologiczny" spór w rodzinie.

Oczewidcem, śledzącym "na bliski dystans" chińską rewolucję kulturalną, jest również sinolog Simon Leys /prawdziwe nazwisko: Pierre Ryckmans/ w książce *Ombres Chinoises*. Wyszła i przeszła bez większego echa we Francji w roku 1974, od jakiegoś czasu ma szalone powodzenie w Stanach Zjednoczonych i w Anglii jako *Chinese Shadows*. Mary McCarthy nazywa ją "arcydziełem", "klejnotem", "klaszykiem" w najlepszej tradycji pamfletowej Woltera i Monteskiusza. Jest pamfletem, Leys podkreśla to z naciskiem, prezentując ją od razu na wstępie fragmentem eseju Orwella: "Pamflet winien się stać główną formą literacką wieku takiego jak nasz; żyjemy w czasach gwałtownych namiętności politycznych, kanały swobodnego wyrażania zanikają, zorganizowane kłamstwo, prosperuje na skalę nigdy dotąd niespotykaną; pamflet służy idealnie do zatykania dziur historii". Orwell zresztą, naturalnie Orwell z roku 1984, patronuje całym Chińskim ceniom. W pewnej chwili sinolog belgijski wyznaje to wprost: "Odczytując na nowo Rok 1984, napisany przed powstaniem Chińskiej Republiki Ludowej, wpada się w oszupienie na widok jego niesemowitych właściwości profetycznych. Pisarzowi angielskiemu nie śniło się jeszcze o Chinach Mac, a przecież potrafił je opisać aż do konkretnych szczegółów życia codziennego /podkreślenie Leys'a/ z większą wiernością i dokładnością, niż dzisiejsi badacze przedstawiający nam tak zwaną realną prawdę po powrocie z Pekinu".

To co opowiada para sinologów, sowiecki i belgijski, pokrywa się w zasadzie, chociaż Leys przewyższa o głowę swego kolegę z Moskwy inteligencją, darem obserwacji, talentem literackim, subtelnością i dowcipem; i oczywiście gorącej nad nim umysłem do czysta wyprzątniętym z wszelkiego śmiecia marksistowsko-leninowskiego. Morał Chińskich cieni tkwi w końcowej, gorzkiej i melancholijnej, refleksji. Przez wiele lat modne było w pewnych kręgach liberalnej inteligencji życzenie usposobionych do nacizmu /należał do nich sam Leys/ cytowania, à propos Chińskiej Republiki Ludowej, słynnej "złotej myśli" Samuela Johnsona: "Jeśli nadzucie przybierze ogromne rozmiary, sama natura powstanie zbuntowana i, domagając się swych pierwotnych praw, poweli zgnić system polityczny". Ale jak /pyta Leys/ ta "złota myśl" osiemnastowiecznego mędrca, który w dziedzinie zgnilizny politycznej znał tylko wybryki reżymów absolutystycznych, miałyby być zastosowana do współczesnego fenomenu państwa totalitarnego bez precedensu w historii?

Dwudziestowieczny pamflet musi być dziełem dwudziestowiecznego mędrca: takiego jak Orwell, który widział terazniejakość i patrzył w przyszłość bez przymrużenia oczu, a mądrość swego osiemnastowiecznego poprzednika i rodaka żegnał z bólem i z wątłą, niedopaloną i upartą, resztką nadziei.

Urbino, 8 lutego

Wczoraj rano wjchaliśmy do Toskanii nasłonecznionej, zielonkowej, pożącannej. Może tylko w Toskanii i Umbrii odpada przegroda między przyrodą i działem rąk ludzkich. Wszystko jest jedną integralną całością: architektura nie częścią krajobrazu, lecz jego wiernym odbiciem; malarstwo dalszym ciągiem świata zewnętrznego, albo na odwrót; życie, w małych zwłaszcza miastach, pęgiem rytmu natury. Żadnej przerwy, żadnego progu i "wyjścia poza". Złoto w obrazach Beato Angelico? Zgarnięte szpachlą ze wzgórz i pól, przeniesione na płótno, na mur.

W Kortonie, na granicy Toskanii i Umbrii, był sobotni targ. I od razu, na ciasnym rynku pełnym straganów, weszliśmy w skomponowany obraz; jak wchodzi się w sen nie całkiem rozbudzonego człowieka. Chłubą malej galerii między rynkiem i kościołem jest Zwiastowanie Beato Angelico. Biecnny Vasari, bardzo na ogół elokwentny w pochwałach, nie znajduje słów na wyrażenie swego zachwytu dla bracijszka z Fiesole. "Malował tak pięknie, że niepodobna tego opisać czy opowiedzieć". "Jego figury naprawdę należą do raju i nie można im się dość nadziwić". A jednak i ten malarski śpiew anielski należy do Toekanii. Tak samo jak Złożenia do grobu, które wymalował kortoński miaztr Luca Signorelli. Ze szczytu wzgorza, tuż obok galerii, rozciąga się widok na okolicę. I mając oczy pełne jeszcze Zwiastowania i Złożenia do grobu, wędruje się od złoczeń horyzontu do cmentarza na dnie doliny, tak położonego by mogli go zewsząd i często oglądać mieszkańcy Kortony.

Potem do Urbino, z postojem w Arezzo. Gdzieś pewnie droga przecina szlaki, którymi dziesięcioletni chłopiec prowadził starego i oślepięgo już Pierro della Francesca. Przeskok z Toekanii do Marche oznacza natychmiastową zmianę pejzażu: znikają pałnia, bogactwo, przejrzystość; pustożaje nagle i ciemnieje. Przed Urbino droga zaczyna się widać i pięć pod górę ostrymi zakosami na jałowym zboczu, trwa to długo, jakby rozkołysana spirala obsuwała się wciąż ze zbocza, a cel podróży oddalał się zamiast przybliżyć. Gdy wreszcie wylenia się niespodzianie ogromny Zamek obrośnięty domami, ma w sobie coś z bajkowego zjawiska, gotowego za pierwszym zakłębieniem czarodziejskim rozchwiać się i rozplynać wolno w powietrzu.

Łoko głównej bramy, jednej z wielu, wmurowano tablicę dla upamiętnienia wizyty Montsigne'a w Urbino: w dniu jego przyjazdu odbywał się sobotni targ; uderzyły go strone ulice wchodowo-wychodowe. Gdyby miasto otoczone było fosą, każda z nich kończyłaby się mostem zwodzonym. Twierdza wielkiego mecenatu kulturalnego zachowała charakter zamknięty jeszcze i dzisiaj, leżąc szczęśliwie na uboczu utartych tras turystycznych. Odczuwa się to szczególnie po zapadnięciu zmroku. W odciętym od świata Urbino spaceruje się jak pod zakopconym kłosem. Na słabo oświetlonych ulicach, w kamiennych kioskach zaułków, niełatwo odczytać znaki świetlnej przeziłości: tu urodził się Rafael, tu pobierał pierwsze nauki malarskie od ojca, zsnim Perugino przyjął go do swojej pracowni; tu, w gospodzie "Pod Gwiazdą", mieszkał pod koniec życia cały rok Paolo Uccello, zajęty malowniem dla Urbino Legendy o sprofanowanej Hostii.

Nad miastem unosi się duch księcia Urbino, Federico da Montefeltro określanego jednym słowem Duca, w czerwieni i o krogulczym nosie z cudownego portretu Pjera. W jego Palazzo Ducale, wyciębionym i pustym, perły Urbino do których się pielgrzymuje i nigdy nie przeetśnie pielgrzymować. Biczowanie Pjera, najwapanielsza wizja obojętności świata. Spokojna, niemal geometrycznie lodowata, tragiczna bez cienia afektacji. Obok tegoż Pjera smutna Madonna z Senigallii, ze smutnymi aniołami po blokach /wariant Brzemiennej Madonny w kaplicy cmentarnej w Monterchi/, z dziecikiem o twarzy małego starca. O nią, milczący, zamyślony, surowy malarz z Borgo San Sepolcro pod Arezzo to nie brat anielskiego Bracijszka z Fiesole! Właściwym dla Pjera sąsiedztwem jest obraz palenia Żydów w Legendzie Uccella.

Pogasy już chyba latarnie, z okna hotelu nie widać nawet murów po drugiej stronie ulicy, blyszczą tylko na czarnym niebie przymknięte oko. księżyc. Urbino po Toskanii, w ciągu dwóch dni podróż na antypody.

/Biczowanie, Madonny z Senigallii i portret Rafała Niema wykradziono kilka lat temu. Po odnalezieniu są dziś odgrożdzone do widzów takim samym szkłem pancernym, jak Pietà Michała Anioła u Świętego Piotra/.

Neapol, 17 lutego

Z listu do L., który przed tygodniem przyjechał z Warszawy do Stanów Zjednoczonych na miesięczne stypendium:

"Pytasz czy zmienięm mój stosunek do włoskiego "eurokomunizmu" w związku z ujawnieniem grudniowej epistoły-reprimendy towarzyszy sowieckich do włoskich, którym dostało się za popieranie sił antysocjalistycznych i kontrrewolucyjnych w PRL; dziś, po przejrzaniu prasy, mógłbyś dodać: i w związku z repliką Berlinguera, podtrzymującego swoje stanowisko w imię zasady, że nie jedna tylko sowiecka droga prowadzi do eocjalizmu.

"Nie zmienięm jeszcze, ale gotów jestem zmienić po spełnieniu podstawowego warunku: zerwania komunistów włoskich z Moskwą, bądź anatemy rzuconej przez Breżniewa na Berlinguera. Zawsze uważałem ten warunek za sine qua non. Roztrząśnij tu trochę całą aferę. Kto spowodował "przecież" poufnego dokumentu partyjnego? Sensowne domysły są dwa, ale mają wspólny korzeń: Moskwa, aby dź gnąć ostrą prosowiecki odłam partii; ukryci poplecznicy Moskwy w kierownictwie partii, aby postawić Berlinguera w trudnym położeniu wobec dółów partyjnych, w znacznej mierze prosowieckich." Całkowita emancypacja "eurokomunizmu" włoskiego, jego definitywna "schizma", jest zatem w praktyce problemem rozłam w partii. W Moskwie wieść o tym doznała, toteż nie wykluczam że ujawnienie dokumentu pomyślano jako szantaż albo co najmniej pogroźkę pod adresem Berlinguera /przy złożeniu - do pewności tu daleko! - że z przekonania, a nie z taktycznego wyrachowania na włoskim podwórku politycznym, poparł "socjalistyczną odnowę" w Polsce/. O wiele bardziej niż nadwątlony model "eocjalizmu realnego" marki sowieckiej, istotny jest dla wazyskich komunistów włoskich obraz partii, jaki zostawił im w spadku Gramsci: "nowoczesnego Księcia" /staroświeckim był ten Mach vellego/, który "w sumieniach winien zająć miejsce imperatywu kategorycznego lub bóstwa".

"Tak czy owak, sowieckiej interwencji zbrojnej w Polsce nie powetrujemy;by groźne pomruki ostrzegawcze Keagana, a cóż dopiero neburmuszona mina Berlinguera. hamulec jest nadal sama Polska. W następnym liście napisz o tym, darujmy sobie chwilowo marginalne utarczki między towarzyszami sowieckimi i włoskimi".

28 lutego

List L. z 22 lutego

"Piszę do Ciebie na lotnisku nowojorskim, za godzinę odlatając przedterminowo do Warszawy, wezwano mnie nagle bo pogorszył się etn K. Twój list przyszedł wczoraj, widzę że poprawiła się poczta włoska.

"więc krótko i pobieżnie, na więcej i lepiej mnie nie stać /zwłaszcza że obok niemiłosiernie wrzeszczy gromadka bachorów/. C Jsruzelskim wiem mało, ale w obecnej sytuacji ma to drugorzędne znaczenie. W tym tańcu władzy zachwiasnej od sierpniowego ciosu dawne esztywne wizerunki naszych wodzów stały się bardziej elastyczne i płynne: kania, na przykład, startował z niezbyt zachęcającymi referencjami z przeszłości, a przecież sytuacja z miesiąc narzuciła mu zmianę partyjnego tytułu; Moczar z kozackiego atamana, rozkochanego w

sławie mołocjeckiej pogromów, swansował /lub samozdegradował się, zależnie od punktu widzenia/ do roli umiarkowanego męża stanu, w dodatku niemal dżentelmena. Coś podobnego zapewne dotyczy Jaruzelskiego, o którym w ogóle wiedzieło się zawsze niewiele. W jego nominacji i programowej inauguracji widzę dwie zalety. Po pierwsze, taki trzymiesięczny rozejm jest konieczny: obie strony, władza i "Solidarność" /jako rzecznik społeczeństwa/, zaczęły ostatnio robić wrażenie ścigających się samochodów, których kierowcy w miarę rosnącej szybkości tracą panowanie nad kierownicą; "Solidarność" musi uporządkować i okopać to co zdobyła, władza musi ugasić pożar we własnym domu publicznym i przemeblować jakoś to co jej zostało po ustępstwach /inaczej przestanie być stroną/, wstępnym bilensem zysków po jednej stronie i strat po drugiej będzie zjazd partii. Po drugie, i co może ważniejsze, nominacja Jaruzelskiego oznacza wciągnięcie wojska do wykonywania "umowy społecznej" na drodze wyłącznie politycznej, a im więcej wciąga się w taki układ członków władzy, tym mniej pozostaje luzu dla ewentualnych zwolenników interwencji wewnętrznej. Jaruzelski złoży w końcu broń polityczną, czyli ustąpi albo ustąpią go z urzędu premiera, potem dość utrudnione będzie dla niego sięgnięcie po wojskową. Być może, wolno sobie wyobrazić, że w oczach Moskwy zakrawa to wszystko na jakąś powszechną polską znowę, że wywołuje tam ggrzytanie zębów i świerzbienie rąk w duchu nu wot, kowarnyje Polacziszki. Ale dopóki zgrzytają tylko bezsilne zęby i świerzbią tylko odruchowo ręce, piarędyszka /żeby znów użyć języka towarzyszy radzieckich/ ma szansę stać się czymś trwalszym, niż zwykłe zyskanie na czasie.

"Istnieje jednak i odwrotna strona medalu, należy ją sobie uprzytamniać w myśleniu o przyszłości. Jedność, którą społeczeństwo przeciwstawia dziś władzy, którą na władzę wywiera nacisk a nawet swoisty wpływ, wypuściła z butelki polskiego dżina nacjonalizmu, ducha Polske-katolika. Oby jutro zdołały odżyć tradycje i nurty innej takte Polski.

---

\*Dopieek z 1 marca. Ogłoszono wyniki "sondażu socjologicznego", przeprowadzonego na zlecenie Instytutu Cattaneo w Bolonii. 61% sekretarzy "eekcji" partyjnych uważa, że w ZSRR istnieje, mimo wszystko, eocjalizm. 31% uważa Wiosnę Praską za eksperyment niebezpieczny dla eocjalizmu. 28% usprawiedliwia inwazję Afganistanu. Cyfry wzrastają w odniesieniu do zwykłych członków partii. 79% uważa ZSRR za kraj socjalistyczny. 68% cenia negatywnie Wiosnę Praską.

KULTURA 6/1981

DZIENNIK PISANY NOCĄ - Gustaw Herling-Grudziński

Neapol, 7 kwietnia 1981

W poczcie zeległej po "lafickim miesiącu", list, który warto opisać do dziennika, wykopkując tylko to co w nim mniej istotne lub znamienne.

"Szanowny Panie, zobaczyłam adres Pański w Kulturze i nasunął mi się oczywisty wniosek, że należy spróbować napisać list. Chciałabym przede wszystkim podziękować za te książki, które dopiero za granicą miałem okazję przeczytać. Jestem tutaj po to, aby uczyć się prawdziwej historii Polski, co na pozór jedynie wydaje się nonsensem. No właśnie... Myślę cały czas o Innym Świecie. Ta książka to był dla mnie szok. Naprawdę. Ale myślę, że szok potrzebny... Aby zrozumieć Pan tę historię mojego szoku /to nie egzaltacja, proszę mi wierzyć/, muszę spróbować opisać troszeczkę moje życie. Otóż jestem z rocznika 1959, a więc grubo po wojnie. Przyjeżdż ze Związkiem Radzieckim i te wszystkie bzdury, o których nie mogę teraz pisać bez irytacji dla mojej naiwności, były dla mnie czymś oczywistym i przyjemnym: w okresie dzieciństwa listy do pionierów radzieckich, obozy międzynarodowe, 1 Maja itp. Później, w liceum, tak jak wszyscy demonstracyjni nie uczyłam się języka rosyjskiego /posiadanie "czwórki" albo - co gorsza - "piątki" było bardzo niemile widziane przez społeczność klasową/, zrywałam Lenina z gazetki ściennej i tym podobne głupstwa. Jednocześnie wszyscy nasiąknęliśmy intuicyjną nienawiścią do ZSRR. Piszę "intuicyjną", bo przecież skąd mieliśmy się dowiedzieć prawdy? Podręczniki tego nie mówią, a starsi, nawet jeżeli wiedzą, też milczą. Boją się...? Na nieuczęście dla "czynników oficjalnych", czyli dla naszej pani z historii, historia współczesna przewidziana jest w programie szkolnym dopiero w IV klasie. Czyli w wieku 18-19 lat. To może nie jest dużo, ale niektóre zupełnie oczywiste fakty można już pokochać... Wiedziałam o różnych rzeczach trochę i moim zadaniem na zgranie było dowiedzieć się więcej. To co przeczytałam przeszło moje najgorsze oczekiwania - zresz, w pierwszych miesiącach pobytu, te książki: Pan, Sołżenicyn, Czapski, Orwell. Moje nienawiść zyskała realne podstawy. Po przeczytaniu Innego Świata napisałam sobie: "Nic z tej książki nie da się opisać, bo słów nie starcza. Trzeba przeczytać... i co? Nigdy nie zapomnieć i nigdy nie przebaczyć". Nie wiem czy to dobre credo, ale cały czas tak myślę. I jeszcze, że trzeba robić wszystko, żeby przeczytali tę książkę moi rówieśnicy, moi przyjaciele... W mieście mojego obecnego pobytu często widuję na murach rysunki, w których znak równania figuruje między swastyką oraz sierpem i młotem. Na początku myślałem, że to jednak przesada. Teraz tak nie sądzę... Przepraszam, że ten list nie jest bardzo eklatny, ale bardzo chciałam go napisać".

x

Cieszyłbym się, gdyby list mojej dwudziestoletniej korespondentki przeczytał Stefan Bratkowski, który w wielkim programowym artykule na łamach Życia Warszawy pisze: "Jest w naszej wspólnej /podkreślenie - S.B./ historii wiele spraw do wyjaśnienia. Ale do wyjaśnienia, nie do kampanii nienawiści.

Nie możemy z najbliższym sąsiadem, z kolejnymi jego pokoleniami, układać swych stosunków na płaszczyźnie win i dramatów sprzed czterdziestu lat. Ani zakładać żadnych interesów, rozpamiętując w sobie resentymenty strachu i niechęci. To do niczego nie prowadzi. Nie będziemy żyli w niczym innym sąsiedztwie, choćby niektórym z nas wydawało się, że mieszkamy na Madagaskarze".

Cieszyłbym się również, gdyby ze szczególną uwagą przeczytał fragment mojej przedmowy do *Innego Świata* w krajowym wydaniu MOW-iej: "Falę rosyjskich opisów Gulagu wyprzedziła znacznie polska, dlatego po prostu, że poza granicami ZSRR i zasięgiem policji totalitarnej dawać nam było wcześniej dorwać się do piór. Przy takich czy innych różnicach doświadczeń, akcentów i naturalnie talentów nasz obraz "cywilizacji więzienniczej" był podobny. L. odłączna część składowa komunizmu, jak klatki i komory gazowe stanowiły nieodłączną część składową hitleryzmu. Chciałbym bardzo, żeby czytelnicy krajowego wydania *Innego Świata* tak właśnie go odczytali, nie nasłuchując w nim za dużo echa "specyficznego rosyjskiego", mimo że patronują mu z oddali Zapiski z martwego domu Dostojewskiego. Nie wierzę w absolutnie niezmiennie "przedyspozycje narodowe", wierzę natomiast w działanie historii i w zdolność ludzi do jej kształtowania, przynajmniej w pewnych granicach. W roku 1963, niezajutrz po ukazaniu się opowieści Sołżenicyna w miesięczniku Twardowskiego, napisałem szkic Jegor i Iwan Denisowicz, w którym sołżenicynowski bohater wystąpił jako bliski powinowaty bohatera jednego z rozdziałów książki Czechowa o Sachalinie. Ostatnio ten szkic przedrukowano po rosyjsku w numerze Kontynentu poświęconym Sołżenicynowi. Słyszę, że Sołżenicyn poczuł się koligacją dotknięty, dopatrując się w niej aluzji do "wiecznego rabstwa" rosyjskiego, może w duchu słynnego eseju Fielinkowa Strana rabow, strana gospođ. Nie ostrzegłem jednak w moim szkicu jego motywu przewodniego, sparafrazowanego lekko okrzyku Marksa: "Jakże nędzny jest ustrój, który dla swej obrony musi się odwoływać do kasta!". Tyle byłym rosyjskim i nie rosyjskim marksistom zoetało; i winno na zawsze zostać, z Marksa w obliczu ustroju opartego na jego naukach. Obsesja /jak ją nazwał Iwazekiewicz/ - szlachetna obsesja! - "archipelagu", "innego świata", "nie ludzkiej ziemi", łączy wielkiego pisarza rosyjskiego, polskiego autora niniejszej książki i tysiące Rosjan, Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Żydów, na przekór upartym stereotypom narodowym".

Co są "liczne sprawy co wyjaśnienia w naszej wspólnej historii". Jestem, jak Bratkowski, za ich wyjaśnieniem /co, rzecz prosta, oznacza ich uprzednie ujawnienie/ zamiast "kampanii nienawiści". Spk w tym, że przeciw są władcy naszych krajów, po obu stronach "naszej wspólnej historii" /podobno Chruszczow zaoferował "omówce odsłonięcie prawdy o Katinii na rachunek "kultu jednostki", ale spotkał się z jego stanowczą odmową/. Skazani, po obu stronach "naszej wspólnej historii", na życie przeszłością zafałszowaną i al. putowaną, nie powinniśmy się dziwić uczuciom wyrażonym w liście mojej młodej korespondentki z kraju: uczuciom nienawiści "intuicyjnej" aż do chwili zdobycia "realności /lecz zatajonych/ podstęp", uczuciom które streszcza credo "niegdy nie zapomnieć i nigdy nie przebaczyć". Zatajenie podstępca nienawiści, rozpamiętanie ją do słów "nigdy nie przebaczyć". Lepiej więc w Warszawie dążyć w miarę sił do zmiany tego stanu rzeczy, niż dość lekką ręką odsuwać na bok "winy i dramaty sprzed czterdziestu lat". Właśnie w imię, i w dobre rozumianym interesie, owego "sąsiedztwa"; w imię faktu

że "nie mieszkamy przecież na Koołgaskarze".

W Bibliotece Kultury moja książka ukazała się z krótkim wstępem wydawcy. Są w nim słowa, która przeczyta może, e których nigdy także nie powinna zapomnieć, moje młoda korespondentka: "Nie da się widm przeszłości węż rzyznować milczeniem. Jeżeli cokolwiek może zbliżyć Polaków do Rosjan, to mówienie na głos o krzywdach i świadomość wspólnego cierpienia. Wspólne cierpienie, cierpienie wszystkich więźniów stalinowskiego imperium koncentracyjnego, tkwi u źródeł Innego Świata. Ze wspólnego cierpienia powstaje wspólna nadzieja".

13 kwietnia

To co się w Polsce dzieje od sierpnia ubiegłego roku określane jest najczęściej słowem "odnow". Definicje ma charakter swistego kompromisu semantycznego, który poręcza tzw. dobrą wolę społeczeństwa i władzy w poszukiwaniu kompromisu politycznego. Ale jest to definicje nieścisłe: jak zwykle bywa ze słowami, które sterają się dogodzić wszystkim i usiłują spikować lub zamezać ostre kany sytuacji, więcej zażeniania niż odkrywa. "Ormułę dokładnie przylegającą do Polskiego Sierpnia trzeba zapożyczyć od wytrawnego znawcy przedmiotu. "Rządzący zdeją sobie sprawę, że nie mogą dalej rządzić starymi metodami, rządzeni nie chcą już dopuścić, by rządzono nimi dalej starymi metodami". Tak Lenin określił niegdys sytuację rewolucyjną. "Odnowa" zaspokaja bardziej, w kompromisie semantycznym, potrzeby władzy. Z przymiotnikiem "socjalistyczna". I z przestrogą zewartą w maksymie Tocqueville'a: Le moment le plus dangereux pour mauvais gouvernement, c'est lorsqu'il commence à s'amender.

Pierwszy etap polskiej sytuacji rewolucyjnej rozwinął się i zamknął w pewnej mierze pod znakiem "charyzmy" Wałęsy, który w wywiadzie udzielonym na początku marca Orianie Pałlaci część swojej "charyzmy" przypisał uczciwie "decydującemu poparci" kardynała Wyszyńskiego. Wywiad - kto, wie czy nie dzięki rozmaitym "przegadaniom" i szarżom w psychologicznym rozluźnieniu szczerości - jest ciekawy i pouczający. Do "charyzmy" należą zdania: "Nie wiem, czy jestem przywódcą, ale gdy tłum milczy, rozumiem co chciałby powiedzieć i sem to mówię"; "umiem kontrolować gniew ludu". Do istoty

polskiej sytuacji rewolucyjnej zdania: "Polska po sierpniu 1980 nie będzie nigdy więcej take jak była, nigdy więcej"; "chcieli byśmy się bali karabinów i czołgów, a my się ich nie boimy"; "wielkie imperia upadały w dziejach ludzkości". Prawda: od rewolucji 1917 roku nie było w historii komunizmu wypadków równie doniosłych i brzemiennych w skutki, jak Polski Sierpień. Prawda też: jesteśmy, być może, świadkami początku końca imperium sowieckiego.

U progu drugiego etapu powstają problemy przerastające "charyzmę", co Wałęsa zdeje się przeczuwać w epilogu rozmowy z dziennikarką włoską. Problemy "samoograniczającej się rewolucji", jak je nazywa Jadwiga Staniezkis "Samoograniczającej się", bo ruch związkowy, niesłychanie radykalny na początku, zaczął szybko pod presją sytuacji zewnętrznej poszukiwać formuł jeszcze możliwaj do zaakceptowania przez władze". Mimo wszystko i wciąż rewolucji, bo ani nie można zahamować "impetu dołów", ani nie wolno rezygnować z "rosnącego radykalizmu i szybko postępującej polityzacji mas robotniczych".



Dla pełnego obrazu /do czego, poza takim obrazem, mogą aspirować w moim dzienniku?/ mająry artykuł Kazimierza Dzielanowskiego w pierwszym numerze Tygodnika Solidarność. Mowa w nim o niezmiernie ważnym przedziele pokoleniowym w polskiej rewolucji sierpniowej. Z roczników starszych i średnich "wywodzą się ludzie o postawie uprzejmie mediacyjnej, ostrożnej, nieraz oznaczonej brakiem wiary w własne siły". Młodzi "nie przeżyli już wielkiego strachu i ostatecznej rozpaczki... Starsi do niedawna patrzyli na nich z pobłażaniem, nawet z lekceważeniem. Ale niesłusznie - ci młodzi wż nie są ludźmi normalnymi; nienormalnymi zaś są ci, którzy widzieli klęskę". Głównym naszym kapitałem jest ta całkowita normalność rewolucyjna, a nie póź- czy ćwierćnormalność "odnowy".

15 kwietnia

Normalność, nienormalność. Zachód, przy całej sympatii do rewolucji polskiej, uważa ją w głębi ducha /czasem nawet nie za bardzo w głębi/ za nienormalną, jak w enegdocie o człowieku, który po raz pierwszy w życiu zobaczył żyrafę i mruczy pod nosem kręcą-niedowierzającą głową: "Nie, nie, takiego zwierzęcia nie ma". Skoro nie ma, skoro jest majakiem albo niezwykłym wybrykiem natury, to albo ze chwilę zniknie albo sama natura zgotuje mu nagłą śmierć aby znowu zapanowały jej zwykłe prawa. Ciągłe krakanie prasy zachodniej o nadchodzącej już już inwazji ośmiela pośrednio "naturę" do restytucji "naturalnego porządku", owych "praw". Do jałtańskich chorób Zachodu /uleczalnych? nieuleczalnych?/ należy również atrofia wyobraźni.

Wyjątkowość rewolucji polskiej polega na tym, że jest bezkrwawa. Nienormalność rzeczywista na tym, że musi dbać o ocalenie monopartii przeciw której wybuchła. Jak jedynowładcom narzucić - nie kwestionując nominalnie ich jedynowładztwa-faktyczną dwu- czy trójwładzę? Jak podzielić się władzą ze stróżami i wykonawcami władzy niepodzielnej? Podkreślając i wykszując bezustannie, na każdym roku, że nie istnieje żadna inna alternatywa; z wyjątkiem najgorszej, które niczego nie zakłóci i niczego jedynowładcom nie przywróci prócz bata wciążętego im do rąk przez najeźdźcę w obliczu powszechnego oporu narodowego i społecznego. Pytanie, czy dostatecznie dobrze rozumie to sam potencjalny najeźdźca; i czy potrafi przejść do bardziej wyrafinowanych, subtelných form obrony swego zagrożonego, imperialnego stanu posiadania. Wczoraj w Rzymie poeta rosyjski E. powiedział mi, że byłoby ono "dla nas wszystkich niebezpieczniejsze". Co do mnie, wolę to ryzyko od czekania na generalny krach systemu i gwałtowny rozpad imperium.

19 kwietnia

Podczas jednej z sesji literackich Biennale del dissenso w Wenecji, w grudniu 1977, znany germanista czeski Edward Goldstücker poprosił o głos w sprawie nie związanej bezpośrednio z tematem obrad. Jego dnia przypada rocznica egzekucji Slaneky'ego i towarzyszy i rozsypania ich spopielenych reaztek na pustym polu pod Pragą, wezwał więc obecnych do uczczenia minutą milczenia ich pamięci. Obecni spojrzeli po sobie, zapadło milczenie, ale zakłopotane /zeby użyć eufemizmu/. Tylko te i takie ofiary terroru, nawet w śmierci "równiejsze od innych"... Na szczęście przewodniczący zarządził przerwę, w powietrzu wisieła groźba ekeplozji "sprzeczności wewnętrznych" dissenso.

Goldstücker, komunista od wczesnej młodości, spędził wojnę w Anglii, po wojnie odkomenderowano go w Pradze do służby dyplomatycznej, ambasadorował w kilku stolicach, aresztowano go i automatycznie wyrzucono z partii w roku 1951 za "udział w spisku syjonistycznym", skazano na dożywocie, przesiedział cztery lata, potem wrócił do swojej germanistyki, w roku 1963 był animatorem "rehabilitacji" Kafki "wykłętego" w "socjalistycznej" Czechosłowacji, w okresie Wicary Praskiej został członkiem KC, rektorem Uniwersytetu Karola i prezesem Związku Pisarzy, po inwazji uciekł z kraju, obecnie wykłada w Anglii. Wszystko to opowiada dziennikarzowi włoskiej Unità w książce-czce-sповідzi Da Praga a Danzica. Wszystko to także, nie przestawę być ani na chwilę komunistą /i nie przestając nim być nadal./. Gdy go w roku 1955 zwolniono z więzienia, pierwsze kroki skierował do Komitetu Centralnego, gdzie go przyjął czeski ubek, b. organizator "nielegalnych procesów". Trochę pogadeli, trochę pożertowali i pęsmiali się na wspomnienie minionych dziejów, po czym ubek oznajmił mu, że jeśli chce wrócić do partii musi zapłacić zaległe składki. Ponieważ nie miał jeszcze pieniędzy, ustalili praskim targiem symboliczną koronę za każdy odsiedziany miesiąc, z zaliczeniem lat za kretami do rejestru wysługi partyjnej. Czy był to trybut złożony "nowej socjalistycznej alienacji" przez protektora Kafki, czy po prostu dowód komunistycznej zdiocenia /nazywanego w książeczce "wiarą"/, jest dylematem, którym niech się zajmą badacze "zniewolonego umysłu" /jeżeli tacy wciąż jeszcze istnieją/.

Dla mnie ciekawszy jest pomysł książeczki, czyli spojrzenie na Pragę z perspektywy Gdańska. W momencie jej przygotowywania do druku, we wrześniu zeszłego roku Goldstücker na wielki plus partii zapisuje uniknięcia "ogromnego niebezpieczeństwa", mianowicie stłumienie w zarodku spontanicznego, przybierającego z dnia na dzień na sile hasła robotniczego "twórzmy związki zawodowe bez komunistów". Natomiast Dubczek i towarzysze popaźnili, według niego, trzy kardynalne błędy: nie ostrzegali od początku ZSRR i pozostałych krajów "bloku", że nie będą tolerować żadnej ingerencji w wewnętrzne sprawy Czechosłowacji; dopuścili do ogłoszenia manifestu Dwa Tysiące Słów; pobłażliwie potraktowali projekt odbudowy czeskiej partii socjaldemokratycznej. Kiedy zaś w oczach ZSRR przeobraziła się wreszcie mianowicie, kiedy ich po inwazji /bez wystrachu/ odstawiono skutoychn do Moskwy, nie powinni byli godzić się na pertraktacje i podpisanie układu kapitulacyjnego. Jest się ten melanż układa w profesorskiej głowie o "ludzkiej twarzy", jest dla mnie nie do pojęcia. Lepiej już pojmuję opis Zdenka Mlynara w La Nuit sur Prague, w którym 26 sierpnia 1968 na kremłowskim egzaminie profesor marksizmu-leninizmu Breźniew besza: rozdygotanego ucziaka Dubczeka za karagodnia mizerne postępy w nauce.

20 kwietnia

W pierwszą rocznicę śmierci Sartre'a piszący o niej nie ukrywają zdumienia i zaskoczenia: w ciągu roku został prawie całkowicie zapomniany, jak to możliwe, czy wytkumaczyć taką radykalną "desertryzację" po kilku dziesięcioleciach tronowania jednego z wielkich maitres-penser? Zdumiewające i zaskakujące było raczej jego dżugie, choć ostatnio przyćmione już buntami i oporami, tronowanie. Zachodziłkiem zawsze

w głowę, dlaczego okazałi go i nabożnie słuchali wyznawcy na Zachodzie, po co pętnikowali go niego pokornie adulatorzy ze Wschodu? Nawet tak mądry pisarz jak Gombrowicz krążył wokół niego bez przerwy w Dzienniku. Co prawda polemicznie, ale czy nie z przesecną wytrwałością? Nie widział, mógł doprewdy nie widzieć, jaki kolosalny hubbug intelektualny kryje się za błyskotliwym, sztukmistrzowskim piórem?

Do grobu doprowadziło Sartre'a 15 kwietnia 1980 piętnaście tysięcy osób. "zupelnej ciszy rozległ się nagle czyjś okrzyk: "Bóg, jak go nienawidzili!". Kto? Prewica? Musiel się przed laty doczrze natrudzić, by go w końcu wepchnięto z grupką demonstrantów ulicznych do furgonetki policyjnej. Lewica? W gorące mają paryskiego wygwizdali go studenci na Sorbonie. Dzisiaj układa się, ale zabawy, małe antologie jego periodycznych wlotów myślowych. Rok 1954: "W Związku Sowieckim panuje absolutna wolność, obywatel sowiecki poprawia stale swoje położenie w społeczeństwie stale postępującym naprzód". Rok 1955: "Byłem jak porażony pezną identycznością poglądom narodu chińskiego i jego klasy kierowniczej; nazywam go samostanowieniem mes". Rok 1956: "Błędem niewybaczalnym był raport Gruzuszcowa, gdyż szaleństwem jest publicznie oskarżanie postaci o cechach sakralnych".

Zostawił go sobie w spadku skrajną nieufność do "intelektualistów". Nie łąda dokonanie filozofa, dzierżącego tak długo berko maitre-à-penser.

23 kwietnia

Od dnia porwania Moro etanowczo, a wcześniej nie bez pewnych wahań, byłem zdania że współczesny terroryzm powstał z diabolicznej mikstury, którą podgrzeży w alembiku i doprowadziły do stanu wybuchowego "obce ambasady", według schematu conradowskiego Tajnego Agenta. Zarobiłem sobie tę opinią wśród włoskich przyjaciół i znajomych na miano pomyłki czy co najjuńniej maniake, któremu czerwień Czerwonych Brygad rzuciła się dodatkowo na mózg, przeżarty już od dawna urazem antykomunistycznym i antysowieckim. Kilka miesięcy temu na podobne schorzenie mózgu zapadł prezydent Pertini /wywołując święte oburzenie w Moskwie/, co moich włoskich przyjaciół i znajomych musiało jednak odrobinę zreflektować. Coś w tym jest, jeśli urzędujący prezydent republiki i emigracyjny przybłęda dochodzą do analogicznych wniosków: pierwszy czyta ściśle tajne raporty, drugi tylko książki i gazety, czyżby w obu źródłach wyczytać można było to samo? Lżiszej moja hipoteza stała się truizmem, też niemal urzędową /niemal, bo Pertini zastrzegł się, że przemawia o tytolo personalne/, irrację wiele ze swych dotychczasowego uroku "wariactwa".

książka dziennikarki amerykańskiej Claire Sterling The Terror Network, czytana też z przejęciem we włoszech, jest skrupulatnym udokumentowaniem schematu Tajnego Agenta. Dla odmiany interesuje mnie w niej inny składnik /choć jego istotność jest względna/ mikstury w terrorystycznym alembiku. Odtwarzając pierwotną strukturę terroryzmu włoskiego, z okresu założycielekiego, Claire Sterling twierdzi, że była ona wierną kopią modelu rosyjskiego, wymyślonego przez Nikołaja Iszutina w roku 1866. W wynalazku Iszutina działały dwa kręgi. Jawny, nazywany po prostu "Organizacją", zajmował się agitacją i propagandą w szkołach, księgarniach, stowarzyszeniach społecznych, kółkach inteligencji. Tajny koncentrował się wyłącznie na mordach, napedach, rabunkach, szantażach, porwanach. I nazywany był, też po prostu "Piekle". Wynalazca umarł obłąkany na Syberii. Biesy powstały w latach 1869-1870.

28 kwietnia

"U nas wsio w balszom massztabie, u nae wszystko na wielką ekale". Często eżyzosałem w ZSRR te ałowa, wypowiediane bądź z odcieniem dumy przez naózorców więziennych i obozowych bądź z odcieniem gorzkiej ironii przez więźniów. I rzeczywiciścia, zasada sprawda się na każdem odcinku. My mamy Małą Apokalipsę Konwickiego, oni Wielką Apokalipsę Zinowiewa. Gotoweliśmy się nabawić tzw. Miko, Minderwertigkeitekomplex, polskiego kompleksu niższości.

Wizję Wielkiej Apokalipsy sowieckiej roztacza Zinowiew w rozmowie z dziennikarzem francuskim. Otóż Zechód popeźnia "gigencyzny" bład. "Garetke uprzywilejowanych miazeby /według tego błędu/ trzynśc dziś w łapach, dzięki eystemowi policyjnemu, zrewoltowaną potajemnie masę. Oczywiście syetem policyjny trwa ciągle. Lecz Gułag jako instytucja jest w trakcie zanikania. I naród sowiecki nie ma najmniejszej ochoty buntować się przeciw ewym przywódcom". Rzecz de się wyjaśnić obrazowo, za pomocą "swego rodzaju dowodu". Brzmi on następująco: "Większość świni czuje się szczęśliwa. Biegają dokoła swego chlewu, przynosi im eię żarcie, tarzają się i taplają w błocie". Jak eię ta sztuka uświnienia i uszczęśliwienia narodu udeła przywódcom sowieckim? Jaka - pyta dziennikarz francuski Suffert - jeet ietota ich eiky? Nasza głupota? Ich ideologie? Ich potęga wojskowa? To też, ale przede wszystkim prewo entropii. Co tu ma do rzeczy entropia? Niech pan eię nie gorączkuje, drogi panie Suffert, niech pan posłucha: "Entropia pochodzi z praw Carnota i termodynamiki. Entropia jeet fundamentalnym prawem wezystkiego co istnieje: jeet schyłkiem, obniżeniem, przemieszczeniem, prochem. Słowem, jeet ostatnim stadium meterii. No i to stadium zerowe jeet, jeśli się tak można wyrazić, zdobywcze. Wszyetko to istnieje musi ed niego wyjść i do niego wrócić, rozpuścić eię w jego anonimacie. Myślę więc, że komunizm może się z powodzeniem etać ostatnim stadium ludzkiej historii, ponieważ odpowiaa prawu entropii; jeet, krótko mówiąc, punktem zerowym człowieka".

Trudno zaprzeczyć, że nasze rodzima, polska entropia jeet betką w porównaniu z sowiecką. W Wielkiej Apokalipse Zinowiewa chlewisko zbudowano w balszom massztabie, biegają dokoła niego ogromne knury i maciory, tarzają się i taplają w bezkresnym błocisku. W Małej Apokalipsie Konwickiego uganinają się po widmowej Warszawie przyezłości małe zadowolone polskie wieprzaczki, ryją się w poszukiwaniu żarcia w skromnym ojcystym chlewiku, tarzają się i taplają w płytym nadwiślańskim błotku, nie zwracając najmniejszej uwagi na gromadkę postrzelonych dwunożnych amatorów całopalenis. W rok po ukazaniu się powieści Konwickiego wybuchł Polski Sierpień. Dla Zinowiewa nie byłby to żaden "swego rodzaju dowód". Należy on bowiem do filozofów świećie przekonanych, że jeżeli rzeczywistowo nie daje eię dopasaować do skonstruwanego logicznie eystemu teoretycznego, tym gorzej dla niej.

Dziwny ten Zinowiew, Znakomity, gdy w Przepastnych wyżynach i w lepszej jeszcze Światlanej przyezłości opisuje konkretnych inteligentów moskiewskich z krwi /zatrutej/ i kości /przetrażonych/. Dobry nawet, gdy w studiach nie powieściowych analizuje zamkniętą strukturę władzy i biurokracji sowieckiej. Zadużany, zachłystujący eię własną "teorią naukową" komunizmu", urzeczony "śmiałymi rzutami czyetaj myśli",

gdy przychodzi mu coś powiedzieć o całej reszcie, czyli o wielomilionowym stadzie "szczęśliwych świri".  
Ksiądz Tischner słusznie zauważa: "Nie wiem, czy istnieje jakaś inna teoria społeczna oprócz marksistowskiej, która by tak dalece stępiała człowiekowi naturalny zmysł rzeczywistości". Okazuje się, że istnieje. Zakwita na gruzach marksizmu, jako jego podobaizna z odwrętnym znakiem.

KULTURA 10/1981

DZIENNIK PISANY NOCĄ - Gustaw Eerling Grudziński

Capri, 20 lipca 1981

W odległości kilku metrów od prostopadłego urwiska ściany skalnej, między ruinami bakuku Tyberiusza, Villa Jovis, i resztkami jego latarni morskiej Torre del Faro, urządzono prymitywną kwaterkę pod słomianym dachem z lampionami. Nie było jej, gdy przed laty zachodzikiem często na Monte Titelio podczas capryjskich wycieczek. Inną nowością jest giza Madonna del Soccorso na maszynym postumencie, obok starego łodziółka na samym szczycie imperatorskiej góry. Jej poprzedniczka była mniejsza i skromniejsza, formalnie nazywano ją również Matką Boską katowniczą, ale mieszkańcy wyspy mówili o niej między sobą żędniej Madonna dei Marini, Matka Boska Żeglarzy. Nowa, jak otwieszcza dumnie napis na postumencie, została pobłogosławiona przez Jana Pawła II i ustawiona na swoim miejscu przez helikopter US Navy. Kto pamięta bardzo kiedyś poczytne nowelki Guareschiego Don Camillo i Peppone, łatwo odgadnie jak do owej megestatycznej zmiany warty doszło. Była to prawdopodobnie odpowiedź capryjskiego kleru i demokracji chrześcijańskiej na wygraną w końcu przez capryjskich komunistów, długoletnią walkę o wmurowanie w skałę ogrodu na wyspie tablicy ku czci Lenina.

O "ideologicznym" pojedynku lokalnym myśli się tylko przelotnie i z rozbawionym uśmiechem, popijając białe wino capryjskie tuż koło ruin Wielkiej Historii, patrząc na mitologiczne Wyspy Syrenie w oddali, akusząc mierowe obywatelstwo podnóża skalnej ściany przez morskie fale. Przedwieczorny powiew, wzdęcie białego żagla powietrza, migotliwa gra światła nad łuską morza, mocny naraz zepoch drzew i kwiatów, cichy i suchy poświst ostów. Zamkają już szkielet imperatorskiego gniazda, paru spóźnionych turystów może jedynie przeczytać u wejścia niewinną prótkę tego, co o Władcy Świata pisali Tacyt i Swetoniusz. I dowiedzieć się, dla zachęty do jutrzejszej wizyty, od klucznika ruin że "tutaj Imperator zapoznał się z raportem gubernatora Judei o procesie i ukrzyżowaniu Pana Naszego Jezusa Chrystusa".

Klucznik reklamuje okoliczność uważaną przez historyków za pewną. Mniej jest pewne jak Tyberiusz zareagował na raport Poncjusza Pilata. Od Tertulliana wywodzi się tradycja Tyberiusze marazczącego brwi, zadrasnietego w swej skębości do mistycyzmu wschodnich wierzeń, stanowczego w zaleceniu aby na przyszłość okazywano tolerancję wyznawcom nowej religii. Tradycja portu, "lecz nie bardzo wiadomo czy w dobrej wierze korzysta z wystawionego Tyberiuszowi przez Tacyta i Swetoniusza patentu na antycznego markiza de Sede, czy też po prostu z biegiem stuleci upręwomocniła oszczerstwa Tacyta i Swetoniusza w imię współodpowiedzialności Imperatora

za wyrok wydarty z umyślonych rąk jego gubernatora. I kczec bo-  
wiew w tym, że według większości późniejszych historyków Ta-  
cyt i Swetoniusz namalowali oszczerczy portret Tyberiusza na Capri.  
A Capri, przez wieki i po dziś dzień jeszcze przed wszystkim  
wyspa Tyberiusza, zdawała się i zdaje wciąż i cować w tych  
oszczerstwach, ciągnąc z nich soki żywotne, zyski i dwuznaczn-  
ny splendor. Czym byłaby bez tajemniczych grót, mniej lub  
więcej lazurowych, bez podziemnych chodników, mrocznych pie-  
czar i wyrąbanych w skałe plaż, bez całego sponażu nocnych  
orgii, efebów i dziewcząt gwałconych i zabijanych na oktarzu  
rozpusty, bez "kuracji odmładzających" podszeptanych bos-  
kiemu starcowi na ucho przez jego przybocznego medyka Celsusa?

Spokojny, wyważony szkic o Tyberiuszu napisał Norman Dou-  
glas, autor powieści Północny wiatr oraz dwóch podręczniczo-  
erudytyjnych książek Kraj Syren i Stara Kalabria, świetny  
pisarz i archeolog amator, honorowy obywatel Capri, zmarły po  
półwieczu dobrowolnego wygnania na wyspie przy stoliku Piazz-  
zetty /podobno w stanie nietrzeźwym/. Jego Tyberiusz to "pra-  
wie obsesyjna pasja stronienia i tumultu życia, pociąg do  
samotności, do przebywania sam na sam z własnymi myślami i  
wyobrażonymi książkami". A równocześnie: geniusz wojskowy,  
mądrość polityczna, dar rządzenia, proste i surowe życie  
na Capri. Słowem, la vieille roche, jak go z francuska okreś-  
ła Douglas. "Stara skała" była jednak drżona od wewnątrz  
niechęcią do ludzi /zwłaszcza dobrze urodzonych/, goryczą  
i podejrzliwością, urazami z przeszłości, wstrętem do właś-  
nego drzewa geneologicznego /"jestem - mawiał - przodkiem sa-  
mego siebie"/. Warto też mieć na uwadze, że tacytowo-sweto-  
niuszowy Okrutnik i Szaleniec nie wymagał nigdy kultu swej  
imperatorskiej osoby i odpychał hołdy składane mu z tytułu  
boskości, a Mistrz Orgii /capryjskich/ nie znosił wszelkich  
igrzysk, zniemwidzony zresztą ze to przez lud rzymski /po-  
krzykiwano niekiedy w tłumie na jego widok: "Tyberiusz do  
Tybru!"/. I takiego Imperatora należy sobie wyobrazić, gdy  
w szóstym roku swej rezydencji na Capri, a na cztery lata  
przed śmiercią, czyta zamyślony w orlim gnieździe Villa  
Jovis raport Poncjusza Piłata. O wyspę, zaszczyconą poby-  
tem rzeźcy antycznego Króla Lire niż antycznego markiza  
de Sade, otarł się wówczas pierwszy wiatr ze wschodu.

Ale, jak się rzekło, obmowa Tacyta i Swetoniusza wzięła  
górnę. Na początku zeszłego stulecia urodziła swój romantycz-  
ny pomiot, "filozofię Lazurowej Groty", według trafnej  
definicji Douglasa. Odkrył rzekome Lazurową Grotę, jedną z  
domniemyanych melin orgiastycznych Tyberiusza, malarz nie-  
miecki Lopisch. I pociągnął! Na wyspę zwalili się tabuny złych  
malarzy, zbenkrutowanych poetów, wędrowców o smętnych obli-  
czu chorych na Weltschmerz i spragnionych faustowskiego elix-  
siru w powietrzu którym oddychał mefistofeliczny Imperator,  
rozmnóżyli się trupiobłede pejzaże-bohomazy smarowane przy  
"jasnym odbłasku księżycy", zakwitły smory z miejscowymi  
efebami i dziewczętami, capryjskim specjalem stała się uciecz-  
ka od świata w poetycznych dekoracjach i z ostrą przyprawą  
erotikonu na rozmaite modły. Pod koniec zeszłego stulecia  
szel romantyczny udrapował się w szaty dekadentyzmu, w stylu  
D'Annunzia. To już epoka Axela Munthe, z kakofoniczną ru-  
pieciarnią wszystkich stylów w jego willi San Michele, z  
czerwonym sfinksem egipskim, wyłowionym jakoby w tajemniczy  
sposób z dna morza, na strący skarbów przewidzianych czy far-  
bowanych, jakie przedsiębiorczemu lekarzowi szwedzkiemu uda-  
ło się wykopać, wydobyć, wyłowić i zgromadzić na wyspie w  
świątyni Wiecznego Lucha, Wiecznej Sztuki i Wiecznej Pogonii  
za Pełnią Życia.

Na początku obecnego stulecia otarł się o wyspę drugi wiatr ze wschodu. Villa Lehring, zwana także Casa Bossa, gościła przez jakiś czas brzemienneą w skutki szkołę. Jej pełna, długa nazwa brzmiała: "Szkoła techniki rewolucyjnej dla naukowego przygotowania propagandyistów socjalizmu rosyjskiego". Nie równikami byli najpierw Lenin i Gorkij, potem Lunaczerskij. Wykładowcami, naturalnie prócz samych kierowników: Bogdenow, Flechanow, Wiera Zesulicz, Aleksinskij, Łacyznikow. Nocą, w harmonii z fluidami wyspy, wesole rewolucyjna kompania oddawała się opiewom i picciu w pieczarze na plaży koło Pensione della Sirene. Ten właśnie wiatr ze wschodu upamiętnia świeżo wmurowana tablica z płaskorzeźbą w ogrodzie wyspy: A Lenin - Capri.

Wracając do miejsca, w którym wiaczorem popija się białe wino między ruinami Villa Jovis i ruinami Torre del Faro. Tyberiuszowska wieża była jednocześnie latarnią morską, "wekzującą - powiada poeta - żeglarzom drogę swym słodkim światłom, które w zewody idzie z księżycem", i centralą imperatorskiego przewodu sygnalizacyjnego do floty w Misenum i dalej do Rzymu. Runęła na kilka dni przed Śmiercią Tyberiusza, co od razu poczytywano za zły omen. Jej resztki były przez wiele wieków schronieniem i siedzibą kolejnych pustelników. Cetatni bodaj pus telnik zainteresował Conrada; i tym akcentem wypada zamknąć miniaturowy wizerunek miniaturowej wyspy.

Conrad przyjechał na Capri w styczniu 1905. Spędził tam cztery miesiące, nudząc się śmiertelnie i narzekając w listach na "deszcz, grad i grzmoty". Może dla rozrywki zaczął obmyślać powieść "której akcja rozgrywałaby się w Zatoce Neapolitańskiej, na Capri i w Sorrento", co jego zdaniem dawałoby książce a better chance of popularity. Zapłon pomysłu stanowiła informacja capryjskiego dziejopisza i archiwisty, że w roku 1808, w roku śdobycia Capri przez Francuzów, ówczesny pustelnik w Torre del Faro był szpiegiem Murata i sygnalizował mu szczyfrem świetlnym ruch wojsk Hudaona Lowe. Projekt Conrada nie wyszedł poza stadium pomysłu.

Neapol, 31 lipca

Natychmiast po zamachu na Jana Pawła II poproszono mnie w Giornale o komentarz. Pokożyłem w nim główny nacisk na cios, jakim zamach był dla Polaków; i wysunąłem hipotezę spisku, dając dość przejrzyście do zrozumienia gdzie i przez kogo został ukartowany i przygotowany. Komentarz wydrukowano bez skreśleń, ale nazajutrz redaktor naczelny odciał się w artykule wstępnym od hipotezy spisku, i to z ostrzeżeniem by nie ulegać pokuśom nowej i niebezpiecznej wiedzy tajemnej, którą we Włoszech ochrzczono ostatnio mianem diatologia. Jak to na polski przełożyć? Z grubaza sens włoskiego nowotworu oddawałaby sklecona na przedca "zakulieologia". Czyli szukanie "zakulisów, ukryte ręki reżysera, za plecami każdego terrorysty; choćby wszystko wekazywało, jak w wypadku owego tureckiego zamachowca, że mamy do czynienia z atakiem wściakłego psa uzbrojonego w pistolet.

No pięknie Upłynęło trochę czasu, zaczęły przeciekać do prasy z organów śledczych skąpe co prawda, lecz treściwe wiadomości o Turku z pianą na pysku: że, jakkolwiek "neonazista", z przekonania i afiliacji politycznych, spędził kilka miesięcy w Bułgarii, co dla posiadacza paszportu tureckiego nie jest rzeczą tak prostą; że jego dwaj towarzysze przekoczyli zaraz po zamachu z NRF do NRD; że pewien nie wymieniony z nazwiska Włoch, gotów stawić się na procesia w charak-

terze świadka, wiliżal go parokrotnie w Libii. Wolno więc było oczekiwać, że proces rzuci tzw. snop światła. Był żalostną komedią. Wszyscy - sędzia, prokurator, obrońca z urzędu - zachowywali się na nim tak, jakby szybko chcieli odrzucić możliwie najdalej i w możliwie nieokreślonym kierunku odbezpieczony granat. Rozprawa odbyła się błyskawicznie, "manieksa który popełnił zbrodnię głupią, niezrozumiałą, absurdalną" skazano na dożywocie. Skazaniec palną mową, oświadczył mianowicie trzęsąc się z oburzenia, że chce być sądzony przez poszkodowane i suwerennie przeciw Państwo Watykańskie, w przeciwnym zaś razie ogłosi 20 grudnia głodówkę. Ktoś odczytał w tym pogróżkę pod adresem architektów zamachu: jeżeli do tego czasu nie wydobędzicie mnie z więzienia... Odbicie z więzienia należy we Włoszech do rzadkości, ale sprawniejszy jeszcze jest tu mafijny system zatkania na zawsze gęby potencjalnemu gadule za krętami potrawą lub filiżanką kawy ze szczyptą trucizny.

A mój niezbyt fortunny, zdaniem redaktora Giornale, komentarz "dietrologiczny"? Jego pierwsza część nie wymaga z mojej strony dodatkowych wyjaśnień. Klempski, w swoim artykule o zmerłym Prymasie, bardzo słusznie podkreślił nie przypadkową chyba zbieżność w czasie /nawet co do dnia/ między zamachem na Wojtyłę i spodziewanym przez lekarzy zgonem Wyszyńskiego; nie musiał dodawać, czym takie, udane zgranie dwóch śmierci byłoby dla posierpniowej Polski. Odnosnie drugiej części, "zwraca mi honor" pośrednio sam Giornale w dziesiętym artykule swego watykańskiego korespondenta, zatytułowanym "Cień spiaku w. zamachu na Pepieża". Padają w nim bez obłonek inicjały reżysera: KGB; korespondent donosi, że "cień spiaku" nabiera w Watykanie z każdym dniem większej konsystencji na podstawie poufnych materiałów dostarczonych przez "wywiad jednego z państw zachodnich"; mowa dalej w artykule o irytacji i rozżaleniu, jakie za Spiżową Bramą wywołał płytki i galopujący proces tureckiego "manieksa"; przytacza się na zakończenie krótką, cierpką i nie zanadto zawołowaną wypowiedź prymasa Glempa w telewizji włoskiej.

"Zakulisologia" jest istotnie - i niestety! - wiedzą tajemną. Gdyby nią była w nieco mniejszym stopniu, trochę mniejszą efektywność posiadałaby może broń terroryzmu w rękach różnych reżyserów i współreżyserów. A wiedzą niebezpieczną jest dla tych, którzy niewiedzą wolą od "powikłań dyplomatycznych i handlowych". W pewnym sensie wszystko w nowoczesnym terroryzmie dzieje się za kulisami; sam strzelający nie wie najczęściej z czyjego naprawdę mandatu strzela, czyj naprawdę Mózg porusza jego palcem na cynglu.

Dragonea, 12 sierpnia

W toniku The Mortal Danger szkic Sołżenicyna o tym "jak fałszywe poglądy na Rosję narażają Amerykę na niebezpieczeństwo" wydrukowano z głosami jego amerykańskich krytyków /i jednego czeskiego, Loebela/ oraz z jego repliką końcową. Obie strony, Sołżenicyn i jego krytycy, popełniają dokładnie taki sam błąd, tj. że w dwóch odwrótnych kierunkach. Trochę, w interesie większej ostrości, upraszczając: dla Sołżenicyna za wszystko odpowiedzialny jest komunizm jako "międzynarodowy i uniwersalny fenomen historyczny", a nie "lokalny epizod rosyjski"; dla jego krytyków wszystko da się zwać na koniec historyczną i wyprowadzić "z tradycji rosyjskiej". Sołżenicyn za mało istotne uważa rosyjskie składniki reżymu sowieckiego, jego krytycy lekceważą składniki nowoczesnego totalitaryzmu /obecne jako "pokusa totalitarna" wszędzie/



w fundamentalnie rosyjskim reżymie sowieckich spakobierców caratu. Polemika jałowa i właściwie płućna, gdyby nie to, że za oba "przegięcia" trzeba słono płacić. Za "przegięcie" Sołżenicyna nieufnym stosunkiem do antykomunizmu rosyjskiego, za "przegięcie" jego krytyków koncepcją "normalnego" państwa rosyjskiego, z którym można rozsądnie negocjować i rozgrzać - czad "strefy wóływów", nie przywiązując nadmiernej wagi do zewnętrznej sowieckiej fasady totalitarnej.

Jeden z krytyków, Alexander Dailin, powiedział: "Punkt widzenia Sołżenicyna jest szczególny; jego własna prawda jest prawdą ofiary, prawda przenikającą jego poglądy i wartości, kształtującą jego apokaliptyczną wizję. Te cechy czynią zeń bohatera i proroka; nie ich potrzebę odczuwa się w analizie politycznej u mężów stanu". Wielki format Sołżenicyna, nawet zważywszy jego rosyjskie zesłanie - bzdzi niedowidzenia, polega właśnie na tym: jest ofiarą i prorokiem, posiada dość czego skromna choćby dawka /w formie ludzkiej wrażliwości i intuicji moralnej/ przydałaby się zachodnim "analizom politycznym", a zwłaszcza zachodnim "mężom stanu".

Jego słynna mowa harwardzka, drugi przedmiot rozważań i zgorszonych protestów na Zachodzie, była wystąpieniem Rosjanka, proroka i ich potęgę odczuwa się w analizie politycznej. Pokazał to i uwypostwił w wyśmienicie Wojciech Karpiński, którego Prorok /w książce W Central Parku, wydanej poza cenzurą przez Kłim/ jest najlepszym jakie dotąd napisano, najsprawniejszym, najgłębiej przemyślanym studium "Sołżenicyna w Vermont". Większość w nim motywów, przesłania, przesłuchanych na nowo /Bierdiajew, Dostojewski, Herzen/ krąży wokół bardzo wyraźnego środka: "Cierpienie uszlachetnia, formalizm prawny wyjątkowo - to twierdzenia Proroka, które wpisały w deterministyczną wizję historii kultury europejskiej, są mi obce. Stanowią odpowiedź na pytanie o przyczyny współczesnego kryzysu na Zachodzie. Kryzys w wielu dziedzinach nie budzi wątpliwości i został przez Proroka trafnie uchwycony. Ale wskazane przez niego drogi wyjścia? Podobne rozpoznanie sytuacji padało już nieraz. Wielokrotnie zapewne powróci. Można je ubrać w frazeologię lewicową, bądź prawicową. Ten nurt krytyki europejskiej świadomości prawnej doszedł do głosu wyjątkowo jasnowro w historii rosyjskiej myśli społecznej XIX wieku. Nie tylko tam. Również w polskim mesjanizmie. Również w niemieckiej myśli zachowawczej. Rosjanie dali jednak wzorzec tego rodzaju krytyki. Wynikało to z ich interpretacji własnego miejsca w Europie. Czasem uważali się za część tej kultury, część nieraz bardziej: "naturalną", bardziej "prowowierną", czasem widzieli w sobie przedstawicieli innej formacji. Europa była dla nich filozoficznym problemem".

Należy z Sołżenicynem dyskutować, toczyć z nim spory gwałtowne, ale tak jak to robi Karpiński. Myślę, że jest konieczne, aby dzisiaj Rosja i jej sowiecki totalitaryzm stały się dla Europy i w ogóle Zachodu problemem filozoficznym i moralnym, a nie tylko politycznym, wojskowym i gospodarczym.

17 sierpnia

W podarowanym mi wczoraj przez moich gości Polskim kazałcie dialogu księdza Tischnera /Editions Spotkania/ znajduję rozdział o Jania Strzeleckim, moim przedwojennym przyjacielu. Traf chciał, że kilka dni temu, grzebiąc w zdeponowanych tu starych papierzykach, natknąłem się na wydarty z Twórczości tekst Strzeleckiego Zapiski 1950-1953.

Rozdział księdza Tischnera nie jest może wzorem jasności /przy całej jego sympatii do Strzeleckiego/, ale i sam Janek

nie celował nigdy w jasności. Budził za to co wojny prawie zawsze, i prawie u wszystkich którzy mi o nim opowiadali, sympatię swoją czystością i prawością, swoim ogromnym optymizmem, swoim bezustannym zmaganiem się ze sobą, tak upartym i hamletycznym /co sympatię zebarwiało niekiedy domieszką zniecierpliwienia, że robił wrażenie człowieka organicznie już niezdolnego do wyplatania się z własnych zaciszków, ukłuwów, pokrętnych węzłów, pętli. Po wojnie zetknęliśmy się parę razy nagle, z obopólnym jak sądzę poczuciem, że coś w naszej dawnej młodzieńczej przyjaźni pękło i nie da się chyba naprawić.

Książę Tischner zalicza Strzeleckiego do "błędnych rycerzy budownictwa socjalistycznego", a kiedy indziej nazywa go "zawiedzionym socjalistą". W rozdziale mówi się często i gęsto o "ethosie socjalistycznym", z objaśnieniem że dla ludzi pokroju Strzeleckiego "socjalizm i marksizm zrodziły się jako wyraz buntu myślącego sumienia przeciwko sytuacji, w jakiej znalazł się w nowożytnym społeczeństwie ludzka praca i pracujący człowiek". Słowem "na początku był ethos, doktryny przyszły potem".

Czy istnieje "ethos socjalistyczny"? Istnieje i jest mi osobliwie bardzo bliski. Ciekawe jednak, że ilekroć o nim myślę i usiłuję go sobie na własny użytek dokładniej opisać, wiedną, usychając i odpadają szybko wazelki formuły, natomiast widzę go żywo poprzez konkretnych socjalistów /nie liczących, takich powiedzmy jak Orwell i Silone, albo na rodzimym gruncie Ciolkosz/. "Ethos socjalistyczny" był dla nich absolutną identyfikacją z krzywdzonymi, wyzyskiwanymi, poniżanymi, pozbawionymi godności i praw, pętanymi w życiu indywidualnym i zbiorowym. Posunąłbym się aż do hipotezy, że zachowałby u nich swoją pierwotną moc i nieskłonące ani na chwilę napięcie nawet gdyby nie "przyszły potem doktryny" /choć byli w "doktrynach" biegli/. Bo głównym, jeśli nie jedynym, jego impulsem i zarazem metrem była śledzona, badana i osądzana bez przerwy rzeczywistość dokoła. Prawdziwy "ethos socjalistyczny" w tym przypomina nieskażony ethos chrześcijański /co najjaskrawiej wystąpiło u Silonego/, że żadne "względy wyższe", żadne "racjonalizacje" w obrębie "doktryn" dopasowywanych do "wymogów historii" nie są w stanie zawiesić w nim sądu o bieżącej rzeczywistości i spontanicznego oporu wobec jej gwałtów.

W "ethosie socjalistycznym" reprezentowanym przez Strzeleckiego "doktryny" może i "przyszły potem", ale uderza od razu że bez nich czuły się on niepewnie, jakby nie potrafił znieść braku "naukowej" czy tylko intelektualnej legitymacji. Zapiski 1950-1953 pochodzą z najcięższego okresu stalinizmu. Co się wówczas dokoła zapisującego działo, jaka była polska rzeczywistość owych lat, wiadomo. A przecież, mimo niewątpliwego już rozbratu wewnętrznego z Doktryną, Zapiski są niemal w całości szczerem zredukowanego papieru, obolałym szmerem cytatów z uczonych ksiąg, odgłosem kerek przewracanych z udramką po nocach w zamkniętej szczelnie kabinie, która szeptuje w soko nad padółem codziennej rzeczywistości. Dwie w Zapiskach noty posługują się w tytułach słowem "przestrogi": Przestrogi personalisty i Przestrogi starego liberała. Pierwsza jest cytatem z Emmanuela Mouniera, odkrywającym że "udział w życiu politycznym i publicznym może się stać narzędziem odczłowieczenia". Druga cytatem z Autobiografii J.S. Milla, odkrywającym poprzez krytykę Systemu polityki pozytywnej Comte'a groźbę powstania "najpejniejszego systemu duchowego i świeckiego despotyzmu, jaki kiedykolwiek włąknął się z mózgu ludzkiego,

z wyjątkiem może głowy Ignacego Loyoli". Blżej w czasie /1950-1952/ i niżej w przestrzeni /codzienna rzeczywistość Polski stalinowskiej/ te "przestrogi" były przypuszczalnie mniej widoczne.

„czorajczy Strzelecki to, dla mnie przynajmniej, historia zdradzonego „etnosu socjalistycznego”. A nie, jak sugeruje ksiądz Iłsczner, historia „postrzępionej wiary w socjalizm”.

19 sierpnia

Wątpię czy w stulecie Śmierci Dostojewskiego ukazało się na świecie wiele publikacji równie int. resującą jak numer specjalny Znak, przygotowany przez Zbigniewa Podgórcza i zatytułowany Polacy o Dostojewskim. Jego ozdoba jest Śmierć Antychrysta Ryszarda Przybylskiego, rzecz o Kiryłowie, samobójcy z Biesów. Od dawna staram się czytać wszystko co pisze Przybylski /uhonorowany niegdyś interwencją ambasadora sowieckiego w Warszawie po ogłoszeniu szkicu o Stawroginie w Tekstach/ i nie mogę odżajać, że urwał na pierwszym tomie swoją książkę o Dostojewskim. W Śmierci Antychrysta widać najwyższą klasę lektury Dostojewskiego, z jednym zastrzeżeniem czy uzupełnieniem, o którym za chwilę.

Samobójstwo Kiryłowa, który według własnych słów "trzy lata szukał atrybutu swej boskości i znalazł go w akcie semowoli", rozgrywa się do pewnego stopnia w sferze wolności naturalnej, lecz z zdaniem Przybylskiego jest przede wszystkim "redukcją wolności chrześcijańskiej". Kiryłow, w odróżnieniu od "zachodniej" apologii samobójstwa jako pełnej afirmacji "ja" i negiego wyzwania rzuconego Bogu poza dobrem i złem, gotów jest odstąpić swoje prawa do wolnego wyboru, i w tym jego "wschodność". Gotów je jednak odstąpić "organizacji", a nie Bogu oczywiście /byłby wtedy po prostu cobyim chrześcijaninem/, ani nie "wspólnocie prawodawnej" /wstąpiłby wtedy, w oczach Dostojewskiego, na drogę do prawdy/. Redukcji wolności chrześcijańskiej dokonał sam autor Biesów, który Kiryłowa traktował mylnie jako człowieka "zachodniego" i określał jako "postać w rodzaju Bielińskiego".

W ujęciu Przybylskiego mamy zatem do czynienia z "przerażliwą dwuznacznością chrześcijaństwa wyznawanego przez Dostojewskiego". Kiryłow jest Antychrystem parodiującym i karykaturującym Chrystusa, okradającym chrześcijaństwo z antropologii Nowego Testamentu; jego samobójstwo jest parodią Golgoty. W moim przekonaniu "przerażliwa dwuznaczność chrześcijaństwa wyznawanego przez Dostojewskiego" sięga o wiele głębiej, niż sądzi Przybylski. Jest dwuznacznością tak radykalną i nieuleczalną, tak zakorzenioną w jego osobowości i geniuszu pisarskim, że lepiej pasowałoby do niej miano wiecznego rozdwojenia. "Problemem głównym - pisał do Majkowa w toku pracy nad Biesami i już w wyodrążni zarysowując braci Karamazow, - problemem który mnie męczył całe życie w sposób świadomy i podświadomy, jest istnienie Boga. Bohater jest w ciągu swego życia to ateistą, to wierzącym, to fanatykiem i sekciarzem, to znowu ateistą". Część krytyków dostrzeże w owym bohaterze mglistą prefigurację Iwana Karamazowa; ja skłonny byłbym podejrzewać pbboczny refleks tworzony właśnie Kiryłowa. Z pewnością i jedno i drugie. Bo rzecz w tym, że tylko łącznie studium o Kiryłowie i Iwanie Karamazowie, ich postawienie obok siebie, mogłoby dać pojęcie o "głównym problemie" Dostojewskiego.

Bezpośrednio związane z Legendą o Wielkim Inkwizytorze są słynne słowa Dostojewskiego: "Nawet w Europie nie ma i nie było wypowiedzi ateistycznych o takiej sile, nie jak dziecko więc wierze w Chrystusa i Jego naukę, lecz Hosanna

moja przeszła przez ogniasty piec zwątpienie". Eierdajew za prototyp Iwana Karamazowa uważał Bielińskiego. Zna Dostojewskiego na miejsce Bielińskiego podstawiła Władimira Sołcwiewa. „Przecież Bielińskiego, jak przypomina Przybylski, miś Dostojewski przed oczami kreując postać Kiryłłowa. Z kim utożsamiał się Iwan Karamazow w swojej Legendzie? Z Wielkim Inkwizytorem, w którym widziano parodię Comte'a i jego „religii Ludzkości”? Czy w milczącym Chrystusiem? Jakowe pytania! Drżał w duchu równocześnie przed piorunującą argumentacją Wielkiego Inkwizytora i przed smutnym milczeniem Chrystusa. Jak Kiryłłow, przejrzyany na wskroś przez bystrzego Stawrogina: „Gdyby pan się dowiedział, że pan wyżył w Boga, to by pan uwierzył, ponieważ jednak pan nie wie, więc pan jeszcze nie wie”. Jak Antychryst parodiujący i równocześnie nie parodiujący Chrystusa, ze swoim samobójstwem które jest i równocześnie nie jest parodią Golgoty. Jak wreszcie sam Dostojewski, dla którego czysta, „bezproblemowa” wiara w Boga była tylko wiecznym marzeniem i wieczną tęsknotą w wiecznym rozdwojeniu.

22 sierpnia

Mój włoski znajomy F. jest zakochany /trudno o inne słowo/ w Wojtyłę, jak go nazywa z autentycznym trochę uporem i nie bez odcienia niechęci do włoskiej tradycji papieństwa. Od pewnego czasu - zaczęło się to jeszcze przed zamachem - spędza mu sen z powiek polski film o papieżu. Pomyślnie wydaje mu się „Zuchwały”, „niedelikatny”, rozumie co prawda dumę rodaków Wojtyły, ale żaden film nie zdoła oddać tej syntezy dobroci, mądrości i spiritualità bez narażenia jej na spłaszczenie. Nawet włoski, którym namiastkowy język ekranu zastąpił już autentyczny język myśli i uczuć, i których z rytualnego zobojętnienia wobec papieństwa „domowego wypieku” wytrafiły pontyfikaty Jana XXIII i Jana Pawła I, nie poważyliby się na podobną imprezę. Po co taka dodatkowa, natrętna wizualizacja duchowej drogi, dostępnej każdemu kto ma oczy do patrzenia i czytania, a uszy do słuchania? Przecież musi się to sprowadzić do serii epizodów z życia Wojtyły, zubożonych, zbanalizowanych, wywetowanych retoryczną ekspresją, w ułomnej mowie taśmy filmowej.

Dzis F. wstąpił tu w drodze do Palermo i przywiózł „domow” swych „szluznych obuw”. Jest nim wyuany w książeczce przed siedmiu laty scenariusz Liliany Cavani do filmu, nigdy zresztą nie nakręconego, o Simone Weil Lettere dall'Inferno.

- Nie porównuję Wojtyły z Simone Weil - gorączkował się - ale popatrz. Nazywa się to Listy z wewnątrz, czyli już w tytule przyznaje się do zamiaru niewykonalnego aparatem filmowym. „dalej jakieś zdawkowe dialogi, migawkowe zderzenia wydrężone z prawdziwej treści, i co parę stronice Voce mentale Simone, głos myśli Simone, przyrządzony kolaż z jej pism. Jak by się to miało w filmie odbywać? Recytująca aktorka prezentowałaby w antrakciech, między jedną sceną a drugą, wyheblowane wióry myślicielki? Albo może „głos myśli” dochodziłby zza ekranu, czy dobywałby się brauchomówczym sposobem „z zewnątrz”? więc na domiar wszystkiego jeszcze języka cyrkowego ekshibicjonizmu. I tu czym kosztem!

Próbowałem go uspokoić, że prawdopodobnie polski film o polskim papieżu będzie bardziej filmem o Polsce ostatniego półwiecza, niż o Wojtyłę. I że można mieć zaufanie do Zenusiego i do jego dwóch scenarzystów, Szczeptańskiego i Kijowskiego. Nie wyglądał na przekonanego.

Do jego odjeździe zastanawiałem się, czy film wykorzysta epizod rozmowy młodego księcia z młodszym żołnierzem sowieckim, w dniu wkroczenia Czerwonej Armii do Krakowa; epizod opowiadany krótko przez karcynę wojnę w rekonstrukcjach c. a. Pawła VI, wzięty przez cenzurę w ich poznańskim wydaniu. I czy, chociaż skończono zdjąć się kręcić film na początku tego roku, został nadprogramowo wydłużony do dnia 13 maja na placu Świętego Piotra.

24 sierpnia

Przed laty, podczas mojej wizyty u Džilasa w Belgradzie, nie mogłem się oprzeć natarczywemu wrażeniu: ilekroć w naszej rozmowie pojawił się Tito, autor Nowej klasy przybierał miłą i odruchowo wpadał w ton rozgoryczonego syna, który zali się na surowego ojca. Surowego, tak, ale jednak ojca. Syna marnotrawnego czy wyrodnego, ale jednak syna. I, kto wie, była w tym ukryta gdzieś głęboko, spychana gniewnie w podświadomość, nadzieja pojednania. Dłpki żył ojciec, scena padnięcia sobie w objęcia, długiego niemego uścisku, snuła się po kątach mieszkania na ulicy Palmoticeva, śledzonego dniem i nocą przez policję z okna kamienicy naprzeciwko.

Ojciec umarł, scena rozplynęła się na zawsze w belgradzkim powietrzu czarnym od kaziłdanego dymu, przy wtórze dość szczerego szloch osieroconych poddanych; syn poczuł się wolny i ceraninitywnie. I napisał książkę Tito - The Story from Inside. Ubiągają się w niej resztki synowskiej miłości do ojca, lecz przez zaciśnięte zęby. I już bez dawnych hamulców, które za życia ojca działały na zasadzie tyleż mimowolnego lęku, co owej sekretnej, podświadomej nadziei. Tito występuje w książce jako stuprocentowe zwierzę polityczne o wachu otrzymanym od losu, zainteresowane niemal wyłącznie władzą, jej konkretnymi atrybutami i zewnętrznymi insygniami. Suwerenność Jugosławii bezspornie, do upadłego. Gorzej z "ideologią" i "jugosłowiacką drogą do socjalizmu". Wszędzie gdzie się da pałace i wille, mundury ciężkie od szmerunku i orderów, komu się to w otoczeniu "Starego" nie zanędo podoba, niech się ma na baczności. Słuchać, wykonywać bez szemrania rozkazy. Władza, nad wszystkimi i wszystkim, jedyny narkotyk i jedyna zarazem prawdziwa oznaka godności człowieka. Wille na wyspie Brioni zbudowali więźniowie. W roku 1952 lub 1953, gdy Džilasa podejrzewano już o "anarcholiberalizm", Vukmanovic-Tempo przywodził mu z Brioni "osobiste pozdrowienie" od marszałka: "Coo-wiedz Džilasowi jak wygląda moja willa, i powiedz mu że wszystko co wielkie w historii zbudowali niewolnicy".

Narkotyk władzy nie oszczędza demokracji, jak wynika z dowcipnej odpowiedzi Andreottiego, "permanentnego ministra" i perkrotnego premiera włoskiego, na pytanie czy władza zużywa: "Zużywa tych, co jej nie posiadają". W dzienniku wybitnego publicyście angielskiego Malcolm Muggeridge'a trafiklem na zabawny zapis jego odwiedzin u Churchilla, po powojennej przegranej konserwatystów w wyborach. Churchill bez władzy miota się jak lew w klatce. Na pożegnanie prowadzi gościa do domowego akwarium, żeby mu zademonstrować swoją władzę nad złotymi rybkami. "Przywołują natychmiast na mój rozkaz". Okazuje się, że nie przyplływają. Lekko zakłopotany sekretarz wciąga z kieszeni torebkę i podsypuje na powierzoną wodę trochę płatków. Wtedy rzeczywiście przyplływają. "To tak - odzywa się Muggeridge - jak z wyborcami, trzeba stale podsypywać". Churchill w boczna śmiechem, w demokracji utrata władzy nie zabija przy najmniej sense of humour.

W filmie francuskim, nakręconym na życzenie panującego wówczas Nkozi Ndayishimiye, Amin Deba zaprasza kinoooperatorów na przejażdżkę łódką. Płaszczyste łacze na brzegu rzeki roi się od krokodyli. Amin Deba chce się popisać przed gośćmi analogiczną sztuką magmatyzmu władzy w swoim ówczesnym akwarium. I z analogicznym skutkiem: krokodyle nie ruszają się na jego rozkaz z miejsc. "Są dziś w złym humorze", komentuje ze znaczącym przywróceniem oka i rechotem. Czeczca to przypuszczenie, że przez delikatność wobec gości nie kazał zakładować tego dnia do łódki używanych w Ugandzie "płatków" do "podsypania". Różnica między narkomanami władzy w ustrojach parlamentarnych i dyktatorskich tkwi w odmiennych beneficjentach karmienia i w odmiennych gatunkach pokarmu.

27 sierpnia

Napisano ostatnio, że rok 1980 jest w polskich dziejach najnowszych decydującą czułą. Rok 1956 wstrząsnął krajem, ukształtowanym przed rokiem 1945. Powszechna erupcja 1980 dojrzała w społeczeństwie całkowicie już uformowanym po wojnie, pod panowaniem "dyktatury proletariatu". Daty 1968, 1970, 1976 były wybuchowymi przeszłymi w procesie dojrzewania oporu społecznego i narodowego przeciw "nowej rzeczywistości".

Jak w większości układów "linearnych", duża doza prawdy przemieszana tu jest z nadmierną schematyzacją. Bardzo pouczająca książka Poznański Czerwiec 1956, wydana świeżo w Poznaniu pod redakcją Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej, dostarcza niły dowodów że pierwszy kryzys był dziełem społeczeństwa ukształtowanego przed rokiem 1945. Ot takiego choćby, drobnego na pozór lecz znamiennego. Znany pisarz Egon Naganowski, skowitć w Powstanie Warszawskie, opowiada o swoim ranieniu na balkonie poznańskiej kamienicy: "Zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie zadziwiająco szybko zjawiły się dwie dziewczyny, które przedstawiły się jako "powstańcze służba sanitarna" /zupełnie jakby przyfrunęły z dni Powstania Warszawskiego/, ściągnęły mi marynarkę i założyły prowizoryczny opatrunek". Ale obok tego wojennego "syndromu powstańczego" uwagę Maciejewskiego w wprowadzającym do książki szkicu Po dwadzieści pięciu latach: "Dopiero niedawno ujawniono fakty dotyczące nielicznego zespołu ludzi działających poza oficjalnymi strukturami organizacyjnymi ówczesnych związków zawodowych. Ludzie ci stworzyli grupę opiniotwórczą, które miało decydujący wpływ na postawę załogi W-3, która próbowała nawiązać porozumienie między załogami różnych wydziałów ZISPO i na terenie kilku zakładów przemysłowych w Poznaniu, głównie z Zakładami Naprawczymi Taboru kolejowego /ZNTK/, planowała użycie różnych sposobów protestacyjnego nacisku: najpierw milczące demonstracje niepokojące dyrekcję i partię w ZISPO, potem masówki, postoje, solidarnościowe strajki, wyjście na ulice miasta w czasie Międzynarodowych Targów Poznańskich, co uniemożliwiło wprawdzie stworzenie blokady informacyjnej. Była to więc pierwsza w PRL organizacja niezależnych związków zawodowych, poprzedniczka "Solidarności". Trzeba chyba wzmocnić wysiłki, aby zebrać na jej temat więcej wiadomości i poszukać śladów jej istnienia także w obrębie innych zakładów przemysłowych ówczesnego Poznania, o czym bardzo mało wiemy. Należy bowiem odpowiedzieć na zasadnicze pytanie: jak to się stało, że apel do strajku i wyjścia na ulicę dany przez cegielniczaków znalazł tak masowe i szybkie poparcie w całym Poznaniu, a były to przecież czasy, kiedy ludzie się bali, a liczni konfidenci informowali milicję, partię i służbę

bezpieczeństwa o rozmowach poszczególnych osób". Stenisków Matyja, robotnik z ZISPC, wspomina w zamieszczonym w książce świadectwie: "Ludzie z okien krzyczeli i wyretali dla nas poparcie. Tak doszliśmy do umówionego miejsca, do Placu Wolności na wysokości ulicy Katajecka. Byłem zdumiony, że tak głęboko zakonspirowana łączność między zakładami takie sprawne dała rezultat. Po tej stronie bowiem już czekali na nas ludzie z Rzeźni i innych zakładów. Umówiliśmy się, że kto przyjdzie pierwszy, zszeka na drugiego. Teraz już wielką kawa ruszyliśmy ulicą Katajecka i doszliśmy do ulicy Czerwonej Armii pod gmach partii, pod Espek". Wojenny "syndrom powstańczy" szedł zatem w parze, już w czerwcu 1956, z pierwszym posiewem ruchu, który miał w pełni obrodzić po czterdziestu w społeczeństwie całkowicie uformowanym po wojnie.

Obrodził klasyczną rewolucją a nie żadną "odnową", rewolucją jednak nieskończoną, "samoostrzegającą się", zatrzymaną w pół drogi, bez sięgnięcia po władzę. Npominając o tym kiedyś w moim dzienniku, teraz widzę podobną diagnozę w wystąpieniach niektórych mówców na listopadowym posiedzeniu KPP "Solidarności". Jeden z mówców dorzucił: "Przedaj bracie nie możemy", uznając "ten stan rzeczy i powszechną świadomość tego stanu rzeczy za nasz wielki orobek i wielki sukces". Z pewnością ma rację, nie jest powiedziane że rewolucja nieskończona musi przegrać, skoro doświadczenia skończonych są takie jakie są. Ale pod warunkiem, że pókpokony władca, pogodzony się z utratą rzeczywistej i nieograniczonej władzy, zadowolony się siedzeniem na tronie i swoistą kuretelą nad samorządnym społeczeństwem. Trudno wprawdzie wyobrazić sobie w takiej roli partię komunistyczną, co wcale nie znaczy, że wariant jest z góry akazany na niepowodzenie. Wymaga, dla swego rozwoju i stopniowego umocnienia, aby istotnie i coraz sprawniej funkcjonowały dwa człony, "Solidarność" i samorząd; i aby człon trzeci, partia, znalazł dla siebie poza nimi tyle tylko miejsca, ile trzeba na tron i dwór z przyległościami "sanktuarium nie-tykalnych".

Neapol, 4 września

Od kilku dni czytam wieczorami pasjonującą książkę Egona Naganowskiego o Musiliu Podróż bez końca. Naganowski jest doskonałym przewodnikiem literackim /nie krytykiem i nawet nie komentatorem, właśnie przewodnikiem/, jego poprzednia książka Telesach w labiryncie świata mało ma sobie równych wśród tytułu na temat twórczości Joyce'a. Pozostaje mu teraz zebrać się do Kafki, zanim praski pisarz przepadnie w kretesem w pewnej renomowanej polskiej maszynie do mielenia klasyków literatury...

Dotarłszy do połowy Podróży bez końca, śledzę z coraz większym zainteresowaniem na przykładzie Musila sprawę tzw. "samowiedzy pisarskiej". Jak daleko i głęboko sięga? Na ile pisarzowi towarzyszy pełna świadomość tego co pisze? Pytania dotyczą zwłaszcza autorów zwróconych w dużej mierze, przynajmniej we własnym mniemaniu, to the happy few albo ku "czytelnikom przyjaźności". Gdyby, powiedzmy, zestawić Musila z Gombrowiczem, okazałoby się że "samowiedza pisarska" Musila była dość cząstkowa, uwikłana w niejednościach, zagadkach, mglistych intencjach, rzadko i na krótko zdolna do panowania nad "pisarskim podziemiem"; dla przekonania się o tym starczy wytyczać, jak to wyborne robi Naganowski, zawiłe kanały podziemne między utworami Musila i zapisami w jego dzienniku. Gombrowicz był suwerennym władcą awojej twórczości, rozgrywał od pierwszej do ostatniej książki

wielką partię szachów, wiedząc dlaczego, po co i jaką figurę przesuwam w danej chwili na szachownicy; stąd jego dziennik nie był mrocznym i rozkopanym "podziemnym pisarskim", lecz autonomiczną, trzytomową, skończoną powieścią o sobie i o własnym dziele. Zapytany pod koniec życia co ma w planach i projektach na przyszłość, odpowiedział jednym słowem: "Śmierć". Zabrzmiało to jak "Łat", dany naszemu ludzkiemu losowi przez sztukę /a nie na odwrót/. A Kusil? W roku śmierci, opłątany przez węża morskiego Człowieka bez właściwości, liczył na jeszcze dwadzieścia lat życia potrzebnych mu do ukończenia... "podróż bez końca". Im bardziej słabnie i zębąca się "samowiedza pisarska", tym bardziej otwarte, rozpaczliwie otwarte, staje się "dzieło otwarte".

5 września

Może będzie mi darowane słówko o własnym pisarstwie. W dwóch o nim szkicach, Kota Jeleńskiego w Kulturze i Wojciecha Karpińskiego w Tygodniku Powszechnym, mowa między innymi o "stronicach Dziennika pisanego nocą poświęconych bólowi ludzkiemu w jego codziennych, najmniej dramatycznych przejawach" /Jeleński/ i o Dzienniku "wstydzającym się ekshibicjonizmu", a mimo to "niekiedy przejmującą osobistym" /Karpiński/. To prawda, jeżeli przystoi w ogóle autorowi takie publiczne przytaknięcie. Ale myślę, że można ją, zmieniając proporcje, rozszerzyć na Inny Świat i niektóre moje opowiadania: codzienność, "szerokość" ludzkiego bólu w sytuacjach dramatycznych; tłumik ukrytej tonacji osobistej, nałożony na pokusy "donosności wyrazu". Bardzo lubię zdanie Flauberta: "Gdy piszę, mam przed oczyma jakiś kolor, jakiś odcień".

KULTURA 3/1981

#### WOŁANIE NA PUSZCZY

#### NADZIEJE I ŻEUDY - KISIEL

Powtórzę moje credo. Polska dzisiaj leży po wschodniej, komunistycznej stronie Europy, co przewidziano w Teheranie i w Jałcie, a potwierdzono w Helsinkach 1975. Utrzymanie tego podziału czyli status quo leży w interesie obu stron, Zachodniej i Wschodniej, które wykluczają możliwość wojny atomowej. W Europie, trzęsąc się o swe życie, z czego zrezała trudno im zrobić zarzut, cytując sobie co najwyżej na półciecną Fredrę: "Któż by się tam i zakomlą na Waszmości nędzne życie"! Co prawda nędzne to ono nie jest - przeciwnie.

W tej sytuacji współczesny Polak nie bardzo ma czego ażukać na Zachodzie, zwłaszcza jeśli chodzi o politykę. Można tam, owszem, szukać pieniędzy, reklamy /ostatnio rzeczwiście zrobił nam ogromną, choć nie wiadomo, czy to wyjdzie na dobre/, wolności kulturalnych, odpoczynku. Tylko zadawać sobie trzeba sprawę, że dwa przez 35 lat oddzielone światy bardzo się od siebie oddaliły: Zachód uciekł nam cywilizacyjnie, technicznie, organizacyjnie, wyobcował się od nas /czy my od niego/ psychologicznie i umysłowo. Żeby tam zostać, trzeba by się weń wtopić i wyrzec się własnej, wstodniej problematyki, albo też, jak Redaktor Giedroyc, stworzyć sobie własną, izolowaną Polskę w Paryżu - ale na taki wysiłek nie każdego stać.

A więc miejsce dzisiejszego Polaka jest na Wschodzie, z narodami wschodniej Europy łączy nas wspólność historii, cier-



pień, ustrojowego zniewolenia, pojęć i marzeń. Wobec tych narodów mamy również specjalną misję polityczną: pokazać im, że pozostając w Bloku Wschodnim /no co skłonił nas i Zachód i Wschód/ można walczyć o swoją tożsamość narodową i odrębność, można walczyć o niepodległość POLSKI, żeby na przestrzeni dzieściolecia odniósł niewątpliwą sukces.

Jakie? Cto, mimo wykorzystania terroryzmu, zniszczeń demograficznych /katakumba inteligencji realizowana przez Kitzera i Stalina, także przez emigrację /kryk krwi/ i zniewolenie sowietyzujących oraz degeneracji ustrojowych, Polska zachowała: a/ strukturę wiejską, opartą na indywidualnym władceniu ziemią; b/ powszechny katolicyzm, oparty na silnej i autorytatywnej organizacji Kościoła; c/ odróżnioną młodą inteligencję, świadomą katolickich tradycji polskiej kultury; d/ zdolność do oddolnych zrywów, powodujących kolejne polityczne trzęsienia ziemi w latach 1956, 1968, 1970, 1976, 1980. Do tych "polskich odrębności" doszła od września 1980 jeszcze jedna, olbrzymia: wielomilionowe, niezależne związki zawodowe "Solidarność". To już i Zachód zauważył!

Wszystko to dzieje się ciągle w ramach systemu oraz uznania imperatywów geopolitycznych: Paktu Warszawskiego, sojuszków i układów, oficjalnych rządów Partii, wspólności polityki zagranicznej. To są warunki, aby pozostać na Wschodzie i móc spełniać wobec jego narodów swą misję fermentacyjną czy ewolucyjną. Oczywiście: za taką czy inną, milczącą, czy głośną zgodą Rosji. I tu wy badać trzeba jak daleko sięga nasze pole manewru, czy dla Rosji ważniejsza jest czystość doktryny Komunistycznej czy też utrzymanie swych wpływów geopolitycznych przy dopuszczeniu różnych wariantów ustrojowych. Trzeba by to u Rosjan wy badać, oczywiście bez pośrednictwa tajnych z zasady kanałów partyjnych. Czy i dla kogo jest to możliwe?

Rzecznik sowiecki Falin w rozmowie z redaktorem Spiegla Augustinem /Spiegel, 15.12.1980/ powiedział, że nawet kraj kapitalistyczny mógłby być członkiem Paktu Warszawskiego, co zresztą nie dotyczy się Polaki, której przemiany są utrzymywane w ramach socjalizmu. Oczywiście, może to być zagranie taktyczne, obliczone na sprężoną słownych fajerkówk prasę zachodnią, ale "słowo się rzekło, kobyła u płotu". Jednocześnie przez parę tygodni sondażowo bawił w Warszawie sowiecki ekspert Zamiatin, który jak slyszalem, szukał nawet kontaktów z kołami nieoficjalnymi. A więc moja idea społecznych pertraktacji z Rosją bez pośrednictwa komunistów nie jest tak absurdalna, jak nam to usiłowano wmówić. Dla tego jednak, aby opozycja mogła tu odegrać aktualną rolę, konieczne jest jedno: uznanie, jako założenia, trwałości SYTUACJI GEOPOLITYCZNEJ. Tę zresztą uznaje każdy Polak, który nie liczy na wojnę, a chciałby działać w realnych ramach z realnym skutkiem. Również i ja nie liczę na wojnę, uważam, że mam do tego prawo. Jeśli zaś wojna wybuchnie, to zapewne zginę, a nową polityką zajmą się ludzie nowi.

Od tych rozważań przejdźmy do aktualności - krajowych. Są one dziś nieco niepokojące. Pewien warszawski dziennikarz powiedział bystro, że Moskwa ma już powód do "interwencji", wie o tym i żędna takie czy inne poczynania Polaków tej wiedzy nie zmieniają. Natomiast Moskwa nie ma jeszcze sytuacji do interwencji: sytuacji politycznej, tak międzynarodowej jak i polskiej, odpowiedniego pretekstu i formy, co dla rosyjskich szachistów nie jest bez znaczenia. Wobec tego nasza z kolei sytuacja polityczno-psychologiczna może mieć wpływ na odroczenie dacyzji, a co się odwlece, to czasem uciecze.

Sytuacja owa jednak nie jest ostatnio korzystna. Wałęsa i "Solidarność" uwikłali się we własną frazeologię. Długo powtarzali, że nie są politykami, że polityka ich nie interesuje, tylko "prawo człowieka, prawo do człowieczeństwa, prawo do wiary..." /w Rzymie/. Komicznie to trochę brzmi w ustach ludzi, którzy dokonali największego w dziejach Polski ludowej przełomu POLITYCZNEGO, ale doradcy "Solidarności" uważali widać, że tak trzeba mówić, ze względów na ostrożność wobec Moskwy, zakładając i szwidoczniej, że na Kremlu siedzą frajerzy, którzy głównie zwracają uwagę na słowa. Wmawianie ludziom, że można chcieć demokracji, dobrobytu, wolności bez żadnej zmiany ustroju a nawet nie włączając się w jego reformę, to przecież okropna bujda, której bujdowatość widzi każdy - Rosjanie też. Nonsensem jest również myśl, że można reformować gospodarkę bez zmian politycznych. "Solidarność" zdaje się też nie rozumieć, że w okresie ekonomicznej plajty i kryzysu trudniej jest walczyć o podniesienie stopy życiowej, łatwiej i skuteczniej o reformy czy ustępstwa polityczne.

I oto władza, pokąszawszy się w tej argumentacyjno-dialektycznej, fałszywej ostrożnością podsyktowanej słabości Wałęsy i towarzyszy, zręcznie wykorzystała to przeciwko nim. Już to komuniści umieją odwracać uwagę od spraw ważnych i robić przeciwnikowi "w konia" - żebyż mieli taką zręczność w sprawach gospodarczych, mój Boże! Szybko a nieostrzegalnie zablokowali i zbimbali szereg spraw politycznych, jak utawa o cenzurze, o związkach zawodowych, swobodę informacji, prasy związkowej, sprawę więźniów politycznych i inne. Także reforma gospodarcza, jak można sądzić z przedawionego projektu założeń, pozbawione będzie sankcji prawno-politycznej, ustawowej, apalując wyłącznie do dobrej woli i "słowa honoru" dotychczasowej administracji gospodarczej. Nowe związki nie chciały włączyć się w reformę, pójdzie więc ona ponad ich głowami...

Jednocześnie władze błyskawicznie, przez szybko, jednostronną decyzję, wmanewrowały przywódców "Solidarności" w spór o wolne soboty, odwracając uwagę od innych, niedotrzymanych warunków. Wybuchły strajki, ale nie całkiem przejrzyste i zrozumiałe, jak i cała sprawa, stanowiąca w okresie kryzysu najmniej przekonujący i popularny pretekst sporu. Zwłaszcza, że od razu z telewizji sygnięto lawiną zwiłnych cyfr o stratach, przynoszonych przez samowolne respektowanie wolnych sobót, a zagraniczni korespondenci w Warszawie roztrąbili na cały świat wieści o zwariowanych Polakach, co nie chcą pracować, gdy zadłużony kraj się wali. I tak to wmanewrowano "Solidarność" w niejasną, dwuznacznie kłopotliwą impas.

Wałęsa, po powrocie z Rzymu, gdzie głównie modlił się, zwiędział cmentarze i baczył, aby nie powiedzieć nic politycznego, pokąszł się wreszcie i podniósł krzyk, że nie chodzi o wolne soboty, lecz o niedotrzymanie przez rząd szeregu politycznych warunków gdańskiego Porozumienia. Ale głos jego nie bardzo już dochodzi, Ciszowski dość skutecznie zablokował telewizję, a prasę w ogóle trudno dostać. Zbyt dżugie unikanie problematyki politycznej zemściło się: "Solidarność", ustawiona zręcznie "do bicia" przegrała rundę, tracąc nieco ze swej popularności, zwłaszcza na owym zręcznie przez Partię /kierownictwo?!/ tumanionym Zachodzie. Pesymiści mówią, że po kilku takich rundach entuzjazm zachodniej opinii minie i opinia tamtejsza z ulchą przyjmie zmesakrowaną tak czy owak, "porządkującą" interwencję sowiecką, która ukróci "anarchię i nierząd" w zadłużonej po uszy Polsce. Postulaty polityczne mogą być w świecie zrozumiane, strajki /niejednomyślne zresztą/

o wolną sobotę - nie bardzo. O tym pamiętać winni specjaliści od propagandy wśród "średców" "-olidarności".

Na tle tych wydarzeń coraz niekorzystniej rysuje się rola kierownictwa politycznego polskiego Episkopatu. Mówię o kierownictwie politycznym, bo Kościół w Polsce jest dziś podzielony, wiem jakie zaburzenie wśród młodych księży budzi taktyka Biskupa Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu. Robi on błęd taki, jak Chłopicki zostaw z dyktatorem Powstania. Gdy car po wyrzuceniu konstantego wiedział już, że nie ma kompromisu i że tylko potrzeba mu czasu i sytuacji na przegrupowanie wojsk, Chłopicki dał mu ten czas, uderzając w pokorę i uległość. Podobnie oficjalny Kościół u nas stara się odpolitycznić "Solidarność" i tak samo jak Pertia, odciąć ją od ruchów inteligentcko-opozycyjnych, nie bacząc, iż tylko polityczne tło konfliktu może liczyć na zrozumienie i rezonans w świecie, nie zaś postulaty wyłącznie bytowe czy wyznaniowe. A z kolei tylko rezonans w świecie może wpłynąć na przychyłanie sowieckiej okupacji, czyli opóźnienie "sytuacji". Sztucznie przez władze wyizolowana sprawa wolnych sobót plus dwuznaczne stanowisko Kościoła, stawiając pod znakiem zapytania polityczną i ideową jedność narodu, na pewno dobrej taktyce nie służy.

W dodatku Kościół, zyskując administracyjnie, traci politycznie, i to na własnym terenie. Ostentacyjne ogłoszenie, że Polski ruch katolicko-Społeczny /grupa Zabłockiego/ uzyskuje prawa organizacji ogólnopolskiej, mianowanie "katolickim wicepremierem" figuranta z minionego okresu, nie są to zjawiska pocieszające czy budujące. Fakt, że Kościół, powodowany schematyczną, fałszywą ostrożnością nie umie zaznaczyć w tych sprawach swojego, nie podnosi jego prestiżu w opinii spragnionego odnowy społeczeństwa. Nie sprzyja to również narodowej jedności, a tylko ona, powtarzam, zapobiec może ewentualnej katastrofie.

Wiele też pomóc i dowadzić mogłaby Emigracja, ale nie ta anachroniczna, lekko sobie kwestionująca dzisiejsze przynależności geopolityki i proponująca w zamian gruazki na wierzbie. Starajcie się zrozumieć złożoność i płynność naszej sytuacji, oraz nie za wielką lecz istniejącą rolę Zachodu. Ciągłe też wierzę w zimny, sowiecki rozsądek, ale trzeba mu pomagać, a strach nie jest tu najlepszym doradcą. Skoro się już zaczęło, należy mądrze kontynuować.

KULTURA 5/1981

### O NIEZNANEJ ISTOCIE RZECZY - KISIEL

W Warszawie dziś strajk ostrzegawczy w związku z brakiem wyjaśnienia wydarzeń w Bydgoszczy, alarm, zamieszanie, nawet gdzieś gdzieś popłoch, powiększany z gustem /mimowolnym/ przez egzaltowane wypowiedzi świeżego wicepremiera Mieczysława K. - kto by przypuszczał, że to taka mizma?! Także emigracyjne zakłęcia przeróżnych wysokich gremiów - w rodzaju: "Nikomnie wolno zakłócać atmosferę dialogu!", bez wyspecyfikowania, o kogo chodzi - czy o tych, co pobili, czy o tych których pobito - okropnie ludzi denerwują, podobnie jak nawoływania do "rozsądku", "odpowiedzialności", "umiaru", "spokoju", "kompromisu" wobec grożącego niebezpieczeństwa, którego jednak nikt po imieniu nie nazywa. Ludzie chcą się dowiedzieć, czy wydarzenia w Bydgoszczy to rezultat prowokacji,

będącej echem tajnej walki, toczanej wewnątrz partii, czy też wynikały one z nieudolności bezmyślnie zrutyinizowanych urzędników, lecz tego właśnie dowiedzieć się nie sposób. Zamiast prostej informacji puszczają się w telewizji przez godzinę dwóch wicewojewodów, którzy dziwaczną, pseudurzędową, pośmieszczą jakąś się na temat owego bydgoskiego posiedzenia, omijając skrępowanie to, o co chodzi: kto kogo pobili i na czyj rozkaz? Ludzi przy telewizorach jasny szlag trafia, już to nasi bracia komuniści czego jak czego, ale rozmawiania ze społeczeństwem nauczyć się nie potrafią. Co prawda nie mieli nigdy po temu okazji, jako że dotąd tasowali karty pomiędzy sobą, tępym zaś widzieli tylko w postaci karnie zorganizowanych klaukierów na akademicznych. A tu nagle wyroił się lud prawdziwy, w dodatku młodzieńczy, często w dzinsach i z brodami jak trzeba, bo konflikt pokleś dołączył się tu również. A młodzież dątej mowy nie lubi - i jak jeszcze! Doszło do tego, że szczecińska "Solidarność" zaprotestowała przeciw językowi obrzędowemu, jakim mówił w Moskwie Lania przed tamtejszym Najwyższym Gremium Starców. Młodych szczecińskich mało uczono historii komunizmu, nie wiedząc więc, jaką rolę gra tam NOWOCMOWA, której zresztą Lania na pewno używał świadomie, dobrze wiedząc, że nie ma ona nic wspólnego z dzisiejszą krajową polszczyzną. Ludzie chcą już słuchać na wprost, nie na odwrót: po raz pierwszy wazakże w Polsce Ludowej robotnicy doazli do głosu, a tu ogłasza się, że nastąpiło "zagrożenie socjalizmu"! Lania musi tak mówić lecz ludzie nie chcą słuchać, pytają, kto wobec tego owemu socjalizmowi zagraża? Jedyna konkretna odpowiedź: KOR i Moczulski, budzi powszechny śmiech. I mało szacunku dla władzy tudzież propagandy. A szacunek i wiarygodność jakże są dziś potrzebne!

W ogólnych zarysach rząd generała Jaruzelskiego robi to samo, co rząd poprzedni, to znaczy, zwłaszcza w sprawach reformy gospodarczej, niewiele i z ociąganiem. Podobnie też jak i Pińkowski, Generał długo targuje się o rzeczy, z których wreszcie ustępuje, co, z korzyścią dla atmosfery w Kraju, zrobić należało od razu. Gdyby zgodzono się na wiejską "Solidarność", nie byłoby historii w Bydgoszczy, a potem owego mozolnego zjazdu Kółek Rolniczych. Skompromitowane przez lata Kółka atmosfery na wsi nie poprawią, ale cóż... Podobno "Solidarność" wiejskiej sprzeciwiają się Rosjanie, których chłopci bardziej niepokoją niż robotnicy, o tym zresztą Generał narodowi nie powie, tylko będzie się zasłaniał względami prawnymi. Ale właśnie więc dlaczego nie mówić prawdy? I dlaczego tak niezgrabnie zachowywać się w sprawie Bydgoszczy /niefortunna komiaja "afii"? I dlaczego grać skompromitowanymi ludźmi? I dlaczego tyle straszyć okropnym niebezpieczeństwem, jak ognia unikając nazwania tego niebezpieczeństwa po imieniu? Powiększa to zamęt, drażni ludzi, a nikogo naprawdę nie przeraża, bo ludzie, jak w owej bajce o wilkach i pasterzu, za piątym ostrzeżeniem przestają wierzyć w niebezpieczeństwo. Natomiast najbardziej przeraża się - Zachód. A przecież chyba nie o to chodzi!

Trzymiesięczny rozejm, proponowany przez Jaruzelskiego, miał służyć na dwie strony: dla Wschodu i dla Zachodu. Dla Wschodu - że nie straci tu politycznej gwarancji, w postaci rządów Partii. Dla Zachodu - że nie straci owego cacanego spokoju i pożyczonej Polsce forsy. I to drugie na pewno się już nie udać. Zachód ze skóry wychodzi, aby państwowość polska, którą, w swoim mniemaniu, podtrzymał jak mógł, nie zmieniła się, nie oszłabła. Okropnie się turbuje o "byt polskiego państwa" /od kiedy?/, choć to przecież państwo komunistyczne,

a On jest kapitalistyczny. Widać, że jałtańsko-helsińskie porozumienie Dwóch Światów, ufundowane na naszym m.in. karaku, nadal jest wszystkim bardzo drogie i biada tym, co znajdują się między partnerami - w obcęgach. Tyle, że my nie chcemy tego uznać, wiemy bowiem, że formy naszego bytu /i państwa/ musimy zmienić. Bez oglądania się na Obie Wysokie Strozy /zresztą, jeśli Bóg da, bez naruszania pokoju czy równowagi sił/. Tymczasem Zachód, który podarował Gierkowi miliardy na budowę komunizmu, modli się teraz, aby się ów komunizm w Polsce utrzymał, no bo groza a poza tym któż odda forsy? Zaś ja pytam: - A co nas to obchodzi?! Nie trzeba było dawać, nie trzeba było brać na serio komunistycznych planów gospodarczych /rozbitych pod kątem politycznym/, komunistycznych obliczeń dochodu narodowego i obietnic eksportowych. Trzeba się było znać na tym ustroju i nie być dyktantem! A skoroście się nie znali, to trzeba było słuchać rad tych, co wiedzą, choćby niżej podpisanego. Sto razy na tym oraz innych miejscach przestrzegałem, żeby nie dawać Gierkowi pieniędzy bez dokładnego określenia na co, bo pójdą one na pogłębienie błędów i absurdów systemu, a dla nas okażą się kamieniem u szyi. I tak się stało. Pożyczaliście systemowi, niechże Wam system zapłaci! A że nie może?! I jeszcze do tego, że traciecie spokój?! Kogo...

I tu dochodzimy do sedna polskich wydarzeń, do ich istoty, która wymyka się uwadze zachodnich obserwatorów. Chodzi o sprawy ustrojowo-gospodarcze: po raz pierwszy bowiem ba taką skalę i w takiej otwartej postaci, spektakularnie i drastycznie objawił się światu kryzys i rozkład systemu komunistycznego. Zaskoczeni Zachodniacy nie chcą w to uwierzyć, wszakże tyle forsy w ten system wpompowali /i dalej mogliby pompować/ - starają się więc wmówić wszystkim, że to normalny kryzys państwowy, wywołany różnymi okolicznościami, np. małą wydajnością pracy lub niepogodą, krzyczą, że trzeba w Polsce "przywrócić sprawność gospodarczą", która w komunizmie istniała tylko w ich imaginacji. Ślepi o kolorach, zaiste!

Dlaczego to Polska właśnie zademonstrowała światu ów strąteście komunizmu? Pisałem już o tym: bo była za duża i zbyt zniszczona, lub nieuprzedemysłowiona, a więc podatna na wielkie inwestycje typu politycznego /huty, kopalnie/, od których wykreśliły się kraje mniejsze, jak Czechosłowacja i Węgry. Bo prywatna struktura wsi powodowała ciągle antyrolnicze posunięcia komunistycznej władzy. Bo zniszczenie mieszczaństwa przez hitlerowską okupację oddało pełnię gestii gospodarczej w ręce komunistycznego aparatu biurokracji "ideologicznej". Zaś wyjście na światło wszystkich błędów systemu, tak w dziedzinie inwestycji i eksportu, jak zarządzania /błędów, monstrualnie zwiększanych przez zagraniczne, bez warunków udzielane kredyty/, możliwe było dzięki mniejszemu niż w innych krajach Bloku terrorowi i strachowi, dzięki czemu młode, w komunizmie przecież wychowane pokolenie przejrzało i wyciągnęło na światło wszelkie absurdy owego systemu. Tylko się uczyć - proszę bardzo! Kto ciekaw, na Wschodzie czy na Zachodzie!

W Polsce zaś powszechnie zrozumiano, że: a/ Brzekonanie, iż uda się utrzymać nasz 36-milionowy kraj jako jedno wielkie, centralnie kierowane przedsiębiorstwo, gdzie wszystko będzie zbilansowane, bo straty jednych przedsiębiorstw wyrównane zostaną przez dochody drugich - jest złudą. b/ Trzeba podzielić kraj na sektory i przedsiębiorstwa usamodzielnione materialnie, zobaczyć, kto bankrutuje a kto sobie daje

radę i wyciągnąć z tego wnioski. Lepiej bankrutować na raty, odcinając kolejno słabe członki, niż narazić się, przez zastępowanie sztucznyymi zastrzykami słabych partii, na katastrofę całego organizmu. Prawo do bankructwa jako sprawdzian ekonomiczny jest konieczne, a że uderzy to w niefortunnych kredytodawców - ich wina. Parafrazując znaną formułę Churchilla, powiedzić można, że system oparty na prawie podaży, popytu, wartości rynkowej i wolnej konkurencji ma mnóstwo wad, ale lepszego nikt jeszcze nie wymyślił!

Czy da się przywrócić w Polsce rynek i prawo wartości, nie wprowadzając kapitalizmu, a przynajmniej nie nazywając go tak? Jak zniweczyć absurd komunizmu, zupełnie już w Polsce niemożliwy, zacznowiąc dla niepoznaki komunistyczny język? I czy Rosjanie rzeczywiście tego wymagają? A może to szantaż i bujda, stosowane przez naszą komunistyczną górę? I może, gdy przekształci się Partia, przekształci się i język? Już zbuntowało się marionetkowe dotąd Stronnictwo Demokratyczne, ten sam los czeka prędzej czy później broniących się jeszcze rozpaczliwie rutyniarzy-oportunistów ze Stronnictwa Ludowego: nie będzie wiejskiej "Solidarności", znajdzie się inna forma organizacyjna dla wolnościowego fermentu chłopów. A w samejże Partii? Toć Zjazd się wciąż odkłada, bo wszędzie żąda się tajnych, wolnych wyborów delegatów, aby odzyskać twarz. Na jednym z zebrań ktoś spytał, czy Partia musi rządzić, bo tak chcą Rosjanie i tego wymaga całość naszych granic, czy JESZCZE Z INNYCH POWODÓW? Otóż to. Ambitniejsi ludzie, którzy są jeszcze w Partii, chcieliby, żeby to było jednak z tych innych powodów...

Wszyscy są zgodni, że przebudowa systemu jest konieczna i że droga do tego musi być **POLITYCZNA**. Oczywiście, rozbudowany przez 36 lat aparat rządzący, polityczno-gospodarczy, broni swej sytuacji i przywilejów jak szatan, on też opóźnia reformę systemu. Kto wywrze nań decydujący nacisk? Może "Solidarność", bo choć jest wytworem ustroju i jego typu industrializacji, to jednak posiada zdrowy rozsądek produkcyjny, odziedziczony po wiejskich przodkach? Może chłopci, gdy znajdą wreszcie drogę do nowych form organizacyjno-politycznych? Może Sejm, oczywiście niezależny i wybrany w nowy sposób? A może rzecz się zrodzi wśród młodych działaczy samejże Partii?!

Jedno jest pewne: dominacja systemu dyktatorskiego, owego wszechmocnego, odgórnego interwencjonizmu w gospodarce jest nie do utrzymania, o tym wiedzą wszyscy, nieprawdopodobna grupa Gierka unaoczniała rzecz absolutnie wszystkim. Nie ma wszakże demokratyzacji politycznej bez gospodarczej a młodzież już się demokratyzacji nie wyrzeknie /i to młodzież wychowana przez ustrój - jak najautentyczniej, o paradoksie!/. Nie powstrzyma się jej zastraszaniem, nie weźmie głodem. Zwlekanie rządu z reformą tylko jemu samemu szkodzi, a prestiżowo patetyczne wypowiedzi Rakowskiego niczem nie służą. Lewiny powstrzymać się nie ds. Terrorem zewnętrznym, zagranicznym, jeśli ktoś o tym roi? Tego w ogóle pod uwagę nie biorę, bo kataklizm nie może być przedmiotem rozmowania. Niektóre gazety zachodnie zapowiadają "koniec naszego świata" wręcz na pojutrze, ale cóż oni rozumieją, oni, którzy wbili nas do grobu swymi kredytami dla Gierka? Kredytami, co tak by się przydały dzisiaj: nie, jak wtady, dla podtrzymywania absurdalnego systemu, lecz dla uczynienia go co najmniej trochę mniej absurdalnym. Skoro tak się mylili, niechże choć dziś nie bawią się

w fałszywych proroków i nie prowokują kataklizmów, którym w porę zaradzić nie potrafili.

Piszę te słowa w przeddzień, choć i nie wykluczam /czy dojdzie do strajku 31 marca, czy Rakowski dostanie instrukcję, żeby znieść i zszedł z koturnów?/. Po co pisuję teraz w Kulturze? Niejaki Łobodowski napisał, że po to, aby "sgitować" do czegoś tam Emigrację. Z niejaki Łobocowskim polemizować tu nie mogę, bo mi nie pozwala redaktor Giedroyc - odsyłam go więc również do krajowej Res Publici, zresztą wiem, że nie przeczyta. Chciałem mu tylko powiedzieć, że nie pisuję tu dla Emigracji, choć czytać oczywiście nie zabreniam. Nie pisuję tu także dla Kraju, jako że Kultura dochodzi tam minimalnie. Po cóż więc? Dla utrwalenia tego, co się u nas zdarza, aby pozostał mój ślad warszawskich nastrojów, nadziei, zwątpień, wysiłków myśli. Dialektycznie sądzą, że o koncepcji decyduje nie tylko jej treść, ale także miejsce, czas, okoliczności, osoba piszącego. Dać świadectwo swemu czasowi - aby zostało - oto po co pisuję w Kulturze. Indywidualnie. Poza wieszczbiarstwem i politykierstwem.

KULTURA 6/1981

#### CO DALEJ? - KISIEL

Dwa święta całkowicie się zbierały w tym roku: 1 maja i 3 maja. Moje pokolenie pamięta, że pierwsze obchodzili socjaliści /no i komuniści, których było w sumie pięciu na krzyż/, a drugie, nie wiedząc dlaczego, endecy. W tym roku postarano się o syntezę: unarodowiono 1 maja, pozbawionego urzędowej cacydady i zaopatrzonego w hasło "kochajmy się", za to usocjalistyczniono jak się dało 3 maja, a pan Jabłoński z właściwą mu skromnością i taktem kropnął mowę, że dzisiejsze pokolenie "budowniczych socjalizmu" i ogóle Polska Ludowa to nic innego jak bezpośrednia kontynuacja 190 lat już mającej Majowej Konstytucji. Grunt to dobre samopoczucie! Kościuszko pęłogoszewiż rocznicę także, patriotyczne manifestacje trwały trzy dni /bo nasunęła się akurat wolna sobota/ i trzeba przyznać, że wolnościowy i pogodny nastrój opanował wszystkich, mimo nawet bałaganu z kartkami na mięso i innych kłopotów. Zdziwiający swoją drogą ten nasz naród: "Jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud!". Zaś szlachta to w tym wypadku członkowie KC i Rządu, którzy skromnie, z bukietami kwiatów kroczyli po ulicach, bratając się z narodem. Na co im swoją drogą przyszło, tej naszej Nowej Klasie!

Tak więc po wielkich bojach między "Solidarnością" a rządem, kolejno o wolne soboty, o Jelenią Górę i Bielsko, o wydarzenia bydgoskie, wreszcie o "Solidarność" wiajską /tylko że ostatnia sprawa miała znaczenie zasadnicze/, nastąpiło Truga Dei, czyli uspokojanie po bitwie. Niepoprawny sceptyk powie, że skoro nie ma chleba, trzeba było zawzolić na igrzyska. Ale nie tylko ludowi były one potrzebne: mają też dużą wagę i dla Partii: Partia musi pokazać Rosjanom, że dogadała się z ludem i dalej mu przewodzi, chociaż w innych formach. Gdyby bowiem Ruscy doszli do wniosku, że panuje żywioł i lud do czegoś tam Partię zmusza, niewątpliwie wyatapiliby w jej obronie, a wtedy... o Jerum, Jerum, aż się wszystkim zimno robi. Tak więc kierownictwo Partii

chcąc ratować i siebie i innych, musi robić dobrą, solidarystyczną minę i wołać, że stoi na czele odnowy, wyrzuciło wszakże Gierka, choć z nim długo i bez szemrania pracowało. Pozary są zatem zachowane, one wszakże są najważniejsze, do czasu, aż bomba oddolnej demokracji wybuchnie na symyze "poziomym" Zjeździe Partii. Trzeba to odwiec jak się da i jak najdłużej trzymać fason, zwłaszcza, że dla wybadania klimatu przybył niespodzianie do Warszawy sam Michaił Susłow. Jest w tym jakaś niepokojąca analogia z prywatną wizytą Kosygina w Earlowych Varach wiosną 1968.. Brrr!

Wiele osób dopatruje się w ogóle przeróżnych analogii, bo akurat oficyna NOW-a wydała /poza cenzurą rzecz prosta/ znakomitą książkę Zdenka Mlynařa "Mróz od wschod.", o "praskiej wiosnie" i jej smutnym zakończeniu. Podobieństwa są, ale i różnice ogromne: tam kierownictwo Partii usposobione reformistycznie zachęcało niedowierzające początkowo społeczeństwo do liberalistycznej aktywności i w końcu osiągnęło swój cel aż z przesadą. U nas przeciwnie: oddolny, autentyczny ruch społeczny zmiótł ekipę Gierka i zmusił resztę Partii do przyłączenia się do odnowy, ba, do firmowania jej nawet. Partia /czy jej reszta/ poszła na to, tłumacząc się przed Ruskami /zwinioną przez Gierka kłeską gospodarczą, głodem po prostu zaglądnącym do drzwi. Ten głód paradoksalnie ratuje nas przed interwencją i usprawiedliwia Partię - Rosjenie niczym głodem apetycznie się nie przejmują, ale jednak widzą, że to nie "reakcyjna intrzyga" podziałka, lecz żywioł, czyli siła wyższa. To zmienia interpretację - a interpretacja może być wszystkim - tudzież ocalić niejedną głowę.

I jeszcze jedna spora różnica w sytuacji, opisaną przez Mlynařa: my nie mamy wyraźnego Vasyla Bilaka, który czekałby na kosjan i ich zapraszał. Może gdzieś taki jest - ale się ukrywa, siedzi cicho, boi się opinii. I Husaka nie ma, ambitnego, czającego się do skoku na władzę. Brak wiarycznych indywidualności w Partii - to też paradoksalny ratunek. Wreszcie prasa, choć żywa i odważna, "geopolitycznie" jest rozsądna, a telewizję na pokaz stłumiono, co ludzi wścieka, ale dla Rusów jest dobre: im tu nudniej, tym są spokojniejsi, że nie grozi jakaś wielka awantura.

To by było taktycznie. A merytorycznie? Niestety - znacznie gorzej. Nie widać realnej koncepcji reform - "Solidarność" wprowadzie ogłosiła swe programowe tezy, sympatyczne lecz ogólnikowe, przy tym bez wyraźnych możliwości egzekutywy politycznej: na pewno lepiej się oni czują w charakterze klasy robotniczej, domagającej się od socjalistycznego pracodawcy korzystniejszych praw i warunków, niż jako grupa współzrządzająca. Jakże przy tym ma ona współzrządzić, skoro wszyscy uroczystie uznali "kierowniczą rolę Partii"? A projekty reform od drugiej strony, od Partii, aparatu władzy, ekonomistów?! Też kuleją - niewiele zrobiono i nie wiadomo czy chce się wiele zrobić. I czy można, wobec gospodarczego rozprężenia, upadku współpracy kooperacyjnej, chaosu na rynku. Nawet wydanie prostych zarządzeń, uniemożliwiających panowanie absurdu, nawet przyjmowanie psczek z zagranicy czy usprawnienie gospodarki rybnej /złowiona ryba idzie ns przemiał wobec braków łodowej infrastruktury/, wszystko to pozostaje w sferze niemożliwości, tak jak i dostarczanie zaprenumerowanych pism /!/. Chaos rośnie, zmian nie widać! Trudno dokonywać uczciwej reformy ekonomii w momencie, gdy ekonomia ta praktycznie przestaje istnieć i potrzebne są doraźne, w dodatku niepopularne posunięcia ratownicze, zwalane na banki dotychczasowych praktyków zarządzania, nie upoważnionych w swych posunięciach do wykraczania poza dotychczasowe, konwencjonalne metody, absolutnie nieskuteczne i nie odpowia-



dejące wciąż zmierzającej, nowej sytuacji. Zaś najwyżsi kierownicy gospodarki, jak wicepremier Kisiel czy minister Krzak, odgrywają rolę straży ogniowej, katalizując dowolne dziury wynikłe z sadkużenia czy braków importowych, próbując skleić rozlatujący się "plan" i o żadnej szerszej działalności strategiczno-reformatorskiej nie mają nawet czasu pomyśleć.

Osobliwe: światoburczą młodzież związkowa nadeje ten polskiemu życiu politycznemu, organizacyjnemu, duchowemu, a za to sprawy ustrojowo-gospodarcze pozostawiono w rękach starych funkcjonariuszy, czy to uważając je za zbyt trudne i zawiłe, czy też nie chcąc brać odpowiedzialności za sytuację tak zabagnioną. Czyżby więc polska odnowa działań miała jedynie, mówiąc po marksistowsku, w sferze "nadbudowy" duchowo-politycznej, pomijając materialną "bazę"? Byłoby to przyznaniem się do jakiejś zasadniczej niemożności; bo przecież status zarządzania i władania produkcją jest integralną, istotną i decydującą częścią tego systemu, a jak powiedział Marks, "wolny jest ten, kto posiada środki produkcji". Któż zaś je posiada, w naszym obecnym obecnym bezchołwim, i któż ma ambicję, żeby je posiadać? Chyba tylko chłopci, najjadrowsza, mało przez kolektywizm tknięta warstwa społeczna w Polsce.

Odnowa bez przełamań ustrojowo-produkcyjnych niełaby się z własnym celem - tak wielki, dokonany przez precowniczą młodzież wysiłek i przewrót duchowy nie może wszakże być jednostronny, nie może pójść na marne. Polsce potrzebny jest system, który wywołilby energię produkcyjną tkwiącą w społeczeństwie, pozwoliłby działać ludzkiej inicjatywie i twórczej pomysłowości, uwalniając produkcję z więzów biurokratycznego planowania, kierowanego przez dyktantów i doktrynerów. Nowoczesna produkcja wymaga elastycznej zmienności i rozmaitości form organizacyjnych, wymaga ciągłego dopływu inicjatyw i pomysłów, wymaga konfliktów i przeobrażeń, a tego właśnie pozbawił ją wachodnioeuropejski, dogmatycznie skostniały socjalizm. Ewolucja w kierunku engelsowskiego "związku wolnych producentów" jest nieunikniona, Polska kraj duży i bądź co bądź uprzemysłowiony, ma tutaj do spełnienia mając, może taką, jak w swoim czasie Jugosławia. Oczywiście - potrzeba na to koncepcji, potrzeba się politycznych, które by tę koncepcję realizowały - czy to w partii, czy poza partią. No i potrzeba czasu oraz zewnętrznego spokoju. Moje więc proroctwo brzmi, że stwórczy zamęt w Polsce - zanim wykrystalizują się nowe siły, nowe elity, nowy ustrój czy system - potrwa dobre parę lat. A czy Rosjanie nie przeszkodzą, czy nie stracą cierpliwości? To zawsze jest zagadka - proszę poczytać książkę Młynarka! Ale u nas jednak sytuacja jest inna, niż wtedy w Pradze, a największe polityczne niebezpieczeństwa mamy już w gruncie rzeczy za sobą, najgorsze rzeczy Ruscy już przeknęli. Za to najtrudniejsze jeszcze przed nami: utrwalić odnowę przez wcielenie jej w nowy kształt ustrojowy i ekonomiczny. Zadanie trudne, ale na pewno nie niemożliwe, zaś innej drogi nie ma!

KULTURA 10/125

CZY ZANUDZĄ NA ŚMIERĆ? - KISIEL

Zabić nas wszystkich nie mogą, ale zanudzić nas na śmierć mogą - mówi się w Polsce o Rosjanach. Ietotnie, rozliczne

elementy nudy i nudzenia rozrastają się wśród i wazera. Jednym z takich codziennych elementów bytowania nad Wisłą jest nędza, rozszerzająca się namalnie i dokuczliwie pożąająca czas, energię, nadzieję, obejmującą coraz to nowe dziedziny życia, odbierająca to, co wczoraj jeszcze uchodziło za normę, a dziś staje się mierzem nieuchwytnym, utęsknionym. W dodatku nędza to irracjonalna, nie wiadomo jak do niej doszło tak nagle, trudno też pojąć, że władze, co przed rokiem jeszcze skłonne były upiększać wszystko, teraz lubują się w czarnych kolorach i w najbardziej pesymistycznych przepowiedniach. Gdzie żyjemy właściwie? - pytają ludzie, którzy przywykli, że ustroj komunistyczny stał zwazę na "propagandzie sukcesu", choćby najbardziej absurdalnej, ale nieugiętej, nieustępliwej. Ziemia apod nóg się usuwa, jeśli komunizm nie cofa się przed prawdą, zimną gospodarczą prawdą, jeśli ustroj komunistyczny przestaje być sobą, a wszakże innago ustroju na razie nie przewidziano, nawet buntownicy z Wąkącą na czele nie mają w tej chwili czasu ani chęci, by proponować czy projektować inny ustroj, nie mówiąc zgołe o acnelastycznych rozważaniach apostołów reformy gospodarczej, o których teraz już wszyscy wiedzą, że są bezradni, trudno bowiem projektować, co się będzie budowało, gdy trwa trzęsienie ziemi. W czasie trzęsienia ziemi raczej się wszystko wywraca niż na nowo uatwla, toteż bieże ukrecone z piasku reformy ekonomicznej nikogo w tej chwili nie interesują - wszystkie absorbuje nuda, rozłożona na raty, boć trzęsienia ziemi powolne i wciąż metodycznie zapowiadane uniemożliwia zainteresowanie się czymkolwiek.

Zwłaszcza, że nadziei ekonomicznej nie widać, bo nawet wydzierżwiać poszczególne dziedziny przemysłu kapitalistom nie sposób, choć może i Moskwa by się na to zgodziła, sama robiła takie rzeczy w okresie Dnieprostroju, a i dziś od technicznych kooperacji z Zachodem nie stroni. Ale nie sposób, bo dług zagraniczny wisi nad głową i pracować by trzeba bez zysku, na jego spłaty, co z gustem i upodobaniem podkreślają przy leda okazji rządzący nami generałowie, ministrowie i sekretarze, zapominając dodać, że wszystkie to, cała wielka plajta, dokonano się w ustroju sochalistycznym, a czy przez jego realizację czy też przez jego "wypieczania", to już oszukanej klienteli nie obchodzi. Tutaj rządzące marnionetki przasadziły jednak w czarnej propagandzie i myślę, że ich prędzej czy później Moskwa za to ukarze, bo nie wolno komunistom tracić głowy i nadmiernie społeczeństwa informować, a przez to spoufalad - zwłaszcza po wszystkich, co się i tak w Polsce stało. Michnik sądzi, że oni kłamią za dużo, ja myślę, że jak na potrzeby Moskwy - że mało, i zapłacą za to. Bo partia komunistyczna w sąsiedzkim kraju to nadal bardziej lub mniej tajna domena Moskwy, tu rządzić się ona może jak chce. A wszakże polityczny manewr rosyjski trwa, zaś polska Partia jest zarazem i jego przedmiotem i jego instrumentem. Tak bowiem, w takim schemacie dziełsienia, ukazatałowana została psychika towarzyszcy z Kremia, ekipy starych, która na inną taktkę i inną myślę się już nie przestawi, a sprawę polską niezbyt rozumie, gdyż za bardzo to wszystko było niespodziewane, szgotyczne dla nich, psychologicznie i historycznie złożone. Owszem, są na Kremiu wielcy szachiści, lecz trudno grać poza azachownicą i zasadami gry, a tego wymaga "sprawa polska", o ilez bardziej złożona niż schematyczny w ich pojęciu i rozszyfrowany system reakcji psychicznych Zechodu. Na Polakę działad tym semym echematem, co na inne kraje Bloku? To rzecz

nie wystarczająca, nieskuteczna, jak się okazało. A działać jak na kraj zachodni - nie wypada, po 35 latach komunizmu byłoby to przyznaniem się do porażki. Pozostaje lojalizująca - jeszcze wciąż, nieoparte na żadnej ostatecznej decyzji /ooupukać!/. Manewrowanie grą psychologiczną, wojną nerwów, straszaniem. A gruncie rzeczy - nękająca ofensywa nudy.

Bo o ile nuda jest nudą ekonomiczną, rozwijającą swe zabójcze zapędy smogą życia codziennego, o tyle "manewry strachu", schemeryczne i częstokroć teatralne, to nuda polityczna, mająca na celu sparelizowanie rozbudzonej przed rokiem swobodnej psychiki narodu, tak wewnątrz Partii, jak i poza nią. Te manewry, wojna, nerwów, prowadzone są od zewnątrz i od wewnątrz, przy czym od wewnątrz realizują ową wojnę pewne czynniki rządowe, przymuszane do tego czy przekonane, nie wiadomo, uoć to wciąż dziedzina działań ściśle tajnych, nad czym, niepoprawny utopista, uolawać nie przestają.

Na zewnątrz trwają stałe "związania onieśmiałające", szeroko w świecie reklamowane ruchy wojsk sowieckich w rozmaitych momentach polskiej sytuacji, kampania prasowa, radiowa, telewizyjna, do której zmuszane są także sąsiednie kraje "bratnie", oraz różne formy bojkotu, azykan granicznych, paraliżu tranzytowego. Na wewnątrz narzędziem manewru, nie wiadomo o ile świadomym a o ile zdezorientowanym i spanikowanym, jest kierownictwo Partii i "Zgędu. Prowadzi ono teraz akcję oszabienia "Solidarności", wciągnięcia jej, celem wyczerpania i zdepopularyzowania, w spory nieistotne, showlastyczno-advokackie, zmuszanie do zmiany frontu, zaskakiwania zmianą decyzji, denegowania i rozbijania, dezorientowania, co na przykład udało się po trochu w środowisku dziennikarskim. Jednocześnie jednak rząd sam zdradza zdenierowanie i dezorientację, nie szczędzi społeczeństwu zmiennych i historycznych wypowiedzi, pogroźek oraz dziwnych decyzji personalnych /nieprawdopodobnie "pomieszany" Urban/, a także samobójczego wyjaskrawienia różnic w poglądach na poszczególne problemy, ustawy czy reformy, zachodzących pomiędzy władzą a "Solidarnością". Cui bono ta uporczywa reklama różnic, często na pozór zupełnie bezsensowna, jak np. w znanej sprawie "Lotu"? Czy dla demonstracyjnego przypodobania się Moskwie, czy dla utwierdzenia swego rzekomego prestiżu oraz wątpliwej "prawożądności", czy w ogóle z braku rozeznania i psychicznej równowagi? Trudno wieszczę, zwłaszcza gdy się w tej chwili tkwi z daleka, choćby pod skrzydłami p. Giedroycia. Ale nasuwa się nieodparcie pytanie, czy nie rozsądniej a także znacznie ostrożniej dla kierownictwa Partii byłoby "stanąć po stronie narodu", zamiast zaostrzać sytuację bez możliwości całkowitego zadowolania Moskwy? Zaniechać polityki marionetkowej i zaniechać liczenia na niezawodny skutek ofensywy nudy, która uoprowadzić może do skutków nieobliczalnych dla stron obu. Stanąć po stronie narodu, a jeśli ten naród nie bardzo wie, czego chce, bo przez lata dyktatury utracił wiele ze swej świadomości, brak mu też pojęć ekonomicznych i prawnych, samemu ułatwić mu autokryształizację: wszakże wypada to zrobić jako ekspiację, jeśli bądź co bądź reprezentuje 35-letnią ciągłość komunistycznej władzy i nie można w nieskończoność zwalać wazytkiego na Gierka!

Może "oni" to rozumieją, a może nie, może tylko niektórzy rozumieją, a może zdecydują się stanąć po stronie narodu, kiedy już będzie za późno? Tego bym im nie życzył, dosyć w końcu mieliśmy w naszych dziejach tragedii znie-

nawidzonej władzy. Na razie jednak komuniści wierzą, jak się zdaje, w przyszły sukces swojej ofensywy nudy, w niszczącą siłę odziorania życia z uroku, obrzydzenia ludziom epoki "Solidarności" z pomocą wszechpożerającej nudy ekonomicznej i politycznej. Pokazać że nuda rośnie i jest bezdonna, że "Solidarność" nic na to nie może poradzić, a jej roczny kryzys był sztucznym fejerwerktem, słoniastym ogniem, że przeto w końcu żyło się lepiej i godniej, że wielomiesięczny narodowy zapał był rzekomy, że to tylko słowa, bezradne wobec życia. Waleczyć z "nowym" na każdym odcinku, nie ustępować ani rezygnować, piętrzyć trudności i komplikacje, podpierając się nędzą, na którą nikt nie znajdzie rady, jętrzyć, judzić, obrzydzać, prowokować, dzielić, straszyć i - czekać na rezultat psychologiczny, aż społeczeństwo się zmęczy, rozgorczy, zakamie i - zrezygnuje. Odda inicjatywę, nauczone tysiącem doświadczeń i przeżarte nudą nie do zwalczania.

Nuda to broń potężna, ale czy wazechmocna? Czy rzeczywiście zanudzą nas na śmierć?

Bolszewicy wymyślali różne bronie psychologiczne, nieraz na swój sposób genialne. Bolszewicy mają swój geniusz, ale geniusz to już chyba częściowo nieskuteczny, bo - niepotrzebny. Opiera się na anachronicznej, przestarzałej koncepcji historii, państwa, imperium, racji stanu, patriotyzmu, nie mówiąc już o marksizmie i socjalizmie. Na szerokim świecie sprawy poszły inaczej, oni, izolowani i upojeni sukcesami, zostali w tyle, w swoim świecie. I nas w nim zatrzymali korzystając z wyczynów Hitlera, z faktu, że to Stalin wymyślił i zagwarantował specyficzną sytuację i "rację stanu" nowego osobliwego państwa polskiego między Odrą a Bugiem, oraz że Polacy mają wciąż, od końca wieku XVIII, niewyżytą potrzebę państwowości, do tego zaś druga wojna światowa, zademonstrowała jak na zamówienie germańską krwiożerczość, doprowadzając tychże Polaków wręcz na krawędź biologicznej zagłady, co zresztą i Stalin ukatwił upuszczaniem polskiej krwi z dawnych kresów wschodnich, a potem wkładając. Ze spłotu specyficznych okoliczności i sugestii wyrósł w końcu państwowy patriotyzm PRL-u czy "Polski Ludowej" oraz specyficzne ujęcie jay racji stanu. Ten patriotyzm jest faktem, jakkolwiek innej Polski na mapie nie przewiduje się nawet w najbardziej antykomunistycznych projektach zachodnich. Patriotyzm ten cechuje również "Solidarność", choć chce go ona połączyć z przemianami politycznymi i duchowymi, a w przyszłości /musi do tego dojść/, choćby się wszyscy jednogłośnie zerekali/ z projektami zmiany ustroju. I to jest właśnie dla strażników z Kremla problem najtrudniejszy, i jak dotąd, nie do przełknięcia: zstawić w granicach swego geopolitycznego imperium kraj o innej strukturze politycznej i duchowej? Takiej praktyki dotąd nie było, bo nie jest tu przykładem ani opuszczająca niedgdy Blok Jugosławia, ani podskakująca w polityce zagranicznej, lecz ściśle totalna i partyjna na wewnątrz Rumunia. Jak zachować się wobec całkiem nowego zjawiska, które w dodatku mogłoby zaprzeczować i inne kraje Bloku?! - oto orzech nielada dla kremlofskich konserwatystów, mimo całego ich taktycznego i psychologicznego geniuszu.

Genialność polityczna bolszewików polega między innymi na ich bezbrzeżnej cierpliwości w wyyskiwaniu przyrodzonej słabości demokratycznego Zachodu, co łączy się z leninowską jeszcze pogardą wobec wszelkiego liberalizmu, pluralizmu,

wborów, zmian władzy i polityki. Ta długooddechowa sowiecka cierpliwość powoduje jednak formowanie się po latach sztywnego konserwatywnego taktyczno-politycznego, podczas gdy świat zachodni podlega jednak przemianom i trudno traktować go stale jako jakiś constans. Tymczasem taktyka sowiecka to jest wieloletni constans, który wreszcie ulec musi rozszyfrowaniu nawet przez zachodnich sybarytów politycznych. W roku 1977 napisałem w Kulturze /nr 11/ felieton, definiując zasady sowieckiej polityki w Europie i świecie, "Moje 'proroctwo' dedykowany Zbigniewowi Brzezińskiemu. Cztery lata minęły, a ja nie zmieniłbym w mojej ówczesnej diagnozie ani słowa. Czy ona była? Oto Rosja za wszelką cenę utrzymać chce europejski pokój atomowy na Łabie, wysuwając jedynie wobec krajów zachodnioeuropejskich uspokajające pokusy "finlandyzacyjne", zachęcając do odrzucenia zbędnego rzekomo amerykańskiego parasola i do dobrowolnej neutralizacji, połączonej z ko-rzystną w dobie bezrobocia i nadprodukcji współpracą techniczno-gospodarczą z "Blokem". Natomiast w świecie, w Azji, Afryce, Ameryce Południowej, Rosja konserwuje popiera wszelkie rewolucyjno-cywersyjne ruchy antykapitalistyczne i antyamerykańskie, czyniąc to jednak w sposób elastyczny i skryty, unikając starcia frontального w przekonaniu /czy jeszcze słusznym?/, że czas w tych częściach świata i tak pracuje dla niej.

Czy coś się w tym schemacie w ostatnich latach zmieniło? Ze strony rosyjskiej - nic. Natomiast ze strony zachodniej - jednak sporo. Mam tu na myśli np. decyzję prezydenta Reagana o produkcji i rozmieszczeniu bomby neutronowej. Jest to decyzja raczej o znaczeniu polityczno-psychologicznym niż militarnym, boć nikt w końcu nie wie, jak naprawdę wyglądać będzie wojna przyszłości, nie wiedząc też tego generałowie /"generałowie przygotowują zawsze minioną wojnę" - powiedział to chyba de Gaulle/. Najważniejsze, że neutronowa decyzja kładzie okres pewnej panikarskiej, defetystycznej legendzie, iż gdyby Rosjanie zaatakowali w Europie siłami konwencjonalnymi, Amerykanie, bojąc się nuklearnego rewanżu na swoim terenie, nie zdecydują się na uderzenie stemowe i pozostawiają europejskich sojuszników własnemu losowi. Ta sowiecka sugestia odpada, przybliżenie do Europy "prognozy jądrowego" uniemożliwia jej izolację i pacyfikację. W praktyce - oddala groźbę sowieckiej zaczepnej wojny konwencjonalnej, czyli wschodnią prasę na wolny świat.

Czywiście, neutronowe posunięcie Reagana może mieć charakter taktyczno-przetargowy wobec Rosjan, może być po prostu próbą wymuszenia lepszych warunków w kolejnej fazie rosyjsko-amerykańskiego porozumiewania się, stanowiącego ramę, na której utrzymuje się wciąż w świecie jałtański stan formalnej równowagi. Także koniec pierwszej kadencji Reagana może przynieść nieuniknione w konsekwencji stosowanej demokracji niespodzianki, tak bardzo nieraz odnerwujące świat, a tak oczekiwane przez Rosjan. Prezydent USA już po dwóch latach rządów nastawia się na powtórna kampanię wyborczą, stając się niewolnikiem chwilowych nastrojów czy niezadowolonych obywateli. Tu zgadzam się w pełni z opinią red. Giedroycia, że dla świata niezwykle byłoby korzystne, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych wybierany był jednokrotnie na okres lat siedmiu, jak we Francji, mogąc za to przez ten czas realizować określoną, jednolitą politykę.

Przyjmijmy jednak optymistycznie, że Reagan chce i będzie taką politykę prowadził, że ma swoją filozofię, której pozostanie wierny. Świadczyłby o tym wybór na Sekretarza Stanu Haiga, człowieka na oko równie żarliwego i nerwowego jak niegdyś James Forrestal, wizjoner, który oszalał na

myśl, jakie niebezpieczeństwo grozi światu i Ameryce wótc wypowiedzenia się broni atomowej. Jeśli więc Reagan będzie rzeczywiście zaangażowany, jakie konsekwencje wynikną z tego dla sprawy polskiej? Sformułował je prosto reu. Wiedząca zasnowana rosyjska interwencja militarna w Polsce byłaby początkiem trzeciej wony światowej i Rosjanie o tym wiedzą.

Ze prawdziwością tej hipotezy świadczy fakt, że wybrali właśnie wojnę nerwów i nudy, demonstrowanie i straszenie, nie zdecydowali się natomiast na skrajną całościową, która musiałaby być niespodziewana, szybka i skrajnie brutalna, taki Afganistan na wielką skalę. Uznali najwyraźniej, że w epoce Reagana rzecz jest ryzykowna, nie bez znaczenia byłoby tu i "polskie" papieżstwo, które wpływa a wielkim stopniu na moralną opinię świata. Wobec czego realistyczni kromlewczy aszachiści wybrali ofenawę; nudy i strachu, walkę na przetrzymanie psychiczne, w której sojusznikiem ich ma być przemaszone polskie kierownictwo partyn-rządowe, a instrumentem pomocniczym - nędza nie do zreperowania.

Czy w tej walce na nerwy naród polski skazany jest na przegrana, czy Rosjanie muszą zanudzić nas na śmierć, czy też łatwiejsze i towarzysze lub jeszcze inni znajdą atrakcyjne i ciekawe antidotum na ową niszczącą i podgryzającą nudę? Oto jest pytanie.

Nie podejmując się w tej chwili całościowej na tę kwestię odpowiedzi, chciałbym, jako przyczynek do niej, zwrócić uwagę na fakt, że wojna na nerwy i na nudę jest bronią obosieczną. Polacy śmiertelnie są znużeni, słysząc o nowych, astenacyjnych ruchach wojsk sowieckich czy o nowym, ostrzegawczym, groźącym "półcem narodowego bytu" przemówieniu Rekow-skiego. Jednocześnie jednak wyobrażam sobie, jaką śmiertelną nudę i irytację napswać musi Breżniewa i kromlewskich szachistów każda nowa wiadomość o nędznie "Solidarności", o demokratycznych głoszeniach i patriotycznych demonstracjach, o każdej solennej mszy oraz inauguracji pomnika przeszłości, o tysiącach spraw niepojętych, wśród których na nie ostatnim miejscu stoi dźwięcznie nieoczekiwany przebieg Zjazdu Partii. Wszystko to znużenie szachistów do kłamliwej taktycznego myślenia, do gry poza szachownicą, do spraw nowych i trudnych, jak choćby do zrozumienia faktów, że nawet historia naszego stulecia, wyświadcza się że reżim Polakom z grabieżą i "zakiegowana", wstaje oto dzięki Polakom z grobu, że młodzież polska nie zapomni już nigdy mszy za Riksudskiego, czy za poległych w Katyniu. Jakież to przykre, nudne, irytujące, sprzeczne z zasadami i poczucie, że polscy towarzysze z kierownictwem nie mogą temu zaradzić, że nawet bioną udział, spiskując w dodatku na spokój z Kościółem! Co oni właściwie robią i po czujnej w granicach rzeczy stoja stronie?!

Wyobrażam sobie, jaki pęk wyrzutów i zkorzeczeń spada na głowy Kani i Jaruzelskiego w Moskwie czy na Krymie. Ciekawe i psychicznie oswabdzające byłoby, gdyby o tym publicznie odpowiedzieli. Ale na razie ta "nuda" stanowi jeszcze tabu, choć i tu pojawiły się pierwsze "wzrosty". Wielokrotnie, w różnych formach, wyrażałem pogląd, że informowanie Rosjan o tym co myślą i czego chcą Polacy nie może być wyłącznym monopolem Partii, w dodatku sprawowanym tajnie, poza społeczeństwem. Proponowałem różne drogi "robozcze", np. domaganie się wzbudzenia składu polskich delegacji do Moskwy o reprezentantów różnych grup i elit społecznych /"Solidarność", Kościół, dziennikarzy/ o wyciągnięcia rokowań na forum publiczne. Wyśmiewa-

no mnie za to wielkościwie jako fantasty i marzyciela /So-  
cjuśz, red. Niedroyc/, a jednak... Pierwsze przeobrażenie  
wykazy w niezgiętej, sztywnej tajemnicy "dwustronnych" rokowań  
już się dokonały. Chęćby w postaci niebylegalego od wianu lat  
faktu publicznego ogłoszenia listu sowieckiego KC do pol-  
skiej Partii, oraz polskiej na to odpowiedzi, uc zmusiło  
koszary do podobnego, rzadkiego w "dwustronnych" stosunkach  
międzypartyjnych publicznego gestu. Zmiana metody i atmosfery  
niechętna /przepowiedziałem ją zresztą, mam świadków/,  
zaakcentowana jeszcze przez sejmowe przemówienie posła Ka-  
rola Mikużyńskiego, odważnie krytykującego ton i treść so-  
wieckiej noty. Ostatnio zaś, już tu w Paryżu, przeczytałem  
felieton Jerzego Andrzejewskiego w podobnym duchu, a w nim  
m.in. słowa: "Związek Radziecki oraz inne państwo sojuszni-  
cze nie mogą być traktowane jako zabytki pod specjalną  
ochroną. Współpartnerstwo nie musi być jednoznaczne ze  
śpiewaniem na jedną nutę i do tekstów tych samych" /Litera-  
tura z 27 sierpnia br./.

Fakt, że słowa takie i im podobne zostały FUSZCZONE przez  
cenzurę w piśmie oficjalnym, redagowanym przez Putramenta,  
coś przecież mówi. Są i inne sygnały, świadczące, iż świa-  
domość konieczności "czy poza szachownicą" toruje sobie u  
nas drogę tu i ówdzie. Może i Rząd wraz ze swym rzecznik-  
iem Urbanem zrozumie, że stanęcie po stronie narodu nie  
jest może największym ryzykiem, że w wojnie nerwów nie  
jesteśmy bez szans, że ofensywa nudy jest dwustronna i oho-  
nieczna, że fakt podjęcia jej, zamiast ofensywę czołgów,  
Jest już sam przez się rezultatem, zachęcającym do optymiz-  
mu. Wajna nerwów na pewno będzie długotrwała, lecz nie mu-  
simy koniecznie umrzeć z nudy. Nie musimy też paść na ser-  
ce z powodu każdej historycznej mowy czy ostentacyjnej pro-  
wokacji rządowej lub prokuratorskiej, podobnie jak wicepre-  
mierzy czy ministrowie nie powinni popaść w śmiertelny  
popłoch z powodu każdego objawu rodzącej się na nową oby-  
watelskiej swobody, czy z powodu każdego zmarszczenia brwi  
zaskoczonoj nowością sytuacji sowieckiego marszałka. Spo-  
kój zaleca się również tym zachodnim środkom przekazu, któ-  
re przy każdej okazji obwieszczają bliski koniec Polski.  
Trzeba sobie uświadomić, że czeka nas wieloletnia wojna  
nerwów i nudy, wojna na przetrzymanie, która, jeśli nie  
przerodzi się w terror, to przerodzić się musi w taki czy  
inny DIALOG choćby z ekipą kremlewskich następców, która  
kiedyś przyjdzie. Wierzę bowiem wypada w ewolucję świata,  
nawet tego wschodniego, ciciętego, zacofanego, totalistycz-  
nego. Bo w cóż innego można wierzyć?

Łatwo to zalecać komuś inne narwy, siedząc w Paryżu -  
powie czytelnik. Nie zgadzam się: wcale nie łatwo.

KULTURA 3/199:

RAUL WALLENBERG - Michał HELLER

Wyrok Międzynarodowego Trybunału brzmi: mamy wszelkie  
podstawy sądzić, że ten człowiek żyje. Trybunał zebrał  
się w Sztokholmie w styczniu 1980 roku dla rozpatrzenia  
sprawy R. Wallenberga, który 17 stycznia 1945 roku zagi-  
nął na Węgrzech.

Na krótko przed zwołaniem trybunału francuski dzienni-  
karz Jacques Dérogy opublikował książkę pt. "Sprawa Wallen-  
berga"; zebrał w niej najważniejsze materiały do jednej z

najbardziej zadziwiających historii naszych czasów. Historia ta zaczęła się 17 stycznia 1945 roku. Po 54 dniach zaciętych walk stolica Węgier zostaje oswobodzona - sowieckie wojska wybijają w mieście hitlerowców i węgierskich nazistów. Wczesnym rankiem tego dnia szwedzki dyplomata Raul Wallenberg wsiada do samochodu i pożegnawszy się z kolegami z poselstwa wyrusza do Debračyna, gdzie mieściła się kwatery głów- na wojsk sowieckich. Od tej chwili szwedzki dyplomata prze- pacca na wiski. Zaczyna się "sprawa Wallenberga".

Raul Wallenberg, potomek jednej z najbogatszych i najbar- dziej wpływowych rodzin szwedzkich, miał 32 lata, kiedy le- tem 1944 roku przyjechał do Budapesztu. Wiedział dokładnie, na czym polega misja, którą sam sobie wybrał: Wallenberg przyjechał ratować Żydów węgierskich.

Latem 1944 roku "ostateczne rozwiązanie kwestii żydow- skiej" było już uwieńczone sukcesem we wszystkich krajach zajętych przez wojska niemieckie. Wyjątek stanowiły Węgry. Z 787 tysięcy Żydów, którzy według spisu z 1941 roku mieza- kali na Węgrzech 350 tysięcy jeszcze znajdowało się wśród żywych. Ponieważ jednak zajmował się nimi Adolf Eichmann oso- biście, było jasne, że niedługo przyjdzie im czekać. W tym właśnie momencie przybywa do Budapesztu Raul Wallenberg.

Jacques Dérigny pierwszą połowę swej kariery poświęcił roz- paczliwiej, pomysłowej, chwytejcej się wszelkich sposobów akcji szwedzkiego dyplomaty: wydaje on Żydom szwedz- kie paszporty i nakłania przedstawicieli innych neutralnych krajów, np. San Salwadoru, żeby szli za jego przykładem, przekupuje esesmanów i węgierskich urzędników, ukrywa zbie- gów. W ciągu sześciu miesięcy jakie mijają od dnia jego przybycia na Węgry do klęski nazistów, udaje mu się uratować 30 tysięcy ludzi.

Raul Wallenberg należy do nielicznej grupy bohaterów XX wieku, którzy wskłiwili się nie mordowaniem, a ratowaniem lu- dzi. Po wyzwoleniu Budapesztu od hitlerowców misji swej nie uznał za skończoną: postanowił organizować pomoc dla tych, którzy przeżyli. Na przeoranych wojną Węgrzech, a przede wszystkim w ich stolicy, zaczął się wówczas gład "Szwedzki dyplomata, przedstawiciel neutralnego kraju, zamierza przed- stawić władzom sowieckim plan pomocy dla ludzi pozbawionych dachu nad głową i strawy.

Autor "Sprawy Wallenberga" stara się dojść, jakie mogły być racjonalne powody aresztowania dyplomaty neutralnego kraju. Przypuszcza on, że sowieckie władze nie mogły sobie wyobrazić, żeby Szwed, który żył sobie jak u Pana Boga za piecem w Sztokholmie, "tak sobie" pojedzał do Budapesztu i z narażeniem życia ratował ludzi; w ich oczach musiał mu przyswiecać jakiś niejasny, ale niewątpliwie groźny dla ZSRR cel. Zdaniem francuskiego dziennikarza Wallenberga mo- gli oskarżyć o współpracę z Gestapo, z którym musiał prowadzić rozmowy, skoro jego podopieczni znajdowali się w je- go rękach. Mogli go też oskarżyć o to, że był agentem wy- wiatu amerykańskiego - wojna z Niemcami zbliżała się ku końcowi, a wraz z nią kończyły się miodowe miesiące przy- mierza z krajami demokracji. Mogli mu przedstawić mnóstwo innych zarzutów. sowiecki człowiak już na długo przed woj- ną wiedział: wystarczy człowiek, a paragraf sam się znaj- dzie.

O co oskarżono Wallenberga nie wie nikt. Nikt też nie wie dokładnie, co się stało. Dokładnie wiadomo tylko tyle, że szwedzki dyplomata i jego asocjer, którzy 17 stycznia 1945 roku wyjechali samochodem z Budapesztu, przepadli bez



śladu na zawsze.

Druga część "Sprawy Wallenberga" to dzieje poszukiwań. W tamtych latach dziesiątki tysięcy ludzi przepadały bez śladu. Znaleźć ślad Wallenberga nie było jednak trudno. Przewadził on wszakże tam, skąd wyjść było nieskończenie trudniej. Szwedzkim dyplomacie wyjść się nie udało.

Dzisiaj, po wysłuchaniu świadków i zaznajomieniu się z dostępnymi dokumentami, wiadomo, że Kaul Wallenberg został po wyjeździe z Budapesztu aresztowany w drodze przez specjalny oddział sowieckiej służby bezpieczeństwa "Smiersz" /"Śmierć szpiegom"/, odwieziony z powrotem do Budapesztu, przesłuchany, po czym oddawiony przez Rumunię do Moskwy. 31 stycznia dwóch Niemców, później zwolnionych, spotkało się z nim w celi wewnętrznego więzienia na Łubiance /Plac Dzierżyńskiego 2/.

Wszystko to jednak stanie się wiadomo później. Póki co Szwecja zaczyna azukać swego dyplomaty. Sztokholm zwraca się do Moskwy, śle listy, ustne pytania, nawet formalne noty. 15 czerwca 1946 roku posłowi Szwecji udaje się dopiąć najwyższego zaszczytu - audiencji u generalissimusa Stalina. Wódznarodów sowieckich, który po zwycięstwie nad Hitlerem stał się wodzem całej postępującej ludzkości, próśby o odnalezienie Wallenberga wysłuchuje - jak zwykle takich próśb - uważnie i z zainteresowaniem. Generalissimus podkreśla, że sam nic nie wie, obiecuje jednak wszystko wyjaśnić. Kilka lat przed spotkaniem z posłem szwedzkim Stalin miał już podobną rozmowę: generał Sikorski pytał go o los 12 tysięcy polskich oficerów siedzących w sowieckich łagrach. Stalin, który rzadko tracił przytomność umysłu, wyjaśnił szefowi rządu polskiego, że wszyscy polscy oficerowie znieśli. Wyraził przy tym domysł, że uciekli do Mandżurii. Kiedy Stalin rozmawiał z generałem sikorskim, oficerowie polscy byli już zabici i Stalin pozwolił sobie na żart. Kiedy rozmawiał z posłem szwedzkim, Wallenberg żył: tym niemniej Stalin powiedział, "zebrawszy wszystkie świadectwa": "Mimo wszelkich poszukiwań, jakie podjęły armie i organy bezpieczeństwa, Wallenberga nie odnaleziono; ponieważ nigdy nie znajdował się on w ZSRR ani na terytoriach kontrolowanych przez ZSRR". Tym razem nie było mowy o ucieczce do Mandżurii, wysunięto natomiast domniemanie, że szwedzkiego dyplomatę zabili hitlerowcy albo węgierscy naziści.

Stalin umarł, dowodząc tym samym, że nawet pierwszy sekretarze są śmiertelni. Nastąpił Chruszczow, Szwecja zwróciła się do niego z prośbą o poszukiwanie Wallenberga. Nikita Siemgiejewicz obiecał pomoc. Ale i jemu nie udało się odnaleźć szwedzkiego dyplomaty. Powtórzył formułę Stalina: na naszym terytorium Wallenberga nigdy nie było.

I oto nagle Wallenberg się odnajduje. Między lutym 1952 i lutym 1957 roku Sztokholm wystosował do Moskwy 15 piędz semnych i 34 ustnych pytań o losy Wallenberga. Odpowiedź władz sowieckich była niezmiennie taka sama. Aż nagle 6 lutego 1957 roku, dwanaście lat po zaginięciu - dyplomata się odnajduje. Ścisłej mówiąc "odnajduje się" teczka z jego sprawą. Ze "sprawy" wynika, że kiedy "armia i organy bezpieczeństwa" na rozkaz Stalina szukały Wallenberga, znajdował się on całkiem niedaleko od Kremla - na Łubiance, która teraz nazywa się placem Dzierżyńskiego, w gmachu numer 2. Niestety - głosiła nota wystosowana do rządu szwedzkiego - zmarł on na zawał, w celi, 17 lipca 1947 roku. W "sprawie" - informowała dalej nota - znale-

ziono report naczelnika szpitala więziennego pułkownika Smolcowa do ministra bezpieczeństwa wewnętrznego generała Abakumowa. Niestety - powtarzała nota - pułkownik Smolcow zmarł. U ministrze nota nie wspominała, Moskwa jedna wiedziała, że Sztokholm wie, że generał Abakumow został w międzyczasie rozstrzelany jako współnik wroga narodu, marszałka Berii.

Sowlecka nota z 6 lutego 1957 roku zamyka "sprawę Wallenberga". Lecz, jak mówią przysłówie, kto raz skłamał, temu nigdy nie wierzą. Kłamstwo o Wallenbergu nie było pierwszym kłamstwem władzy sowieckiej. Ani drugim... Wątpliwości co do losu Wallenberga nie rozwiązało. Tym bardziej, że i po 6 lutym 1957 roku na Zachód bazustannie dochodzą wieści, że w rozmaitych więzieniach i obozach niezmierzonej sowieckiej dzierżawy spotyka się Szweda, który siedzi dziesiątki lat.

Ostatnia wiadomość o Wallenbergu pochodzi z Moskwy: pewien więzień po zwolnieniu opowiedział swej żyjącej obecnie w USA córce, że w więzieniu na Butyrkach spotkał jakiegoś Szweda. Powiedział jej to przypadkiem, nie podejrzewając, jakie to pociągnie za sobą skutki: człowiek ten został natychmiast aresztowany i przepadł bez wieści.

Dziesiątki milionów ludzi przeszły przez sowieckie więzienia i ka gry. Miliony przepadły w nich na zawsze. Zdawać by się mogło, że los jednego człowieka - to już nie tak wiele. Tragedia Raula Wallenberga, który ratował ludzi a potem spędził dziesiątki lat w sowieckich lochach i tam umarł albo umiera - jest symbolem nieludzkiej zbrodniczości ustroju, który sam siebie nazywa "świetlanym jutrem ludzkości". Jest on też symbolem siły tego ustroju: przez 35 lat Szwecja zadawała się nieśmiałyymi "ustnymi" i "pisanymi" pytaniami, gościła u siebie sowieckich władców, rewanżowała się wizytami za wizyty. Nigdy nie zdecydowała się zażądać zwolnienia Wallenberga.

Los Raula Wallenberga to symbol okrucieństwa, któremu przyswieca jeden jedyny cel - przestraszyć, przerazić przeciwnika tak, żeby zamarł, podobnie jak królik zamiera pod wzrokiem węża-dusiciela.

KULTURA 1/1981

#### CZY GROZI NAM INTERWENCJA -- Jacek KUROŃ

Jakie są w tej chwili nasze granice wolności? Jak daleko możemy się posunąć, by nie doszło u nas do tego, co stało się w Czechosłowacji w 1968 roku?

Ciągle ktoś się boi, że takim przekroczeniem granicy może być jakies konkretne wydarzenie, np. decyzja "Solidarności" o strajku. Otóż pomyśl patrzania na rzeczywistość w ten sposób, że interwencja nastąpi, bo wywieści się gdzieś transparent antyradziecki albo ktoś z KOR-u będzie miał jakąś funkcję w "Solidarności", jest kompletnie bez sensu.

Rosjanie tutaj wszadą lub nie wszadą w zależności od swoich możliwości interweniowania oraz od tego, czy uznają, że Polska wymyka się z ich sfery wpływów.

A więc najpierw ta pierwsza sprawa, Szczęsę, i nie jestem w tym sądzie osamotniony, że wkroczenie do Polski kosztowałoby Rosjan niezwykle dużo i że oni wcale tego nie chcą.

Po pierwsze - wiedzą, i takie jest powszechne odczucie społeczeństwa, że sytuacja wyglądałaby u nas inaczej niż

w Czechosłowacji, że tu doszłoby do wojny.

Po drugie - już sam fakt wojny w Polsce urochomiłby różne odśrodkowe siły w Związku Radzieckim. Przecież tam się i tak już różne rzeczy dzieją, nasilają się konflikty narodowościowe, pogarsza sytuacja gospodarcza.

Po trzecie - wierzę głęboko, że wojna w Polsce wywołałaby olbrzymie parcie opinii publicznej na rządy Zachodu, musiałyby one zastosować blokadę ekonomiczną wobec ZSRR; że ośmieliłoby to bardzo Chińczyków, którzy mają swoje porachunki ze Związkiem Radzieckim, że Chińczycy uzyskaliby niebagatelną pomoc z Zachodu i w efekcie powstałby nowy front na Dalekim Wschodzie.

Tak więc wkroczyć tutaj Rosjanie utraciliby najpewniej możliwość orowadzenia swojej imperialistycznej polityki w Azji, ekspansji w stronę Oceanu Indyjskiego. A być może - na skutek polityki zbrojeń, którą musieliby prowadzić przy odcięciu pomocy Zachodu, doszłoby do rewolty w różnych krajach naszego obozu, na które spadłyby koszty tych zbrojeń. To zaś mogłoby oznaczać koniec Związku Radzieckiego.

Sądzę, że kierownictwo radzieckie zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i dopóki nie będzie naprawdę musiało, dopóty powstrzyma się od interwencji.

„Kiedy uzna, że prawdę musi? Kiedy uzna, że Polska włączy się z rosyjskiej sfery wpływów? Trzeba być Breżniewem, żeby to wiedzieć, a nie przypuszczam, żeby wiedział to w tej chwili nawet Breżniew. Moskwa nie ma stałego przepisu na wjazd. Sądzę, że w obecnej sytuacji aktonna jest akcentować różne rzeczy, dopóki nie nastąpi generalne zagrożenie jej panowania.

„Przecież takia generalne zagrożenie nie ma nic wspólnego z tym, jakie się robi gesty czy miny, jakie się mówi słowa.

Jeśli ktoś uważa, że rytualne gesty są tu potrzebne, to niech je robi. Nie wydaje się, żeby wielkiemu Związkowi Radzieckiemu na tym zależało. Jest stare powiedzenie: „Moskwa słowem nie dowieriajet”. To prawda, Moskwa nie wierzy w słowa, ani miłosne, ani pełne nianowości - musi sprawdzić, a sprawdzić to znaczy mieć tu wojsko i policję.

I dopóki komuniści mają wojsko, policję i oczywiście centralną administrację - dopóty Moskwa wciąż jeszcze może liczyć na to, że przyjdą dla niej lepsze czasy i wszystko nam zabierze. A my liczymy na to, że przyjdą dla niej czasy jeszcze gorsze i wtedy nam jeszcze więcej odde.

„Polsca rodzi się teraz wielki ruch społeczny, wiele ruchów, bo to przecież nie tylko związki zawodowe. Ludzie doprowadzeni do ostateczności dotychczasową polityką władz biorą swój los w swoje ręce. I nikt ich nie zatrzyma. Można piszczeć, żeby przestali, ale to nic nie pomoże.

Poza tym zatrzymać się teraz - znaczyłoby to skazać się na katastrofę, jako że system centralnego sterowania został już rozbity, a nie powstało jeszcze na jego miejsce nic nowego.

Mamy więc z jednej strony te wielkie ruchy społeczne, tę samodzielność, samorządność w różnych dziedzinach życia, z drugiej zaś - konieczność zachowania tzw. kierowniczej roli partii, czyli jej panowania nad centralną administracją, policją i wojskiem. Oczywiście te rzeczy trzeba pogodzić. Musimy to zrobić. Musimy stworzyć zupełnie nowy model oparty na kompromisie.

Chodzi o to, aby to wszystko, co stanowi politykę wewnętrzną państwa, było uatlane w drodze negocjacji między zorganizowanym w semorządne i niezależne organizacje spo-

tecznictwem a władzami państwowymi. Nowy model stosunków społecznych to właśnie instytucjonalne formy tych negocjacji.

Takiego modelu nie da się wymyślić przy biurku. Musi być wypracowany przez wszystkie te ruchy społeczne, poprzez dyskusję. Pomysłów będzie na pewno wiele, będą one kontrolersyjne, sporne. Tylko w ten sposób może powstać model, który stanie się własnością całego społeczeństwa.

Proces tworzenia się tych ruchów, wypracowywania nowego modelu jest zarazem procesem wyrwania władzy komunistycznej kolejnych dziedzin życia społecznego. Takie ograniczanie władzy komunistów może prowadzić do tego, że całkiem ją utracą. I w tym sensie musimy ryzykować wjazd radzieckich czołgów.

Ale ponieważ tego nie chcemy, to nie chcemy również, nie wolno nam przekroczyć tej granicy, którą jest obalenia centralnej władzy komunistycznej. Nie przekroczymy jej tylko wówczas, gdy wypracujemy instytucjonalne formy negocjacji. Bez tego każdy kolejny i nieunikniony w obecnych warunkach konflikt grozi wybuchem, a tym samym stwarza ryzyko niezamierzonego obalenia władzy.

Jestem przekonany, że interwencji nie będzie. Nie jest to wisra irracjonalna. To co się dotychczas zdarzyło, to co się nam udało osiągnąć pokazuje wyraźnie, że istnieją w naszym społeczeństwie siły, zdolności i możliwości, żeby zorganizować się i dokonać niezbędnych reform, nie naruszając granic strzeżonych przez radzieckie czołgi.

Robotnik, 23.11.1980 Nr 68/69.

KULTURA 10/1981

PRZEMÓWIENIE PREZESA SDF red. St. BRATKOWSKIEGO  
NA PRZEDZJAZDOWEJ KONFERENCJI SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZEJ PZP  
W WARSZAWIE W DN. 28 CZERWCA 1981 r.  
/według stenogramu do protokołu/

Towarzysze,

stając na tej mównicy, mam tylko jedną nadzieję: że moje słowa zdołają dotrzeć do tych, do których są adresowane i że będą cytowane bez zniekształceń.

Zacznę od paru zdań natury osobistej. Jak wiadomo, z usposobienia i poglądów jestem konstruktystą. Napisałem parę książek i sporo artykułów o tych, którzy nie tylko potrafili wznosić okrzyki i głosić nadsz, ale zrouć coś pozytywnego dla kraju, nawet w najtrudniejszych warunkach. Przymienniem zapomniane wielkie postacie, którym Polska zawdzięcza przetrwanie swojej substancja narodowej przez ostatnie dwieście lat, ludzi, którzy potrafili pracować, a jeśli trzeba było - i umierać dla kraju. Dla romantyków byłem przy tym nie dość romantyczny, dla krytyków sytuacji w Polsce - nie dość re-dykalny. A ja, po prostu, starałem się kierować zdrowym rozsądkiem w tym co mówię i robię, razem zresztą z wieloma ludźmi dobrej woli w naszym kraju.

Sądę, że również w tym, co chcę powiedzieć dzisiaj nie będzie nic poza zdrowym rozsądkiem, choć czasem bywa tak, że zdrowy rozsądek staje się dla niektórych - wywrotową propozycją. Ale to już nie ode mnie zależy.

Nadal dla wielu jestem nie dość radykalny. Przecież na łamach dodatku do Życia Warszawy pt. Życie i nowoczesność,

który weduję, nie było akcji rozliczeniowych, jeśli nie liczyć opinii o działalności b. Ministerstwa Przemysłu Kaszynowego, a i to - z punktu dzisiejszych problemów, a nie przeszłości. Nie było akcji rozliczeniowych, ponieważ byliśmy zdania, moi koledzy i ja, że system zarządzania i sposób uprawiania polityki w Polsce w latach siedemdziesiątych doprowadziły do katastrofy nawet gdyby na miejscu ludzi typu Gierka i Jaroszewicza znaleźli się sami geniusze i aniołowie. Ten proces rozkładu był nieuchronny i coś ketwy do przewidzenia. Niechajna, ostentacyjna bezerność naszych partyjnych nowobogackich w latach siedemdziesiątych przeszkania tę prawdę: np. Ebiuch żył skromnie i co mało inteligentnych nie należał, a co z tego?

Ale gdyby nawet ci towarzysze nowobogacy powstrzymali się w swych namiętnościach, nie uchroniliby to nas przed gigantycznym systemowym marnotrawstwem i demoralizacją, które wciągnęły w mechanizm korupcji wielu najwartościowszych ludzi naszej gospodarki. Przykładowo: Jerzy Ciszewski był - obok Komendera z pakowskich ZEG - bez wątpienia naszym najlepszym menadżerem przemysłowym ostatnich kilkunastu lat, a na jaką zszedł drogę. Ale przecież to, co ukradziono, przywłaszczono, to tylko drotny ułamek miliardów zmarnowanych, zaprzepaszczonych na skutek błędów, popełnionych przy założeniach w polityce zarządzania.

I dzisiejsza sytuacja nie jest tylko kwestią poszczególnych osób. Siana przez lata nieufność przerosła już w kompleks psychologiczny. Nieufność wobec władzy musiałaby sparaliżować zdolność rządzenia nawet gigantów, gdyby tacy byli wśród nas. Nawet kard. Wyszyńskiego, przypomnijmy sobie Sierpień, nie słuchano, gdy mówił coś, co mogłoby być przyjmowane jako wynik ukrytej gry. Również Krajowa Komisja Porozumiewawcza "Solidarności" także musi obradować publicznie, na oczach szeregowych członków tego związku, ponieważ domniemanie pełnej uczciwości nie obejmuje dzisiaj nikogo.

To jest najtrudniejszy chyba spadek po latach siedemdziesiątych: trudności odbudowy wzajemnych stosunków zaufania między społeczeństwem a wszelką władzą. No, ale takie są realia. Realia naszej sytuacji wewnętrznej, te najogólniejsze. Bo są i szczegóły, które ważą na szansach wyjścia z kryzysu. Rozzuchwalona, otwarcie rozłamowa aktywność grup sekciarsko-dogmatycznych w naszej partii, a z drugiej strony - aktywność ludzi, którzy nie chcą zrozumieć, że w Polsce nie ma miejsca na manifestacyjną antyradzieckość, w ogóle - na żadną antyradzieckość, i to nie tylko ze strachu.

Broniłem tych ludzi przed stosowaniem wobec nich środków administracyjnych, miałem nadzieję, że zechcą przynajmniej powstrzymać się od działań i wypowiedzi, które mogą nasuwać wątpliwości co do charakteru i kierunku przemian w Polsce. Nie namawiałem ich, żeby pokochali władzę, nie namawiałem władzy, żeby ich pokochała. Proponowałem tylko modus vivendi, który by gwarantował realizację przynajmniej podstawowych interesów kraju, umożliwił budowę szerokiego porozumienia narodowego. Ze smutkiem stwierdzam, że te usiłowania moich kolegów i moje nie odniosły skutku. Ambicje personalne, sekciarska jednościusznosc i inne elementy okazały się tu silniejsze. Mogę powiedzieć z pełną odpowiedzialnością za słowo, że i ten czynnik ma swój poważny udział w dzisiejszym obrocie sytuacji w kraju. Warto było zastanowić się nad tym wcześniej.

X X X

Polska znalazła się dziś w miążdzących kleszczach. Nie wszyscy zdają sobie jeszcze w pełni sprawę z tego, że kraj nasz w stanie katastrofy gospodarczej przypomina pod wieloma względami kraj pokonany w wyczerpującej wojnie, a który musi jeszcze płacić ponadto kontrybucję. Pokonany w dziwnej wojnie: armia nie poniosła klęski i istnieje nienaruszona, bo mamy wspaniałe, wyszkolone po wojnie kadry świetnych robotników i inżynierów; mamy niegorszy, zbudowany głównie już po wojnie, potencjał techniczny; mamy bogaty zasób surowców, nie w pełni jeszcze rozsprzedany przez poprzednią ekipę; ale gospodarka tego kraju nie może prawidłowo działać, bo nie ma energii, paliw, materiałów, bo struktura prowadzenia była przez lata krańcowo nieudolna, a obecnie rotacja się już całkowicie. A na domiar złego - trzeba jeszcze płacić swoiste "reparacja wojenne" rządowi dwudziestu kilku miliardów dolarów zagranicznych długów.

Zachodni biznes chciałby odzyskać te swoje pieniądze i wobec tego gotów byłby udzielać dalszych pożyczek, nie w celu udzielania pomocy Polsce, ale w celu zapewnienia sobie łącznego ich zwrotu wraz z odsetkami. Ale klient - czyli Polska - przez cały rok nie zmienia swojego systemu zarządzania, brnie dalej w popełnianiu tych samych co przedtem błędów, ślamazarzy z reformą ekonomiczną, nie odzyskuje wiarygodności płatniczej, s na erenie wewnętrznej - nie robi nic, żeby doprowadzić do najważniejszego, do narodowej zgody.

Z kolei niemała część amerykańskich polityków wcale nie jest zainteresowana w zapanowaniu w Polsce stabilizacji: nie tu kipi, niech się komuniści kompromitują, niech Moskwa na możliwie największe kłopoty, niech musi - w ten, czy inny sposób - interweniować; niech w drgawkach Polski potwierdza się na oczach całego świata teza o tzw. niereformowalności tego systemu.

Trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że w tej rozgrywce Polska jest tylko jednym z pól na światowej szachownicy, a ewentualna krew Polaków - jednym z żetonów w tej grze. Nie w grze, nie w polskiej grze. Niemała część prasy światowej ubrazuje w Polsce to, co potwierdza takie właśnie diagnozy i ciężej nadzieje.

Niestety podobnie zachowują się i nasi przypięciele. Ograniczają na pomoc raciecka ostatnich miesięcy: dwa miliardy dolarów kredytu, stałe systematyczne dostawy mimo braku rewanżu z naszej strony, wszystko to traci na znaczeniu wobec dzieł politycznych, które - powiem otwarcie - mogą zaprowadzić naszą partię na skraj przepaści. Poparcie dla grup rozłamowych i sekciarskich w partii wynika zapewne z nieznaności polskiego realium i odrębności; do odpowiednich osób i instancji należy zatem, żeby je jak najszybciej przedstawić i wyjaśnić.

Alte wbrew temu, co słyszeliśmy na tej sali, odcinał naszą partię od narodu nie rewizjonizm, ale dogmatyzm i sekciarstwo. Można próbować odbudowywać tę partię bez robotników, bez młodzieży /której mamy dziś w partii przyszkolowo "jak na lekarstwo"/, bez intelektualistów /których też już niewiele zostało/, bez dziennikarzy również - samym tylko niemal aparatem zrobić partię z samych tylko pewnych, widnych i dobrze opłacanych, można ją nawet rozwiązać i stworzyć nową, albo świadomie dokonać rozłamu, podzielić i na nowo formować. Tylko że to wszystko niczego w kraju nie załatwi,

a narodu do władzy i partii nie przybliży i nie zapewni im zaufania społecznego. Podobnie jak stosowanie, przy różnych okazjach, siły. To siła, stosowana wbrew społeczeństwu lub przeciw niemu, nie nada efektywności w gospodarce, ani sprawności zdezelowanej strukturze władzy.

Mówi to tutaj człowiek, który nie ma żadnych ambicji osobistych, który jest za silną władzą w Polsce, ale władzę wiarygodną; który jest ze sojuszem i przyjaźnią ze Związkiem Radzieckim i który argumentuje to nie tylko racjami geopolitycznymi, choć i one powinny się liczyć na serio, który nie zgadza się z bzdurami o "finlandyzacji" Polski, dłatego m.in.: że obok ZSRR graniczy ona nie ze Szwecją i Norwegią ale z NRD i Czechosłowacją. Sojusz, współpraca i przyjaźń ze Związkiem Radzieckim - to żywotny interes Polski. Pytanie tylko, czy nasi przyjaciele, ci znacznie od nas silniejsi, chcą mieć u władzy w Polsce autentycznych swoich przyjaciół, a przy tym faktycznie zdolnych poprowadzić swój naród, chociaż na pewne sprawy mogą mieć nieraz inne, swoje zdanie, czy też - kolejnych, choć może miłszych dla oka i ucha, deklamatorów, nikogo w praktyce nie reprezentujących i mających naród przeciwko sobie.

Moim zdaniem - stabilna, a zaprzyjaźniona i wiarygodna w sojuszach Polska, jest w interesie naszych sąsiadów. Ale nie uzyska stabilizacji kraj, żyjący od miesięcy w poczuciu zagrożenia z zewnątrz, z władzą atakowaną nieustannie od wewnątrz, i z zewnątrz.

x x x

W sierpniu i wrześniu ub. roku, po największych napięciach polskiego przełomu, nie zanotowaliśmy żadnych akcentów antyradzieckich. Sami robotnicy pilnowali, żeby nie było wśród nich jakiegś prowokacji, a następnie wątpliwości co do tego, że nasze zmiany nie zagrażają nikomu: ani sąsiadom, ani własnemu ustrojowi także. Aż tu niemal po roku, tuż przed zjazdem partii nagle pojawiają się, kampanijane i falowo, jak na zamówienie: a to zajścia przeciwko porządkowi publicznemu i organom MO w różnych miastach Polski i wkrótce również nagle zanikają, a za to później - znowu wyburki antyradzieckie, jakże jednoznaczne, niemal stereotypowe, w swym powtarzaniu się prawie jednostajnie, miarowo, co drugi dzień, kolejno w coraz to innym województwie, wprawdzie jednorazowo w nim, ale zdawałoby się, że obejmują lub obejmą wkrótce cały kraj, całe społeczeństwo. Zadziwiająca, prawda?

Zewnętrzne ataki prasowe na przemiany w Polsce, skwapliwie podchwytywane przez radio "Wolna Europa", zmarnowały już sporo wieloletniej pracy mądrych ludzi nad zmianą nastawień psychologicznych w miejsce resentymentów. Bardzo źle rzutuje to obecnie na nastroje społeczne i na sytuację w Polsce; warto poważnie zastanowić się nad tym, aby poczynić odpowiednie kroki i temu zaradzić.

x x x

W kwietniu 1970 roku, na sympozjum w Jabłonce, wiedząc o przygotowywanej akcji tzw. bódźców, a następując planowanych podwyżek cen żywności, miałem okazję publicznego stwierdzić, jak Cassandra, że późną jesienią tegoż roku musi dojść do krewawych zajść na ulicach polskich miast; nie o wiele tygodni trafikiem. Później wraz z przyjaciółmi bratem udzieli w opracowaniu raportów konserwatorium "Doświadczenie i przyszłość", które - pierwszy - w 1979 roku oraz drugi wiosną 1980 roku - scenariuszowo przedstawiły kryzys nadchodzącego polskiego lata 1980 roku, nawet z negocjacyjnym tonem

jego rozwiązywania. Nie trzeba było do tego wszystkiego być prorokami, a wystarczyło tylko dokonać obiektywnego przeglądu sytuacji i zwykłej naukowej - socjologicznej i ekonomicznej - analizy.

Podobnie dziś, chcę tu wyraźnie powiedzieć, że stoimy materialnie wobec olbrzymiej groźby ogromnych napięć i konfliktów społecznych w związku ze świadomym niewykonaniem przez stronę rządową porozumień z sierpnia i września ub. roku, nawet w tych punktach, które nie wiążą się z żadnymi kosztami ekonomicznymi. Chcę wyraźnie powiedzieć, że w następstwie tego stoimy w najbliższej przyszłości wobec realnej groźby rozpadu, a później, może nawet samolikwidacji w praktyce naszej partii. Wystarczy porównać ilość należących do partii robotników, będących równocześnie członkami "Solidarności", w których obronie żywotnych interesów materialnych codziennego życia ten związek nastąpi.

To nie jest kwestia dobrych chęci tych czy innych towarzyszy spośród nas. Społeczeństwo co najwyżej przyjmie biernie wybór tych lub innych, poszczególnych, nieakceptowanych powszechnie towarzyszy do naczelnych władz partii, niezależnie od czyichkolwiek walorów lub braków - jako wymuszony przez naszych sąsiadów i przyjaciół. Tak właśnie są powszechnie interpretowane ostatnie międzynarodowe wymiany listów. Osobiste zaangażowanie się I sekretarza KC, tow. Kania, w taki wybór niektórych towarzyszy, dowodzi tego właśnie w odczuciu opinii publicznej, choćby ani towarzysze radzieccy, nie naciskali, ani tow. Kania - nie miał takich intencji.

x x x

Warszawska organizacja partyjna wzięła na siebie odium nierozwiązanej dotąd sprawy Grudnia 1970 roku, wybierając przewodniczącym swojego I sekretarza, ale nie żądając przy tym pełnego wyjaśnienia, kto jest za Grudzień personalnie odpowiedzialny, chociaż jeszcze przed laty miał się na ten temat ukazać odpowiedni raport. Tak właśnie oceniła tę dyskusję na naszej konferencji szeroka opinia publiczna, ze wszystkimi konsekwencjami tego. Tak dzieje się w polityce, czy tego chcemy, czy nie chcemy.

Ale czy to ma może przyczynić się do zapanowania pokoju społecznego w kraju? Podobnie, jak wciąż niezakończona sprawa radomska, bydgoskie, otwockie i tyle innych. Czy taki stan ma przyczynić się do zmiany nastrojów w społeczeństwie, zwłaszcza w stosunku do władzy, i do powszechnego poparcia wysiłkiem społecznym naprawy naszej gospodarki?

Nie można przyjąć, że cały naród nagle zwariował, że jest wciąż ślepy i głuchy i nadal nic nie rozumie. Nie można - w polityce - obrazić się na cały naród: ani na swój, ani na cudzy!

x x x

Rozumiem w pełni niepokój towarzyszy radzieckich, ale powtarzam: wiarygodnym sojusznikiem może być w Polsce tylko władza i partia, akceptowana przez swoje własne społeczeństwo. Teraz, kiedy w ciągu najbliższych miesięcy, jeśli nie tygodni, może czekać nas kolejna zapaść - dno kryzysu gospodarczego, pogłębionego o nowy potężny wybuch niezadowolenia społecznego, m.in. na skutek niedopracowanej do końca i nie zaakceptowanej przez wszystkie związki zawodowe zamierzonej szeroko zmiany cen detalicznych na koszt znowu społeczeństwa, bez akceptacji społecznej i bez odpowiedniej rekompensaty, może dojść znowu do tego, jak w marcu bież. roku, że w rozstrzygnięciach generalny rząd



i partia będą między przeciwko sobie całe społeczeństwo. Wtedy jedynym i ostatnim już rozwiązaniem może być wrócić już tylko konieczność powołania rządu prawdziwego porozumienia narodowego, dla ratowania kraju wszystkimi możliwymi do zmobilizowania siłami. Nie wolno nikomu tej ostatniej deski ratunku zlekceważyć. Do później może się okazać, że w tym porozumieniu narodowym już bardzo mało znaczącym czynnikiem i partnerem będzie nasza partia.

x x x

Jest źle. I bardzo trudno. Również we wszystkich dziedzinach działalności politycznej i społecznej, i trzeba to sobie wreszcie powszechnie w partii unacznnić. Praktycznie jeszcze tylko armia działa u nas normalnie, jak poprzednio, bo nic innego nie rozwija się już, jak powinno. Nawet Generał, który wziął na swoją głowę i barki cały ten "polski interes" grzeźniej coraz bardziej w naszej nieszczęśliwej strukturze administracyjno-gospodarczej, jak w lotnych piaskach.

System jest nie sterowany praktycznie niemal od sześciu lat, a nie od wczoraj. Gospodarka nie rozwija się, stoi coła się, a właściwie "leży" według popularnego powiedzenia warszawskiej ulicy. Trzeba prawdziwych zasadniczych reform i wielkiej mądrości władzy, żeby ruszyć z martwego punktu. Ale trzeba też wielkiej mobilizacji narodu do tego dzieła, trzeba umieć ten naród zmobilizować! Kto ma to zrobić? Dotychczas stosowanymi środkami?

Bo co się robi? W całkowitym oderwaniu od społeczeństwa, według najgorszych dotychczasowych wzorów, powierzono na prawę tego zegarka rękóm starców, którzy go uprzednio przez wiele lat psuli i którym naprawdę nie zależy, żeby go zreperować, bo wówczas stracą swoje wygodne stołki i ciepłe fotele. Wołec tego będą go naprawić pozornie i jak najczudziej, czego dowody mamy przez ostatnie miesiące.

A za to strofuje się coraz częściej intelektualistów i dziennikarzy, którzy to i inne niekonsekwencje wytykają. Nie ma za co ich strofować, bo to jest ich obowiązek zawodowy. Trzeba zatem samemu powiedzieć społeczeństwu publicznie i otwarcie całą prawdę, bez ogródek: jak jest naprawdę w tym kraju i - co najważniejsze - dlaczego? I co możemy, co powinniśmy i musimy zrobić wszyscy razem, wspólnie całym społeczeństwem, zgodnie i nie pozornie, jak dotąd, ale faktycznie, zaspokajając żądania społeczeństwa w takim zakresie, jak to jest obecnie możliwe, zwłaszcza w dziedzinach nieekonomicznych; a co do reszty - podesć przysuszczałne terminy, w jakich przystąpi się do realizacji prób dotychczasowych wybiegów, jeżeli ta władza chce uzyskać tożsamość i odzyskać zaufanie społeczeństwa.

Słyszę głosy, że na to wszystko już za późno, że czeka nas nieuchronna katastrofa i że najlepszy program nas nie uratuje, bo trzeba okresu całego pokolenia, żeby wrócić do pełnej stabilizacji ekonomicznej. Nie zgadzam się z tym. W naszym narodzie tkwią niezmiernie siły i możliwości, jeżeli uzyska się jego wiarę i zaufanie. Platforma prawdziwej zgody społecznej uratuje kraj i naród, a może i partię. Była ta zgoda się narodzika. Brak takiej zgody społecznej, w pełnym porozumieniu z większością narodu, sianie z różnych stron niepokoju przyniosłoby na nasz kraj w najbliższych miesiącach po zjeździe partii najcięższe chwile w naszej historii obecnego wieku.

A tymczasem martwić musi wewnątrzpartyjna optyka w rozgrywkach ostatnich miesięcy. Ściśle personalna optyka wąskich osobistych interesów, tych nie najlepiej rozumianych prób szukania oparcia. Wczoraj tow. Olszowski jeszcze raz potwierdził tu swoją akceptację dla organizacji, którą przybrała świętą dla mnie, syna zachodnich kresów, nazwę "Zjednoczenie Grunwald". Otóż niezależnie od moich osobistych poglądów w tej kwestii - a jestem synem jednego z tych Polaków, którzy wyciągali Żydów z rąk hitlerowskich - otóż niezależnie od moich poglądów muszę tu głośno, dobitnie podkreślić, że polskie środowisko intelektualne nie potraktuje jako partnera politycznego kogoś, kto akceptuje jeszcze dzisiaj ruch faszystujący o antysemitycznym obliczu; i to niezależnie od pozycji, jaką on gdziekolwiek zajmuje. I po co to było mojemu dawnemu przyjacielowi, nie wiem. Tak skreśliła się właśnie wielu wartościowych ludzi tej partii.

Bo cóż z tego, jeśli ich nawet tu wybierzemy, skoro całą czołówkę życia umysłowego kraju będą mieli - na skutek postawy zajmowanej w różnych dziedzinach - przedwzrostku sobie. Nie zdzierzą, jak ich poprzednicy. Można, oczywiście, po pewnym czasie i tę elitę życia umysłowego zepchnąć, jak kiedyś, na margines. Ale na jak długo? Można - również - pod jakimś pozorem - nawet wypędzić ich nową falą z kraju. Ale co dobrego może to przynieść Polsce? W jakim stopniu ma to pomóc krajowi w jego obecnej sytuacji."

x x x

Na zakończenie jeszcze kilka słów o sobie. Nie odmawialem, i nie odmawiam współpracy nikomu, kto chciałby i próbował zrobić coś pożytecznego dla kraju. Nawet ludziom, którzy mnie permanentnie nie lubili. Zekładałem dobrą wolę nawet u tych, którzy kiedyś spodziewali się, że zmarnieje wraz z rodziną z głodu bez etatu. Od miesięcy jestem adresatem nie zawsze humorystycznych wręcz paszkwili, wymysłów i ataków. Nie robi to już na mnie wrażenia, bo nigdy nie traktowałem poważnie takich, nawet tych odważnych, od tupania pod stołem. Gdyby to miało pomóc naszej partii lub mojemu środowisku zawodowemu gotów jestem w każdej chwili dobrowolnie zrezygnować z prezesury w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Chętnie zrezygnuję również z udziału w zjeździe, gdybym miał być wybrany. Ale zależy mi na jednym tylko, żeby to, co dziś tu powiedziałem dotarło nie tylko do serc i umysłów ludzi tu na tej sali, na tej konferencji.

x x x

LIST DO RADY PAŃSTWA PRL

Warszawa, 31 sierpnia 1981.

Do Rady Państwa  
Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej  
W a r s z a w a

Sejm PRL uchwalił w lipcu 1981 roku ustawę o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944. W uzasadnieniu wniosku o jej uchwalenie stwierdzono, że odznaczenie "będcie widocznym znakiem uznania dla walczących, tych co przeżyli i tych co polegli".

Wizyj popisanii, byli uczestnicy Powstania Warszawskiego, uważają za swój moralny i obywatelski obowiązek zwrócić się do Rady Państwa PRL z następującymi uwagami, z którymi pragną jednocześnie zapoznać opinię publiczną:

1. Jest faktem oczywistym, że uznano w sposób wroczysty znaczenie Powstania Warszawskiego w walce o niepodległość oraz znaczenie bohaterstwa i ofiary uczestników Powstania w historii narodu. Pominęto jednak podstawowy fakt historyczny, że Powstanie przygotowane było, nakazane, dowodzone i przeprowadzone przez dowództwo Armii Krajowej, która stanowiła integralną część Wojska Polskiego /Polskich Sił Zbrojnych/, walczącego nieprzerwanie od 1 września 1939 roku o niepodległość i suwerenność państwa polskiego. Jest faktem bezspornym, że Powstaniu udzielili czynnego poparcia żołnierze innych organizacji wojskowych i politycznych wtedy istniejących w Warszawie, że w nim wspólnie bohaterstwo walczyli i ginęli. Jest również faktem bezspornym, że Powstaniu udzieliła powszechne poparcie ludność Warszawy, że w nim uczestniczyła i ponosiła wielkie ofiary. To wszystko jednak nie może zważyć przy ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 roku od stwierdzenie - w uzasadnieniu ustawy - że Powstanie warszawskie było dziełem Armii Krajowej.

2. W ciągu ponad trzydziestu lat wielokrotnie oczerniano i zohydowano Armię Krajową, jej żołnierzy i dowódców centralnie kierowanych i kontrolowanych środkach przekazu PRL, w licznych oświadczeniach oficjalnych, w podręcznikach szkolnych, a nawet z okazji akademii rocznicowych. Niektórych twierdzeń propagandowych, a w tym szkodliwego politycznie i historycznie /również z punktu widzenia historiografii innych państw/ twierdzenia, jakoby Armia Krajowa "stała z bronią u nogi", nigdy nie owocono i nie skorygowano. Nie anulowano również - z podaniem motywacji - wielu wyroków sądów PRL i ich uzasadnień, że Armia Krajowa współpracowała z Gestapo, była na usługach Gestapo i walczyła przeciwko większej części narodu polskiego.

Tendencja do dzielenia byłych żołnierzy Armii Krajowej na dobrych i złych z punktu widzenia dorocznych ocen politycznych była powszechna i występuje niejednokrotnie do dziś. Znajduje to wyraz między innymi w różnym traktowaniu ludzi należących i nie należących do monopolistycznej organizacji kombatanckiej, jaką jest ZBOiD.

Jak powszechnie wiadomo, w pierwszym dziesięcioleciu powojennym, eufemicznie określanym jako "okres błędów i wypaczeń" więziono nieskutecznie żołnierzy AK, uczestników Powstania Warszawskiego i skazywano ich pod hańbiącymi zarzutami. Wielu aresztowanych przytyło do życia, a bardzo wielu - latami pozbawienia wolności, poniżenia i utratą zdrowia. Dotychczas nie zostali zrehabilitowani przywódcy Polskiej Podziemnej jak Delegat Rządu RP Jan Stanisław Jankowski, Przewodniczący Rady Jedności Narodowej Kazimierz Pużak, Komendant Główny Armii Krajowej gen. bryg. Leopold Okulicki i inni.

Do wyjątków jednak należało podawanie do wiadomości publicznej tych faktów, publiczne i pełne rehabilitacja nieskutecznie skazanych. Są przypadki utajenia do dnia dzisiejszego miejsca pochowania żołnierzy i dowódców AK niewinnie straconych w tym okresie. Powszechne też były różne formy dyskryminacji żołnierzy AK uniemożliwiające kształcenie się i normalną pracę zawodową.

3. Siedemdziesięciu sześciu generałów i wyższych oficerów Wojska Polskiego, bohaterów walk o niepodległość, a tym dowódców Powstania Warszawskiego, a wśród nich dowódcę Korpusu Warszawskiego AK gen. bryg. Antoniego Chruściela "Monttera", pozbawionych zostało obywatelstwa polskiego uchwałą Rady Ministrów z 26 września 1946 roku.

4. Do dziś przemilcza się w Polsce, nawet w nekrologach - w wyniku zalecanej ingerencji cenzury - fakt posiadania Krzyże Armii Krajowej, nśdawanego przez Kapitułę złożoną z byłych żołnierzy AK w Londynie. Barazo wielu uczestników Powstania Warszawskiego żyjących w Polsce szczyci się posiadaniem tego pamiątkowego odznaczenia. Jednym z takich był zmarły niedawno ksiądz Stefan Kardynał Wyszyński, Prymas Polski, kapelan AK.

5. Jedynym wnioskodawcą nśdawania Krzyża /dla osób nie pełniących służby wojskowej/ ustawa wyznacza ZBoWiD. Organizacja ta nie grzesza wszystkim uczestników Powstania Warszawskiego, a jej dotychczasowa praktyka wskazuje, że dyskryminuje świadomie między innymi wielu żołnierzy AK, uczestników Powstania. Dotyczy to choćby nieprzestrzegania obowiązków - zujących zasad zatercia kery i ujawniania karalności oraz odmawiania weryfikacji odznaczeń i uprawnień kombatanckich. ZBoWiD może być odpowiednim wnioskodawcą wobec swoich członków. Tymczasem ustawa o ustanowieniu Warszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 przewiduje dość szeroki zakres uprawnionych do jego otrzymania.

Zdaniem podpisanych tylko Kapituła Krzyża z decydującym udziałem niezależnych czynników społecznych mogłaby zapewnić w oczach ogółu pożądaną wiarygodność tej akcji odznaczeniowej.

Ustawa o ustanowieniu "arszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 powinna być związana z zasadniczych względów moralnych i wychowawczych z odważnym mówieniem prawdy, nawet gdyby nie było to łatwe, oraz z otwartością zarówno motywacji teoretycznych, jak i praktyki.

Uznajemy w pełni, że każdy żołnierz AK kieruje się własną decyzją dotyczącą między innymi przyjmowanie odznaczeń. Stojąc jednak na stanowisku równości wobec historii wszystkich uczestników Powstania Warszawskiego, bez względu na ich ówczesne czy obecne poglądy, czy przynależność organizacyjną - niżej podpisani czują się w obowiązku stwierdzić, że nie widzą dla siebie moralnej możliwości pretendowania do "arszawskiego Krzyża Powstańczego 1944 dopdki wyżej przedstawione problemy i wątpliwości nie zostaną pozytywnie rozstrzygnięte wraz z podaniem tego do wiadomości publicznej.

Władysław Bartoszewski "Teofil", Jadwiga Beaupt "Malina", Adam Borys "Frug", Stanisław Broniewski "Orsza", Hanna Bzdzyńska "Zula", Wiesław Chrzanowski "Poraj", Stanisław Dzielwski "Poroniec", Zbigniew Gąsior "Garbaty", Aleksander Gieysztor "Borodziej", Stanisław Jankowski "Agaton", O. Krzysztof A. Kaszica OP "Ostoje", Jerzy Kłoczowski "Piotruś", Leopold Kummant "Ryski", Wincenty Kwieciński "Lotny", Kazimierz Leski "Bredl", Jan Józef Lipski "Grabie", Stefan Mirowski "Bolek", Kazimierz Ostrowski "Olesza", Zbigniew Pawelski "Jastrzab", Kazimierz Piechotka "Jacek", Witold Rudowski "Prus", Józef Rybicki "Andrzej", Władysław Siłanowicki "Bogdaniec", Zbigniew Skoworodko "Jarko", Stefan Smarzyński "Balon", Jan Strzelecki "Władek", Wojciech Świątkowski "Korezak", Andrzej Tymowski "Nowkowski", Anna Zawadzka, Aleksander Zawadzki "Andrzejewski", Ks. Jan Ziej "Rybak".

## S P I S   T R E Ś C I

1. CZESŁAW MIŁOSZ - Noty o wygnaniu /Kultura nr 3/.....str. 1
2. Ks. JÓZEF TISCHNER - W imieniu laickiej lewicy  
/Kultura nr 4/.....str. 4
3. Obserwatorium /Kultura nr 6/ .....str.14
4. TYMOTEUSZ KLEMPSKI - Stefan Kardynał Wyszyński.  
Prymas /Kultura nr 7/.....str.19
5. Solidarność /Kultura nr 9/.....str.27

### WIERSZE

6. STANISŁAW BARANCZAK /Kultura nr 3/.....str.31
7. ANKA KOWALSKA - Racja stanu /Kultura nr 5/.....str.32

### ARCHIWUM POLITYCZNE

8. JAN NOWAK - Jak wygrać trzecią wojnę światową  
/Kultura nr 4/.....str.34
9. BRUKSELCZYK - Widziane z Brukseli /Kultura nr 4/.....str.43
10. JAN KIELANOWSKI - Czy jest potrzebna niezależna  
opozycja /Kultura nr 5/.....str.49
11. DOMINIK MORAWSKI - Korespondencja z Rzymu  
/Kultura nr 5/.....str.55
12. JAN KOWALSKI - Wariant optymistyczny /Kultura nr 6/.....str.59
13. DOMINIK MORAWSKI - Korespondencja z Rzymu  
/Kultura nr 6/.....str.63
14. MACIEJ POLESKI - Umowa i zмова społeczna  
/Kultura nr 1/.....str.68
15. SOCJUSZ - Teoria i polska jedność /Kultura nr 7/8/.....str.73
16. ZYGMUNT OLSZTYŃSKI - ... i co dalej /Kultura nr 7/8/...str.81

### SĄSIEDZI

17. Rozmowa z Bukowskim w Madrycie - Barbara Toruńczyk  
/Kultura nr 1/2/.....str.89
18. ADAM KRUCZEK - W sowieckiej prasie /Kultura nr 6/...str.94
19. ADAM KRUCZEK - W sowieckiej prasie /Kultura nr 9/.....str.99
20. ADAM KRUCZEK - W sowieckiej prasie /Kultura nr 10/.....str.105
21. ADAM KRUCZEK - W sowieckiej prasie /Kultura nr 11/.....str.110
22. Rozmowa z Aleksandrem Zinowiewem - rozmawiał M. Broński  
/Kultura nr 11/.....str.114

x x x

23. GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI - Dziennik pisany nocą  
/Kultura nr 4/.....str.118
24. GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI - Dziennik pisany nocą  
/Kultura nr 6/.....str.131
25. GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI - Dziennik pisany nocą  
/Kultura nr 10/.....str.138

#### WOŁANIE NA PUSZCZY

26. KISIEL - Nadziaje i złydy /Kultura nr 3/.....str.149
27. KISIEL - O nieznaney istocie rzeczy /Kultura nr 5/.....str.152
28. KISIEL - Co dalej? /Kultura nr 6/.....str.156
29. KISIEL - Czy zanudzę na śmierć /Kultura nr 10/.....str.158

#### KSIĄZKI

30. RAUL WALLENBERG - Michał Feller /Kultura nr 3/.....str.164

#### DOKUMENTY

31. JACEK KURCŃ - Czy grozi nam interwencja /Kultura 1/2/.....str.167
32. Przemówienie prezesa SDP red. St. Bratkowskiego  
na przedzjazdowej konferencji sprawozdawczo-  
wyborczej PZPR w Warszawie w dn. 28.06.1981  
/Kultura nr 10/.....str.169
33. List do Rady Państwa PRL /Kultura nr 10/.....str.175

Nakładem Wydawnictwa CDN  
dotychczas ukazały się:

praca zbiorowa  
Konrad Mieleczko

M. Radecka /red./  
Józef Piłsudski,  
Michał Tuchaczewski  
M. Radecka /red./

Zdeněk Mlynář

P. Rodeł /red./

J. J. Lipski  
J. Mieroszewski  
W. Kuczyński  
S. Wyszynski

E. Bryll  
praca zbiorowa

Solidarność w stanie wojennym  
3 Maja 1982 w Warszawie /teka  
zdjęć/

Program KOS  
Ślepotą  
Cud nad Wisłą

Zakazane piosenki  
Internowani Białoleka'82  
/teka zdjęć/

Perspektywy i konsekwencje  
"normalizacji" w Polsce  
Nie jedziemy do Moskwy  
Who's Who KSS "KOR"

Dwie ojczyzny dwa patriotyzmy  
Materiały do refleksji i zadumy  
Obóz

Kultura bolszewizmu a inteli-  
gencja polska  
Boże, uchroni nas od nienawiści  
Społeczeństwo wobec przemocy